

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA T. 23.

MATEUSZ GRALEWSKI.

KAUKAZ

WSPOMNIENIA Z DWUNASTOLETniej NIEWOLI.

OPISANIE KRAJU. — LUDNOŚĆ — ZWYCZAJE I OBYCZAJE.

Zeszyt I.

Kaukaz wychodzi w zeszytach pięciomarkowych, których wyjdzie pięć i utwori dzieło objętości dwadzieścia pięć arkuszy. Przedpłata na całe dzieło wynosi 3 złr., 6 marek praskich (7 franków), można ją składać częściowo w 3 ratach, opłacając przy odbiorze zeszytów 1, 2 i 3 po 1 złr., 2 marki pr., następne zeszyty otrzymają prenumeratorem bezpłatnie bez względu chociażby się okazała większa objętość dzieła. Przesyłka franko.

Osobne składki po 60 ct. można zamawiać przy zapisaniu dzieła, albo też gotową oprawę egzemplarza za 3 złr. 80 ct.

Przedpłaty można składać w księgarni nakładowej, t. j. *Księgarni Polskiej we Lwowie przy ulicy Kopernika 12*, we wszystkich innych księgarniach, oraz w redakcjach pism: *Gazety Narodowej*, *Dziennika Polskiego* i *Kroniki Codziennej*, oraz u osób uproszonych do zbierania przedpłaty.

W Poznaniu skład główny w Administracji *Dziennika Poznańskiego*, u pułkownika K. Calliera i w księgarni J. K. Zupańskiego.

W Paryżu u Dr. W. Bartoszewicza, Avenue Parmentier 125.

W Nowym Jorku w Redakcji *Kurjera Nowojorskiego*.

W Gruzynii w księgarni Karola Malika.

W Krakowie w księgarni Adolfa Dygasińskiego.

Do dzieła będzie dołączoną lista wszystkich prenumeratorów.

Po wyjściu z druku dzieła, cena będzie podniesioną.

L W Ó W.

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ

12 ul. Kopernika 12.

z Drukarni A. J. O. BOGOSZA.

1877.

Wszystkie uwagi na ostatnią stronę okładki.

XXIII. BIBLIOTEKA HISTORYCZNA. XXIII.

MATEUSZ GRALEWSKI.

K A U K A Z

WSPOMNIENIA Z DWUNASTOLETNIJ NIEWOLI

OPISANIE KRAJU. — LUDNOŚĆ — ZWYCZAJE I OBYCZAJE.

L W Ó W.

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ.

1877.



Z drukarni Dziennika Polskiego
A. J. O. Rogosza.

II 244.762

9362 X 449 a

WSTĘP

KAUKAZ

WSTĘP

ZAGAJENIE OPISU. — OGÓLNY POGLĄD JEOGRAFICZNY, HISTORYCZNY I ETNOGRAFICZNY.

Był to rok 1844 i lato, kiedy nas kilku młodych ludzi swobodnie postępowo po kijowskiej drodze ku Kaukazowi. Młodzieńcami tymi byli prócz mnie: Antoni Gibasiewicz, Bolesław Maciejowski, Konstanty Sieciński, Stanisław Tomaszewski i Józef Zawadzki.

Dwóch towarzyszy więzienia z cytadeli warszawskiej, Józefa Lipskiego i Józefa Łojewskiego, już od Brześcia Litewskiego oderwano od nas i skierowano po drodze oremburskiej.

Tomasza Wenera, również wskazanego do Oremburga, jako ciężko chorego, czasowo zatrzymano w szpitalu cytaadelnym. Sami zaś musieliśmy pozostawić w szpitalu ostrońskim na Wołyniu, oddawna dotkniętego suchotami, Apolinarego Rawickiego, który tam w trzy dni życia męczeńskiego dokończył; i jeszcze rozstaliśmy się w Kijowie z Antonim Drylewiczem, który długi czas leczył się tam z tyfusu.

Szliśmy tedy etapami, według wyrażenia urzędowego swobodnie. Znaczyło to, że nas już nie smagano jak w Warszawie, że nas nie więziono na noclegach, ani przykuwano do żelaznego pręta na całe tygodnie; nadto nie roztrząsano nam już rzeczy w rekruckich tornistrach, ani nie narażano nas na szamotanie żołnierstwa i na zajęcia podobne do tego, jakie mieliśmy w Zwiahlu, że powstając przeciw żołnierskiej grabieży

i grubjaństwu, o mało skuci, nie padliśmy pod bagnatami.

Pod okiem etapowych przewodników, między żołdatami uwolnionymi ze szpitali, szliśmy przez wielkie, chędogie a gościnne małopruskie siola, kilkakrotnie napotykając w swej smutnej wędrówce wsie ograbione i ogłodzone przez wojsko carskie, które spędzono tu dla egzekwowania wynędzniałych, przeciążonych pańszczyzną, a powstających przeciw panom, chłopów.

Przeszliśmy i przez najniegościnniejszą w świecie, ziemię kozaków Dońskich, gdzie bez musu lub korzyści, nikt kropli wody nie poda łaknącemu, nikt kruszyny chleba nie da głodnemu. Smutna ziemia!

Już na obu stronach Donu widzieliśmy długie, odległe od siebie siola przesiedleńców moskiewskich, lub rusińskich, a między nimi rozrzucone od kilku lat tyśiące rodzin polskich z Ukrainy, z Wołynia i z Podola. Rodzinom tym nigdzie nie pozwolono, jak dozwolano innym narodowościom, osiedlać się w skupieniu, ale umyślnie rozrzucono je na dwustu milowej przestrzeni, aby tem łatwiej mogły się wynarodowić i wsiąknąć w element moskiewski. Dla tej samej przyczyny przymusowi osadnicy polscy, pozbawieni zostali księży i kościołów, w dalekich, zaledwie w głównych miastach istniejących.

Widok tych rodzin, nie tylko że dla nas marniejących, ale w czasach nawet powiększyć mających liczbę wrogów naszych, nowymi kajdanami krępował ducha naszego! Siły i wielkiej ufności w Opatrzność i w pracę narodową potrzeba było, aby znieść tak bolesną rzeczywistość i potrafić przejść bez klątwy te zaludniające się pustynie, tę paszczę straszną, pożerającą dzieci nie-szczęśliwej Polski!

My jako jeńcy, jako zbrodniarze stanu, szliśmy zapępniać przetrzebione przez epidemje i przez górali

kaukaskich, moskiewskie szeregi. Kazano nam wyrzec się przeszłości i narodowości, a walczyć w imię cara z ludem równie jak my dobijającym się niepodległości. Posłano nas na zhańbienie i na śmierć.

Moskale się omylili. Nikt z nas pewno nie zhańbił się podniesieniem ręki na dzielnego górala; prawie wszyscy ocaleliśmy od kul i od epidemji, choć losy nasze różnemi poszły drogami.

Pobył na Kaukazie nie uwalniał nas od obowiązków względem kraju i od pełnienia ich według szczegółowej każdego z nas zdolności. Nie jeden prowadził dziennik, lub pisał notaty o zaciętych walkach, jakie tam istniały i o ludach, które miały w nich udział. Podjąłem i ja takie zajęcie, a chociaż część notat musiałem zniszczyć sam na Kaukazie, i chociaż inną straciłem wśród ostatniej u nas wrzawy wojennej, jednak z pamięci i z pozostałych resztek, zdołałem ułożyć pewną całość, którą obecnie ogłaszam.

Aby zaś łatwiej uczynić to sprawozdanie dla rodaków mniej obeznanych z Kaukazem, na wstępie podaję im streszczenie jeograficzne, dziejowe i etnograficzne.

Moskiewskie urzędowe władze nazywają Kaukazem jedynie pas ziemi rozciągający się z północnej strony łańcucha gór kaukaskich między Czarnem a Kaspjskim morzem, aż po granicę ziemi dońskich kozaków i carstwa astrachańskiego. Trzymając się jednak miejscowych pojęć jeograficznych, dajemy nazwę Kaukazu i krajom leżącym z południowej strony gór, wciskającym się nawet w dzisiejsze granice Persji i Turcji; czyli nazywamy Kaukazem ziemię między 54 a 69 stopniem długości i między 38 a 46 stopniem szerokości jeograficznej.

Przecinający ziemię tę łańcuch gór kaukaskich, usadowiony na trzonie przecięciowo dwunastomilowej

szerokości i półtorasta milowej długości, zniża się u dwóch kończyn swoich, to jest u półwyspu tamańskiego na Czarnem i u półwyspu aszperońskiego na Kaspijskim morzu. Grzbiet główny w gromadzie gór, przedstawia nam szereg szczytów wiecznym śniegiem pokrytych i rozdwojonych na dwie wielkie grupy, wschodnią i zachodnią. Każda grupa jest gniazdem falistych lub stromych wyżyn, zakleszonych nizin, suchych kotlin i rozpekłych szczelin.

Oprócz łańcucha śniegowego, występują jeszcze równoległe budowy gór drugiego i trzeciego rzędu, piętrząc się ku płaszczynom z północy i z południa i ku równinom nad morzami granicznymi. Góry te, będące różnej rzeźby zewnętrznej, przedstawiają zbiór rozmaitych kształtów i widoków, nagich turni i lesistych działów. Płaszczyzna północna za Terekiem, Małką i Kubaniem, jest wylanym stepem bezleśnym i prawie bezwodnym, bo przeciętym tylko rzeką Kuma, Manyczem i kilkoma strumieniami. Płaszczyzna południowa przeciwnie pełną jest lasów, rzek i strumieni.

Morze Czarne więcej podmyło pochyłość gór, aniżeli Kaspijskie i dla tego od Gagry do Holendzika pokazują się ustępy stromych i lesistych gór, jakby pod linią obcięte. Tam w niejednym punkcie z powodu podmieliska, mieszkańcy nadmorscy, w czasie burzy, nie mogą się komunikować z sobą, ale doczekawszy się cizy, przechodzą przez wały z drzewa, z kamienia i z piasku, sformowane bałwanami morskimi. Na północ od rzeki Pszady, morze werwawszy się w ląd, utworzyło kilka zatok, służących za przystanie dla statków do brzegów przybijających. Anapsa, noworosyjska, a osobliwie gelendzicka i sudzucka przystanie, osłaniają statki od huraganowego wiatru zimowego bori. Niżej ku południowi istnieją wygodne przystanie, Suchum-Kale Redut-Kale, a szczególnie Polu. Nadbrzeże południowe

od rzeki Kadory jest płaskie i błotniste, żadne tam statki z powodu mielizny przybijać do brzegów nie mogą.

Morze Kaspijskie odstępuje od gór o kilka mil, wyjąwszy kilku punktów, jak w Petrowsku, w Bujnaki, w Derbencie, i w Baku, gdzie ta odległość zmniejsza się nawet do ćwierć mili polskiej. W tych samych miejscach, jako też w Lenkorani ku południowi, istniejące przystanie, zupełnie są otwarte na wiatry i dla tego statki ku bezpieczeństwu swemu, muszą często odpływać na pełne morze.

Z gór kaukaskich obficie wytryskują strumienie wód, wijące się w rozpadlinach i w wąwozach i spływające przez płaszczyny i niziny do mórz granicznych. Z północnej strony najznaczniejszą z rzek jest Kubań, który przyjmując wlewki rzek Urupa, Zieleńczuka, Wielkiej Łaby, Białej (Szwangwasze), Psziszka, Bekupsa, Supsa, Adoguma i Teberdy, wpada do morza Czarnego. Terek zaś przyjmując w siebie wody Małki i Sunży z licznymi potokami wpada do morza Kaspijskiego. Z południowej strony wpada do tegoż morza Kura, unosząc razem wody Aragwy, Alazani, Araksy i innych rzek; zaś Kadora i Rian z wielu strumieniami wlewają się w morze Czarne. Kilka tych rzek na większej lub mniejszej długości jest splawnych. Rzeki wypływające z gór lesistych, stają się po większej części w lecie płytkimi, albo prawie zupełnie nikną; wypływające zaś z gór śnieżnych ciągle zasilają się wodami z rozstajających śniegów. A jedne jak i drugie mając u swoich źródeł bardzo stromy spadek, tak nagle wzbierają od deszczów, że w kilka godzin najpłytsze rzeczulki stają się niepodobnymi do przebycia.

Ułatwienie komunikacji w górach jest rzeczą niezmiernie wagi. Przeszkody stawiane skalistymi murami lub zrębami sypkiej ziemi, nadają drogom nader ważne znaczenie. Jeżeli na płaszczynach od dawna istniały

trakty łączące dwa morza, jeżeli w górach drugorzędnych cała przeszkoda zależała na wycinaniu lasów, obciosaniu skał, nasypie ziemi i budowie mostów, to wcale ma się inaczej w górach śniegami pokrytych. Tam za drogi służą jedynie wąwozy, łożyska rzek stanowiące, które w czasie zimowym i wiosennym, zasypane bywają spadającymi z wysokich szczytów ogromnymi zaspami śniegu, odłamami skał i bryłami ziemi. Z tych powodów dotąd zdołano urządzić zaledwie dwie stałe drogi przez szczyty gór: jedną od Włady Kaukazu po nad Terekiem przez Gud-górę z Alagirską odnogą, drugą zaś w Narskim wąwozie od Achrów do Nuchy, przez południowy Lezgistan.

Kaukaz będąc progiem między Azją i Europą, był zawsze przedmiotem uwagi i silnego zajęcia się najpotężniejszych państw, jakie tylko istniały na świecie. Każda potęga i cywilizacja biegła w te strony, jakoby dla uwiecznienia swej siły; potem zaś słabła i opuszczała te kraje, oddając je losowi, albo w ręce silniejszej nowej potęgi.

Kaukaz był znany najdawniejszym ludom, gdy już w księdze Genezie, Mojżesz wspominał górę Ararat, na której zatrzymał się okręt Noego. Mitologia też grecka przykuła Prometeusza do skały kaukazkiej, za myśl opierania się Jowiszowi, chcącemu wygładzić, wydający mu się niesfornym ród ludzki.

Piśmienne podania na trzynaste wieki przed Chrystusem, wspominają o wyprawie w te strony Argonautów, po złote runo, właśnie do owej Kolchidy, w której koło tego czasu wielki zdobywca Sezostrys założył liczne kolonie egipskie.

W skutek upadku potęgi egipskiej, głównie podważonej przez Asyryjczyków, greckie kolonie w VII wieku

przed Chrystusem, nagle wyrosły na brzegu kaukazkim Czarnego morza; a przez wyższość swojej cywilizacji, przez stosunki handlowe i nareszcie przez podboje posuwały się ku góróm i ku Azji środkowej. Powodzeniu temu Greków stawali później na przeszkodzie Persowie i Kartagowie, burząc ich osady i miasta, z lądu i z morza; dopiero zwycięstwa Aleksandra Macedońskiego w IV. wieku przed Chrystusem, zapewniły czasowy spokój tym posiadłościom greckim w Azji.

Podbicie Grecji przez Hanibala w r. 168 przed Chrystusem, sprowadziło znowu w te strony Rzymian, którzy następnie walcząc z Grekami dobijającymi się niepodległości, sokołowali sobie królów ormiańskich i iberyjskich (gruzińskich), oraz innych książąt tutejszych i postawili w ich krajach liczne załogi wojskowe. Dalsze wewnętrzne walki Rzymian osłabiły ich siłę na Kaukazie i dozwoliły północnym Chazarom, 265 r. po Chr., a w pół wieku znowu Persom zająć te strony. — Przeniesienie stolicy państwa rzymskiego do Konstantynopola, i zajęcie się walkami cesarzów rzymskich, a następnie bizantyńskich z Persami, korzystnie wpłynęły na rozwój i utrwalenie się Gruzji, cesarze bowiem z politycznej konieczności, stali się raczej jej sprzymierzeńcami i obrońcami, niż panami.

Potęga Bizantyńców ustąpiła nowej sile Arabów, którzy od Mahometa, a raczej od spadkobierców jego Kalifatu parli się w te strony. Trzykrotne wyprawy, osobliwie ostatnia dziesięcioletnia, zakończona w r. 732 opanowała całemi górami. Gruzja mająca już ujęty związek polityczny, mogący z czasem ogarnąć całą przestrzeń Kaukazu, podległa haraczowi. Inne ludy temuż losowi uległy. Gdy już osady i załogi arabskie rozeszły się siecią po całym kraju, Persowie i Bizantyńcy ciągnęli wojnami, osłabiali ich siłę i poruszali przeciw nim ludy miejscowe. Arabowie nareszcie tak się uwi-

klali w domowych kłótniach i wojnach zewnętrznych, że ludom kaukaskim łatwo było odzyskać swoją niezależność.

Nowa siła mahometańska pod Turkami Seledżukami, opanowała te strony w drugiej połowie XI. wieku, lecz dynastyczne zawikłania, walki i sektarskie niezgody, a nareszcie wojny z Krzyżowcami, wpłynęły po kilku bitwach z krajowcami, na zupełne usunięcie się tych zaborców z ziem kaukaskich.

Gruzja stała się potężną w górach i na podgórzach południowych. Zwyciężyła ościennych książąt muzułmańskich, a Armenję zmusiła do pokoju. Stosunki z Krzyżowcami, Grekami, Wenecjanami i Genueńczykami, wprowadzały do niej pojęcia i nauki europejskie i powodowały ją do zaszczerpienia chrześcijaństwa we wszystkich ludach Kaukazu. Lecz Gruzja, z połączonemi z nią ludami, podlegała potem ciągłym nieszczęściom.

Huraganowy napływ Mongołów pod Dżengis-Chanem w r. 1222, wywrócił cały porządek w górach i sprawił wielkie spustoszenie.

W półtora wieku gorsze tam jeszcze było najście hord Tamerlana, który gwałtownemi środkami zmuszał mieszkańców do przyjęcia islamizmu.

Po śmierci Tamerlana odparłszy orężem najeźdźców, Kaukaz a właściwie Gruzja, podzieliwszy się na kilka oddzielnych, kłócących się z sobą krajów, stawała się powolnym łupem Persów lub Turków, szczepiących w górach mahometanizm sunitskiej lub szyitskiej sekty, i często na posiadłościach kaukaskich, walczących o zasady religijne i o panowanie. Gruzini i Ormianie hołdujący jednym albo drugim, ale stale trzymający się chrześcijaństwa, sprowadzili na siebie straszne klęski. Przewidywanie upadku niechybnego, zwróciło oczy książąt na Moskwę, która opierała już granice swoje o północne stoki Kaukazu.

Moskwa robiła książętom ciągle obietnice pomocy i niby dla powściągnięcia Persów i Turków od napaści, wymogła od książąt wassalskie listy, które miały być pozornymi. Hramoty te były nieraz odnawiane, ale żadnej pomocy książęta nie otrzymywali, chyba że dozwolono im ratować się ucieczką do Moskwy. Piotr W. r. 1717, wchodził w przyjazne stosunki z Persami i posuwał granice swoje ponad morzem Kaspijskiem. Carowa Katarzyna II., otrzymawszy w r. 1783 hramotę wassalstwa od króla kartulińskiego (gruzińskiego), pierwszy raz wysłała wojsko na ziemię gruzińską i walczyła przeciw Persom lub Turkom. Gruzini wszelkich księstw użyci zostali za narzędzie do podniesienia się Moskwy w tych stronach.

Następca Katarzyny, Paweł I., zabronił potomkom Jerzego XIII. wstępować na tron gruziński i zajętą Gruzję wcielił do posiadłości moskiewskich. Dalsze przerywane, a nieraz długie walki z krajowcami w górach i na nizinach, w kolei dziejów, uczyniły Moskwę władczynią Kaukazu.

W plemionach zamieszkujących w ostatnich latach Kaukaz, tyle spotykamy różnorodności i niejasności wedle pochodzenia i języków, że na długo jeszcze pozostaną do rozwiązania ciemne w tym względzie zagadnienia.

Oprócz Egipcjan, Greków, Rzymian, Arabów, Mongołów, Persów, Turków i Moskali, nieraz przybywały z tymi zaborcami i inne nieznanne, a podległe im hordy, które się tu osiadlały. Różne też ludy, jak Chazarowie, Normandowie, Polowcy, Pieczyngi, po walkach z krajowcami, wsiąkali w ludność dawniejszą. Nareszcie części gromionych Cymbrów, Scytów, oprócz innych dawniejszych ludów, zbrojnie przebywających przesmyk kaukaski, musiały pozostać w tutejszych stronach. Z resz-



tek tych wszystkich ludów i z odwiecznych mieszkańców Kaukazu, ukształtowały się liczne plemiona, które następnie dadzą się ugrupować.

Naprzód w *ziemiach czerkieskich* czyli *Adyge*, mieszkają Natuchajcy (Nodkuadź) zajmujący przestrzeń podgórze między Czarnem morzem a ujściem Kubania.

Szapsugi sąsiadują z Natuchajcami. Zajmują obie strony zachodniej kończyny łańcucha gór między rz. Adagumem i Szypsem, Pszadą i Szache i przytykają od wschodu do Kubania.

Bzeduchy, z których Chatukajcy, Czerczynejcy graniczą z Szapsugami od wschodniej strony i zajmują przestrzeń od rzeki Pszisz do Supsy.

Abadzechy, graniczące z Szapsugami i Bzeduchami, zajmują z północy góryste strony po dolinach rzeki Białej (Szangwarze).

Temirgajców małe plemie, zamieszkuje ziemię między dolną Łabą i Białą.

Besleai zajmowali dolinę Urupa z potokami. Resztki ich ocaliły się w wąwozach u źródeł Łaby.

Machoszy ku południowi od poprzednich, po dolinie rzeki Chodz.

Kabardyńcy na płaszczynie między rz. Małką, Terekiem i górami zajętemi przez Osetynów.

Abazowie, odmiennego szczepu od plemion Czerkieskich. Mieszkają w centrze gór i na południowej pochyłości ku morzu. Dzielą się oni również na liczne plemiona, z których są główniejsze w stronach wschodnio-południowych ku równinom morskim: Właściwi Abaziny, Madowejcy, Bziby, Wordany i Dzigety, zaś w południowej stronie Bahowie, Barakajcy, Szengirejcy, a od tych ku zachodowi aż do rzeki Karaczaj, Tamy, Baszilbajaj, Kizilbeki i inni.

Ubychy, plemie abazkie, które zajęło południową pochyłość gór między rzeką Szache i Chamysz, zaliczają

do ogólnego plemienia Adyge (Czerkiesów), z powodu, że zwyczaje i obyczaje tego liczego ludu są bardzo do niego podobne, a nadto, że Ubychy oprócz swego własnego, używają i czerkieskiego języka.

W stepach nogajskich, nad Kubaniem, Małką i dolnym Urupem, znajdujemy również kilka plemion, a między niemi głównie Mansurów i Nauruzów.

W ziemi osetyńskiej, zajmującej przestrzeń na północnej stronie gór między rz. Terekiem a Czerekiem i ziemią Kabardyńców, znajdujemy plemiona Digorów, Walagirów, Kurtalów, Tagaurów, Czerachów, Gudoszaurów, Szebów, Tursojów, Gudojców, Sakkajów, Narajców, Sramagajów, Daulemów i Kudarów.

W ziemi Czeczeńców, czyli *Kistów*, zajmujących przestrzeń północną na wschodnim przedziale łańcucha gór, między Terekiem i nad strumieniami wpadającemi do rzeki Sunży, znajdujemy plemiona Juguszów nazarańskich i galgajskich, właściwych Czeczeńców, Tuszynów, Karabulaków, Galaszyńców, Akińców, Pszegojów, Szubutynów, Czabirlinów, Iczkerinów, Kaczkalików, Auchów, Szatojów i Corinów, prócz innych.

W ziemiach lezgińskich, czyli *w Dagestanie*, na wschodnim przedziale gór, przetrzyętych rzeką Kajsu i wpadającemi do niej strumieniami, aż ku brzegom morza Kaspjskiego spotykamy plemiona: elisujskie, dżaroblokańskie, didojskie, antkrattskie, rutulskie, achtyńskie, kiuryńskie, kazikumuchskie, mechtulińskie, salatawskie, humbitowskie, audyjskie, chiryjskie, risznijskie, bahoszyjskie, kjalarskie, anzatiskie, karagskie, właściwe awarskie, albo chunzachskie, mukraffskie, tlesseruchskie, gimryńskie, akuszyńskie, siurgińskie, kabardargińskie, baszelijskie, mirjańskie, kajtachskie, kubaczyńskie, tabassarańskie i terekemskie.

Na ziemiach gruzińskich, z południowej strony łańcucha gór od rzeki Alazani, aż do brzegów morza

Czarnego mieszkają Kartulini, Kachotyni, Pszawi, Tuszyny, Chewzury, Imeretyni, Mingrelowie, Swanety i zabazieni Abchazy.

W ziemiach ormiańskich, nad Araksą, których znaczniejsza część należy do terazniejszych posiadłości tureckich i perskich, znajduje się lud jednolity, jednak w częściach zpersiały lub ztureczony.

Oprócz tych plemion zaliczyć należy do mieszkańców Kaukazu i kozaków czarnomorskich kubańskich, osiadłych z familjami od brzegów Czarnego morza po nad Kubaniem i Terekiem do morza Kaspijskiego i nad rzekami z południa do nich wpadającemi. Nadto włączyć potrzeba osiadłych w różnych stronach Moskali, Rusinów, Persów, Turków, Niemców, Turkomanów i t. d.

Gdy Moskale w najnowszych czasach, urzędownie podali ściśle wykazane lub też tylko przybliżone cyfry co do samych mieszkańców gór, podług najnowszego podziału ich administracyjnego, ludność przeto całą tylko podług przybliżonego dawniejszego obliczenia podajemy na trzy i pół miliona z górą.

Abazo-Czerkiesów liczono na	550,000
Osetynów czyli Irynów	180,000
Czeczeńców albo Kistów	140,000
Awaro-Lezginów	800,000
Gruzinów	550,000
Tatarów nogajów i Kałmuków	140,000
Ormian	400,000
Kozaków, Moskali, Rusinów,	650,000
Innych narodowości	120,000
Ogółem	3,530,000

CZEŚĆ PIERWSZA.

PLASZCZYNA KUAKAZKA.

Smutny widok. Dawne ludy. Terazniejsza ludność. Jej pojęcia religijne i społeczne. Stawropol. Rozmowy z rekrutami. Stаницe kozackie. Georgiewsk i okolice. Rzeź chłopów. Kalmućkie jurty. Jekaterynograd. Mozdok. Kościół katolicki. Ksiądz Hygin Antonowicz. Kozacy staro-wiercy i ich odrębność. Obyczaje i zabawy. Kobiety. Roz-ruchy kozackie w Czerwonnej. Spotkanie z wiarusem w okopie. Kiłlar. Grochowscy wiarusy. Zamęczenie Że-brawskiego. Cyfra ludności. Pierwsze zajęcie płaszczyny przez Moskali. Postawienie linii warownej. O kozakach i ich urządzeniach.

Za południową granicą ziemi Kozaków dońskich, między Czarnem morzem, Wolgą a Kaspijskim morzem, leży olbrzymia, bezleśna i prawie bezwodna przestrzeń. Przysuwa ona krańce swoje południowe do Kubania, Małki i Tereku.

Przestrzeń ta nosi właściwą nazwę Kaukazu, pożyczając jej z pewnością od wielkich gór na południu wzniesionych.

Dwie drogi ją przecinają, jedna od źródeł Donu do Georgiewska, druga od dolnego Donu do Stawropola. Dwie inne drogi wiją się nad brzegami morskimi.

Wszystkie one wzdłuż zabudowane, o kilka mil odległemi od siebie siołami. Po za niemi pustki, stepy, próżnia! Wprawdzie wędrowiec spotka się niekiedy z koczującemi jurtami pasterskich Kałmyków lub Nogajców, ale gromadki te nikną w oceanie przestworu!...

Jak gdyby wody morskie dopiero ustąpiły z tej ziemi, jak gdyby mór wyniszczył ród ludzki, lub pożar przeszedł tę krainę, dziś tak dziką, tęskną i jałową!

Lecz nie wody to morskie, ale ustąpiły plemiona mające w sobie poczucie niezależności. Nie mór wyniszczył ród ludzki, ale nowe hordy najezdnicze wyparły słabszych od siebie. Nie pożar przeszedł tę ziemię, ale ukazy ujarzmiające kraj obszerny zimnem swoim mroziły!

Martwość tylko uderza dokoła. Żadnego życia, żadnej odmiany widoków! Wszystkie sioła i wszystkie domy podobne do siebie. Wszystkie cerkwie, wszystkie zarządy sielskie (uprawy) i wszystkie poczty podług jednych planów stawiane.

Jak pod względem zmysłowym, tak i pod względem duchowym jedno jest życie, nie ma gry pojęć. Wszyscy urzędnicy i wszyscy osadnicy myślą i mówią podług przepisów z carskich kancelarji wydanych. Właśnie życie ustąpiło z tych indywiduów... tak stały się bezdusznemi machinami, zaledwie troszczącemi się o swój byt.

Podróżnik szuka okiem czegoś, coby tę przerażającą nagość pokryło, lecz na całej przestrzeni znajduje się zaledwie kilka zarośli i kilka rzeczek sączących wody. Wszystkie one, Jegorłyk, Taszła, Mamajka wysychają zupełnie w lecie, w głębszych tylko wpadlinach zostawując wodę. Jedna rzeka Kuma przerzynając step odwilża karłowate laski, co nad nią szumią smutniejszą od smutnych pieśni: lecz i ona nie idzie bując z wo-

dami morskimi, a znika niewolniczo w trzcinach i piaskach. Brak ten lasów i wody wyniszcza ziemię, pozbawia wilgoci. Deszcze bywają rzadkie, a ziemia złożona z marglu lub lekkiego czarnoziemu pęka od spiekot. Okolica znosi gorąca do 30° R. a mrozy do 20°. W porze zimowej, wiatry i zamiecie dokazują w stepach prawie bez ustanku. Sioła też są nagie, prawie nigdzie nie ma sadu lub drzewka przy chacie, a nawet przy cerkwi. Oto obraz całej płaszczyny!...

Inaczej tu być musiało kiedyś, nawet w przedhistorycznych czasach, kiedy o świcie dziejów miejscowych, w VII. w. przed Chr. przemykały się tędy tłumy Cymbrów i ścigające je tłumy Scytów taurydzkich. Musiało być bujniej, weselej, gdy ci ostatni chętnie na długie czasy rozgościli się w tej ziemi. Za trzeciego wieku ery Chrześcijańskiej, za Chazarów z pewnością też skrzętniej tu bywało. Musiało być życie, gwar i siła, gdy lud ten potrafił się rozwinąć i przenieść swe panowanie aż do Kolehidy.

Dziś śród bezhucznych stepów, wyobraźnia podróżnika odtwarza sobie ich jurty ruchome z rojem snujących się do koła ludzi, i patrzy się na hufce bujną trawę tratujące a opierające się najazdom wypartych w V. w. z baszkirskich siedlisk, Ugrów i Saragurów, a potem i napływom turkomańskich ludów.

Dziś chciałoby się nawet te hordy ujrzeć, byle załudnić nieobjęte okiem stepy i poruszyć martwą przestrzeń do życia. Chciałoby się obudzić z wieczystego snu nawet Połowców i Pieczyngów, którzy w IX. wieku, po Chazarach dzierżyli tę ziemię.

„Pieczyngi, Połowcy! dzikie te ludy, krwiożercze hordy,“ powiadacie. Ależ oni mieli miasta, prowadzili handel. Powinni się dać przykroić do pojęć dzisiejszej cywilizacji. A przy tem byli silni. Odwiedzali oni naszych Polanów naddnieprskich, a kniaziowie kijowscy

zęby łamali o ich grody. Gdzież dziś te grody, gdzie miejsca po nich?! W przeszłość zapadły...

Lecz zastanówmy się, a uznamy, że niepodobna, aby i teraz właściwego tu życia nie było, choćby ono było bierne? Ukaz, systemat, nakreśla plany osad i budowli, nakreśla linią myśli, po nad którą nie wolno wychylać się umysłowi; jednak przed tą linią muszą znajdować się stopnie wiedzy i uczucia ludzkości. Muszą się znajdować i są.

Jest różnaitość i na stepach kaukaskich!...

Oto jest ubiór odmienny osadników moskiewskich od osadników małoruskich. Ubiór, zwyczaj ojczyście, przechowali oni jeszcze osobne na nowem zaludnieniu. Spiewy, gadki, zabawy mają różne, a prawie te same, jakie wynieśli z prowincji, w których ich dziadowie, ojcowie lub oni sami przebywali.

Oto we wsiach cerkwie, choć wszystkie białe, choć wszystkie puszą się pięcioma zielonemi kopułami, lecz jedne są z gwiazdami, inne bez gwiazdek. Choć wszystkie chaty są nowe, lecz u Małarusinów są więcej chędogie i wybielone. Choć jednako suszony nawóz odjęty roli, lub słoma utrzymuje ogniska domowe, lecz Małarusini gotują strawę codzien, a Moskale co tydzień. Małarusini każdą potrawę przyrządzają osobno, Moskale zaś lubią mieszać wiele potraw w jedną i przechowywać ją w skwaszeniu.

Taka jest różnica i podobieństwo ogólne ludu tutejszego.

Cała ludność od cuchnącej rzeczki Jegorłyka aż do Stawropola jest bez najmniejszego wykształcenia społeczeńskiego i religijnego.

W społeczeństwie widzi tylko nadziemską wolę, potęgę i świętość cara. Car jest wielki i nieomylny. Złe jakie się dzieje, dzieje się bez wiedzy cara. Car jest panem świata całego, panem królów i książąt ziemskich.

Kto wojuje z carem jest buntownikiem wyłamującym się z pod jego boskiej władzy.

Małorusin w ohydzie ma nazwisko obrońcy swojego hetmana Mazepy, jako wyklętego w cerkwi. Nazwanie którego z nich Mazepą uważa się za obelgę.

W religji pojęcia czysto pogańskie. Lud widzi trzech bogów w trójcy. Każdy obraz ma za Boga i nazywa nawet te obrazy i ołtarzyki bogami. Mówią: „mam w izbie mało bogów kupię jeszcze ze dwóch.“ Każdy święty jest w ich pojęciu wyniesionym na bożka niższego rzędu. Aniołów sobie wyobrażają jako gwardję przyboczną Boga, Archaniola Michała widzą jako generała aniołów i adjutanta boskiego, z jeneralskimi szlifami i akselbantami. Widziałem w przysionku jednej cerkwi wielki olejny obraz św. Eljasza, w mundurze carskim, z orderami, jadącego po obłokach na kubitce zaprzężonej w trzy konie w hołoblach, któremi zwoszcyk z rozczochraną brodą kierował.

Stopnie hierarchii wyobrażają ten lud i w piekle. Lucyper tam przywodzi. Antychryst jest przyszłym przeciwnikiem Michała Archaniola. Są djabli starsi i młodszy. Starsi chodzą po świecie i kuszą, młodszy w piekle gotują smołę w kotłach i męczą grzeszników. Węże, żmije, padalce, jadowite żaby, psy, są najniższą kastą djabłów.

Popów nie szanują jednak, unikają z nimi spotkania, a w razie zejścia się dla uniknienia nieszczęścia pluą po za siebie, rzucają szpilkę lub igłę, albo też słomę. Biją się z nimi po karczmach i po weselach, bo wielu z popów prócz nauki czytania, niczem się nie odznacza od chłopów.

Popom nie wolno w sielskich cerkwiach miewać kazań ani własnego wykładu ewangelji. Niekiedy polecono im z góry odczytanie niektórych wykładów i odezwo urzę-

dowo-synodalnych, a słowa te lud uważał całkiem za święte.

Lud cały wszystkich cudzoziemców nazywa *niechrestami*, to jest niechrzconymi, chociażby to byli i Chrześcjanie. Takie same pojęcie ma i o Polakach. W zdziwienie więc wprawilem jedną rodzinę małoruską, u której postawiono mnie na kwaterze, opowiadaniem mojem o Chrześcjanstwie w Polsce i upewnieniem, że Polacy żegnają się, że mają obrazy świętych, że wyznają Boga w Trójcy św., że czczą matkę Jezusa Chrystusa, że mają ewangelję, że święcą dnie uroczyste Apostołów i Ojców kościoła, nareszcie, że papież jest głową kościoła.

W niedowierzaniu kazali mi się żegnać po polsku i mówić Ojczy nasz. Zauważali, że żegnając się, kładłem wprzód rękę na lewe niż na prawe ramię. Tłumaczyłem im to zwrotami językowemi, i że położenie ręki na lewym ramieniu przypada tak samo na wyraz *Ducha*, jak i u nich.

Z niedowierzaniem też słuchali mnie o papieżu, że jest głową naszego kościoła i że z Rzymu błogosławi nam.

— Jak to, mówili, może wam papież błogosławić, kiedy my ledwo słyszemy o nim. Rzymski papa, dodał gospodarz, jest świętym na ziemi, dla czegoż on pozwala wam żegnać się inaczej i komunią inaczej przyjmować?

Wedle znajomości teologicznych tłumaczyłem wszystko w duchu pojednania, nie wspominając o carze; wszelako z późniejszego traktowania tej materji wywnioskowałem, że papieża uznają, jako najwyższą, nieumierającą nigdy istotę duchowną, której nawet car słuchać powinien, ale car ma przecież władzę i nad papieżem, tylko musi uważać na jego święte życzenia.

Widząc takie ciemne ich wyobrażenia o chrześcijaństwie, zadałem im do rozwiązania zagadkę:

— Coby też było, gdyby Bóg umarł, ktoby został Bogiem?

Starsi i młodszy zafrasowali się tem zapytaniem i sam wzdrygnąłem się na myśl, że znalazłem ludzi niby to chrześcijan, którym ośmieliłem się poddać podobną kwestję. Ale nie odwołując zapytania, doczekałem się odpowiedzi gospodyni:

— Przecież Bóg nie umrze.

To przecież wyrzekła z niejakiem wahaniem się.

Jednakowo, powiadam, wiecie, że Jezus Chrystus był ukrzyżowany i zstąpił do piekieł, więc gdyby jeszcze chciał grzechy ludzkie odkupywać i dał się znowu umęczyć i poszedł na dłuższy czas do piekieł, któżby więc rządził światem?

— A prawda, odpowiedzieli.

— Ja sądzę, dodałem, że car byłby Bogiem a może że papież?

— Ale, gdyby już taka była wola Boga, powiedział gospodarz, uchylając czapki, toby rządził światem pewnie car.

Ta odpowiedź rodziny małoruskiej przejęła mnie rzetelnym bolem. Przez niewiadomość swoją krzyżowali Chrystusa, którego im wprawdzie nie dano poznać. Przez ciemnotę nie poznali ani papieża ani cara, wyobrażając sobie ich osoby jako istoty nadprzyrodzone; nawet nie znają zasad wiary, pod imieniem której pcha ich car, gdzie przewącha zdobycz. Małorusini wtrącają papieża do pomazańców Bożych, nie wiedząc, że go odpychają popi, a przedewszystkiem głowa synodu — car!... Co za chaos wyobrażeń religijnych! Machjawska zręczność, czyli, co na jedno wyjdzie, moskiewska zręczność w opo-

wiadaniu słowa ogłupiła ten lud. Wychodząc z kwatery powiedziałem gościnnym ludziom:

— Pamiętajcie, że car umiera, że papież umiera, a Bóg nigdy.

Pomiędzy takim ludem, z gromadą soldactwa postępowalem ku górcom niechcącym zaprowadzać u siebie moskiewskiego szczęścia i porządku pod linią nakreślonego.

Szedłem z innemi by zmusić te buntownicze góry, do narzuconego im szczęścia i doli błogiej?

Sród zimna, głodu, niewygód rozmyślając o tym fatalnym losie, duch w człowieku zamarzał. Jednak każdy z nas skazańców złożył w duszy swej przysięgę, że kropla krwi wolnej i niewinnej nie obciąży jego sumienia, a biada by była, gdyby kto tę przysięgę złamał.

Zbliżając się ku Stawropolowi, z radością ujrzelismy przecie gdzieś niegdzie wyrosłe drzewka po wsiach, a nawet u samego miasta zobaczyliśmy lasek, miejsce letnich przechadzek.

Stawropol też nas zajął, jako obszerne siedlisko 30-tysięcznej ludności. Z początku był on jednym z czterech punktów warownych, założonych w 1777 roku na linii kaukazkiej, a wkrótce stał się stacją kozaków Choperskiego pułku. W r. 1786 zamieniony został na powiatowe miasto, a po zniesieniu w r. 1822 w Georgiewsku władz gubernjalnych, stał się głównym miastem obwodu (oblasti) stawropolskiego. W r. 1847 temu obwodowi znowu dano nazwę gubernji, a miasto pozostało jej stolicą. — Skupia się tu kilka władz. Oprócz zarządów gubernjalnych istnieją obszerne biura wojskowe, oraz władze duchowieństwa prawosławnego, gimnazjum z koszarami, pensja rządowa i prywatna panien, seminarjum prawosławne, teatr czasowy i ochronka sierót.

Ogólny wyraz miasta jest monotony, podobny do wszystkich nowych miast moskiewskich. Wszystkie ulice

rozpierają się szeroko, rzadko zabudowane, domy czysto zewnątrz wyglądają, ale podobne do siebie. Sobór na wzniesieniu postawiony, szpital wojskowy, parę innych gmachów i jeszcze spacerowy bulwar gołowiński, nieco ożywiają tę młodą suchotniczą fizjonomją miasta.

Nic tu zresztą nie ma szczególnego; chyba że prócz kilku cerkwi, miasto posiada ormiański kościół i kaplicę katolicką.

Po parodniowym pobycie, wyprawiając się w dalszą drogę, musiałem porzucić z widoku tę stawropolską rozmaitość, lasek i kilka źródeł, bardzo skąpo opatrujących mieszkańców w wodę.

Od Stawropola prócz tej, którą przebyliśmy, rozchodzą się zgięte dwie inne drogi, ku brzegom morskim na wschód i na zachód prowadzące. Trzech z nas wysłano zachodnią, ja z dwoma kolegami wyprawiony byłem wschodnią drogą.

Był to grudzień bardzo mroźny, gdyśmy właśnie wtedy pierwszy raz, w towarzystwie nowego etapu przechodzili te strony ku morzu Kaspijskiemu. Doświadczamy głód na stepach, przemarzanie źle okrytych członków, a zresztą ciekawość rzeczywistej przyszłości, parły myśl każdego z nas ku górcom. I obietnic mieliśmy nie mało. — Jeden z rekrutów, ćwiczony już parę lat w rezerwie wojsk kaukazkich, stojącej nad Azowskim morzem w Taganrogu, uważający się za doświadczonego ode mnie, dawał mi i kolegom wiele otuchy na przyszłość.

— Ty zdaje się umiesz czytać, przemówił.

— Umiem, odrzekłem.

— I pisać umiesz?

— Umiem też.

— To się nie bój carskiej służby, przemówił znacząco. Jak tylko przyjdiesz do pułku, zaraz cię zapytają, czy znasz jakie rzemiosło lub czy umiesz pisać.

A gdy powiesz, że umiesz, weźmie cię feldfelbel do piśma rotnego, a u niego zawsze ci się dostanie kawałek mięsa, gdy nie doje. Nie jeden żołnierz, gdy mu list do domu napiszesz, wyczyści za ciebie broń, wypucuje ci rzemienie i guziki, albo ci buty, szynel czy też mundur sporządzi. A nie raz za list wpadnie ci kilka kopijek. Nikt cię bić nie będzie, a jeśli ci się dostanie, to tylko od feldfelbla albo od oficerów.

Takie smutne nadzieje, podawane nam i przez innych rekrutów i przez konwojujących żołnierzy przy innych okolicznościach, budziły by nasz śmiech, lecz teraz pewną otuchę w ciężkiej naszej doli robiły. Rad był człowiek, iż pisaniem zarobi sobie czasem na kawałek mięsa, lub przyszczypkę do buta i że nie każdy odważy się do bicia.

Ale starzy żołnierze, świetniejszą nam nadzieję robili. Byłto właśnie czas strasznych klęsk, jakie Moskale ponosili na Kaukazie. Żołnierze opowiadali o góralach jako dziwnych rabuśnikach, którym wojska podołać nie mogą z powodu zdrady jenerałów; opowiadali o rzeziach w stannicach, o wyciętych załogach fortów, o walnych bitwach wygranych przez górali, o ludziach zabieranych do niewoli i o zbiegach dobrze widzianych u Szamila i otaczających jego osobę.

Tych opowiadań bez końca, a każdego z licznymi warjantami lubiliśmy szczególniej słuchać i wypytywać o położenie gór o sile górali, o urządzeniu ich wojska; gdyż wtedy zdawało się nam, iż najpatryotyczniejszym i najlepszym krokiem do pozbycia się niewoli moskiewskiej będzie przejść w góry, albo wreszcie oddać się do niewoli góralskiej.

Z tą nadzieją postępując, widząc już nie raz nowe i coraz urozmaicane widoki natury, krzepiliśmy się na siłach, które jakby na pół wypite zostały na jałowych stepach. Od samego Stawropola w czasie dni pogodnych,

mogliśmy dojrzeć góry niby obłoki, zwieszane przy krańcach pochylającego się horyzontu, lub niby ogromne kłęby dymu w nieporuszone masy zbite.

Obok nas zawsze jeszcze stepy, a w czasach śnieżnych zamieci, biada temu ktoby na nich zablądził! Bywały wypadki, że całe partje stepowe wymarły, zbiwszy się na bezdroża. W czasach nieśnieżystych droga ta opatrzona drogozkazami wiorstowemi z wysokich białych kamieni, lub ze słupów marmurowych, biała tynkowanych jest pewniejszą.

Już od Stawropola przechodziliśmy przez stannice, zamieszkałe przez kozaków linjowych. Stannice te okopane i uzbrojone obronnemi wrotami, niczem się nie różnią w wewnętrznym ustroju od siół poprzednio widzianych. Mężczyźni więcej zajęci koniem, szaszka i karabinem, niż gospodarstwem domowem; kobiety gadają o racjach skarbowych (pajok), o sianie dla bydła i o zdobyczach w górach. Kozacy piesi zmieniają warty na wyżkach u wrót, konni objeżdżają co rano pola i zaciągają warty na okopanych i cierniem najeżonych wyżkach na polu. Inni zaś szykują się do przyszłej ekspedycji, a kobiety przyrządzają im suszone jedzenie, oporządzają bieliznę i opatrują konie i dobytek.

Łudl zwinniejszy, ruchliwszy, więcej otarty w świecie i dumniejszy swem nazwiskiem kozaka. A im droga więcej nachyla się ku góróm, tem lud zamieszkały na niej jest butniejszym i pewniejszym mocy swego ramienia, częściej próbując go w tańcach z góralami.

Pod względem wyznania nie ma też tu owego wstępu religijnego, jaki cechuje wnętrze państwa. Prawosławni razem występują z sekciarzami, nawet z Sobotnikami z Aleksandrowa, chociaż ci przy języku, obyczaju i przy biblji słowiańskiej, trzymają się wyznania możeszowego, przyjmują obrzezanie, święcą dnie sobotnie i główne święta żydowskie. Dopiero od roku 1838, to jest od

czasu powrotu cara Mikołaja z Gruzji, zrobiono z nich kozaków. Jest ich razem z kobietami i dziećmi około półtora tysiąca ludności.

Etap nasz długimi codziennymi marszami posuwał się od stаницy do stаницy. Przy srogich mrozach brak żywności najwięcej dokuczał i wprawiał w bezsilność. Był to rok powszechnego głodu na Kaukazie. Chociaż na ten czas dla przechodniów etapowych, rząd powiększył strawne (kormowyje), jednak z powodu braku zboża po stanicach często za kawałek chleba trzeba było wydać całodzienny fundusz. W miastach zaś, gdzie zwykle bywały dzienne lub dłuższe odpoczynki, zamiast pieniędzy dawano chleb lub suchary i ową znaną po świecie niešťczęśliwą krupę.

To też gdy sinawa zasłona lekkiej mgły usunęła się z przed oczu, gdy okazały się już dość z bliska wychylające się z wieńców chmur wierzchołki, przypatrzące się kurhanom i wzgórzom niższego rzędu, a przed niemi jeszcze ukazał się Georgiewsk, etap ucieszył się, a ta uciecha znaczyła nadzieję dostania chleba i polewki krupianej. Z radości i z upoważnienia oficera, komenderującego konwojem, rekruci taganrogscy zaśpiewali pieśń wojenną:

„Na szto było agarod gradit',
Za cziom było kapustu sadit'“.

I drugą na nutę:

„Jeszcze Polska nie zginęła“,
„Sławsia, sławsia Ruś świataja!“

Obie wielkiego ducha wojowniczego, a wystawiające bohaterskie czyny Paszkiewicza; obie depczące kości polskie, na których wzniesie się tron białego cara. Pieśni te z powodu bójek z żołnierzami Polakami, nieznośnycami urągania, w całym wojsku zostały zabronione.

Georgiewsk od r. 1777 był warownią, potem powiatowem, a nareszcie głównem miastem prowincji kaukaskiej. Dzisiaj jest dość porządnem, podług wyrażenia urzędowego zaetatowem miasteczkiem. Posiada dwie drewniane cerkwie prawosławne i jeden kościół ormiański, magazyn zboża, szpital i kilkanaście sklepów handlowych. Domy prawie wszystkie kryte są słomą.

Kwatery żołnierskie u mieszkańców Georgiewska nie były lepsze od tych, jakie poznaliśmy poprzednio w stanicach i siolach. Tu jak i wszędzie przyjmowano wojsko wcale niegościnnie, jako natrętów gromadami bezustannie przechodzących to w tę to w inną stronę i zalegających izby nawałami, a jeszcze żebrzących albo domagających się żywności. Przytem gospodarze bali się wszędzie żołnierzy zostających na kwaterze jako złodziei i rozpustników, bali się zostawiać samych w domu i śledzili ich kroki a nawet spojrzenia. Taka niepoczesa opinia spadała naturalnie i na nas skazańców, jako na ludzi po rekrutku przyodziających. Śmieszne często lecz i przykre spotykały nas z tego powodu zdarzenia. Nieraz przekupka, u której się kupowała dzienna prowizja, wytrząsała nam rękawy, czyśmy w nie czego nie schowali. Nieraz opuszczając wieś, na skargę gromady o jaką kradzież stawaliśmy razem z całym etapem do ogólnej rewizji.

Dowiedzieliśmy się o pobycie w Georgiewsku kilku familji urzędniczych, polskich. Sympatja i ciekawość wiodła nas w ich progi; obawa zaś o niegrzeczność i niegościnnność wstrzymała nas od tego zamiaru. Okazało się, że zrobiliśmy dobrze. Później jeden z moich czasowo tu przyjaciół, mający ułatwienie do zawiązania stosunków, niekorzystnie określił to wynaradawiające się kółko polskie, nad które przeniósł moskiewskie. Napisał on mi w jednym liście. „Wczoraj był pierwszy bal, jakie tu będą dane w tegorocznym karnawale i pierwszy raz

widziałem całe towarzystwo georgiewskie. Według zachwytu wschodniego, włożyłem palce podziwu w otwarte usta zdumienia, na tyle ładnych i tak bardzo ładnych dziewcząt i kobiet. Poznajomilem się pierwszej jeszcze z czterema domami, których nazwiska ciągnęły mnie do siebie. Jasińscy, Garczyńscy, Gruczeczcy, Rakowicze, czegoż chcesz? Biada, mój bracie, w tych czterech domach nie słyshałem ojczywego słowa i nie usłyszę go niezawodnie. Dziś byłem u Szaphinów, Wasilewów, Miekinów, i żałuję nawet, że z tego końca sobie znajomości nie zaczął. Spotkałem wszędzie gościnność i nieprzymuszone obejście. W Georgiewsku zupełnie brak młodzieży, zaledwie pięciu lub sześciu do ludzi podobnych chłopców kręci się między kilkunastu pięknej krwi dziewczętami.⁶

W bliższych lub dalszych promieniach Georgiewska wznoszą się wieś różnych narodowości, będące własnością obywateli ziemskich (pomieszczyków). Między obywatelami znajdują się Moskale, Małorusini, Ormianie i naczelnicy osad nogajskich i tatarskich. Z tych ostatnich potomek krymskich Girejów, Szan-Girej, pan na Stołypinie, wiosce o stu chatach, jest bardzo światłym człowiekiem. Przyjemnie go widzieć w ubiorze góralskim, z piękną elegancką brodą, za stołem obciążonym książkami z Zachodu.

Inni zajęci są przedewszystkiem dochodami, uważając ziemię i chłopów za środek do zysków. Z tego powodu między chłopami a panami wywiązywały się niesnaski, sprawy u gubernatora, wojskowe egzekucje lub przymusowa zgoda. Największem jednak z zajęć, jakie istniały z podobnych powodów, była w roku 1853 sprawa obywatela Katautarowa, która zakończyła się krwawą katastrofą.

Ów Katautarów, Ormianin, kupił w tych stronach wieś zaludnioną wychodźcami z Rosji. Rościł on prawa nie tylko do ziemi, ale i osiadłych chłopów chciał uwa-

żać za kupioną swą własność. Chłopi zaś uważali się za wolnych i za obowiązanych tylko do niektórych powinności za posiadane przez nich grunta. Sprawa ta, przybierając coraz groźniejszą postać, zrobiła z Kałautarowa i z chłopów, dwa walczące na drodze prawa obozy. Gubernator Zabołockij w wyroku administracyjno sądowym zatwierdzonym w Tyflisie, uznał za słuszne pretensje Kałautarowa i nakazał chłopom posłuszeństwo (pokornost') i odrabianie pańszczyzny. Tego wyroku chłopci nie uznali i nie wdając się w dalsze procesa, któreby się już musiały rozstrzygnąć w Petersburgu dalekim, postanowili bronić się uporem. Zabołockij ten upor nazwał buntem i wyprawił do wsi piechotę, kozaków i dwa działa. Chłopi wystąpili gromadnie, bezbronię, ale słuchać nie chcieli wezwania naczelnika siły zbrojnej do posłuszeństwa. Naczelnik więc, polegając na energicznym rozkazie gubernatora, kazał wytoczyć działa i sypać kartaczami. Około dwustu z nich położono trupem, lub okryto ranami. Pozostali od dzikiego wytopienia chłopci, musieli się oddać z żonami i dziećmi w poddaństwo Kałautarowa. Namiestnik Kaukazu ks. Woronców za ten mord, nazwany czynem energicznym, drukiem oddał publiczne pochwały przywódcy rzezi i rozporządzeniem gubernatora. Ze zmianą namiestnika chłopci udali się do przejeżdżającego na nową posadę generała Murawiewa Karskiego, który w obec toczącej się wojny wschodniej, nakazał nowe przeprowadzenie sprawy. Śledztwo podejrzewało, czy też wykryło przekupstwo wyższych urzędników, których Murawiew kazał wypędzić ze służby i za niedołęstwo wydalil z urzędowania generała Zabołockiego. Czy i jakie chłopci otrzymali wynagrodzenie klęsk swoich, wcale nie wiem. Między liniami stanic, obok siól obywatelskich i rządowych na stepach wolnych, wyrastają jeszcze co rok i przenośne jurty kałmuckie. Jurty te składają się z kilku-

nastu, z kilkudziesięciu albo i z więcej namiotów, w kształcie półkuli z otworem u góry, z grubego wojłoka zbitych. Namioty te, zwane kibitkami stoją obok siebie, w porządnym szeregu, a przy każdym są wbite pale z żelaznymi kółkami dla uwiązywania koni i stoi wóz na dwu wysokich kołach, nazywany arba albo nawet i kibitką. Każda jurta ma swego naczelnika, każdy gospodarz kibitki jest głową swojej rodziny. Życie patryarchalne, pasterskie, gościnne a ubogie, jest znamieniem koczowników. Otwarta przyroda, niescieśnione powietrze, niescieśnione niebo, przestwór lądowy tak im potrzebny jak chleb i woda. Naturę i ziemię mają według swoich pojęć za matkę, którą szanują i czczą, a której nie chcą wyzyskiwać i boją się ją wysilać pruciem jej łona. Unikają pługa, unikają wieczystych siedlisk; chcą jako czasowi pątnicy spędzić życie na prawdziwej wędrówce.

We wnętrzu, na środku namiotu pali się ogień, nad którym na drągach zawieszono kotły gotują z mlekiem kałmucki czaj, napój z suszonych stepowych ziół, bardzo lekki, posilny i zdrowy. Niekiedy, z boku ogniska, na rożenkach, opiekają się kawałki baraniny a nad tem wszystkim, wiszą wędzone polcie koniny. Jedna strona namiotu prawie do połowy zajęta siodłami, uprzężą, kołdrami, kożuchami, naczyniami i zwierciadłami. Kilka kutych butów leży przygotowanych do polowania na wilki i na zający. Dzieci zupełnie nagie, bawią się niemi albo wywracają kozły dokoła ognia.

Gdy gospodarz rozłoży tapczan na ziemi i zaprosi gościa siadać, gdy podstarzała niewiasta częstuje go mlekiem kobyłem, jedna z młodych dziewcząt sadowi się przed nim milcząca i omytemi palcami ściągając z rożenka upieczoną baraninę, naiwnie wkłada mu kąski w usta. Za gościnność gościnnością się płaci. Dzieci a nawet dziewczęta przyjmują podarunki, przyjmują i pieniądze na buty z cholewami, na czerwoną rogatą

czapeczkę lub na żupanik jaskrawy. Kożuchów nigdy im nie zabraknie, bo mają dużo owiec.

Wszystek lud kałmucki nosi jednaką odzież. Płeć pomiędzy niemi można jedynie odróżnić po gołej twarzy kobiety, lub po obrosłej brodzie mężczyzny. Dziewczyna nosi kilka splecionych warkoczy opuszczonych na plecy i na ramiona. Chłopcy i starzy chodzą z ogolonemi głowami.

Kwadratowe, czerwono-oliwkowe twarze z małemi zakłętymi w płaskie nosy oczami, niemiłe robią na obcych wrażenie, choćby to była najpierwsza piękność kałmucka. Wszelako nie należy przesądzać poczucia piękna... de gustibus non est disputandum... wiele z kozaków podobało sobie w kałmuczkach i pożeniło się z niemi.

Opuszczając Georgiewsk i jego okolice, podróżny na dalszej drodze spotyka coraz większe ożywienie. Czujność kozacka podwojona, a każdy przejezdny ściśle opatrywany i badany. Między stanicami po drodze nie ma już białych słupów, któreby służyły do orjentowania się górali; ale stoją coraz częstsze i coraz silniej wzmocnione wyżki. Oko kozaka stojącego na pokładzie spartym na czterech słupach, strzeże wszelkiego bezpieczeństwa. Kilku lub kilkunastu ludzi i tyleż koni osiodłanych jest zawsze gotowych do dania pomocy, lub do zrobienia alarmu. Opodal każdej wyżki sterczy słup okręcony wysmoloną słomą, która się zapala na znak trwogi.

Droga, stannice i wyżki zginają się na południe ku rzece Malce i w tem na linii najbardziej wysuniętem ku górom miejscu zbudowane było miasto Jekaterynograd, zamienione w r. 1822 na stanicę kozacką. Zachowuje się tam dotąd wymurowana przez Potemkina wielka brama tryumfalna na wjazd carowej Katarzyny II., a przy szpitalu istnieje dom kwarantanny od dżumy.

U mostu rzuconego przez Małkę łączą się dwie drogi: wojenno-gruzińska na południe i kiszlarska ku wschodowi. My z etapem poszliśmy po ostatniej, a przebywszy kilka znowu stanic, znaleźliśmy się w Mozdoku, który uwagę naszą dłużej zatrzymał.

Mozdok, będący dawniej jednym z uzbrojonych punktów na linii kaukazkiej, jest teraz miastem powiatowem, liczącem kilka tysięcy ludności, składającej się przeważnie z Ormian trudniących się wyrobem wina i handlem. Obecnie istnieje w nim kilka kościołów prawosławnych i Ormiano-gregorjańskich i jeden kościół katolicki.

Ten drewniany kościół katolicki zwraca na siebie uwagę z powodu swojej wyłącznej struktury, odbijającej w miniaturze kościół św. Piotra w Rzymie, już z powodu poczystego miejsca, jakie zajmuje między innymi kościołami wznosząc się między krzewami róż i stuletniami bukami na jedynym a wzniosłym pagórku. Każdy myślał, że kościół ten mogący swobodnie pomieścić kilkaset osób, jest domem modlitwy dość licznej parafji, gdy tymczasem parafją tę składa zaledwie trzydzieści kilka rodzin ormiańskich, za nadto ubogich, aby podobny budynek swoim kosztem podnieść mogli. Zastanawia to każdego, jak również i to moskiewskie uwzględnienie, ustępujące katolikom dominującego w mieście pagórka. Żywe jednak jeszcze podanie o tej budowli wyjaśnia nam tę zagadkę.

Jak tylko za Katarzyny II. ojcowie teraźniejszych parafjan przenieśli się w te strony, zaraz ukazał się pomiędzy nimi niejaki ojciec jezuita, utwierdzający gromadkę Ormian w wierze katolickiej. Za tym księdzem ukazał się drugi, a podobno trzeci i czwarty. Nie zawsze oni chodzili w sutannie, ale przyjąwszy odzienie tutejszych mieszkańców, przebywali pomiędzy nimi i puszczaali się w dalsze okolice do koczujących i osiadłych Muzułmanów i do se-

kciarzy moskiewskich. Wpływ swój i działalność rozprzestrzenili pomiędzy góralami i wielce pomagali włoskim kapucynom, których prace duchowne w górach i w Gruzji dość znaczne były. Za ich to wspólnem staraniem, podobnie jak w Astrachaniu i Tyflisie wyrósł ten kościół na wyniosłym pagórku.

Moskale zmiarkowawszy powodzenie Jezuitów na stepach i w górach, ścieśnili ich działalność różnemi formami administracyjnymi, zabronili im wiązania się w kongregacje a natomiast utworzyli w Mozdoku w celach propagacyjnych prawosławną komisją duchowną, która głównie zajęta stosunkami z Osetynami, przeważnie chrześcijanami, przygotowywała Moskwie ułatwienie przejścia przez góry do Gruzji.

Jezuici jednak nie ustawali w swej propagandzie religijnej, i widocznie w Mozdoku zamierzali przygarnąć do kościoła katolickiego lud sekciarski, zbiegły lub wysłany z gubernji moskiewskich. Wszystkie kościelne obrazy w ołtarzach i na chorogwiach, malodwidła ścian i upiększenia wnętrza kopuły wykonane są podług wzorów bizantyńskich, wszystkie zaś napisy są w języku słowiańskim. Prace ich wszelako były stanowczo zerwane za Aleksandra I., gdy jezuitów ostatecznie zniesiono w Zabrzanych prowincjach polskich i nadkaspjskich. Z jezuitami wydalono i kapucynów, których rząd uważał także za przebranych jezuitów.

Po jezuitach polscy kapelani wojskowi pełnili tu obowiązki proboszczów, a niektórzy Ormianie wyczywszy się pisma polskiego, w czasie nabożeństwa śpiewali dotąd wraz z Polakami pieśni polskie, a obok tego łacińskie i ormiańskie. Należący do chóru kościelnego i starcy siadają w ławkach, inni zaś wszyscy stoją w czasie nabożeństwa. Kobiety, okryte czadrami białemi, sadowią się na podłodze pokrytej kobiercami.

Ostatnim za mego pobytu tutejszym kapłanem był bernardyn ks. Hygin Antonowicz, kapłan wielkiej prostoty ducha i niezwykłego wpływu na ludzi. Przyjęty serdecznie przez urzędników i oficerów, a przez żołnierzy powitany z takim zapalem rzewnego uczucia, jakie tylko może wywołać niedola, oddalenie od stron rodzinnych i ciężka poniewierka, ks. Hygin od razu przeczuł miejscowe duchowe potrzeby rozrzuconej swej parafji. Miał bowiem religijne obowiązki nie tylko dla garstki Ormian i urzędniczych rodzin w Georgiewsku, ale i dla dwóch tysięcy z górą katolików, zostających na przodowych linjach w kabardyńskim i w kiuryńskim pułku, oraz w kilku odległych od siebie linjowych bataljonach.

Mozdok był środkowym punktem tych odległości, ale był na uboczu od pułków, gdzie najliczniej znajdowali się Polacy. Najkorzystniej byłoby aby ta kapelanja umieszczoną była w ich sztab-kwaterach, w Andrejewskiej albo w Groźnej. Istniejący jednak od dawna kościół w Mozdoku był powodem głównego w nim przebywania kapłanów, corocznie raz tylko w czasie wielkiego postu mogących objeżdżać parafją dla spowiedzi.

Gdy ksiądz Hygin ukazał się między oczekującymi go w fortach żołnierzami, przeświadczał się zawsze o wielkiem ich przywiązaniu do siebie. Całowali jego ręce, nogi i habit, którego nigdy nie zrzucal z siebie, chociaż wszystkim zakonnikom na kapelanjach wolno było nosić suknie świeckie i chociaż wszyscy z tego prawa korzystali.

— A ojcie kochany, wołali żołnierze, Bóg cię z nieba spuszcza dla nas opuszczonych.

— O dziatki, odpowiedział ks. Hygin, a toć że was Bóg pocieszy, ma on więcej niż rozdał. Oj dziatki, dziatki !...

I lzy się bernachowi zakręcały w oczach. Tej właśnie lzy wyglądał dla siebie każdy żołnierz, a pocieszony nią, podnosił się moralnie. Radował się, że kapłan zapłakał nad jego niedolą... więc miał nadzieję, że i Bóg uznaje go za ofiarę, czuł, że choć zgięty siłą fizyczną, powinien moralnie walczyć z otaczającymi go wszędzie przeciwnościami.

Ksiądz Hygin po swojemu wyłożywszy jeszcze żołnierzom naukę chrześcijańską, popartą przykładami z życia dawnych Polaków, wywiedziawszy się jeszcze o materialnych potrzebach ludzi i wsparłszy prawdziwą biedę, wywiedziawszy się o waśniach i zakończywszy je zgodą, udawał się w dalszą drogę do następnej forteczki na nogajskiej lub tatarskiej arbie i wszędzie nauczał, pomagał i łączył.

Od przyjazdu swego na Kakaz, powziął on postanowienie wyrestaurowania kościoła, odświeżenia ołtarzy i chorągwi. W tym celu, co mu zostało grosza od czynów dobroczynności, wszystko składał, aby tylko kościół odnowić. Chociaż każdy z kapłanów miał utrzymanie bardzo wystarczające na wygodne życie, bo około 400 a z dochodami kościelnymi i do 800 rubli sr., jednak ks. Hygin żył tak nędznie, że ostatni szeregowiec nie mógł mu zazdrościć dostatku. Oszczędzał ciągle, mieszkał w podpartej drągami plebanji o dwóch izbach. W pierwszej z nich mieścił się stary inwalida Polak, który pełnił obowiązki dziadka kościelnego, zakrystyana i organisty; w drugiej zaś mieszkał on sam. Izba inwalidy była uboga, lecz druga ks. Hygina jeszcze uboższa. W niej niektóre szyby papierowe w oknie zastępowały szklane. Zbita z szerokich desek ława była jego łóżem. Sienniki i poduszka wypchane słomą, nakryte grubem bernardyńskim sukniem, były jego pościelą. Na czterech słupkach przybita gwoździami deska, to był znów stół. Trzy deszczułki u ściany uwiązane szurkiem, zastępowały

szafę biblioteczną. Stojący w jednym kącie przy drzwiach stołeczek podłużny zajęty był konewką, garnuszkiem i miseczką do umywania, stojący zaś w drugim kącie samowarek i parę szklanek z cynowemi łyżeczkami stanowiły już niejako zbytek potrzeb ks. Hygina. Prawda jeszcze ks. Hygin miał skrzyneczkę z nad Wilji na kłódkę zamykaną.

Choć myślał on ciągle o kościele, pozostawiając plebanją i sprzęty domowe na uboczu swych myśli jednak oszczędzone pieniądze rozchodziły mu się dla potrzebujących. Postanowił tedy zrobić objazd parafjalny i w jesieni 1856 r. wybrał się na kwestę. Kwesta na Kaukazie źle iść nie może, czasem i prosty żołnierz ofiaruje rubla. Zbierał więc ks. Hygin fundusz, a w czasie jego podróży, trafiło się mu ciekawe zdarzenie.

W okolicy Groźnej kilkunastu Czeczeńców bardzo mu się przypatrywało, zaciekawieni jego ubraniem, na pół ogoloną głową i jego czapicą białą, którą się niby pysznił. Kto on jest taki, myśleli sobie, ale gdy nie wymyślić nie mogli, zbliżyli się i zapytali go po moskiewsku:

— Kto ty jesteś i jakiej narodowości?

— A zgadnijcie, rzekł ks. Hygin.

— Trudno wiedzieć. Nie jesteś ani Rus, ani Czeczeniec, ani Kałmuk, ani Nogaj, ani Ormianin, ani Gruzin. Nie wiemy, kto ty jesteś.

— A znacie Polaków?

— Znamy.

— Otóż ja jestem Polakiem.

Zaśmiali się Czeczeńcy, a jeden z nich znowu przemówił:

— Nie oszukasz nas, bo my znamy Polaków; oni nie chodzą w takim ubiorze.

— Bo ja jestem księdzem.

— I księdza polskiego widzieliśmy kilka lat temu, z Mozdoka, a ubrany jak wszyscy tylko w długim, czarnym chałacie.

— A to był ksiądz zwyczajny, a ja jestem zakonnik, człek poświęcony Bogu, wyrzekłem się świata i czarnych chałatów.

— A więc ty jesteś derwisz Polski?

— Jestem derwisz z Polski i jeżdżę tutaj, żeby Polacy o Bogu nie zapominali i żeby się uczciwie zachowywali.

Czeczeńcy spojrzeli po sobie i wedle muzułmańskiego obyczaju, złożyli zaraz pieniądze i ofiarowali je księdzu.

— A po co to dajecie? rzekł ks. Hygin.

Wszak ty mówisz, że jesteś derwiszem? odrzekł jeden z nich; więc złożyliśmy ci pieniądze.

— A to dobrze, rzekł ksiądz, Bóg zapłać. Pieniądze te zdadzą się na kościół polski w Mozdoku, a o wasze dobro odprawi się nabożeństwo.

Zbierał ks. Hygin pieniądze, ale nie wypadło mu odnowić kościoła. Drogi odbywał niewygodne, wśród słoty zbyt się narażał. Namawiano go aby nie jeździł na trzęsących arbach, przekładał mu to i ksiądz Pruszkowski z Szury ale wedle przyzwyczajenia — gdy co miał z namysłem — wyjął tabakierkę z rękawa, zażył tabaki, otarł nos chustką w kraty i odrzekł: „Gdy mię arba bardzo trzęsie, to złażę z niej i idę piechotą.“ Istotnie zaś nie chciał sobie bryczki kupować ani pożyczać u nikogo. Namawiano go aby nosił cieplejszą odzież, aby posilniejsze jadło miewał. Uśmiechał się na to i odpowiadał: „Inni i tego nie mają, co ja mam.“ Takie wyrzeczenie się siebie samego dla dobra braci przyprawiło go o chorobę z przeziębienia i o śmierć.

Żaden podobno z księży kaukazkich nie zasłużył sobie na taki szacunek i miłość, jaką on posiadał, a śmierć jego uważali miejscowi Polacy za klęskę swoją.

Książę Hygin pochowany w Mozdoku. Cześć jego pamięci.

Wracając się do przygód mojej rekrutkiej wędrówki, Mozdok był punktem, w którym rozstałem się z Siecińskim i Maciejowskim, przeznaczonymi do Andrejewskiej i do Groźnej i poszedłem już sam dalej... w świat ciemnej przyszłości.

Kozacy około Mozdoka w mekeńskiej, naurskiej, iszczorskiej i kaluczajewskiej stannicy od wieku prawie, bo od roku 1769, osiedleni byli pod nazwą mozdokskiego kozackiego pułku. Odróżniają się w domowych zwyczajach swoich od poznanych już kozaków, lecz ta różnica jest w porównaniu z osiadłymi za nimi ku Kizlarowi grebieńskimi kozakami. Kozacy ci starowiercy, będący tu przed półtora wiekiem zawiązkiem ustroju wojskowego osiedleńców moskiewskich, przez swoje związki rodzinne z Tatarakami, z Nogajkami, z Kałmuczkami a głównie z Czeczeńcami tak się wyróżnili w obyczajach i zwyczajach, że nie prawie nie mają w sobie moskiewskiego prócz języka pomieszanego z wielu wyrazami tatarskimi i czeczeńskimi a śpiewającym akcentem oddanego.

Aby zatrzeć z tych starowierców odrębną cechę, rząd kolonizował przy nich kozaków prawosławnego wyznania i włączył do jednych pułków. Te zamiary źle usposabiały starowierców dla rządu i były powodem częstych zajęć z narzuconą im prawosławną starszyzną. Rząd zmuszony był nakoniec do neutralizowania tych stosunków i poruczał wyższe komendy Polakom i Niemcom, a robił to ze względu na czarnomorskich kozaków, potomków Zaporozców, którzy niechętnie patrzyli na czystej krwi Moskala.

W celu zniechęcenia i zohydzenia odszczepieńców (rozkołu) rząd dawniej tolerował wszelkie przykrości wyrządzone starowiercom przez szeregowców regularnego wojska, rozlokowanych u nich na kwaterach. Skargi kozaków nie zjednywały żadnego uwzględnienia, a szczególnie skargi o palenie w izbach tytoniu, którym się starowiercy z religijnego zapatrywania bardzo brzydzą, zdejmowali obrazy ze ścian a po usunięciu kwaterunku omywali ławki i ściany i okadzali je święconem zielem.

Gdy mnie w Naurze prowadzono do podobnego starowierca na kwaterę, powiedział mi jeden z zapędzonych tam wiarusów kiuryńskiego pułku.

— A nie pal u nich fajki, bo całą łaskę stracisz.

Usłuchałem tej rady nawet z konieczności, bo w moim rekrutkim kapszuku już ani proszka tytoniu nie było. Nie paliłem więc fajki. Lecz naraziłem się wcale z innego powodu.

Odpuściwszy na ławie po długim marszu, chcąc ugasić pragnienie, zaczerpnąłem wody z konewki miseczką drewnianą, jaką zwykle piją na linji. Nie doniosłem jeszcze napoju do ust, gdy chłopiec siedzący na piecu krzyknął:

— Nie pij!

W jednej chwili podbiegła kozaczka, wyszarpnęła mi z rąk miseczkę i wylawszy wodę, w przerażeniu opuściła ręce.

Siedzący u stołu kozacy, częstujący się winem własnego wyrobu, przerwali rozprawy swoje o niesłusznym rozdawaniu nagród przez dowódców i wpatrywali się w gospodynię, która przyszedłszy do przytomności wyrzekła:

— To szczęście, że malec zobaczył, bo byłby się napił!...

Zdziwiony tym przestrachem wszystkich, wyrzekłem:

— Ja chcę się napić wody.

— Trzeba ci było powiedzieć, ozwał się gospodarz, a dalibyśmy ci inne naczynie. Sam nie dotykaj misek. Może się napijesz wina?

Podziękowałem za wino i z góry przeprosiłem za moją obrazę.

— Gdzie się podziła *pohana* czaszka? zapytała kozaczka.

Gdy chłopiec zszedł z pieca i szukał owej pohanej czaszki, ja z nowym zdumieniem czekałem, co mi to za naczynie dadzą. Jednak zobaczyłem miseczkę zwykłą, którą gospodyni splukała i swoją miseczką nalawszy w nią wody, podała mi do picia.

Domyśliłem się dopiero o przesądzie wszędzie dawniej praktykowanym między sekciarzami chrześcijańskimi, którzy z jednego naczynia ani jeść ani pić z różnowiercami nie chcieli. Aby jednak poznać cechę ich pojęcia w tym względzie, zapytałem kozaków o wyjaśnienie ich postępu.

— A widzisz, rzekł gospodarz, myśmy starowiercy i tylko ze starowiercami jemy i pijemy, a dla żołnierzy i przechodniów trzymamy osobne naczynia, które nazywają się pohanami (paskudnymi albo pogańskimi może).

— Ale dla czego?

— Bo tak trzeba.

Innego wyjaśnienia dać mi nie potrafili, czy też nie chcieli.

Szczególniejsza rzecz, że starowierka, wychodząca za mąż za prawosławnego i mająca z nim dzieci, za nic nie będzie z nim jadła ani piła z jednego naczynia. Takowy dziwny rozdział rodzeński niejednokrotnie spostrzegać mi się dawał.

Nauraska stannica a głównie czerwłońska stare gniazdo grebieńców, sławią się najpiękniejszymi kobietami na linji kaukazkiej. Dla przypatrzenia się dzielnemu kozactwu, najlepiej zaprawionemu do harców z góralami, oraz dla ich siostrzyc, nazywanych mamukami, nie jeden słysząc o nich dziwy, zbacza w te strony, nie wyłączając najwyższych dygnitarzy państwa.

Jak każdy grebieniec jest rosły, marsowaty, lekki, zwinny, tak każda grebienka jest delikatną, melancholijną i tajemniczą. Po białem ciele, po czarnych oczach, po długich brwiach i rzęsach znać w niej przerodzenie się wschodnie. Po rozlanej na obliczu smętności znać dumy i pełne przygód opowiadania nadtereckie, które je do snu w dziecięcych latach kołysały.

Zwyczajny ich ubiór jest bardzo malowniczy, jakoby wzięty z wzoru uczt rzymskich. Czysta, biała, faldzista a długa podciągnięta za spinający ją pasek koszula jest w domu i przy pracy polnej całą jej odzieżą. Idąc w gości i do domu modlitwy, stroją się w bardzo zgrabne żupaniki czeczeńskiego kroju i okręcają głowy jedwabnemi chustkami.

W dnie świąteczne w poobiednich chwilach dziewczę zbierają się po ulicach w koło i ze śpiewami obchodzą chorowody. Zaraz z wiosną, gdy trawa zazielenieje i gdy drzewa się rozwiną, chorowody przenoszą się do przyległego lasu i ciągną się, przeplatane tańcami, do późnego zmroku. Młodzież towarzysząca tym zabawom, słysząc tęskne, rzewne śpiewy dziewcząt, wśród szmeru liści, brzęczenia pszczoł i much leśnych, i widząc je w białych jak śnieg, niekiedy w przeźroczystych koszulach wśród zieloności lasu, nad faldzistemi falami Tereku, rozigrana nieraz wyobraźnią, wpada w czarujący ją chór i rozrywa koło. Spłoszone dziewczęta uciekają gromadkami do wsi, ale czasem jedna, dwie, trzy, wpadną

w ręce rozmarzonych junaków i muszą im przyrzec swoją miłość.

Jak grebienki są dbałe o czystość ciała i odzienia, tak również troszczą się o chędogość mieszkań. Podłogi i sprzęty, ściany i obrazy omywają i oczyszczają przynajmniej co tydzień. Co do czystości obyczajów, wystawione będąc na najpotężniejsze pokusy, mają zawsze oparcie w swem starowierstwie. Ale dziwne pojęcie o niewinności rozgrzesza je także. Poddają się łatwo gwałtowi, składając z siebie winę, co się nazywa *swalnyj grzech*.

Domy grebieńców stawiane na wysokich przyciosach z krużgankami. Wewnątrz dwie izby przedzielone sienią, w której pod jedną ścianą po góralsku pełno leży materaców i poduszek ułożonych jedno nad drugim. Wedle potrzeby pościel wnosi się na noc do izby gospodarskiej lub gościnnej. Izby oprócz mnóstwa obrazów przyściennych, prycz, ławek i stołów nic więcej nie mają. W braku przejezdnych gości, izba gościnna przeznaczona na kuchnię lub bywa zajmowana przez część rodziny.

Cerkwi nie wolno im było stawiać, nabożeństwo więc odprawiano w skromnych drewnianych budynkach bez wierzyc i dzwonów, do których niezmiernie tęskniono. Popów wybierają z ludzi pismiennych i znających się na obrzędach cerkiewnych. Nie mając seminarjów, przymują za duże wynagrodzenie seminarzystów prawosławnych, lub popów rozstrygów, to jest odsądzonych z duchowieństwa prawosławnego.

W braku ludzi z potrzebnymi kwalifikacjami wybierają między sobą lektorów, ale obrządki przez nich spełniane mają czasową wagę. Lektorzy chrzczą tylko z wody i błogosławią nowożeńców, ale dopiero rzeczywisty pop czyni chrzest i daje ślub według przepisów sekty.

W czasie przedłużającej się mojej wędrówki, — już w miesiącu styczniu 1845, — z powodu silnego upierania się grebieńców przy starowierstwie wynikło w Czerwlonnej dramatyczno-tragiczne zajście, które o mało nie wywołało wielkiej burzy dla Moskali.

Półkowy dowódzca grebieńców działał już dość oddawna w widokach rządu, by zniewolić swoich podkomendnych do prawosławia. Namawiał ich do golenia brody, kazał uczyć dzieci śpiewu cerkiewnego, stawiał cerkiew prawosławną w stannicy; aby zaś ten czyn zamaskować pozorni, kolonizował między niemi prawosławnych. Szemrania na to były tylko ciche i nieśmiałe, bo występować jawnie starowiercy nie odważali się, że ich było wszystkiego kilka tysięcy w kilku stannicach. Przecież ich cicha protestacja podrażniła ambicją dowódcy i popchnęła go do stanowczego kroku.

Uzasadniając się na pozwoleniu władzy, kazał w domu schwytać popa jako niby podejrzanego o zbiegostwo z Syberji i odesłać go przez Kiźlar do Urala. Do czynu tego przywołani zostali kozacy dońscy, którzy sprawnie urządzili owo porwanie i o świcie wywieźli popa już ze stannicy, zakrytego w kubitce. Tymczasem grebieńcy, u wrót stannicznych wartujący, domyślając się o więźniu i przekonawszy się, że go w domu nie ma, zrobili alarm. Zanim dowódzca dowiedział się o zręcznem pochyceniu ofiary, już połowa Czerwlońców była na koniach i puściła się za Dońcami. Konie co lepsze wysuwały się naprzód, inne je dościgały, pianą się oblewając. Krew wrzała w obrońcach i w zapale rzuciła się na rzeź. Trzeba jednak było godziny czasu, nim do spieszących się Dońców dotarli. Kilka gwintówek dało ognia; reszta zaś pogoni nie tracąc czasu, z dobytymi pałaszami rzuciła się na przeciwników. Dońcy migiem rozprószyli się po stepie i zostawili popa z kubitką na drodze.

Wprowadzenie popa do stannicy stało się śród dumy zwycięzców i śród oburzenia ludności na władze urzędowe.

Pułkownik zarządził gotowości regularnego wojska, poprzednio umyślnie tu sprowadzonego. Dwie kompanie kiuryńskiego pułku i artylerja wystąpiły; przechodzącej komendzie etapowej również wydano broń. — Kobiety, uzbrojone w pistolety i w kindżały, otoczyły dom popa i zagroziły śmiercią każdemu z obcych, ktoby się tylko zbliżył. Grebieńcy schodzili się po domach i naradzali się; a im było bliżej ku schyłkowi dnia, tem więcej oburzenie rosło. Pułkowy adjutant otrzymał w ramie cięcie kindżała; kapitan zaś piechotny, którego w zmroku wzięto za pułkownika, postrzelony został w rękę.

W nocy warta kobieca zamioną była przez męską. Kobiety jednak nie strudziły się, biegały z domu do domu, a zachęcały do oporu. Moja gospodni, zapalona starowierka, mówiła do swoich synów: — Niech wam lepiej głowy pospadają, niż macie pozwolić sobie brody zgolić.

Do mnie zaś jako do Polaka mając zaufanie i propagując mię dla wrzącej sprawy, otwarcie wyrzekła:

Ty nie ruskij trzymaj się nas, to lepiej wyjdiesz jak z temi bezbożnikami.

Czeczeniec z za Tereku, będący u niej w gościnie, namawiał mnie jednocześnie, abym przeszedł na stronę górali i obiecywał mnie przeprowadzić.

Radowała mnie ta zawierucha, ale więcej ucieszony byłem wiadomością, że Grebieńcy uradzili udać się pod opiekę Szamila i zażądali jego pomocy do przesiedlenia się z rodzinami i z dobytkiem w góry. Wiadomo, że Szamil protegował odszczepieńców moskiewskich, wybudował im cerkiew w Dargo, o potem nową w Szubucie. Oczekiwano więc hufców czeczeńskich. Pułkownik też

dobrze poinformowany o tych zabiegach czerwońców, został wzmocniony przez nowe wojska, które zajęły i sąsiednie wsie starowierców.

Po trzech dniach trwoga przeszła. Odważono się nawet wyprawić etap pod silną eskortą do szczedrińskiej stannicy. Lecz zaledwośmy tam stanęli, dobosze uderzyli na trwogę. Wojsko i kozacy wystąpili w pole, nam zaś kazano wrót pilnować. Starcia krótko trwały i ograniczyły się na kilkunastu wystrzałach.

Na drugi dzień, w drodze ku Kiżlarowi, dowiedziałem się, że jednocześnie taki sam manewr odbył się ku Naurowi, a głównie pod Czerwlonną. Ale czeczeńcy zobaczywszy, że stannice są zasłonięte regularnem wojskiem i artylerją, i że starowiercy nie dają znaku walki z Moskalami, cofnęli się bez boju.

Tak się tylko zakończyła ta katastrofa, groźne rozmiary przybierająca. Gdyby nie obecność piechoty, artylerji i dońskich kozaków w przeważnej sile, a kilka tysięcy bitnych starowierców, oddanych góralom, popsułoby już i tak nadwężone szyki Moskali.

Różnie, ze stanowiska swego widzenia, rozpowiadali żołnierze o tym wypadku. Jeszcze bardziej wzrosły te opowiadania i przybrały formy dziwolężne, gdyśmy stanęli na odpoczynku marszowym w reducie kozackiej i gdyśmy zastali tam etap w przeciwną stronę idący.

Zamyślony o niepowodzeniu starowierców i zziębnięty od niezwykłego w tych stronach mrozu, zatuliłem się w płaszcz i dla zasłony od wiatru, siadłem pod okopem splecionym cierniem. Wydostałem z torby kawałek chleba, czy też garść sucharów, które za smakiem zajadałem. O parę sążni przedemną paliło się ognisko, przy którym ogrzewał się nudzący się oficer, a stary żołnierz opiekął mu kureczaka. Oficer ten skinął na mnie i gdym stanął u ognia, zapytał mnie o wypadkach czerwońskich. Opowiedziałem rzecz trochę

niezrozumiale, a więc zaczął wypytywać jak, co, z kąd i dokąd idę? Dowiedział się, że jestem zesłany, a wnioskując, że kiedyś się wdałem w politykę, to powinienem być szlachcicem, więc pozwolił mi ogrzać się u ogniska, a potem zaprosił mnie do kurczęcia.

Sługa jego był Polakiem, starym wiarusem z r. 1831, który gniewnym okiem patrzył na mnie, a kładąc bułkę i podając mi widelec i nóż, ciągle mruczał pod nosem. Zauważywszy też, że się nie dobrze wyrażałem po moskiewsku, służył mi za tłumacza i dziwnie mnie odrekomendował oficerowi.

— On jest akademik, wasze błahorodie. Oni nam biedy narobili i ciągle gotują biedę ludziom.

Zmarkotniałem taką ujemną usłużnością rodaka, z goryczą przemówilem.

— A jakąż ci biedę zgotowali akademicy?

— Jak to jaką? odpowiedział. Ja i całe tysiące cierpimy, pędzą ciągle rekrutów na Kaukaz, a tu kto przyjdzie, bywaj zdrow, już nie wróci do domu chyba tyśiączny.

— Mój ziomku, odrzekłem łagodnie, przecież to nie wina akademików, dla czego napadasz na nich? Gdyby tak było, jak oni chcieli, pewniebyśmy się obadwaj u tego ognia nie spotkali.

— A któż im ma za złe, rzekł wiarus. Ja wielu akademików znałem, poczciwi chudzięta. Ale czego się dorabiacie? Ładnie to nam teraz w tym burem ubraniu. Czego to się porywać z motyką na słońce. Tylko was pędzą, a nas starych jeszcze dłużej trzymać będą.

Mówiąc to w zapomnieniu, że obok siedzi jego pan, wydobył bułki z jego podróznego pudła, przekrawał na dwie, smarował masłem, a potem owinąwszy je w papier wraz z kawałkiem kurczęcia wpychał w moją torbę.

Lzy mu świeciły w oczach, a westchnienia wydobywały się z piersi wezbranej. Poczciwy wiarus nie umiał sobie wytłumaczyć ani powstania, do którego należał, ani tych bitew, w których walczył, nie umiał ocenić ich znaczenia. Ale jak sercem służył niegdyś ojczyźnie, tak teraz w mojej osobie sercem podejmował akademików. Wypytywał o Polskę, o Warszawę, o cytadelę, której się bał bardzo, aby z czasem nie zburzyła miasta.

Zabębiono. Stary mnie pożegnał krzyżem na drogę. Rozeszliśmy się i więcej już nie widzieliśmy się nigdy.

W takim duchu rozmawiali nie raz ze mną i inne jeszcze wiarusy. Powszechnie nie mieli oni pojęcia o celu i przejściach powstania i w ogóle wszyscy żalowali, że ks. Konstantego nie zatrzymano i nie ogłoszono królem polskim. Nadziei w byt Polski zupełnie nie stracili, ale pojęcie ich nie wystarczało na myśl, żeby Polska sama przez się mogła walczyć z Moskwą.

Pod wrażeniem różnych zdarzeń i rozmów z wiarusami, szedłem z etapem drogą po nad Terekiem. Okolica już zupełnie zmieniła swój charakter. Oko coraz więcej napotyka drzew, krzewów, lasów i szuwarów, a góry tak bliskie w Mozdoku, coraz się w mgły usuwają, coraz bardziej nikną na prawo. Ze stanic jedna szelkowodzka zwraca na siebie uwagę, z powodu Ormian mussem zapisanych do kozaków, ludzi dotąd oddających się wyłącznie gospodarstwu domowemu, winnicom i jedwabnictwu. Przez zbudowanie szelkowodzkiego obronnego mostu na Tereku, urządzenie szpitala, magazynu i postawienie załogi, stannica ta od lat kilkunastu coraz więcej wzrasta w ludność i wygląda na miasteczko.

Kiżlar datuje swoje istnienie od półtora wieku, wznosi się na jednej z odnóg rozlewającego się Tereku na niskim piaszczystym gruncie. Dla zabezpieczenia miasta od powodzi, biją się nadbrzeżne tamy i sypią się

groble. Dla uniknięcia zaś spustoszenia, jakiego doznało to miasto w wojnach z góralami w r. 1725 i w r. 1830, miejscową warownią wzmocniono.

Chociaż Szelkowodsk przez budowę stałego mostu i przez otwarcie nowej drogi ku Dagestanowi, odebrał Kiżlarowi znaczenie poprzednie, jednak miasto to mieszcząc w sobie dykasterje powiatowe, garnizon wojska i znaczny handel wina wyrabianego na miejscu, powoli wzrasta w ludność i upiększa się ładnymi gmachami. Ludność kilkunastotysięczna, składa się z Ormian, Gruzynów i Tatarów (Turkomanów). Kościołów ładnych wznosi się kilka i kilka obok nich meczetów.

W jesieni i na wiosnę przybywa tu rok rocznie po kilka tysięcy górali z Dagestanu dla zarobku w tysiącu sadach, winnicach i na fabrykach jedwabnych. Opowiadają jakoby Kazi-Mutta i Szamil, hetmani ostatniej wojny góralskiej, zarabiali sobie niegdyś w Kiżlarze na chleb powszedni. Niezbijając tego twierdzenia, można jednak utrzymywać, że ci dwaj wodzowie, przed wybuchnięciem wojny, chyba dla rozpoznania położenia Kiżlara a niepoznaki o sobie, mogli bardzo krótki czas poświęcić się dziennemu zarobkowi. Mieli oni utrzymanie stałe i pewne, a zajęciem ich było dążenie do wiedzy.

W załodze miejscowej, w r. 1845 bardzo wielu liczyło się Polaków, między którymi znalazło się sporo i grochowskich wiarusów. Dowiedziawszy się o mojem przybyciu przez Żebrowskiego, który wówczas pełnił obowiązki pisarza komendanckiej kancelarji, zgłaszali się do mnie, wywiadując się o moim i towarzyszków moich losie, o położeniu kraju i o nadziejach.

Z powodu, że dalszy pochód mój do Dagestanu, wstrzymany został na całe dwa tygodnie, to jest aż do czasu wyjścia z Kiżlara konwoju wojskowego, czyli tak zwanej okazji, więc dostatecznie mogłem się nagadać z wiarusami i udzielić im mnóstwa wiadomości, których

potrzebowali. W tych opowiadaniach, czegoż się nie poruszało z życia Polski? Cytadela warszawska, wysyłki emigrantów, rekrutacje, wyprawa Zawiszy, śmierć Konarskiego, były tłem naszej gawędy politycznej. Przystępne dla każdego, a tkwiące mi w pamięci ustępy poetyczne Mickiewicza, Bohdana Zaleskiego i piosnki innych wieszczów, a szczególnie pieśni Janusza, były ustną lekturą naszą. Opowieści o mojem rodzeństwie i o znajomych, wyświecały stronę zwyczajową i obyczajową narodu.

Moje opowiadanie wywoływało inne któregoś z wiarusów, albo młodego Żebrowskiego. Słuchaliśmy jeden drugiego, wdychaliśmy do lepszej doli narodu, ożywiając się nadzieją.

Serdeczność gdy szczerze opanuje ludzi, musi się ujawnić i zewnątrz. Nie dość więc było wiarusom, że okazywali mi słowem swoją życzliwość i że przymawiali się o długą pamięć, ale widząc mnie w tak przykrych drodze bez obuwia prawie, bez grosza, a osłabionego z ogłodzenia i jeszcze ze znakami na ciele od kajdan, nie żalowali poczęstunku i swej pomocy materialnej. Jeden z podoficerów przy aresztanckiej rocie, co doba na cały dzień wychodzącej do robót, wziął mnie do swego kąta ciepłego na mieszkanie. Inny podjął się wyporządzić mi pozwiązywane sznurkami buty, inny dał skórę na to; inny na czas reperacji użył swoich butów; inny znów mający przystęp do kotłów i do ognia, pożyczył mi koszuli i wyręczając mnie zajął się wypraniem moich koszul. Słowem byłem po rodzeńsku przyjęty i hojnie jak na wspólną biedę podejmowany.

Po kilku dniach, gdy etapowych żołnierzy zapędzono do różnych robót około koszar i gospodarstwa, mnie Żebrowski wyjednał zajęcie piśmienne, kazano mi bowiem prowadzić tylko listę przechodzącej komendy

i utrzymywać rejestra rozdawanego prowiantu. Dozorujący żywnością etapową niepiśmienny podoficer, którego wyręczałem we wspomnianej robocie, udzielił mi gęstszej krupy, a czasem i dodał kawałek mięsa. A gdy mu wiarusi powiedzieli, że ja nie jestem zwyczajny rekrut, przypuścił mnie nawet do swego stołu i — opowiadał wtedy, że i on nie jest zwyczajnym podoficerem, ale że jest jednodworzec ze smoleńskiego, a więc że kiedyś jego przodkowie byli także polską szlachtą.

We dwa lata po moim pobycie w Kizlarze usłyszałem rzecz okropną, ale potwierdzoną w rozkazie korpusowym. Żebrowski został zaćwiczony różgami przez komendanta! Nie znam powodu tego barbarzyństwa, ale musiała to być jedna z tych namiętnych pasji do bicia, jakie się praktykowały w wojsku moskiewskim. Opowiadano, że skazany na różgi Żebrowski nie chciał się poddać rozkazowi komendanta, tłumacząc się mu, iż jest szlachcicem, chociaż jeszcze nie wylegitymowanym.

Komendant jeszcze bardziej rozgniewany tem tłumaczeniem się zawołał:

— Wszyscy wy jesteście szlachta, jak was bić potrzeba. Dopóki twoja legitymacja nie nadejdzie, ja cię co dzień będę ćwiczył, dopóki ci nie wypędzę buntowniczego ducha.

A gdy Żebrowski znowu nie chciał przystać na bicie, komendant krzyknął na żołnierzy:

— Bierzcie go, sukiny syny, a mocno go duście.

Żołnierze powalili broniącego się Żebrowskiego na ceglaną posadzkę, a głowę i piersi tak kolanami stłoczyli, że krew puściła mu się ustami. Bity prętami nazywanymi różgami, omdlewał parę razy, ale wodą oblewany przychodził do przytomności. Nareszcie gdy trzeci raz omdlał, kazał go komendant otrzeźwić i puścić. Zbity Żebrowski nie mógł się ruszyć z miejsca i odnie-

siony został do szpitala. Tam pomimo najlepszego starania lekarzy umarł w cierpieniach.

Główny doktor szpitala, Polak, wziął do serca tę sprawę i ze stanowiska swego urzędowego, przedstawił raport o tym wypadku. Książ Woronów oddał komendanta pod sąd i przedstawił go carowi do degradacji i do przeznaczenia do robót aresztańskich. Car zgodził się na ten wyrok i okuty zbrodniarz wysłany został do kijowskiej twierdzy.

Rzadki to jednak był wypadek, żeby karano lub ujęto się za żołnierzem. Wszelkie nadużycia podobnego rodzaju, nazywano nieuniknioną potrzebą dla utrzymania w wojsku dyscypliny. Trzymano się zasady W. K. Michała Pawłowicza: „dziewięciu zabij, aby dziesiąty był dobry żołnierz“.

Dla dopełnienia wspomnień moich o ziemi między Donem a Terekiem, dodam, że cała ta prowincja obecnie nosi nazwę gubernji stawropolskiej, że oprócz kozaków z rodzinami zostających pod wyłącznym zarządem, liczy się całej ludności około 200 tysięcy. Ludność tę składają: Nogajcy, Kałmyki, a przeważnie Moskale, z których do 30 tysięcy wypada na starowierców, duchoborców, bezpopowców, pomorców, sobotników, małakanów, skopców, skitników i innych sekciarzy moskiewskich, od wielu już lat zbiegłych w te strony przed przesładowaniem rządu, lub później przez rząd w te strony wypędzonych.

Zajęcie zaś tej płaszczyny przez Moskale odnosi się do wieku XVI. Po podbiciu Astrachania Iwan Groźny zmusił zaraz do posłuszeństwa koczujące między Wolgą a Donem nogajskie ludy, a potem nałożył haracz na ludy tiumeńskie i besztaniskie, ukazujące się na widowni miejscowych dziejów nad Terekiem i nad Małką pod nazwą Czerkiesów. Dla utrzymania zaś w ciągłej zależności tych ludów, jak również sąsiednich im z po-

ludnia Kumyków zbudował w r. 1566 warownię Terek przy ujściu Tereku.

Piotr W., posiłkując w r. 1722 szacha perskiego i podbijając ludy nad Kaspijskim morzem, zburzył Terek a załogę przeniósł do nowo wzniesionej twierdzy Swiaty Krest, o kilka mil ku zachodowi. Znowu w r. 1736 garnizon przeniesiony został do Kiżlara, silnie wzmocniony w r. 1758 w czasie wyprawy na górali.

Carowa Katarzyna zbudowała nad Terekiem nową jeszcze twierdzę w Mozdoku. Po uzyskaniu zaś na Turkach Anapy w r. 1791, usypano linią warowni od Kaspijskiego do Czarnego morza tak dla zapewnienia sobie już zdobytych prowincji, jakoteż dla mocnego oparcia wojennych sił na czas projektowanych wypraw przeciw górom. Pomiędzy warowniami linii kaukazkiej opatrzonych w działa i w żołnierza regularnego, stawiano coraz liczniejsze stannice obronne a zamieszkałe przez lud kozacki, sprawny do podjazdowej wojny.

Pierwszą myśl usadowienia kozaczyzny na Kaukazie powziął Piotr W. Dowiedziawszy się o ludzie zbiegłym z Moskwy przed prześladowaniem a osiadłym nad Sułakiem jeszcze z czasów Jermaka, wedle zaś innych z czasów rzezi Stenki Rjazina, posłał im przebaczenie i wezwał do osiedlenia się na lewym brzegu Tereku i do obrony granic cesarstwa. Lud ten nazwany grebieńcami, od grebniów, czyli grzbietów gór, powiązany już stosunkami familijnymi z Kumykami i Czeczniami, przyjął propozycją carską czyli raczej generała-admirała Apriksina, który sformował z nich wojsko kozackie, nazwane grebieńskim. Grebieńcy w liczbie kilkatusięcy dusz obojga płci składali wyłączne kozactwo kaukazkie aż do r. 1769. Dopiero Katarzyna carowa powiększyła tę liczbę wysyłając w kilku partjach na linią kilkaset rodzin nadwołżańskich i cztery tysięcy rodzin dońskich,

a jeszcze paręset ochrzczonych Kalmuków oraz wielu zbiegów góralskich.

Po zajęciu płaszczyny nadkubańskiej w r. 1783, z której zaraz mieszkańcy emigrowali, Katarzyna dała początek czarnomorskiemu kozackiemu wojsku, wysławszy w te strony z nad Dniepru, zaraz po zdobyciu Anapy, resztki Zaporozców.

Dońcy i Małorusini odtąd corocznemi, licznemi partjami byli wcielani do miejscowego kozactwa z wyjątkiem czarnomorskiego, które zawsze gorliwie pilnowało swojej odrębności.

Każden z kozaków dla wyżywienia swojej rodziny oraz dla utrzymania w gotowości bojowego konia otrzymywał od 30 do 60 diesiatin ziemi. Popi mieli po 150, niżsi oficerowie po 200, wyżsi oficerowie od 300 do 600 diesiatin: prócz tego na stepie wolne były pastwiska i dozwolone koszenie siana. W czasie wyprawy jednak kozacy otrzymują żold, żywność i furaz na konia.

We względzie administracyjno-wojskowym kozacy podzieleni byli na trzy różne grupy. Pierwszą stanowili kozacy czarnomorscy, zajmujący półwysep tamański do Łaby i ziemię między Manyczem, Kubanią i Azowskim morzem. Mają oni 12 konnych pułków, liczących po 720 do 900 ludzi, na 6 sotni podzielonych. Tyleż mają bataljonów piechoty, wynoszących każdy około 1000 ludzi. Posiadają i trzy baterje artylerji konnej. Drugą grupę składali kozacy kubańscy, między Małką, Kubanią a Łabą. Liczyli 7 pułków zdwojonych czyli podwójnych a oznaczonych Nr. 1 i 2 i posiadali dwie baterje artylerji konnej. W trzeciej grupie kozacy kaukazcy po nad Terekiem, podzieleni byli na 10 brygad. W każdej brygadzie liczyło się 6 pułków po 500 do 800 ludzi, a artylerja wynosiła 5 lekkich baterji konnych. Kubańskich i kaukazkich kozaków nazywano jeszcze linjowem kozackiem wojskiem. Później podział ten zamieniony

został na prawe i lewe skrzydło kozackie i tym sposobem czarnomorscy kozacy pomimo oporu zaczęli tracić swoją odrębność.

Niegdyś kozacy stanowili sami starszyznę swoją przez wybory; później zostawiono im to prawo do niższych oficerskich stopni a nareszcie i to usunięto. Obecnie wszystkie stopnie nadaje car a na wyższe posady przeznacza oficerów z wojska regularnego. Najwyższym stopniem kozackim jest nakaznyj ataman, odpowiadający randze generał-porucznika. Pułkownicy dowodzą brygadami, podpułkownicy pułkami, wojskowyje starszyny (majorzy) dwoma sotniami, essauly (kapitanowie) sotnią, sotniki i chorążowie plutonami, urjadnik dziesiątkiem. Służba kozacka liczy się od 20 do 60 lat wieku, to jest w służbie czynnej lat 22, a w miejscowej 18. Ludzie młodzi od 20 do 25 lat składają urlopowe, czyli *lgotne pulki*.

Każda stronnica ma swój zarząd (stanicznoje prawlenie), który, będąc słabego znaczenia razem z sędziami wybieralnymi rozstrzyga drobne sprawy kwestji wojskowo-organizacyjnej, cywilnej, ekonomicznej i policyjnej. W szkołach pułkowych uczą młodzież czytania, pisania, arytmetyki i śpiewu cerkiewnego.

Z kozakami, których opis tu przecinamy, zdarzy się nam jeszcze nie raz spotkać w krwawych stosunkach z góralami.

CZEŚĆ DRUGA.

II.

PLASZCZYZNA KUMYKSKA.

Wzmianka o Czeczeńcach. Drogi przez płaszczyznę. Kumycy, ich urządzenie i obyczaje. Władza chanów i ograniczanie jej przez Moskali. Raport jenerala Passeka. Hassaw-jurt. Czyr-jurt. Pułk dragonów niżegrodzkich. Temirgojska pustka. Podanie o kamieniu i zdroju. Oresz Pilatowski i Jakubowski. Kozacy astrachańscy. Goście chańscy. Tatarzy nadwołżańscy. Petrowskoje. Żołnierze. Rodziny Palaków i inne. Błota petrowskie. Burze kaspijskie.

Opisując okolice stannicy Czerwłonnej, wspomnieliśmy o Czeczeńcach przybyłych na pomoc starowiercom. Teraz na wstępie do ziemi wiekowych bojów musimy uczynić obszerniejszą o nich wzmiankę.

Jak dawno Czeczeńcy a właściwie Kisty, na swych ziemiach przebywają, trudno dziś odgadnąć. Stare dzieje o nich nie mówią, nowe zaś, wyprowadzają ich od razu z lasów i wzgórz do walk z Moskalami; do owych sławnych bojów, któremi mianowicie w r. 1785 — 1786 wyparli najezdników z Darjalskiego wąwozu i odciągli im drogę do Gruzji. W r. 1791 zwalczony wódz Szach-

Mansur musiał pokutować za swą waleczność w Sołoweckim monasterze, na Białem morzu a kraj cały wpadł pod zwierzchnictwo Moskwy.

Powstania z r. 1830 i z 1842 na wiele lat oderwały ten kraj od Moskwy i stawiły go w zapasy z ciągle nadchodzącymi siłami Moskwy.

Moskiewski generał Passek udatnie w swym raporcie do władzy scharakteryzował owe zapasy: „My, powiada, palimy wsie, a Czeczeńcy w temże miejscu wznoszą nowe; my zadajemy im nowy cios, niszczymy na polach zboża i tratujemy łąki a oni uciekają do lasów, stawiają tam chruściane lepianki, karczują gęstwiny i urządzają sobie nowe pola i łąki. Gdy się cofniemy, oni swobodnie spędzają stada swoje na opuszczone przez nas stanowiska, a zapasy żywności i mienia unoszą w dalsze góryste strony; gdy znów się ku nim zwrócimy, nigdzie nie możemy spotkać ani ich, ani ich dobytku; jednak na dowód, że okolica ta nie jest zupełnie opustoszałą, nadarzy się nam gdzieś w gęstwinie trafić na zbłąkane, skubiące trawę bydle, na postawioną stertę zboża, albo na świeżo opuszczone chatki. Ciągły ogień z palnej broni, utrzymywany z tajemniczym wrogiem potwierdza nawet, że ziemia ta drogo jest cenioną przez posiadaczy, mszczących się za zrobione już spustoszenia.“ Generał Passek napisał to zdanie w roku 1842., po strasznej klęsce w czeczeńskich lasach i czakeryńskich, zadanej generałowi Grabbe przez haiba Szaib-Mullę, a na trzy lata przed klęską Dargińską, poniesioną przez głównodowodzącego ks. Woroncowa.

Ziemia Czeczeńców, nazwana może od słynnego z waleczności aulu Czeczen nad Argunem, zawarta między zagięciem górnego Tereku, między strumieniami, wpadającymi do Simży i między Humbetlскими górami dzieli się topograficznie na część dolną i na górną. Z bogactwa roślinności swojej nazwaną jest śpichrzem

gór; ma obfitość lasów i pastwisk, poprzecinanych gęstymi rzeczkami i strumieniami, ma urodzajne pola i czyste a zdrowe powietrze. Krajobraz tej ziemi jest również pięknym widokiem, opierającym się z południa o śnieżne szczyty, a z północy niknący w bezgranicznych stepach. Szamil po wywiezieniu go do Wołogdy, gdy spojrzął z więziennego okna na okolicę, gdy zobaczył faliste wzgórza i lasy szerokie, w smutnym uniesieniu zawołał: „Boże, to Czecznia!“ A Czecznia przecież nie była jego rodzinną ziemią, a uważał ją za raj Kaukazu.

Ludność cała o niemal półtoratysięczna jest dumna z swego urodzenia i z swej godności osobistej. Każdy Czeczeniec uważa się za *uzdenia* to jest za potomka, pochodzącego ze szlacheckiej rodziny *tajpow*, i dla utrzymania swojej wyższości rodowej aż do czasu miurydyzmu Czeczeńcy między sobą tylko zawierali związki małżeńskie. Jednak w społeczności ludność cała rządziła się demokratycznie prócz wychodźców, osiadłych na ziemiach kabardyńskich, którzy ulegali prawom arystokratycznym na równi z Czerkiesami i z Turkmenami. Zarząd Czeczni skupiał się w gminach (*tukum*). Do czasu miurydyzmu każda wieś, składająca gminę, uważaną była za związek jakoby familijny, rządzoną autonomicznie przez wybraną starszyznę. Wedle podania niejaki Turło, przed wiekami z gór wezwany do Czeczni na wodza, miał zaprowadzić taki porządek społeczny, którego mieszkańcy do ostatka bronili.

Długo Czeczeńcy nie znosili żadnej narzuconej im władzy. Jeśli toczyli boje z Moskalami, długo nie chcieli uznać Szamila za Imama i pragnęli widzieć na tym urzędzie krajowca swego a słynnego z rozumu i waleczności Taszawa-Hadzi.

Czeczeńcy po skończonych wyprawach na nieprzyjaciół oddawali się pracy domowej albo polnej, i pilno-

wali rodzinnego ogniska. Pasterstwo i rolnictwo utrzymywało ich w ciągłej czynności, robiło ich skrętnymi, zwinnymi i rzeźwymi. Dostatek chleba, korzystne zbywanie góralom płodów surowych, czyniły ich wesołymi, a ciągle walki wyrobiły z nich bitnych ludzi. Niewiadomy czeczeńskie dbały niezmiernie o czystość swoich wylepianych gliną domków drewnianych, które w improvizowanym porządku, wśród ogrodów zielonych lub pośród lasów malowniczo się przedstawiały oku, znużonemu monotonnymi widokami siedlisk moskiewskich. W używaniu pokarmów Czeczeńcy są nadzwyczaj umiarkowani i w tym względzie nie ustępują góralom. Pomimo tego a może i dla tego są silni i nieustrudzeni w pracy. Kawalek placka z kawałkiem sadła baraniego albo sera, kilka klusek (chinkał) stanowią ich całą żywność dzienną. Złe odziani, nieraz bez ciepłego pokarmu i bez gorących napojów, jakoby nie znali znużenia ani chorób. Ci Czeczeńcy co mają styczność z Moskalami, nadzwyczaj lubią wódkę i mogą ją pić szklankami. Wina nie używają wcale, z powodów religijnych jednak wyrabiają słodki napój nazywany Czabon, bardzo lubiany przez nich. W miejscowościach gdzie nie ma winnic wyrabiają z prosa upajający napój *buzę*, bardzo nieprzyjemnego smaku dla cudzoziemca. Wedle obyczajów miejscowych są oni gościnnym ludem, jednak trudniej u nich zyskać prawo gościnności niż u górali. Jak mężczyźni są wysocy smukli, dorodni, tak kobiety a szczególnie na dolinach są kształtne i ładne. Zdarzało się, że starszyzna moskiewska nawet wchodziła w związki małżeńskie z piękniejszymi brankami. Młodzież wychowują w zupełnej swobodzie, prawie wedle praw natury. Do kilku lat żadne obuwie ani odzienie nie krępuje ciała dziecka.

O Czeczeńcach jeszcze nie raz będzie mowa, a teraz przejdziemy na ziemię kumycką.

Gdy przed rokiem 1853 jedyna tylko droga przez

Kiźlar łączyła linią kaukaską z Dagestanem, to po tym czasie, po zbudowaniu stałego mostu na Tereku pod szelkozawodską stacją utworzyła się nowa komunikacja gór ze stepami przez Chassan-jurt. Ale jak starą tak i nową drogą nie można było ruszyć taborowi bez siły wojskowej. Bliskość niepodległych górali nakazywała tę przezorną ostrożność. Dobosze biją w bębny. Na powtórny znak, etapy, wolni podróżni, powozy, wózki, arby, wojskowe furgony ściągają się do mostu nad Terekiem i czekają konwoju. Za trzecim obębnieniem występują z pieśniami dwie lub cztery kompanie piechoty, ciągną się z niemi działa polowe i jadą kozacy dońscy. Wojsko szykuje awangardę i ariergardę, karawana staje jako zasłonięty korpus i postępuje do marszu.

Droga od Kiźlara na milowej przestrzeni prowadzi przez zarośla i trzciny, w czasie powodzi zalane wodą, a w czasie suszy zajęte przez partyzantów. Szelkozawodska droga od razu wchodzi na szeroki jeszcze step, klinowaty ale urozmaicony, odcięty od kaukaskiego korytem Tereku. Na obu drogach stoją forty trzymające w podległości krainę kumycką.

Kumyki są z pewnością potomkami Turkmenów, zdobywczego ludu na Kaukazie wieku XVI. i XVII. Ich współplemiennicy zajmują jeszcze miejscowości od zachodu między Czerkiesami, a w południowym Dagestanie około Derbentu wyłącznie zajmują krainę *Terekamek*. Na płaszczynach i w górach natrafie mażna wiele wsi przez nich wyłącznie zamieszkałych. Język ich nazywany tatarskim, w stosunkach międzyludowych powszechnie jest używany. Tyle pozostało tylko z potęgi Turkmenów. Lud cały jest osiadły, zajmuje się rolnictwem, rybołówstwem i pasterstwem. Rządzili się osobnemi książętami. Innego szczepu Turkmeńskiego Nogajcy, przeważnie prowadzący dotąd koczujące życie na stepie

kaukaskim, żyją między nimi obok Kalmuków w przemożnych jurtach swoich.

Kumyky zawsze podlegali władzy chańskiej w osobie Szamchała z Tarków, pana części Dagestanu i zawsze dzielili losy z tarkowską ludnością. Wspólnie walczyli przeciw Waregom, którzy im Tarki zburzyli w r. 969 — (Semender). Wspólnie choć napróżno odpędzali od rzeki Sulak (Dolne Kajsu) wojska Teodora Iwanowicza, nadsłane od Astrachania. Moskale kusili się już wtedy o góry, a w roku 1604 założyli trzy nadmorskie forty, w Tarkach, w Bujnokach i na Tuzłuchu. Dopiero Kumyky z Lezginami z pomocą krymskich Tatarów tak rozbili Moskale na stepie u terazniejszego Kazi-jurtu, że klęska ta na wiek z górą ochłodziła zapal najezdniczków do Kaukazu. W walnej tej rozprawie padł Okolniczy i Buturlin z synem, wojewoda Pleszczejew z dwoma synami, wojewoda Polew i siedm tysięcy trupa na miejscu zostało. Piotr W. dopiero z wielkimi siłami wkroczywszy na ziemię kumycką i do nadbrzeżnego Dagestanu ujął sobie podstępnie szamchała tarkowskiego Adyl Gireja, a gdy ten nie chciał uznać jego zwierzchnictwa, został schwyty i wywieziony nad Białe morze w r. 1725. Odtąd już szamchałowie tarkowscy zostawali pod wpływem politycznym Moskwy, albo w zupełnej od nich zależności. Dopóki Moskwa nie czuła się zapewnioną co do zabranych prowincji, zostawiała zawsze u władzy panujące rodziny, wypłacając im pensje nazywane *haraczem*, a wzajem biorąc od nich zakładników (*amanat*). Poduszczala chanów na chanów, albo burzyła ludy przeciw władzy, dopóki w zamęcie sama korzyści nie odniosła. Ten system przeprowadzał się nawet między Nogajcami i Kalmukami. Uznawszy stosowną chwilę, Moskwa żądała zupełnej uległości, a naiwny chan dowiedział się że mniemany haracz był uważany przez cara za pensję dla swego słuzalca.

Wszelako wyzuci z politycznej władzy chanowie długi czas korzystają z praw sądownictwa, wybierania podatków i w ogóle z praw administracyjnych. Wtenczas dopiero tracą te prawa, gdy Moskwa uzna iż obejdzie się bez ich pomocy. Zręcznie to się robi, bo zwykle lud, przeciążony pracą i podatkami, żąda opieki carskiej. Na dowód zaś, jak Moskwa jest systematyczną w stopniowem przeprowadzeniu niewoli, jak nie daje uczuć jarzma swego i jak to jarzmo wkłada dopiero, gdy oczy ludu odwróci od nieba a kark jego schyli się po zwierzęcemu ku ziemi, przytaczam w tłumaczeniu raport z r. 1843 wspomnionego już generała Passeka.

„Czynię wniosek, pisał on, że nie należy muzułmanom dawać znacznej politycznej władzy bez koniecznej potrzeby a posiadającym należy ją ograniczać stopniowo i mieć czujne na każdy ich krok baczenie.

„Mahometanie tak obcy nam z obyczajów i pojęć i tak przewrotni z natury swego azyatyckiego charakteru, czyż mogą szczerze życzyć u siebie spokojnego utrwalenia (wodworenia) rządu rosyjskiego, kiedy to zupełnie jest ich interesom przeciwno?

„Postępowanie chanów posiadających władzę najlepszym jest tego dowodem. Wszystko co złe przypisują oni Rosjanom, a wszystko co dobre, przypisują sobie. Wymierzanie kar, ściąganie nieprawnych podatków, nieprawne zabieranie majątków, wszystko przypisują wymaganiom naszego rządu, a opłaty za podwoły i juczne konie i wsparcia biednych sobie samym przypisują.

„Zawsze starają się mieć bezpośredni wpływ na lud, ażeby na władzę rosyjską nie zwracał oczu i żeby nie przyzwyczail się do niej.

„Różnemi sposobami starają się obudzić podejrzenia władz rosyjskich przeciwko tym ze swoich poddanych, którzy są dla nich nieżyczliwymi a rosyjskiemu rządowi przychylności okazują.

„Intrygi takie przynoszą im potrójną korzyść:

1) Pozbawiają się niebezpiecznego poddanego, a Rosjanie tracą przez to narzędzie zdolne do śledzenia ich czynów.

2) Po wypędzeniu albo zesłaniu jakiej osoby znacznej, władający chan przez to rozszerza najprzód swą władzę; na Rosjan zwała całą niesprawiedliwość postępków, a poddanym swoim w ten sposób go objaśnia, że sam się z wszelkich zarzutów i podejrzeń oczyszcza, i tem większą obudza do rządu rosyjskiego nienawiść, że wytyka: „oto jak Rosjanie oceniają przychylność dla swego rządu”.

3) Wypędziwszy osobę znaczną, albo zmusiwszy ją groźbami do ucieczki, lub do przejścia do nieprzyjaciela, a tem samem do walczenia z gorliwością przeciw nam, chan daje poczuć temi przykładami, że rząd rosyjski powinien ostrożnie postępować z jego poddanymi, a tem bardziej z nim, który potrafi rządzić takimi nieokiełznanymi ludźmi.

Nadto ażeby dodać sobie więcej znaczenia, pozbawić nas środków do czuwania i wpływania na nich, chanowie starają się ukrywać i nie wynagradzać ludzi nam oddanych, spędzają to na niewdzięczność rządu rosyjskiego; przez to dopinają drugiego celu; oziębiamy i oburzają na nas ludzi bardziej czynnych i najwięcej nam użytecznych.

Nagrody zaś udzielają według swoich widoków, ludziom niezasługującym na takowe, i przez to okazują, że usługi im czynione zyskują zawsze nagrodę, kiedy przeciwnie służba dla rosyjskiego rządu nie przynosi żadnej korzyści.

Ten tryb postępowania, zmusza wszystkich poddanych do szukania względów nie u Rosjan ale u nich, i do starania się o pozyskanie ich łaski, a do rosyjskiego rządu obudza obojętność i lekceważenie.

Trzeba mieć wiele doświadczenia i bystrości, ażeby w ludziach wychowanych w przebiegłości odróżnić intrygę od — prawdy! Jedynie osobista znajomość panujących i wielu znaczniejszych obywateli, powierzchowne dla nich zaufanie, i baczny niezmordowany dozór nad każdą ich czynnością, mogą wykryć prawdę i ustrzedz zwierzchność od niesprawiedliwych i szkodliwych rozporządzeń.

Rząd opiekuńczy pojmując zupełnie to zło, z egoizmu chanów wynikające, tak dla siebie, jak dla kraju i dla mieszkańców, uznał za zasadę jeszcze za czasów Jermołowa, aby usunąć ich od władzy przy pierwszej sposobności, nie pozbawiając ich jednakże dochodów prywatnych, a nawet dając niektórym pensję.

Dla powstrzymania szkodliwych działań chanów, należałoby umieścić przy każdym z nich jednego sztabsoficera z taką władzą, aby rząd za jego pośrednictwem mógł wiedzieć o wszystkich czynnościach chanów, i z surowym obowiązkiem donoszenia rządowi o każdym nieprawnym ich kroku.

Sztabs-oficer powinien mieć swoich ludzi i środki, bo inaczej o każdej rzeczy w taki sposób się dowie jak chan zechce. Sztabs-oficer powinien być Rosjaninem a nie Ormianinem.

Ormian naznaczają na komisarzy (prystawów), dając im pierwszeństwo przed Rosjanami, z powodu znajomości języka krajowego, nie zwracając uwagi na bardzo wielkie wady wrodzone Ormianom.

Nieznajomość języka przy dobrem tłumaczeniu nie stanowi żadnej przeszkody; lecz oszukaństwo, chciwość i podłość, niczem nagrodzić się nie dadzą.

Nareszcie, gdzie można usuwać z honorem władających chanów, koniecznie należy z okoliczności korzystać, a zarząd poruczać miejscowej władzy, z prawami

i godnościami większemi, aniżeli były prawa i godność prystawów.

Myslałby kto, że Moskale takie pojęcie mają tylko o chanach muzułmańskich, stosują to jednak zawsze i do chrześcijańskich panów, których ujarzmiają!

Projekt generała Passeka nie był zupełnie nowy, praktykowany on był w innych krajach, podległych Moskalom na Kaukazie; tylko jego raport uwiadomiał władzę o możliwości zastosowania już tego prawa arbitralnego na pomorzu kaspjskiem. Stosował się ten projekt przeważnie do domu Szamchałów Tarkowskich i do domu Kazanalipów, mających posiadłości na płaszczynie po lewym brzegu Sulaku. To też naprzód ci chanowie, przez wydane im dyploma, uznani zostali za książąt rosyjskiego państwa, dano im nowe nazwiska książąt Tarkowskich i Andrejewskich, dano im rangi wojskowe, jako naczelnikom milicji krajowej i postawiono przy nich prystawów, których przeważnym obowiązkiem było szpiegować chanów i mieszkańców. Prystawowie ci, zostając pod bezpośrednimi rozkazami wojskowych naczelników, liczyli się na listach pułków, w których poprzednio służyli, pobierali płacę odpowiednią do rangi i nadto po 280 r. s. 20 k. stołowych pieniędzy, a tłumacze przyboczni wybierani z mieszkańców za usługi swe pobierali po 10 r. miesięcznie.

Wzrost jednak sił górali długo tamował pochopy Moskali, którzy długo z wielką dyplomacją musieli umieszczać swoich prystawów, jako tylko pomocników przy chanach, a nawet do roku 1849 urząd prystawski gmin Andrejewskich, z dołączeniem części podległej Awarji pozostawał w ręku Gireja-Murtuzali-Adzi, a po nim w ręku starego chana Kazanalipa zabitego z rąk mścicieli.

Władza sądownicza do spraw cywilnych w ich też bezpośrednim ręku pozostawała.

Lud kumyjski od półtora wieku zostający pod wpływem lub jarzmem Moskali, stracił wszelką energią życia. Niemoc jego wybitnie się maluje we wszystkich stosunkach domowych i publicznych. Całe pragnienie jego ogranicza się na zdobyciu pieniędzy, choćby niegodziwemi środkami, i na zadowoleniu swoich namiętnych chuci. Tak ich powierzchowność, tak i ich wsie są nieczyste, zakłócone i zagnojone. Domy i podwórza bardzo chędogo utrzymują kobiety, bielą je i czysto wymiatają. Czy i dusze ich są tak czyste? Nie wiem. Izby w domach nie mają z sobą łączności, do każdej z nich wchodzi się oddzielnie z kruzganku.

Tasz-kiezu i kilka innych jeszcze wsi są przeważnie zamieszkałe przez żydów.

Głównym warownym punktem utrzymującym w zależności płaszczynę zachodnią, jest fort Hassan-jurt, który był zarazem sztabową kwaterą kabardyńskiego pułku.

Fort ten zabudował się pięknie. Figurują tu domy sztabu pułkowego i nowa cerkiew. Ks. Barjatyński będąc pułkowym dowódcą, urządził porządną dla oficerów bibliotekę, której dogład zawsze był poruczony Polakom. Przy bibliotece istniała resursa oficerska, w której bawiono się i tańczono po dwa razy na tydzień. Aptekę też za jego dowództwa pułkiem, postawił na porządnym stopniu Franciszek Pantoczek z Kielc.

Towarzystwo wszelako polskie upadło tu nisko, chociaż znajdowała się wśród niego Julja Cyrynowa, jedna z tych niewiast litewskich, co poświęceniem i cnotą jednała sobie szacunek powszechny.

Na Kaukaz przybyła z krewnymi i tu wyszła za męża, za podoficera uwolnionego z kopalni sybirskich, odrzuciwszy propozycje kilku ludzi stopniem i dostatkami wyżej postawionych. Nieszczęściem w czasie pożaru Hassan-jurta, kobieta ta leżąc w łóżku po powiciu dziecięcia, dostała obłędu umysłu. Miała ona powsze-

chny szacunek, i ona jedna ze wszystkich kobiet Hassan-jurtowskich zasługiwała na takowy. Gdy wyjednywała u Barjatyńskiego, już namiestnika, uwolnienie swego męża, znający ją pan ten, odrzekł: „dla pani nie znam odmowy“. Pani Cyrynowa miała troje dzieci, miłe jak aniołki, bo dbała o ich powierzchowność i ustrojenie duszy.

O reszcie towarzystwa, przytoczę list mego przyjaciela, który podróżując przez tę ziemię pisał do mnie. O bodaj to Dagestan i my w Dagestanie! Doprawdy nie a nie nie ma przesady w tym wykrzykniku. Takiego duchowego, myślowego życia między bracią, takiej spójności serc i dążeń i takiej miłości bratniej nie spotkałem na linji. R. w Hassan-jurcie jedenaste lat po polsku nie czytał i wyobrażenia nie ma, co się na bożym świecie robi. S. przestraszył mnie swoim grubym żołdactwem i swoją o życiu teorią. Byłem dla nich obydwóch jakimś zjawiskiem, z zapomnianego już przez nich świata, lub co nie daj Boże, ze świata — w którym nigdy nie żyli“.

Od Hassan-jurtu na prawo ciągnie się wązki pas ziemi między rzekami Amat i Jaryk, poprzecinany wązami i lasami. W głębi tego pasa za aulem Jary-suauch jest silna miejscowość, zwana Heitermitowską bramą, gdzie Moskale doznawali porażek. Z lewej zaś strony droga obwarowana dwoma basztami, opatrzonemi w działa, prowadzi do fortu Czyr-jurt. Baszty te były przedniemi czatami od gór, służyły za ochronę dla przechodzących perjodycznie dwa razy na miesiąc *okazji*, i w razie potrzeby wystrzałami z dział dawały sygnały do Hassan-jurtu i Czyr-jurtu o grożącym niebezpieczeństwie.

Czyr-jurt, ufortyfikowana pozycja na lewym brzegu Sulaku, posiada garnizon złożony z liniowego batalionu i artylerji. Na prawym zaś brzegu Sulaku, za mostem, leży osada pułku darguńskiego, tego samego, który

J. Korzeniowski opisał w Tadeuszu Bezimiennym. Autor tak mistrzowsko skreślił skład tego pułku, jego utarczki i bitwy z góralami, że Puszkina, Lermontowa lub Marlińskiego opisujący Kaukaz, powinni mu obrazu tego pozazdrościć. Dragoni ci istotnie zyskali sławę z swych bojów z góralami, chociaż nieraz bywali w ciężkich tarapatkach, osobliwie w walce z Hadży-Muratem, koło Szury w r. 1844 i w powstaniu tabasarańskim w roku 1851. Wyłącznie był on złożony z Małorusinów i Polaków, z r. 1831, którzy mu wyborną organizacją nadali. Co zaś do prawdy historycznej stanę w sprzeczności z autorem, bo takich Tadeuszów pułk nigdy nie posiadał. Polak prawy choć na Kaukazie, wiedział zawsze, co winien Moskalom, a co się należy góralom. Jeżeli się i znalazła jednostka podobna do Tadeusza Bezimiennego, wzgardzona była od rodaków i nie mogła służyć za typ rewolucjonisty z r. 1831.

Jacy zaś byli nasi ziomkowie z czasów rewolucji, dość będzie przytoczyć znalezienie się prostego Mazura, podoficera dragonów.

W czasie przeglądu pułku przez cara Mikołaja w roku 1839, Mazur wspomniany jako pierwszy jeździec pułkowy naznaczony był na posyłkę. Gdy służbowi oficerowie odsalutowali, Mazur spiął konia i jak piorun stanął przed carem. Pałaszem zrobił honory i zaczął z kiepska po rosyjku raportować: „K Waszemu imperatorskomu welicestwu od dragunskawo Jewo Wysozczestwa prynca“ i niedokończywszy splunął, że mu się nie udaje raportowanie rosyjskie, zaraz po polsku głośno palił: „Do W. C. Mości od dragońskiego ks. Wirtembergskiego pułku na posyłkę przysłany.“ Dowódca pułku ks. Czewezewadze zbladł jak trup, sądził, że zdegradowany będzie za znalezienie się Mazura, bo wiedział, jak Mikołaj miłował Polaków.

Tymczasem car raczył przebaczyć szczeremu strapieniu Polaka, zostawując go bez kary i bez odpowiedzialności dowódcę.

— A w jakim pułku służyłeś? — wyrzekł nawet po polsku.

— W drugim ułańskim WCMość.

— I bieleś Moskali?

— Bilem WCMość.

I natem przestał.

Trzeba więc było Korzeniowskiemu milczeniem zbyć drogę, jaką się dobił Tadeusz *ducorjaństwu*. Tajemnice są to boskie, jakimi drogami nasi rodacy podostawiali stopnie i tytuły. Karjera zresztą Tadeusza konsekwentnie wypłynęła. Urodzony z moskiewskiego generała i nierządnej kobiety, szedł za popędem krwi, zmazał winę rewolucjonisty i został czystym Moskałem. Ale nam takich typów nie potrzeba.

W pułku darguńskim prócz rewolucjonistów z r. 1831 było jeszcze dwóch członków Towarzystwa Filaretów wileńskich: Andrzej Janiewicz i Borkowski Franciszek, obaj już w stopniach sztabs-oficerów.

Gdy pułk ten w r. 1853 występował na granice Turcji, zostawały tylko rezerwowe szwadrony. Stajnie próżne zajął potem pułk niżegrodzki, dowodzony przez generała Kazimierza Gołębiowskiego, syna sławnego badacza narodowego Łukasza, a rodzonego brata historyka Seweryna.

Droga za Czyr-jurtem wije się u stóp wyniosłej góry, ciągnącej się ku Temir-goj i ku wschodowi aż do morza, w które zagląda zawsze dość zdala od brzegu i zagina się mniej więcej równolegle od wód ku Bujnakowi i dalej. Droga prawie trzymilowa do Temirgoja przechodzi przez stopy zarosłe bujną trawą i zajęte w części wylewami Sulaku. Liczne gaje przegładają się w zwierciadłach wód, lub pyszną się krasą swoją śród

nagiej płaszczyny. Widok ten kończy się u reduty Temirgoj, w której piechota, kozacy i artylerja dają przytułek i bezpieczeństwo noclegów dla okazji i dla kurjerów wysyłanych z eskortami.

Za Temirgojem zaś, Boże zmiłuj się, co za okolica! Ziemia pusta, naga, gdzie niegdzie błotna, a w dzień dżdżyste trudna do przeprawy. Odmalował ją wybornie nasz rodak Władysław Kamieński i w liście swoim przesłał mi podanie, które rozeszło się po rękę Polaków na Kaukazie.

Po widokach Dagestanu, pisał mi, smutny, nagi, żółtobury step między Kunterkale i Temirgojem napelniał mnie nieopisaną nudą i tęsknotą, ale życiodawcza miłość i tę przekłętą i zapomnianą przez Boga ziemię zaludniła cudowną powieścią, uświęciła i ubłogosławiła żywym źródłem czystej wody i czystszej jeszcze poezji, powieść nie długa, opowiem ją, jak mi siwy Bakir, mój woźnica, opowiedział:

„Na lewo jadąc z Dagestanu, za temi wzgórzami są lasy, doliny i ogrody, szumiące kryształowe strumienie, uprawne pola i wsie piękne i bogate. Po wsiach siedzi lud prawowierny, najlepszy dżygity (rycerze) Szamila. Znacie ich po żółtych czochach, burkach długich, ostrych szaszkach i nigdy niechybiających gwintówkach. Siostry i córki tego ludu, wiotkie, smukłe jak topole, niby tygrysice zwinne i silne, kwitną zdrowiem i rumieńcem jak pełne róże na sianożęciach ich ojców. Byłem dwa razy w tym kraju, pięknie tam, zielono i cienisto; noga gajura nie splamiała mogił naddziadów, i są tam siwobrode starce, kórzy was jasnowłosych na oczy nie widzieli. Nie oddałbym jednak ubogich gór naszych, gdzie pszenica się nie rodzi, za owe plenne, złotokłose lany.

„Pawliniec (góral) rad ze swej doli, wszędzie i za wszystko chwali Allacha, czy pasąc stado białych owiec,

rozciągnięty na pachnącej trawie, wpatruje się w śnieżne szczyty, po których wesołe słońce igra milionami różno-barwnych ogni, czy tuląc się pod skał urwiska, ze strachem wsluchiwa się w ryk burzy i trzask piorunu tłukącego lodowate gór łona, czy goniąc okiem mętny i burzliwy potok, myślą rzuca się za nim w kipiącą, klekocącą przepaść. Nie zna białych czureków (placków) i słodkich budyrdżanów, ale ze smakiem zajada prosiany kinkal (kluskę) z baraniną i ostro pachnący pindy (ser), a jęczmienna buza lepiej mu służy, niż złoty na równinach narbek (rum). Kindżał nasz jednakowo ostry jak czeczeńska szaszka, a gwintówka zawsze trafia w szerokiego tura lub kosmatego niedźwiedzia. Jedna tylko rzecz jest na równinach, za którą Pawliniec oddałby głowę i grób swojej prababki. Jest to owe czarnookie dziewczę, smukłe jak topola, świeże jak dzika róża i jak tygrysica silne i zwinne.

„Dawno już, bardzo dawno, jeden z gór młodzieniec i dziewczyna z równin pokochali się wzajemnie. Ludzie zapomnieli ich nazwiska, wiedzą tylko, że ona była córką dumnego uzdenia (szlachcica), on prosty pastuch ubogi. Uzdeń myślał wziąć za córkę sto tumenów kałymu (1000 złp. wykupu), a góral nie miał ani jednego. Uciekł więc z gór i z kindżałem u pasa, z gwintówką w ręku, w trzeinach nad Terekiem, czyhał na zdobycz... Allah mu poszczęścił. Ormianin z Kizłara objuczony złotem powracał do domu; z zarośli wychyliła się blada twarz górala, i oczy jak dwa węgle płonęły nadzieją. Paf!.. i pies niewierny, jak tłusty dongus (wieprz) zakwiczał złośnie... jednym susem, jak bars (tygrys) rozjuszony, wyskoczył młodzian na drogę, kindżałem rozpruł plugawy brzuch giaura, schwycił konia i złoto i jak wiatr puścił się ku góróm. Aż u wrót aulu zatrzymał się dopiero; odprawił namaz (nabożne obmywanie) ucałował gwintówkę i skrwawiony kindżał

i zaczął liczyć pieniądze. Naliczył 99 tumenów... jednego nie dostawało, tylko jednego — cóż ten jeden znaczył! Dumny i pewny siebie, wszedł do domu uzdenia i tuż przy selam-alejkum (pozdrowieniu), złożył mu u nóg pieniądze. Alejkum-selam, odrzekł uzdań i na kwiecisty pałas wysypał błyszczące złoto. Układał kupki po dziesięć tumenów, każdą sztukę ważył we dwóch palcach. W kącie sahli siedziała dziewczyna i młodzian mógł liczyć uderzenia jej serca, tak silnie kołatało w łonie. „Jednego nie ma, — przynieś jeszcze jeden, a oddam ci dziewczę.“ Góral stał zmieszany i blady. Uzdeń spokojnie zgartywał złoto, wysypał je do worka, zawiązał potem rzemykiem i schował do skrzynki. Młodzieniec machinalnie rękę poniosł do kindżała, w kącie sahli dziewczyna zakryła oczy białymi rączkami... on spojrział w tę stronę i twarz mu złowieszczym ogniem spłonęła. Allah! krzyknął nareszcie i kindżał po rękojeść w uzdenia piersi utopił. W godzinę potem, koń spieniony niósł po stepie kochanków; ona tuląc się do góralskiego łona gorzko płakała, on ciągle za siebie się oglądał i wklęsłe boki zmęczonego konia ówcił co miał siły. Nieszczęsne zwierzę coraz to ciężiej dyszało — raptem zachwiało się i padło nieżywe. Noc na stepie zaścigła uciekających... Ona, tuląc się do piersi gorzko płakała. On ciągle jeszcze za siebie się oglądał. Nie jednak nie zobaczył... na stepie śmiertelna panowała cisza. Góral ucho przyłożył do ziemi i wstrzymując oddech słuchał uważnie... „nikt nas nie goni, spocznijmy“ — rzekł. Noc tymczasem coraz szerzej rozścierała swój ciemny chałat (szlafrok) i z tajemniczego skarbca hojną ręką sypała perły kropistej rosy. — Młodzian burką otulił dziewicę i namiętnie przycisnął do piersi... godziny biegly w rozkosznym upojeniu, błogosławionym darze szczęśliwej młodości... Ach, czemuż ziemskie rozkosze takie znikome i krótkie? Jeden jest

wielki Bóg... na jego łonie, w raju, z jego prorokiem, w objęciach wiecznie młodych i nigdy niepokalanych hurys, prawowierny znajdzie prawdziwy spokój i szczęście.

Świeże tchnienie poranku rozwiało czarowne uludy a rumiana zorza trwogą napełniła kochanków. Jakoś dziwnie spojrzeli po sobie; — ach w tem spojrzeniu nie było nadziei... Dzień tymczasem z dalekich wzgórz strząsał białawe tumany; para stepowych orłów nad zdechłym koniem krążyła, a na krańcach widnokregu czerniało kilka ruchomych plamek. Młodzian spojrział ku górom i cicho „pogoń” wymówił. Całe piekło rozpaczy zawrzało mu w piersiach i szatańskim uśmiechem wykrzywiło lice. Oblakany jedną ręką wydobył kindżał, na którym krew uzdenia burą pianą zastygła, drugą, jak w kleszcze, uchwycił ramię dziewczyny... ale nie miał siły uderzyć. Ona tonęła we łzach, on opuścił ręce i czołem bijąc ku ziemi, drżąc i przerywanie zaczął powtarzać święte słowa koranu.

„W imię Boga litościwego i miłosiernego! Chwała niech będzie Bogu samowładcy w straszny dzień sądu... Litościwy i miłosierny Boże, Ciebie wielbimy, łaski Twojej żebrzemy! Prowadź nas po drodze sprawiedliwych, po drodze tych, których obsypałeś twemi dobrodziejstwami, a nie po błędnej drodze tych, którzy gniew Twój na siebie ściągnęli. W prochu i poniżeniu litości Twojej błagamy... cudem Twoim wybaw duszę moją od naigrania nieprzyjaciół i skrzydłem aniołów Twoich, ja niewinną zasłoń od shańbienia.” Młodzieniec powstał z modlitwy i natchnienie głębokiej wiary, świętą aureolą błyszczało mu z czoła. Ujął w objęcia kochankę i z spokojnem szyderstwem patrzył na kłęby kurzu, z pod kopyt pogoni bijące. Jeszcze kilka minut i pogon naścignie... Ale Bóg wysłuchał modlitwę. Zdziwiony młodzieniec poczuł, że ciało płaczącej dziewczyny jakoś mu rzędnieje w uścisku i z objęcia ucieka, chciał ją unieść,

podtrzymać... i bryzgi czystej wody zostały mu w rąku. Z pod stóp jego szepcząc ciche żale, krystalowe źródło płynęło — dziewica roztopiła się we łzach... zdziwiony, zachwycony młodzieniec nachylił się ku ziemi i w zwierciadle łez kochanki zobaczył, że sam w kamień się zamienił. — Ludzie zapomnieli nazwiska, kamień zaś zowią Pawlinem, a źródło łez krynicą.

Taka jest legenda o tym pochylonym białym słupie, który widziałeś zapewne na stepie, i o krynicy, z której wodę piłeś niezawodnie. Stary Bakir drzemiąc zaczął kiwać się na przedzie, głodne woły ledwie przebierały nogami, arba na suchej swojej osi wygrywała krótką, żalostliwą piosenkę: „nie męcz mnie, nie męcz mnie,” — ja otuliłem się w płaszcz i marząc o owem dziewczęciu krynicy, zasnąłem szczęśliwie.

Za nagim stepem ukazuje się mały fort Ozeński, łączący jeszcze drogi do Kizłara, Pietrowska i do Dagestanu przez Kumter-kale. Jest on punktem gospodarskim apszerońskiego piechotnego pułku, gdzie składy siana na stepach nakoszonego, chronią się za wałem. Siła fortu tego składa się z jednej rotacji piechoty, z plutonu kozaków i dwóch armat. Gdy naczelnicy kompanji byli zarazem komendantami fortu, więc nieraz dowództwo takie przypadało na Polaków, z których o dwóch, to jest Pilatowskim i Jakubowskim wspomnę w tem miejscu.

Porucznik Pilatowski był jeńcem wojennym z r. 1831 i w pewnym rodzaju typowym strzelcem, czyli łgarzem niewinnym. Przywiązany był wielce do tytułu szlachectwa, był uczynnym człowiekiem małuczkiej nauki, ale wybornym kucharzem. Miał manję otaczać swoją osobę jakąś tajemniczością. Pod sekretem opowiadał, ale każdemu, że był adjutantem korpuśnych dowódców, powstania, że nazwisko Pilatowski, nosi tylko przybrane, ale że rzeczywiście jest ks. Poniatowskim, że utrzymuje korespondencje z ks. Czartoryskim w Paryżu, że ten

książę przysyła mu zawsze najwięzsze gazety i wiadomości i że w ważnych wypadkach przysyła do niego zaufane osoby.

Jednego razu zamknął się w domu, nikogo nie wpuszczał. Po trzech dniach odwiedził kolegów, ciekawych, co się z nim robiło.

— Darujcie, rzekł, że was nie puszczałem do siebie, miałem odwiedzić ks. Czartoryskiego, przejeżdżał przez Kaukaz do Turcji, i umyślnie zjechał z drogi, aby się ze mną zobaczyć. Oto cała tajemnica, tylko na Boga nie mówcie o tem zdarzeniu nikomu.

Sądząc, że wszyscy wierzą jego opowiadaniom, starał się nadać sobie powagę i przed starszyzną moskiewską podnosił nieraz czoło ale znana jego dobroć serca znalazła zawsze uwzględnienie tych wybryków.

Miał przytem szczególny sposób wyrażania się. Razu pewnego zebrali się dowódcy dywizji, brygady i pułku, wszyscy książęta, gdy wszedł pomiędzy nich Pilatowski, i wedle formy zdał raport o swoich czynnościach służbowych; zagadniony przez jednego z nich, czy otrzymał nagrodę za poprzednią ekspedycję w góry, odpowiedział im językiem łamanym polsko-rosyjskim.

— Wasze Sijatielstwo, jedno, drugie, trzecie, wskazując na nich palcem kolejno, wot co połączyłem, i pokazał im zrobioną z palców figę.

Odpowiedź taka zabawiła wszystkich i była powodem do wyszukiwania różnych anegdot o Pilatowskim.

Zawiadomiony razu jednego, że głównodowodzący ks. Woronców, będzie przejeżdżał przez Ozeń, wysłał do Szury podoficera swego, aby zręcznie dowiedział się jakie potrawy lubi wysoki gość, i zastosował do tego urządzenie nakazanego mu obiadu. Zachwycał się książę, smakował, jadł i dziękował komendantowi. Przed wyjazdem adjutant księcia wręcza mu ruljonik pół imperjalów jako pamiątkę od księcia.



W BIBLIOTECE BRYGADY
KAWALERII
W OZECIE

10 H 60
S. K. K. 10 1/2
Kawaleria 6. 6. 6
20 1/2 - 260 30

W BIBLIOTECE HISTORYCZNEJ

wychodzą

DZIEJE POWSZECHNE SZLOSSERA

od najdawniejszych czasów do dni dzisiejszych, w 22 tomach, w formacie niniejszym, objętości około 40 arkuszy druku tom.

Jest to jak wiadomo popularny wykład dziejów powszechnych, odznaczający się gruntownością i bezstronnym poglądem, które autora postawiły na tem wyśmienitym stanowisku, że dzieło jego uważane jest za najlepszy podręcznik do poznania dziejów powszechnych. Przekład polski jest, o ile być może przekład tak wielkiego dzieła, bardzo dokładnym i piękną polszczyzną dokonany. Przekładu dokonali znani w kraju pisarze: pp. Wł. Górski, Józef Treliak, Bronisław Komorowski, prof. Władysław Władysławski, Bolesław i Wincenta Limanowski, Aureli Urbański, Władysław Kuchowski i prof. Czesław Pieczętek pod redakcją Br. Komorowskiego.

Już wyшло tomów 17, pod prasą tom 18. i 19. Druk ukończonym zostanie na początku roku 1878.

Cena każdego tomu 5 złr., 10 marek, 15 franków.

Można jeszcze aż do ukończenia druku, zapisując się na całe dzieło, otrzymać takowe w cenie prenumeracyjnej o połowę taniej, a mianowicie opłacając przy odbiorze I. tomu z przelipłatą za ostatni 5 złr., 10 marek, 15 franków — przy każdym następnym tomie po 2 złr. 50 ct., 5 marek, 7 fr. 50 c. — Nowo przystępujący prenumeratorem winni swakże przynajmniej po 2 tomy na miesiąc odbierać.

Cały dochód z tego wydawnictwa przeznaczony jest na oświatę ludu.

Lista wszystkich prenumeratorów będzie do dzieła dołączoną z wyrażeniem wile kto tomów odebrał.

W dalszym ciągu BIBLIOTEKI HISTORYCZNEJ wyjdą:

T. T. Jęła (Zygmunta Miłkowskiego)

Dzieje ludów słowiańskich

wyłączenia dla Biblioteki historycznej przez jednego z najznakomitszych współczesnych pisarzy opracowane.

Stali prenumeratorem Biblioteki historycznej otrzymają to dzieło po równie niskiej cenie.

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA można prenumerować w Księgarni Polskiej we Lwowie (której nakładem wychodzi), jak niemniej we wszystkich innych księgarniach i agencjach krajowych i zagranicznych.

Księgarnia Polska

Lwów, 12 ul. Kopernika 12.

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA J: 23.

MATEUSZ GRALEWSKI.

KAUKAZ

WSPOMNIENIA Z DWUNASTOLETNIJ NIEWOLI.

OPISANIE KRAJU. — LUDNOŚĆ — ZWYCZAJE I OBYCZAJE.

Zeszyt II.

Kaukaz wychodzi w zeszytach pięćdziesięciuarkusowych, których wyjdzie pięć i utworzy dzieło objętości dwudziestu pięciu arkuszy. Przedpłata na całe dzieło wynosi 5 złr., 6 marek pruskich (7 franków), można ją składać cyfcicowo w 3 ratach, opłacając przy odbiorze zeszytów 1., 2. i 3. po 1 złr., 2 marki pr., następnym zeszyty otrzymają prenumeratorem bezpłatnie bez względu chociażby się okazała większa objętość dzieła. Przesyłka franko.

Odobne okładki po 60 ct. można zamawiać przy zapisaniu dzieła, albo też gotowo oprawne egzemplarze za 3 złr. 80 ct.

Przedpłaty można składać w księgarni nakładowej, t. j. *Księgarni Polskiej we Lwowie przy ulicy Kopernika L. 12.* we wszystkich innych księgarniach, oraz w redakcjach pism: *Gazety Narodowej, Dziennika Polskiego i Kroniki Codziennej.* oraz u osób uproszonych do zbierania przedpłaty.

W Poznaniu skład główny w Administracji *Dziennika Poznańskiego*, u pułkownika E. Calliera i w księgarni J. K. Zapańskiego.

W Paryżu u Dr. W. Bartoszewicza, Avenue Parmentier 120.

W Nowym Yorku w Redakcji *Kurjera Nowyorkiego*.

W Cieszyńcu w księgarni Karola Malika.

W Krakowie w księgarni Adolfa Dygaszńskiego.

Do dzieła będzie dołączoną lista wszystkich prenumeratorów.

Po wyjściu z druku dzieła, cena będzie podniesioną.

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ

12 ul. Kopernika 12.

W DRUKARNI A. J. O. BOGOSZA.

1877.

— „Jak to, wrzasnął Pilatowski, chcecie mi płacić za obiad? Powiedźcie Grafowi, że ja taki szlachcic, jak on, u nas w Polsce nie płacą za gościnę do czarta. On sobie Graf, a ja sobie może i więcej jak Graf, rozumiesz pan?”

Gdy Woronców dowiedział się o odpowiedzi Pilatowskiego, zapytał go osobiście, czem mu służyć może w dowód wdzięczności za jego usługi.

— „Oto puście mnie, odrzekł, puście mnie do rodziny, bo jużem wam się dosyć nasłużył.

Woronców spotkawszy może pierwszy raz w życiu tak bezinteresownego oficera w moskiewskiej armji, sprowadził go do Tyflisa i oddał mu swój domowo-gospodarski ład pod jego kontrolę. Z dymisją jednak się nie spieszył, dopiero po dwóch latach wystarał się o uwolnienie go od wojska z pensją i dał mu posadę w dobrach swej żony z hr. Branickich na Wołyniu. Z posady tej jednak nie chciał korzystać, umieścił się w bernardyńskim klasztorze i tam wkrótce dokonał smutnego życia.

Kapitan Adolf Jakubowski zaczął wojskowość w Warszawie, zaciągnawszy się do konnego pułku z korpusu litewskiego. W dniu pierwszym rewolucji kwaterował w konnych koszarach podchorążych na królewskiej ulicy. Hasło powstania wyrwało go na ulicę i od razu stanął w liczbie walczących za kraj. W pierwszych szarżach po za Wisłą, będąc rannym dostał się do niewoli i odesłany był do rot aresztanckich do Bobrujska. Basy i na pół nagi, cierpiący ale silnego zdrowia, wytrzymywał wszelkie trudy i głód wytrwale. Podał się jako podoficer Wiktor Jakubiński. Okuty, chodził na robotę aż do czasu powrotu wojsk rosyjskich z ponad Wisły. Okoliczności zrzędziły, że pułk, w którym Jakubowski służył przed rewolucją, przechodził przez Bobrujsk. Zagrożony jeniec tą wiadomością i niepokoiony obawą że może być poznany, postanowił udać się pod opiekę ówczesnego komendanta twierdzy, generała Korfa. Zmyślił

denuncjacją i powiedział, że ma do opowiedzenia rzecz ważną komendantowi i że tej sprawy nikomu zdać nie może. Przedstawiony generałowi pod strażą, zastrzegł, że przy strażu nie może powiedzieć. — Na rozkaz generała straż wyszła za drzwi i wtedy jeńiec oświadczył, że zmienił swoje nazwisko, bo za przejście do armji polskiej i udział w pierwszych poruszeniach czeka go śmierć i że nareszcie obecność pułku, w którym służył wystawić go może na niebezpieczeństwo. Generał Korf, rodem Kurlandczyk, zafrasował się tą okolicznością, ale obiecał opiekować się młodym Adolfem. Poradził mu więc zaraz, żeby się podał za chorego i żeby poszedł do szpitala. Na drugi dzień Adolf był już w łóżku szpitalnem, kiedy Korf wszedł zwiedzać chorych, a zobaczywszy go i innych Polaków, nahałasował na władzę szpitalną, że się dopuszczają niedorzeczności, że między zacnymi cesarskimi żołnierzami umieszczają i buntowników polskich i polecił ich natychmiast przenieść do piwnic pod magazynem. Gdy po kilku dniach, pułk i inne części dywizji wyszły z Bobrujska, Jakubowski znowu użyty został do taczek. Korf tymczasem zrobił przedstawienie do cara, że w Bobrujsku jest wielu jeńców polskich, od których można oczekiwać poprawy i że oni sami proszą o zmazanie winy krwią z nieprzyjaciółmi Rosji na Kaukazie. Car skwapliwie zgodził się na to przedstawienie i kazał wszystkich jeńców z Bobrujska posłać na Kaukaz, a za nimi i resztę Polaków powysyłał na krańce Syberji i Kaukazu. Na Kaukazie Jakubowski pod nazwiskiem Jakubińskiego dostąpił się po wielu latach rangi kapitańskiej i orderów; był kasjerem i adjutantem przy ks. Orbeljanie. Szanowany i lubiony powszechnie znalazł jednak zdrajcę. Jakiś oficer — Niemiec — dowiedziawszy się o istotnem nazwisku Adolfa, rozgniewany, że mu pożyczki po czwarty raz zaciągniętej bez zwrotu udzielić nie chciał, denun-

cjował go przed dowódcą brygady. Gdy atoli ks. Kudaszew pismieną tę denuncjacją włożył pod sukno, denuncjator przedstawił rzecz tę głównodowodzącemu, ks. Woroncowowi. Jakubowski oddany pod sąd w Stawropolu, zawyrokovany został na śmierć lub do Sybiru do kopalni. Na przedstawienie zaś władzy bliższej, ks. Woroncow prosił cara, by w drodze łaski po zdjęciu orderów pozostawił Jakubowskiego przy randze. Wyrok przez cara napisany był niezrozumiały. Kazano kapitanowi zdjąć mundur oficerski i włożyć aresztancki z łatką na plecach. Już był gotów do podróży na Sybir, gdy przejeżdżający koło odwachu naczelnik sztabu kaukazkiej linji generał Tilipson, zobaczył go.

— Co to znaczy panie Jakubowski? rzekł.

— Idę na Sybir do kopalni generale.

— To omyłka, pan jesteś przy randze.

Zatrzymano go i wytłumaczono rezolucję cara na korzyść aresztowanego.

Powrócił wkrótce do pułku pod podwójnem nazwiskiem Jakubowskiego i Jakubińskiego. W ciągu lat kilku odzyskał ordery i skasowanie sztrofu, naostatek, w skutek świadectwa lekarskiego o słabości zdrowia uwolnionym zupełnie został ze służby z rangą major-ską i powrócił do kraju.

Idąc na wschód od Ozenia przez trzymilowy bujny w trawę step, na wyniosłem wzgórzu ukazują się wędrowcowi baszty fortu petrowskiego, z których najwyżej sięga wieża z latarnią morską. Forteczka ta z załogą tysiąca ludzi i kilkunastu działami, jest już odwiekowym punktem dessantów moskiewskich. Siły nagromadzone w Petrowsku, zawsze mogły i mogą oskrzydlić klinem wkleśle tu góry na dwudziesto-milową rozległość, z zachodu do rzeki Sulaka a z południa do aulu Bujnak. Po nad brzegiem morskim, u stóp fortu, będącego zarazem cytadelą, leży miasteczko Petrowsk, wybudowane

w długie dwie ulice z koszarami dla wojska. Opodal wznoszą się budynki z warsztatami bataljonowymi, do których użyci są stolarze, cieśle, kowale, krawcy, szewcy i inni robotnicy. Obok nich stoją stajnie i obory wojskowe dla koni i bydła. Na Kaukazie każdy pułk, każdy bataljon linjowy, ma podobny punkt stały na kwatery, w których prowadzi się gospodarstwo, dla zaradzenia wszelkim potrzebom. Za budynkami ze strony pola, od wielu lat założone bataljonowe ogrody warzywne, winnice, sady owocowe, z kwaciarniami i altanami bluszczem poroślemi. Tam czasem grywa muzyka, puszczają fajerwerki, a nawet tańczą w dzień uroczyste.

O kilka staj ku południowi pozostały ślady dwóch wałów równoległe od siebie usypanych od morza do gór. Te nowo-trajańskie wały, miały być wzniesione przez Piotra W. gdy się kusił o zdobycie tutejszych prowincji. Ani zaprzeczyć, ani wiary takiemu podaniu dawać nie można, ze względu fałszowania faktów przez Moskali.

Na pochyłościach góry wznoszą się trzy aule z obszernymi sadami i winnicami. Jeden z tych aulów Tarki, był rezydencją szamchałów tarkowskich, przeniesioną potem głębiej o milę w góry, do Kafar Kumyku. Tarki były kilkakrotnie burzone przez nieprzyjaciół, pozostał tam jednak zamek, w którym zamkniętą była wzgardzona pierwsza żona Szamchała Aba, Muselin Chana z rodu Chanów Kiuryńskich.

Za mego pobytu w r. 1856 w Petrowsku, przebywała tam rodzina tego pana u kąpieli morskich. Szamsudin-Chan, młodzieniec dwudziestoletni, jedyny syn jego liczący się oficerem w lejbgwardji kozaczym pułku, przybył z 13 lub 14 letnią żoną swoją i krewną z domu Chanów Mechtalińskich. Oboje państwo młodzi byli bardzo przystojni. Nie ująć nie można i bratu Szamsudinowej, także oficerowi lejbgwardji kozaczego pułku, Ibrahim-Chanowi. Szczególniej ładnym on był na koniu,

w swym karmazynowym ubiorze czerkiewskim. Ale najpiękniejsza z nich była stosunkowo ich krewna, żona podpułkownika Ali-sultana Mechtulińskiego, wygnana na lat dziesięć do Woroneża. Wszyscy jako bliscy sobie krewni, umieścili się w jednym obszernym domu, z liczną asystencją dworzan honorowych i ciżbą innej służby.

Widziano dwór ten na wieczornych przejażdżkach i na wizytach w znaczniejszych oficerskich domach. Kobiety jechały w powozach lub dorożkach, mężczyźni konno konwojowali swoje piękności. Na baliku w ogrodowej altanie Szumsudin i Ibrahim zgrabnie tańczyli z Moskiewkami kontredansa, zachwycająco walcowali i polkowali, a Ibrahim górował w wynajdywaniu figur w mazurze. Niewiasty też góralskie zajmujące jeden kątek altany, zgodziły się na płasy, zagrano lezginę.

Występowały one pojedynczo do tańca, zaczawszy od niższej znaczeniem, aż do najwyższej. Dwie tylko nie tańczyły, stara matka Ibrahima i Ali-Sultanowa, kobieta wielkiego talentu i wielkiego szacunku u ludzi. Oczekiwała ona tu księcia Orbeljana, naczelnika kraju, z prośbą o uwolnienie jej męża z wygnania.

Męskiej świcie dworskiej podobały się europejskie tańce, tylko nie mogli pojąć, jak Moskale pozwalają tancerzom brać za ręce swoje żony i siostry.

Gdy Samsudin i Ibrahim wyruszyli na wezwanie do pochodu z swemi milicjami, ich niewiasty natychmiast zmieniły swój tryb postępowania. Zamiast przejażdżki w powozach z odkrytymi twarzami, przejeżdżały przy świcie pieszej z mężczyzn i kobiet złożonej w drabiastych, zakrytych kobiercami arbach, ciągnionych parą wołów. Niekiedy wieczorami siadywały w czadrach, z odkrytymi jednak twarzami przed domem, a słudzy wyrabiali różne figle i łamane sztuki dla zabawy pań swoich. Fagle różne wyrabiano i nad brzegiem morskim, gdy panie odwiedzały kąpiele.

Śród miejscowych mieszkańców uwijała się wtedy grupa, złożona z kilkudziesięciu Tatarów nadwołżańskich, wynajęci oni byli do przenoszenia prowiantu ze statków morskich, przeznaczonego do magazynów wojskowych. Miesięczna płaca prostych robotników wynosiła po 9 rs. Miejscowi Turkmeni, nazywani także Tatarami, nie mogli łatwo ich mowy zrozumieć. Różniła ich wielka odmienność dyalektu, a z rysów twarzy żadnego pobratymstwa między nimi nie można było wnioskować. Nadwołżańcy okrągłemi twarzami, wydatnemi policzkami, więcej by nawet przypominali Kałmuków niż Turkmenów. Wielu z nich mówi dość dobrze po moskiewsku, ale wielu wcale nie rozumie tego języka. Lud ten mocno jest zbudowany, zdrowy, krępy i przenosi na sobie ciężary wążące koło trzech centnarów. Jedzą za to niezmiernie i piją wiele. W czasie świąt swoich, które odbywają z hałasem, włączają się kupkami najobrzydliwiej pijani, łąją się między sobą po tatarsku i pożyczanemi z rosyjskiej mowy ostremi i dobitnemi wyrazami. Ton i melodie ich, żywcem są też same jak i u moskali, — odnoszą się do powinowactwa mongolskiego. Słyszałem jedną pieśń nabożną, bardzo zbliżoną do melodji łacińskiej litanji, śpiewanej w karmelitskich klasztorach.

Na oko lud ten mało jest rozwiniętym umysłowo, a daleko mu do sprytu, uczucia własnej godności i w ogóle do tego wypolerowania wschodniego, jakie posiadają Kaukazczycy. Ubiór ich ciężkiego jest kroju, składa się z długiego, białego płóciennego chałatu, kamizelki jaskrawej, podobnej do noszonej u nas dawniej przez żydów, koszuli długiej z krótkimi rękawami i z kapelusza białego. Dozorcy ich chodzili w kolorowych chałatach, krótszych i watowanych, i w czapkach baranich, podobnych do mazurskich, ale niskich i bez kokard.

Zastąpiłem tu także nadwołżańskich, czyli astrachańskich Kozaków, także różniących się bardzo od Kozaków kaukazskich z fizjonomji charakteru i zwyczajów, a nawet z nadanej im formy odzieży, ale wielce zbliżonych do Kozaków dońskich. W ubiorze z ostatniemi tem się różnią, że zamiast czerwonych noszą żółte wypustki i lampasy. Lud w ogóle rosły, zdrowy, a bywając wciąż na wodzie i poświęcając się rybolowstwu, zrobił się sprytnym do wiosła i łodzi, za to mniej przyzwyczajonym do konia. Wojsko to posiada oficerów więcej ukształconych, niż mi się zdarzało widzieć pomiędzy innymi kozakami. Pułków astrachańskich liczy się wszystkiego trzy, a ten który był w Pietrowsku, był zbiorowym czyli wybranym po trosze ze wszystkich. Odbywał tu służbę pieszą, wyręczając dwie kompanje linjowego bataljonu, wykomenderowane na przednią linją do Czyr-jurtu.

Po skończonej wojnie z Turcją polecono im wrócić do domów, oczekiwali więc przybycia parostatku, który miał ich zabrać. W jeden jasny dzień z południa ukazał się na morzu punkcik biały, który wyrósł w żagiel, pod żaglem zarysował się później statek.

Znowu po wznoszącym się dymie, poznano parostatek ciągnący za sobą barkę. Ale niewiadomo było, w jakim celu przybywa! Nadzieja Kozaków wzrastała a niepewność ich męczyła. Zbliżył się przecież parostatek, zatoczył poważne koło i z prującym powietrze piskiem wypuścił resztę pary.

Łódka rządowa odbiła od brzegu, powitała nowego gościa, a natomiast takąż, tylko strojnniejszą zmierzała od statku do brzegu. Na niej poznano wiosłarzy, byłych majtków Sewastopolskich i kilku oficerów. Lud jak procesja sunął się z ulic ku brzegowi, kupieckie statki salwowały rządowemu, przez wywieszenie flag, okolica przybrała suknię świąteczną.

Wyszedł z łodzi kapitan parostatku, wydobył pakiet zapieczętowany i wręczył czekającemu nań dowódcy kozaków. Ten rozpieczętował, przeczytał i wyrzekł do otaczających oficerów: „jedziemy”. Podchwycili to słowo kozacy z największą uciechą, ruszyli z miejsca do koszar, rzucali się sobie w objęcia, całowali się, płakali z radości, lub wyskakiwali by dzieci.

Patrząc na nich nie jeden z Polaków zachwiał się w swojej rezygnacji i oko mu łzą zaszło, bo i on miał rodzinę, a nawet dalej niż tamci. I on przywiązany był do domu, do ziemi swej, do drzew, do kamieni, do wody i powietrza, tak jak oni, a nadto zrosniętym był duchem z wielką ideą przeszłości i przyszłości pokoleń.

W parę godzin bawiący wówczas w Petrowsku ks. Orbeljan z swym sztabem i znakomitszemi damami, odprawił się na łódce do parostatku, a za powrotem kilka salw przeprowadzało do brzegu jenerała. Na drugi dzień z rana, kozaków już nie było w Petrowsku, prócz kilku pozostałych w szpitalu.

Mieszkańcy Petrowska składają się z dwóch głównie stanów: wojskowego i kupieckiego. Do pierwszych liczą rodziny oficerów i szeregowców, doktorów, urzędników szpitalnych, komisarjatskich i prowianckich, do drugich zaś handlarzy różnych towarów.

Petrowsk z swego społecznego ustroju, nie ma najmniejszego podobieństwa do miasteczek naszych, gdzie ludność rzemieślnicza, handlująca i rolnicza przeważnie w massie, bo chociaż tu w kilkunastu sklepach i kilku sklepikach widać kupczących Moskali, Żydów i Turkmenów, jednak osada ta jest czysto wojenną, bo i właścicielami domów są głównie tylko oficerowie i żonaci żołnierze. Ostatni mają dochód z wynajmowania pomieszczeń miejscowym oficerom lub osobom przybywającym w lecie do wód morskich. Cena mieszkania dla tych ostatnich podnosi się we dwójnasób i za jeden pokój

placi się miesięcznie po złp. 20 i 30. Prócz najmu mieszkań, żołnierze zajmują się furmankami. W razie służby mężów, żony ich jeżdżą przy okazjach do Szury, Ozenia, Czyr-jurta i dalej. Kobiety jeszcze zakupują u Turkmenów owoce, arbuzy, melony, winogrona, wypiekają bułki i kołaczki i sprzedają na bazarze. Dochód mają i z ziarn słoneczników, które niższa klasa w Rosji, w czasie gdy nie jest zajęta robotą, koniecznie gryść musi.

Pranie bielizny dostarcza niektórym żołnierzom pewny sposób utrzymania się.

Zresztą każdy żołnierz, a osobliwie zarobkujący z rzemiosła, w czasie swobodnym, niesie swój grosz ziomce, lub znajomej dla ucztunku. Te ucztunki bywają niekiedy zbyt i nie sprzyjają bynajmniej moralności. Moralną też, bez zarzutu żołnierzem niepodobna nawet spotkać.

Dowiedziawszy się o dwóch rodzinach żołnierskich z Ponadwiśla, uprosiłem poznanego tu podoficera Polaka, aby mnie do nich zaprowadził. Nie zastawszy jednych, poszliśmy do Franki.

Familijne domy żołnierskie nie nazywają na Kaukazie po imieniu lub nazwisku męża, lecz po imieniu żon, bo one głównie są przedstawicielkami i głowami rodzin. Mężowie niezależni od siebie, mają tylko tyle czasu, aby się przespać w domu przez parę lub kilka godzin.

Gdyśmy podchodzili do domu Franki, a była to niedziela i po obiedzie, głos skrzypiec uderzył o nasze uszy. Wygrywano kujawiaka. Mężczyźni silnie przytupywali w tańcu, wesołość panowała w całym zebraniu. Po pozdrowieniu towarzystwa, mój znajomy prosił grajka, żeby mu zagrał, jak się wyraził owego owczarka, co to tak opuszcza, kołysze i przytula do tancerek głowy poważnych kmieci naszych. Ale grajek odrzekł, że tylko dwa kujawiaki umie, bo on rodem aż z pod Kysej góry.

Tańczyli więc weseli dwa kujawiaki, a w zabawie tej przypominała by się karczma nasza, gdyby nie to, że na dziesięciu prawie chłopaków, jedna tylko była Franka, a i ta na wpół pijana, i nosząca na twarzy piętna rozpustnego życia. Wyszliśmy po życzeniu im przyjemnej zabawy, a mój towarzysz zamyslił się nad losem, który tysiące ludzi rzuca corocznie w ten odmet różnorodnego życia kaukaskiego i mięsza go z osadami moskiewskiego plugastwa.

Kiedy żołnierze Polacy bawią się przy skrzypcach i butelce, hasając sobie aż do zmęczenia, Moskale rozkoszują wyłącznie przy butelce, a gdy zaleją sobie mózgownice, śpiewają przez całe noce rozciągnięte swe pieśni. Oficerowie bawią się w szynkach i grywają w bilard.

Rodzin oficerskich jest z górą dwadzieścia; w stosunku do innych batalionów bardzo wiele, za to też towarzystwo ich jest miłsze, nawet mniej jest rozpusty niż gdzie indziej.

Oprócz wód morskich, Petrowsk posiada jeszcze o ćwierć mili za miastem, błota mineralne, sławne w swoich skutkach w leczeniu reumatyzmu, liszaj i skórnych cierpień. Żołnierzy i oficerów cierpiących na podobne choroby przysyłają tu z całej prowincji. Oprócz tego z błot korzystają wojska egzystujące w Petrowsku i w bliskich punktach, rodziny oficerów i urzędników i w ogóle mieszkańcy przesiedleni z Rosji i krajowcy.

Gdy słońce w czerwcu dostatecznie już ogrzeje błoto, rozbijają się koło niego namioty i straż wojskowa się sadowi, na wypadek potrzeby obrony od napadu górali.

W błocie gorącym nurzają się chorzy po samą szyję, a po godzinie, a nawet po dwóch oplókują się letnią wodą i wdziewają na się odzież ciepłą w namiocie, aby wiatr, ani raptowne zimno nie miało przystępu do ciała. Dla oficerów długi czas kopano dolki w namiotach

i narzucano błota, ale ta metoda zmienioną została. Krajowcy inaczej się leczą. Po wysiedzeniu się w błocie, zagrzebywali się w żółty obok leżący piasek, rozpalony promieniami słońca, a ostygnąwszy rzucali się w morze. Ten sposób przekazany im od dziada, pradziada, nie był przyjętym przez moskiewskich lekarzy, którzy po przyjęciu kilkunastu waniek błotnych, dopiero pozwalali używać kąpeli morskich, niektórym nawet po kilka razy na dzień.

To igrające jezioro Kaspjskie na dwie stopy wyższe od powierzchni morza Czarnego, które dla swej obszerności i dla słonej wody przezwane morzem, pochłania wiele ofiar, a osobliwie w początkach każdej wiosny i w jesieni. Corocznie słyszeć można o licznych nieszczęśliwych wypadkach z tymi, których burza zastała na skalistym morzu. Ale troska, powszedni kawał chleba, zmusza biednych żeglarzy, których tu nazywają Mazurami, do niebezpiecznych przedsięwzięć. Tysiące ludzi zajmuje się rybołówstwem, lub służy na kupieckich okrętach, przewożących z jednego brzegu na drugi zboże, żelazo, różne surowe produkty, albo wyrobione z nich przedmioty. Wciąż płyną statki z Astrachania, aby zabezpieczyć potrzeby bliższych morza wojsk na Kaukazie, a natomiast wywożą stąd materje jedwabne, kobierce, tytoń, niektóre owoce, marzanę do farbowania materji i t. p.

Od r. 1850 między Astrachaniem a wschodnim brzegiem Kaukazu, zaczęły perjodycznie kursować dwa pocztowe i pasażerskie statki.

Burza wielu mórz nie może się porównać z burliwością wód kaspjskich. Widok to straszny chociaż i wspaniały! Człowiek uśmierzyciel zwierząt, pan przestrzeni lądowych i wodnych, milczy niemy w obec wielkości przyrody, gdy mu ta swą moc zniszczenia okazał

W porcie tutejszym wystawionym na wiatry, strwożone statki, opuszczone przez marynarzy, kołyszą się pośród bałwanów pianistych, zrywają kotwice i uderzają o skały. Łamią się maszty, pękają liny i cała budowa kruszy się w okamgnieniu. Za chwilę szczątki statków toną w głębiach i wzlatają na szczyty bałwanów.

Po burzy zawsze na brzegu morskim zostaje masa ryb pokaleczonych lub pozabijanych!

POKORZE DAGESTANSKIE

CZEŚĆ TRZECIA.



CZĘŚĆ TRZECIA

POMORZE DAGESTAŃSKIE.

Lezginii. — Kumter-Kale. — Podanie o Piaskowej górze. — Pogrzeb Szamchala. — Zasadzka kapezugajska. — Tamir-Chan-Szura. — Kościół polski. — Iszkarty i groby podziemne. — Soliman-Bek. — Góry. — Pułk z górali. — Chaństwo mechtulińskie. — Wyprawa Moskali. — Okrucieństwa Łazarewa. — Widoki Pomorza. — Charakter ludu. — Umejstwo kajtachskie. — Wytepienie rodziny Umejów. — Walka szelagińska. — Derbent. — Pomniki dziejowe. — Cmentarze. — Bestużew. — Merliński. — Miejscowe zasługi Polaków i Polek. — Przystań morska. — Drogi, poczty i przeprawy przez Samur.

Już przed nami góry, właściwy Dagestan, zamieszkały przez Lezginów, między którymi osiadłe są i inne plemiona. Lezginii są tu bardzo dawnym ludem, którego przyjście w te strony należy do czasów, mrokiem przeszłości zasłoniętych. Lud ten nazywa się między sobą *Leksi*, podzielony jest na bardzo wiele plemion, rządzących się dawniej monarchicznie, albo według pojęć republikańskich.

Progiem z tej strony Dagestanu jest wieś Kumter-Kale, zbudowana nad wąwozem, w którym bystry ruczaj płynie. Jak każdego człowieka obejmuje wrażenie, gdy pierwszy raz puszcza się na przestwór morza, tak

również pierwsza podróż w góry unosi jego wyobraźnię, skupia ducha w sobie i nastraja go do nowych myśli, jakie mu się nigdy w życiu nie przesunęły. Na morzu głębie, w górach niedostępne szczyty upokarzają go i bądź co bądź szepcą mu o jego nicości w obec Boga, o nicości w obec natury i o rzeczywistych jego obowiązkach.

Kumter-Kale, niegdyś twierdza kamienna, wegetuje dziś życiem biernem, na równi z innymi aulami podbitego Dagestanu. W podaniach tylko miejscowych zachowuje pamięć swoich świetniejszych czasów i panowania swego. Jedno z tych podań, cechujące się charakterystycznością, a odnoszące się do złotopiaskowej góry, z drugiej strony wąwozu wznoszącej się, pozostało mi w pamięci.

W Kumter-Kale mieszkała niegdyś nadzwyczaj piękna sultanka, pani rozległego plemienia, wielbiona przez wielu rycerzy. Jednak nie każdy z nich ośmielał się o nią się dobijać, ledwo znalazło się dwóch takich, co swe zamiary i swą miłość wypowiedzieli. Ale serce sultanki nie mogło zrobić łatwego wyboru, bo obaj byli jednakowo piękni, obaj byli olbrzymami woli i ogromu ciała. Wyrwać drzewo z korzeniem, przetrzucić skalę z miejsca na miejsce, było dla nich zabawką. Rzekła więc do nich sultanka: „Bardzo się niepokoję nieurodzajem, jaki Bóg dopuścił w poddanym mi kraju. Dla braku deszczów i wogóle dla braku wody spadło to nieszczęście na ukochany mój lud. Temu więc z was oddam się, który mi w kraj ten sprowadzi wodę z bystrego Kojusu, co aż do zbytku użyźnia sąsiednią a nieprzyjazną mi awarską krainę.

Wyszli rycerze z zamku i dumali nad sposobami przyprowadzenia wody nowem korytem z awarskiej rzeki. Dumali i dumali. Potem jeden z nich udał się nad brzegi rzeki i rozcinał skalistą górę przy wsi Mijatki,

a drugi poszedł nad brzegi morza i nabrał w poły odzienia piasku złocistego z tą myślą, aby zatamować w jakimś miejscu dawny kierunek wody i zwrócić go w dziedzinę czarownej sultanki. Pierwszy rycerz wykonał prędzej swój pomysł; przeciął górę i spuścił wodę między nieznane jej wąwozy i na nowe doliny i upojony szczęściem, otrzymał rękę sultanki. Drugi, dowiedziawszy się o tem szczęściu współzawodnika, nie doniosłszy piasku do miejsca, z rozpaczą wytrząśł go blisko zamku sultanki. Gromada tego złocistego piasku uformowała dzisiaj na pół mili długą *Piaskową górę*.

W górach każda wieś, każde prawie pole ma swoje podanie, bo ma historję. Wszędzie są grobowce obrońców niepodległości, wszędzie pomniki zwycięstwa lub klęsk. Najnowsze dzieje z czasu podboju moskiewskiego, ileż to dostarczają nowych pereł do tej już tak drogiej skarbnicy ludowej!

Oto na drodze spotykamy Kapczugaj, wieś ubogą niewielką, w której przebywało ognisko kozaków i partyzantów moskiewskich, wybranych z apszerońskiego pułku, dla plądrowania okolicznych wąwozów. I ten nawet mizerny Kapczugaj zdobył sobie wspomnienie chlubne, które wyrosnąć może z czasem w olbrzymią bajkę narodową.

Było to przed wojną krymską, gdy górale pomyśleli ukarać tych partyzantów, trapiących dokoła mieszkańców. Zebrali się w parę set koni i ukryli się w wąwozie kapczugajskim. Kilku z nich podjechało ku wsi, napastowało pastuchów na polu i zabierało im owce na konie. Zrobił się alarm; cała sotnia kozaków wypadła na rabuśników, popędziła za nimi w głąb wąwozu i wpadła na przygotowaną zasadzkę. Ani jeden z kozaków nie wrócił prócz tego, który, mając chromego konia, nie zdążył za swoimi. Wszyscy w pień wycięci zostali, a broń i ładunki zabrane.

Podobnych potyczek, większego lub mniejszego znaczenia, ileż naliczyć można od Czarnego do Kaspijskiego morza! każdy rok, każdy miesiąc, a nawet każdy dzień, stawał się od wieków nowym epizodem w krwawym dramacie kaukaskim. Ale tam nie były tylko walki na pięście, prowadziły się i boje zasad wielkiej doniosłości na Wschodzie.

Jednym z wodzów tych walk o zasady był Abu-Muselim-chan, pan szamchalstwa tarkowskiego, przecięciowo szerokiego na dziesięć a długiego na dwadzieścia mil. Walczył z miurydami i ze swoją ludnością, chcąc przeprowadzić równość stanów; opierał się o Moskwę i kłonił do niej wszystkie domy chańskie, a głównie mechtuliński i awarski, jako z nim spowinowaczone.

Długie jego życie pełne było przejść dramatycznych, w których tak kierował rzeczy, aby z czasem zostać niezależnym władcą przy pomocy Turcji. Nie chciał więc oddawać i syna swego Szamsudina na wychowanie do Petersburga, choć o to bardzo był naglony; ledwo zgodził się na odesłanie go do Tyflisa. A nawet spostrzegłszy, że go namiestnictwo zbytami otacza, nie dozwalał mu i tam długiego pobytu.

Po zburzeniu przez miurydów w roku 1840 jego rezydencji *Tarki*, przeniósł on swoją siedzibę do aulu *Kafyrkumyk* za Kapczugajem, pod moskiewską fortecą Szurą.

Zbudował tam na stromej skale zamek kamienny, z jednej tylko strony przystępny. Ciągłymi wydatkami zubożony, przyjmował chętnie pensją jako generał-adjutant carskiej służby. Ubóstwo to rzucało się w oczy zwiedzającym zamek wewnątrz. Cały przepych stanowiło kilka sztuk dawnej broni, kilka pancerzy i szyszaków. Ugoszczenie też, jakie sprawił gościom moskiewskim, zawsze było bardzo skromne.

Umarł ten 70-letni starzec w drugim roku po wojnie krymskiej. Moskale z paradą i muzyką wystąpili do pogrzebu. Nieboszczyk owinięty był w worek cienki, wysyty z boków ozdobami i poniesiony na cmentarz. Rodzina cała i dom mechtuliński szła boso za marami, ze zwieszoną głową, w kożuchach wywróconych do góry wełną. Za chańskimi domami postępowali wassale i beki (szlachta) według stopnia godności i pierwszeństwa. Za nimi dopiero postępował cały tłum. Płaczki rwały włosy i kaleczyły sobie piersi aż do krwi. Gdy kondukt przyszedł już na cmentarz, czterej grabarze stali u dołu bez czapek, rąbali się kindzałami po głowach i piersi kaleczyli. Posadzono w grobie trupa twarzą na wschód i rozległ się płacz ogromny w całym tłumie, który się powiększył jeszcze przy zasypywaniu go ziemią. Na drugi dzień wyprowadzono ze stajni konia wierzchowca, należącego za życia do nieboszczyka i oprowadzono go po wsi z oberzniętymi uszami i z obciętym ogonem. Płaczki znowu godzinę płakały na grobie, co przez pół roku obowiązały spełniać, a nawet i wtedy wywodzić swoje narzekania, gdyby ktoś wspomniał Abu-Muselim-Chana.

Za Kafyr-Kumykiem pokazują się pomniki poległych Moskali, wał otaczający miasto, bramy warowne i ośm baszt, z których wyglądają działa spiżowe. Na wzniesionej zaś skale, nad urwiskiem, powiewa chorągiew forteczna i porusza się, gdy sprzyja pogoda, telegraf dający znaki do najbliższej forteczki. To *Temir-Chan-Szura*, a po polsku Żelazna chańska fabryka, dziś mająca żelazo na krajowców, ale go niewyrabiająca u siebie po wypędzeniu mieszkańców przez najazd.

Miejsce to, będąc długi czas sztab-kwaterą licznych wojsk i rezydencją Naczelnika sił zbrojnych w Dagestanie, bardzo prędko i ładnie się zbudowało. Wielu kup-

ców różnych narodowości tu osiadło i korzystnie wychodziło na handlu.

Książę Argutyński (Argutos), ormianin, po zwiedzeniu Europy w r. 1852, podziemnym kanałem sprowadził wodę do wnętrza twierdzy i osuszył zgniłe obok jezioro, które nabawiało ciągle załogę skorbutem i febrą. — Są tu cztery nowe kościoły, prawosławny, gregorjański, katolicki i mahometański. Najporządniej z nich był utrzymywany kościół katolicki, stojący na głównej ulicy, prowadzącej z rynku do publicznego ogrodu. Wybudowany on jest w czworobok z wielkimi oknami i z wieżyczką upiękzoną malowidłami, wyobrażającymi czterech ewangelistów. Napis nad wielkimi drzwiami wzięty jest z pisma św. „Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli, u Łukasza św. w r. 11”.

Do cmentarza kościelnego przylega ogródek z chatką o dwóch izbach; w jednej z nich mieści się służba kościelna, w drugiej biblioteka pism duchownych i świeckich, jakiej brak prawie wszystkim parafialnym kościołom u nas. Ogródek pielęgnowany od lat kilku osobistym staraniem kapelana i jego pensjonarek różnych wyznań, stał się miłą przechadzką dla ludzi, nie lubiących gwaru i pragnących odetchnąć czystem powietrzem, w cieniu winogrodu, powojów i topolek, wśród pięknych krzewów, tulipanów, gwoździków, astrów i innych kwiatów. Tu ksiądz Pruszkowski pozwolił się zbierać rodzinom, ale z tego pozwolenia korzystała tylko oficerska klasa; żołnierze zaś dla uniknięcia ciągłego czapkowania w swobodnym dla nich czasie, to jest w święta i niedziele, woleli przechadzać się po cmentarzu, wysadzonym również w trzy rzędy topolami i obsianym kwiatami pod parkanem i pod sztachetami, oddziałającymi cmentarz od ogródka. Po nabożeństwie tylko wyczekiwali zwykle w gromadzie przed frontem kościoła księdza dobrodzieja i, odpowiedziawszy mu na pochwalenie

„na wieki wieków amen”, udawali się gromadnie do ogródka i pili wodę ze studni, której żywioł uważali za uświęcony.

Obejrzyjmy wnętrze kościółka. Po kamiennych dwustopniowych wschodach wstępujemy przez drzwi olejno pomalowane do kruchty. W kruchcie widzimy przed sobą drzwi szklane, z lewej strony inne drewniane drzwi prowadzą na chór; z prawej strony w niszy stoi krzyż z wyobrażeniem Zbawiciela, kropielnica ze święconą wodą i puszka. W samym kościele nic smaku nie razi, nie krzyczy niestosownością. Ołtarz jest jeden. Nad nim obraz ukrzyżowanego Zbawiciela, wymalowany na murze przez ziomka Domagalskiego, któremu się zresztą prawie całe upiękzenie kościoła zawdzięcza. Nad Zbawicielem błyszczą wota srebrne i śliczny wizerunek Bolesnej Matki, oprawiony własnoręcznie przez porucznika Kalickiego, w srebrną sukienkę i w srebrne ramy. Z boków ołtarza nad dwojga drzwiami, prowadzącymi do zakrystji, niedawno jeszcze były wymalowane insygnia papieskie i biskupie, dziś na nich zawieszono obrazy św. Stanisława i św. Kazimierza. Pierwszy przysłany z Wilna, drugi wykonany przez Juljana Surzyckiego. Okna pozawieszane czerwonymi firankami, a w dnie żalobne czarnymi. Na murach między oknami mieszczą się wielkie obrazy apostołów i ewangelistów, a nad amboną wizerunek Piusa IX. Sufit upiękzony także malowidłami: nad wielkim ołtarzem umieszczone tablice Mojżesza i ewangelja, dalej ku chórowi na przeciw kazalnicy Duch św. w postaci gołąbka, na promieniach jasności którego promienia się języki. Między kolumnami, podpierającymi chór, umieszczony portret głównego fundatora generała Kluki-fou Klugenan, Węgry, zmarłego w r. 1847 nad Wisłą. U dołu zaś kolumn wypisany kolorowymi głoskami psalm 65 tłómaczenia Karpińskiego. Kilka pięknych i drogiej chorągwi, artystyczne urządzenie

ołtarza, przyczyniają jeszcze do miłego widoku wnętrza kościoła. Zakrytja co do wartości sprzętów i odzieży jest stosunkowo bogatą. Bo prócz dość drogiej kielichów, monstrancji, ampułek i t. d., warte były obejrzenia ornaty, stuly, narękawki, zapas firanek i przykrycia do kielicha. Robiły je Polki w Ojczyźnie i przysyłały tutaj na intencją swych ojców, mężów, braci lub synów. Ich dary były jedynymi oznakami sympatji, jakie odbieraliśmy z kraju.

W Temir-Chan-Szurze długo przebywała po powrocie z niewoli w r. 1855 branka Szamilowa, potomka królów gruzińskich, frejlina carowej, młoda wdowa po księciu Eljaszu Orbeljanie. Przybyła ona z Petersburga przez Tyflis z swym synkiem Jerzym i z księżniczką Baratówną także gruzinką.

Niewiasta ta, piękna i wyższego wykształcenia kobieta, zyskała sobie sympatję u ludzi, a jeden wypadek zjednał jej głęboki szacunek myślących ludzi.

Śród rozwoju demoralizacji powszechnej, Temir-Chan-Szura była gniazdem zepsucia, które jenerał Kluki-fou-Klugeman chciał nakryć jednym dachem i nazwać „domem rozpusty”. Musiał on mieć podstawę do takiego odezwania się o wszystkich familjach tamtejszych, gdyż mężowie i żony, prowadząc między sobą kłótnie, z różnych intryg wzrastające, nieraz wytaczali przed nim sprawę i prosili go o wyrok. Otóż i po tym naczelniku wojskowym już w dziesięć lat mieszkała w Szurze biedna rodzina urzędnicza, zaledwo mogąca się utrzymać. Na domiar biedy jedna z córek, młoda dziewczyna Katja, uczuła się matką, więc po długich tajemnych naradach domowych postanowiono, aby odstąpiła od swego macierzyństwa, a ofiarowała je swej matce. Dziecię ochrzczone zapisane zostało do ksiąg metrycznych jako siostra Katji i oddane na mamki.

Starsza siostra Katji, Aksenja, uległa wkrótce takiemuż samemu nieszczęściu. Rozgniewana matka wypędziła Aksenję za próg. Aksenja chodziła z domu do domu i prosiła, aby ją przyjęto do służby.

Jakże tu przyjąć *dworjankę*? każdy się zapytał, przyjąć jej nie chciał, chociaż niejeden obiecał jej dawać miesięczny zasilek. Kilka dni przebyła Aksenja u żołnierek, a gdy jej ostatnia kopiejka wyszła, postanowiła iść do księżnej Orbeljanowej. Gdy ją wpuszczono na pokoje, Aksenja upadła jej do nóg i ze łkaniem wyrzekła:

— O księżno! ratuj mnie podłą, matka mnie wypędziła, nie mam kąta na ziemi, zdradził mnie niegodziwiec.

— Dla czegoż cię zdradził? rzekła księżna.

— Bo niegodziwy, obalamucił mnie, przysięgał, że się ze mną ożeni, a teraz nie chce.

— To może ja ci pomogę, może ja mu wyperswaduję; nie płacz tak.

— O księżno, ja go nie chcę już, ja gardzę tym potworem, nie mogłabym z nim żyć.

— Więc przyjdź potem, ja się poradzę, a może ci w czem pomogę... każę cię zawołać.

Aksenja zabierała się do wyjścia i myślała gdzie pójdzie. Księżna zaś zapytała:

— A gdzie mieszkasz teraz?

— U żołnierek byłam, ale umieram ze wstydu, więc pojść siedzieć pod skałę.

— Poczekaj, rzekła księżna, ja się namyślę jeszcze... powiedz mi, dodała po chwili, czy nie znasz kogo, co by cię kochał?

— Znam takiego, kocha mnie N., junkier z artylerji, ale mu dowódzca baterji nie pozwala się żenić.

— A wyszłabyś za niego?

— O Boże, chętnie bym się zgodziła.

— A czy on wie o twojem położeniu?

— W płaczu powiedziałam mu wszystko.

— Więc zostań u mnie, dopóki cię za mąż nie wydam...

Księżna pomówiła z mężowskim bratem Grzegorzem Oberljanem, który po Arguhosie dowodził siłami wojennymi w Dagestanie, wytłómaczyła mu swój postępek i historją Marji Magdaleny, wpłynęła na dowódcę baterji, obmyśliła środki do utrzymania nowożeńców, przygotowała wyprawę ślubną, i w dwa tygodnie Aksenja została żoną junkra artylerji, który niebawem został oficerem. Postępek ten księżnej zdziwił ogół. Za wysoki to był czyn, aby go społeczność szuryńska ocenić mogła.

Na zachód o dwie mile od Szury zbudowany jest wysunięty ku większym góróm fort Iszkarty, miejsce ostatecznie zdobyte przez Moskali w roku 1843, a połączone z Szurą drogą przez dwa parowy prowadzącą i linją telegraficzną. Drogę tę osłania reduta wzniesiona na wysokim pagórku, gdzie zarazem mieści się i pośredniczący telegraf, który w czasie mgły nie mógł żadnej usługi oddawać. W czasie pogodnym codziennie podawał znaki przez wywieszenie latarni różnokolorowych, zawieszonych niżej lub wyżej, w nocy zaś latarnie te były oświetlone. Znaków wszystkich liczyło się dwadzieścia kilka, które zmieniały swoje znaczenie według umowy komendantów twierdz.

Okolica cała ogromnie została opustoszoną przez walczące strony. Lasy wytrzebione, wsie popalone i żadnego ruchu ludzkiego dokoła nie widać, prócz w dnie w które okazja przychodzi. Sklecone od niedawna na nowych miejscach trzy aule góralskie, świecą jeszcze biedą i zaledwo uprzytomniają się po utraconem mieniu swoim. Stan ten wydatnieje bardziej w jesiennej lub zimowej porze, gdy ziemia ogoloconą zostanie z trawy, gdy pożółkną drzewa i gdy strome wzgórza pokryją

śniegiem wierzchołki swoje. Wtedy bladawe promienie słońca, otoczonego sznátami poroździeranych chmur, wtorują posępnością swoją żalobie mieszkańców, a szelest skrzydeł wronich lub orlich szepce im do ucha wieść o długiej niedoli. Więc i oblicze górala smutne, zniechęcone i cierpkie. Serce jego łączy się z Szamilem, mus przykuwa go do Szamchała, służącego Moskwie.

Znałem Soliman-Beka ze wsi Sulejman-auł, który przeszedł potem do minrydów. Wskazując mi na Iszkarty, kiedym pierwszy raz tam się udawał:

— Zobacz, powiedział, co teraz tu jest. Jest tu fort moskiewski. A przed laty gdy ich tu nie było, był tu auł na pół mili długi. Był to szahał (miasto) bogaty i ludny. Wiele było w nim ulic i domów, a prawie wszystkie piętrowe. Dziś śladu tego nie ma, ani domów, ani ludzi, ani pięknych sadów, wszystko wycięte i obalone!... Źródła, które przodkowie nasi ocembrowali płytami kamiennymi, ugaszają pragnienie naszych nieprzyjaciół; ziemia, która rodziła wspaniałe czynary (buki), dziś płodzi dla nich kapustę.

— Powiedz, Sulejmanie, rzekłem, z jakich powodów były Iszkarty tak bogatemi, przecież to nie była żadna stolica wasza?

— Nie była stolica, ale był szahał handlowy. W nim kilkuset kupców mieszkało, a bogatych bardzo. Kilkaset sklepów, z kamienia szerokiego stawianych, i paręset składów przechowywało materjały handlowe, idące do Persji albo na północ. Żadna karawana nie mogła ominąć tego miejsca, bo tu była zamiana wszelkich towarów. A zresztą i z gór zwożono tu towary i zamieniano.

— A czy dzisiaj tutejsi mieszkańcy nie mają handlowych stosunków z górami?

— Mają ale pokryjome. Dozwolonych jarmarków bardzo jest mało, a odbywają się one pod gołem niebem, tam na zachód za Iszkartami, na tym szczycie, co

widzisz. Ludność się tam schodzi z dwóch stron granic i zamienia płótna, sukna, sól, skóry, czasem i zboże na burki, dywany i różne przedmioty.

— Ciekawy byłbym widzieć ten jarmark.

— O zapewne warto mu się przyjrzeć, bo na nim głównie robią porozumienia tajemne obu stron; ale też nie każdy życzący sobie, może się udawać na podobny jarmark. Nikomu z podejrzanych iść tam nie pozwalają, a każdemu wojkowemu to wzbronione, aby nie wywołać kłótni i bójki. Ale wartoby, żebyś tam był na owym szczycie. Z niego ujrzałbyś olbrzymie góry, jakich jeszcze nie widziałeś. Zobaczyłbyś zaraz u stóp swoich w wąwozie aul Gumry (Gimry), miejsce urodzenia zajmujących cię żywo, jak i mnie, Kazi-Mully i Szamila, i grób pierwszego.

— Czemu Moskale nie pokuszają się o to tak bliskie miejsce?

— Gimry były już dwukrotnie w ich ręku, ale powstania nowe wypędzały ich z tamąd. Wspomniałeś mi o kapitanie Begizardowie. Otóż on właśnie może opowiedzieć ci scenę, której był świadkiem, jaka się działa przy ostatnim powstaniu. Gdy Awarja cała wypędzała załogi najezdniczków i gdy zwycięzkie hufce biegły ku Gumrom, mieszkańcy aulu odezwali się do Urusów (Moskali), aby ich ziemię opuścili i nigdy nie wracali. Strwożone wrogi co prędzej zebraли się do marszu i właśnie zdążali po drodze ku Iszkartom, wdrapując się na górę po stromej, wąskiej a krętej ścieżce, gdy działo, które ze sobą mieli, utrudniało im tę ucieczkę. Gimryńscy sami pomogli im wyciągnąć z wąwozu owe działo i osłonili ich od niechybnej zguby. Górale myśleli tym czynem dać dowód swojego spokoju, ale wrogi z nich się śmieli potem, zabijali wszędzie każdego Giryjczyka, gdzie się im zdarzyło.

Przerwała się nasza rozmowa u bramy fortecznej. Od razu zwróciła moją uwagę czerstwość zdrowia załogi.

Iszkarty słynne były ze zdrowego klimatu, jako miejsce podniesione tylko o kilkaset stóp nad poziom morza i zasłonięte od gór śniegowych górami niższego rzędu. Wpływ na zdrowie przypisywano zarówno wodzie tutejszej, wielkimi strumieniami ze źródeł bijącej. Jedno duże źródło dostarcza zimną wodę nieco ługowato-siarczaną.

Opowiadania Solimana mocno mnie zajęły i ciekawie sprawdzałem na miejscu podanie o Iszkartach. Przekonałem się, że nie przesadnego mi nie mówił. Było to istotnie i jest miejsce wiekowych pamiątek, a oryginalnych w swoim rodzaju. Przy budowie fortecznych murów, przy stawianiu murowanych koszar, kopiąc fundamenta, kierujący robotami porucznik, Wacław Bobrowski natrafił pod zbużonym świeżo aulem, na stary aul, w całości zachowany. Wielkie koszta nie pozwalały mu obszerniejszych robić odkryć, ale i to, co spostrzegł, godne jest uwagi.

W jednym miejscu żołnierze, kopiący ziemię, uwiadomili Bobrowskiego, że natrafili na płaski kamień, pod którym za uderzeniem drąga próżnia się odzywa, i zapytali, co mają robić. Bobrowski kazał kamień okopać i podnieść. Żołnierze sądzili, że natrafili na jakie skarby zakopane, ale po podniesieniu kamienia, na płytę obrobionego, ujrzano sklep kamienny, głęboki na parę sążni, w którym z jednej strony u dołu znajdował się otwór. Wielu widzów się zbiegło z komendantem fortu i ze światłem spuszczonego do tej podziemnej kryjówki. Za otworem ujrzano sale, z których każda miała pięć sążni kwadratowych obwodu i każda była przykryta także płytami kamiennymi, długimi na sążeń, a szerokiemi na dwa łokcie, podpartymi słupami, wykutymi z kamienia. W salach tych, o dziwowisko! leżały koście, trupy, obok siebie położone; w jednej sali same dzieci leżały. Na rękach i na szyjach ich zachowały się wielkie

korale niekształtnie obrobione, szklane bransolety, koleczki, pierścienie, amaliowe roboty i łańcuszki, które odesłane zostały do Tyflisu, a część ich zabrał generał Jewdokimów.

W innych podziemnych budowlach poznajdowano stopy kościotrupów, pieniądze w naczyniach, rzymskie i nieznane; poznajdywano i późniejsze monety arabskie, perskie i pieczęć hebanową z napisem: L. Erksaju Kadi-Elbedowi*, rok mahometański 1248, więc niedawną. Kilkanaście sztuk z tych wykopalisk i skamieniałości ajamakińskich przywiózłem do kraju.

Na płytkim gruncie w całym forcie jest także pełno kości górali pomieszanych już z moskiewskimi. Na cmentarzu tym działa się tu rozpusta, jakiej nigdzie dostrzedz nie można było. Człowiek świeży, nie lubiący nurzać się w tym ścieku zwierzęcości, nieszczęśliwym był, jeżeli sam sobie nie wystarczył, bo tu rzadko kiedy znalazłby istotę, co by odpowiedziała usposobieniu jego duszy i serca.

W wąskich uliczkach fortu czuł się ścieśnionym, brak mu było powietrza, duszno mu się jakoś zrobiło w tej atmosferze, a domy, góry i chmury tłoczyły mu się na głowę. Jeżeli zaś chciał uciec od tego i wybiegł za bramę forteczną do ogrodu, nieraz spędzony ztamtąd bywał kulą zaczajonego gdzie bądź mściciela górali.

Powtórnie przebywając w Iszkartach w lecie 1856 roku i korzystając z półbataljonowego konwoju, ochraniającego kozłbiarzy pułku dagestańskiego, zaprosiłem Soliman-Beka do towarzyszenia mi do spustu gumryńskiego. Chętnie zgodził się na to góral i ze zdradzającym go ogromnem przywiązaniem do ziemi swej, okazywał mi po drodze miejsca, pamiętne krwawymi wydarzeniami.

— Ta pochyłość góry, opowiadał, którą wznosimy się, nazywa się po naszymu *Czapczach*. Tu wielokrotnie

były boje i utarczki, które Urusom, posiłkowanym siłą Szamchała na korzyść wypadły. Ale i po tych czasach tysiące ich znalazło tu grób. Widzisz oto na lewo kurhan, nazwany Moroskinych. Mógłbyś myśleć, że tam leży jaki wojak Moroskin. Wcale tak nie jest. Moroskin żołnierz zabił na tym kurhanie jelenia, i generał Jewdokimów od jego nazwiska kazał tak kurhan nazywać. Jednak pod nim leżą rzeczywiście dwie kompanie żołnierzy, przed kilku laty koszących tu siano, a których Gumryńcy ze sztabs-oficerem w pień wycięli. Widziałeś zapewne kurhan z lewej strony drogi jadąc, ze Szury do Iszkartów, nazwany karasjewym; tam zasadzka góralska wypadłszy z parowu, zabiła kupca Karasjewa z domownikami i uwiozła w góry ośmioletnią dziewczynę, którą wydano krewnemu jej kupcowi Azarowowi za kilka tysięcy rubli. A te słupy kamienne, co widzisz na Czapczachu porozrzucane, to są ludzie skamieniali, niezgodą kiedyś żyjący. Moźni oni byli za życia i zapaleni gniewem na siebie i wtedy, gdy nieprzyjaciel gór szedł z północy, pędzili oni jedni na drugich, by się pozabijać. Ziemia krwią bratnią już przesiąkła, przekłęła ich i zatrzymała skamieniałych zdala od siebie. Słupy te są ruchome. Zauważano, że gdy górale biorą przewagę, one się oddalają od siebie, a gdy nieprzyjaciel jest górą, one się zbliżają ku sobie.

Gdy stanęliśmy u szczytu wzniesienia, Soliman na znak podziwu masy gór, jedne na drugie wyrosłych, klasnął językiem i zawołał: „Allah!“ zsiadł z konia, rozesłał burkę, ukląkł na niej i długi czas przebywał zatopiony w modlitwie. Potem odtoczył od siodła dzbanuszek z wodą i odprawił namaz (omywanie). Wsiadł znów na konia i rozpatrywał się długo w górach i dolinach.

Co to za strona! rzekł do mnie. Doliny, auly, lasy, skały, góry. Za temi górami inne góry, na nich jeszcze

góry! Tu pod nami w kotlinie głębokiej nad burzliwym Kojusu są Gumry, a jakie warowne! Domy z kamieni stawiane, mury do koła z kilkoma basztami. Trudno Urusom teraz kusić się o Gumry... święte to miejsce, na niem bowiem objawił się cud po śmierci Kazi-Mully. Tego miejsca bronić będą nie tylko Gumruńcy, ale i cały kraj kojsubaliński, a ludności jest z ośm tysięcy.

— A tam dalej na zachód, za ziemią kojsubulińską, co to za góry widać? rzekłem.

— Tam, odrzekł, widać góry Andyjskie. Z południa ich siedzą Czeceńcy, a naib Duba broni najdzielniej kraju. Z północy siedzą Awarowie, bitne bardzo plemię, od którego okupywała się Gruzja, dając haracz rocznego po cztery tysiące tumenów, a Urusy dawali siedem, około 70.000 złr. — Ale Numot-Chan, lat temu 54, pokonanym został przez ostatnich, i hramota wasalsstwa wydana została następcy jego Ahmed-Chanowi. Miurydzi potem wytepli prawie do szczętu trzymającą się z wrogami rodzinę chańską i od lat 14 zajęli Awarją.

— Powiedz mi Solimanie, czy Awarowie są odmiennym plemieniem od innych Lezginów? Dla tego się pytam, bo w naszych frankistańskich krajach jest pamięć o Awarach, rozbitych przez Ugrów już temu trzynastcie wieków, zajmującą wówczas Panonią nad Dunajem i nad Gissą. W naszych księgach jest również wspomnienie, że inni Awarowie, naciśnięci później przez tureckie poruszenia, z nad Donu rzucili się w góry Kaukazkie.

— Ja nie wiem, jak było u was, rzekł Soliman, my tylko wiemy, że nas i ojców naszych Bóg stworzył na tej ziemi, którą od początku świata zajmujemy. Że u nas są różne języki i ludy, nie dziwnego, bo są i różne gwiazdy na niebie. Mowa awarska jest różna od naszej a nasza różna od kumuchskiej i od achtychskiej. Awa-

rowie mają dźwięki krtaniowe, przyklaskiwania językiem, prawie niepodobne dla nas do wymawiania, ale wiele ich i naszych wyrazów jest jednakich.

— Ale przecież i ze zwyczajów, z rysów twarzy i z popędu przyjaźnego można było to ocenić?

— Nie wiem, jak ci powiedzieć. Czasem co wieś to inny zwyczaj, a ty chcesz, aby kraj do kraju, ludzie do ludzi byli podobni.

To też gdy widzisz u nas ludzi śniadych, z czarnymi lub orzechowemi oczami, wielu z przyplaszczonemi nosami, między Awarami powszechnie zobaczyłbyś twarze białe, głowy duże, oczy orzechowe ale często i niebieskie, nosy ściągłe, podbródki długie, piersi szerokie, chód więcej zamaszysty jak nasz, energia żywsza od naszej. Jest ich z dziesięć tysięcy ludności, a do nich najwięcej zbliżeni mową i podobieństwem twarzy są Sulatawcy, także ze siedm tysięcy ludności mający, którzy tu na północ od Sulatu zajmują góry.

— Dla czego oni nie składają jednej krainy?

— Niezgody ich rozdzielały, dopóki wszystkich ich nie połączył wróg z północy. Wszelako dzielniejsi Awarowie gardzą nie raz z Czerkiejczyka i z Sałatawji. Nie raz dziewczyna awarska zaśpiewa:

„Ty ci nie masz oka,

A twój koń ogona.

Siodło na nim skrzypi,

A ty na nim tchórzysz.

Bóg dajby cię dotknął,

Bóg dajby cię zabił,

O czerkieski jeźdźcu!

Słuchałem uważnie Soliman-Beka, zawiesiwszy słuch swój na gwoździu uwagi, jak to się mówi na wschodzie,

tem bardziej, że była to dla mnie najsympatyczniejsza istota w okolicach Iszkartów. Choć stosunki nasze ograniczały się więcej na znajomości jak na przyjaźni, choć oba nie wyjawiliśmy uczuć naszych wydobywanych z głębi serca, i choć myśli nasze przykrywaliśmy tajemniczą tkanką osłony, jednak przeczuwałem w nim człowieka obowiązku...

— Słuchaj Matus-Beku, mówił do mnie jednego razu, ty mnie jeszcze nie dowierzasz, ale dowiesz się, że ja dobry człowiek.

Powróciliśmy ku wieczorowi do fortu; Soliman odprawivszy modlitwy i namaz, zaraz pojechał do Solejman-aułu. Księżycowa tarcza rzucała później blade światło na pochyły płacyn frontowy, a na mechtulińskim horyzoncie z południowo zachodniej strony paliło się niebo trzema długimi na milę pasami. Luna biła o stropy wyższych niebios i ubrała je w sukienkę blade różową. Widok nad widokami czy złudzenie!? Wybiegła ludność z domków, oficerowie, ich żony i dzieci i powiedzieli:

— Górale wypalają trawy na górach, aby lepiej rosły na rok przyszyły.

Później jeszcze po północy, żołnierz nad bramą północną czatujący, dał ognia do przemykającego się drogą jakiegoś jeźdźca. Zaalarmowana załoga stanęła pod broń, oczekiwała napadu, ale nic się nie stało. Jeździec samotny puścił się ku Gimrom, a w dwa tygodnie z hufcem Abreków (wychodźców) niepokoił drogę z Szur do Iszkartów. Tym jeźdźcem był Soliman-Bek.

Pierwsze z nim spotkanie mieli jeźdźcy pułku dagańskiego konno-nieregularnego, złożonego z samych wychodźców z gór. Zawiazkiem tego pułku byli mieszkańcy części aułu Czach, którzy rozbici i wypędzeni zostali przez Szamila w roku 1843 z ich domów obronnych. Nie ośmielając się wracać pod zarząd Ima-

ma, składali z początku dwie setki konnej Czochejskiej milicji, do której przyłączali się później i inni wychodźcy z gór. Jenerał Argutyński w roku 1852, po zatwierdzeniu swego projektu, uorganizował z tej milicji pułk nieregularny z płacą każdemu jeźdźcowi po 20 gr. dziennie na żywność i odzienie; a oficerowie wybierani z pomiędzy nich i z pomiędzy pułków moskiewskich, odbierali żołd zwyczajny, podwojony na Kaukazie. Mustra tego pułku odbywała się w języku turkomańskim, nazywanym zwykle tatarskim. Setni w pułku liczono sześć, ale nie zawsze były one kompletne, gdyż wielu z jeźdźców spodziewając się przebaczenia w górach za popełnione przewinienia, które były przyczyną ich ucieczki, wracali do domów nie tylko pojedynczo ale nawet gromadkami.

Z jeźdźcami w pułku obchodzono się bardzo względnie, tak dla przywiązania ich do strony moskiewskiej jak również ze względu na porywcość ich do zemsty.

Za większe przestępstwa, za odgróźki, za swarliwość i za hardość wysyłano ich do wojska w Moskwie rozlokowanego na lat 15 ze zwykłym zastrzeżeniem, że jako pochodzący z nieprzyjaźnych gór, po wysłużeniu przepisanej liczby lat, powinni być wysłani na osiedlenie do Syberji. Pułk ten miał sztab kwaterę swoją w Wielkim Dżengutaju w mechtulińskim chaństwie, sąsiadującym z tarkowskim szamchalstwem.

Dżengutaj jest rezydencją domu chańskiego, posiadającego tam wielki zamek. Dom ten jest bez żadnego politycznego znaczenia, osobliwie od czasu Ali Sultana, który przed wojną krymską w imieniu małoletniego Ibrahima-chana rządząc prowincją przez intrygi pułkownika Łazarewa został wygnany do Woroneża. Łazarew później, rządząc długi czas mechtulińskim chaństwem stał się straszną plagą dla tej krainy, za-

mieszkałej przez kilkotysięczną ludność, składającą niegdyś całość z tarkowskim szamchalstwem.

Kilka strasznych scen odmalował mi w ten sposób mój towarzysz wygnania Jan Chranicki.

We wrześniu 1854 r. po trzymiesięcznym obozowaniu na górach Kuliszy, wojsko rozeszło się na zimowe leże do rozmaitych aulów lub do swych sztab-kwater, drugi zaś bataljon apszeroński, do którego byłem przydzielony, przeznaczony był na zimę do pobliskiej wsi Kuliszy. Przez cały miesiąc spokój nasz niczem nie był naruszony, gdy pewnego wieczora dały się słyszeć strzały z działa, umieszczonego we wsi na wysokiej skale, panującej nad całą okolicą. Chwyciliśmy za broń, stanęliśmy na punkcie zbioru, a jeden z nukierów (przyboczny jeździec) Łazarewa przygalopował, aby nam służyć za przewodnika. Zaraz też pędem, ile sił starczyło, wbiegliśmy na dość stromą górę i po trzygodzinnym marszu dotarliśmy do gergebilskiego wąwozu. Rozstawiono czaty, a bataljon otrzymał rozkaz zachowania się w największej cichości. Noc była jasna, zimno okropne nam dokuczało, gdyż nikt w popłochu nie miał czasu pomyśleć o odzieży, a każdy wyszedł w czem był, albo w płaszczu albo w mundurze.

Po godzinie naszego zaczajenia się dał się słyszeć coraz bliżej tętent koni, a potem ogień z placówek. Znowu ogień się przerwał, a zaczęły się krzyki, których zrozumieć nie można było, gdyż górale i Moskale w niebogłosy razem wrzeszczeli. Kolumna poruszona naprzód zobaczyła ku wielkiemu zdziwieniu swemu 25 jeźdźców rozprawiających z trzema żołnierzami, domagających się widzenia z naczelnikiem oddziału i upominających stojących z boku żołnierzy, aby nie strzelali. Dowodzący bataljonem, kapitan Purgasów, kazał góralom zsiąść z koni i potem kazał im powrozami skrępować ręce. Jeńcy dowodzili, że nie są miurydami, ale milicją z pod-

ległego Moskałom aulu Ajmmaki i że wysłanymi zostali do pilnowania drogi kikuńskiej, którą mieli miuryci pędzić odbite tej nocy trzody z Kurach. Tłumaczenie to przyjęto za kłamstwo, uznano jeńców za nieprzyjaciół i traktowano ich po barbarzyńsku, a nad trzema rannymi pastwiono się. Nie szczędzono ani brutalskich wyrazów ani nahajek dla nieszczęśliwych, sobie nie szczędzono radości ze zwycięstwa i marzeń o krzyżach i stopniach, jakie spłyną z Petersburga. Jeden z jeńców silnie zbudowany, widząc nieludzkie obchodzenie się Moskali z jego towarzyszami, upomniał oficerów, aby powściągnęli żołnierzy, gdyż oskarży ich przed władzą. Słowa te jeńca uznano za bunt i jeszcze z większą wściekłością rzucano się na nieszczęśliwych, bijąc ich i kalecząc pałaszami, a osobliwie złość wywarło przeciw ich obrońcy. Praporszczyk Wasilkowskiej dał mu kilka ciec w kark i w plecy, drugi oficer Koryckoj tak silnie uderzył go w głowę podkówną z długimi gwoździemi, że uszkodził mu czaszkę. Jeniec przewrócił się w znak wydając bolesne jęki, a gdy ktoś uderzył go nahajką w twarz i wybił mu jedno oko, nieszczęśliwy porwał się w strasznym bólu, zerwał krępujący go rzemienny pasek i schwycił za nahajkę, którą go bito. Ruch ten uważano za wielki już bunt, kazano jeńca przekłuć bagnetem. Rozkaz zaraz wypełniony został przez jednego żołnierza i po godzinnej męce, brocząc we krwi, ofiara umarła. Moskale krzywo patrzali na tych, co prosili o łaskawsze obchodzenie się z góralami, i jeszcze zamordowali trzech ludzi, świeżo na drodze przez rezerwę złapanych. Dla wszystkich zamordowanych wykopano dół i pogrzebano ich na miejscu, a rannych i całych z tryumfem odprowadzono do Kutiszy.

Okazało się, że rzeczywiście jeńcy byli milicjantami ajmmakańskimi, więc kazał ich Łazarew puścić do domu i naśmiał się z omyłki Purgasowa.

Lazarew, satrapa na pół dziki, mający cząstkę Kaukazu pod swoim zarządem z prawem życia i śmierci, dopuszczał się okrucieństw, na jakie Moskwa łatwo zdobyć się może. Nie było tygodnia, w którymby nie padła jaka ofiara z jego rąk. Czynił to bez uniesienia się, owszem zachowując krew najzimniejszą. Obok jego domu było więzienie sekretne, w którym zwyczajnie pojmanych miurędów trzymano. Zwykle między 10 a 11 godziną zrana wychodził Lazarew ze swego mieszkania, otoczony kilku kozakami, posyłał jednego do więzienia, aby podoficer przysłał mu wskazanego więźnia. Gdy więzień stanął już, Lazarew przechadzał się koło niego, prowadził z nim nieraz całogodzinną rozmowę w tonie zupełnie poufalej gawędki, a gdy nieszczęśliwy rozjaśnił czoło, ciesząc się z dobrego usposobienia dla siebie okrutnego pułkownika, Lazarew, czekający na to, wykrzyknął wtedy do kozaków: „sto” albo „dwieście!” Sam wrócił do swego mieszkania, a kozacy ofiarę oprawiali z tyłu domu i wtrącali znowu do więzienia.

Niestety „dwieście” znaczyło nieraz zabicie na śmierć. Jednego z podobnych więźni kozacy porzucili za domem naczelnikowskim, a gdy jego jęki stłumione sprowadziły kilka lamentujących kobiet lezgińskich, rozpędzono je natychmiast i dopiero nazajutrz, gdy skołał, pozwolono im było zabrać ciało i pogrzebać. Niekiedy Lazarew sprowadziwszy więźnia przed siebie kazał go kozakom trzymać przy ścianie, a sam dobywszy parę pistoletów, które ciągle za pasem nosił, zabijał z własnych rąk biedaka. Drugie więzienie było wśród wsi, w którym trzymano podejrzanych mieszkańców o udział w przestępstwach politycznych. Raz gdym zastąpił na wartę, opowiadał J. Chr., spostrzegłem w więzieniu staruszka siwego bez zębów, leżącego na barłogu i wzywającego Boga na pomoc. Ponieważ nie dano mi szczegółowego

o nim polecenia, kazałem mu zdjąć kajdany z nóg opuchłych, za co nieszczęśliwy nie wiedział jak mi swą wdzięczność okazać.

Zaledwie zamknąłem drzwi więzienia, gdy żołnierz na zewnątrz wartujący dał znak, że idzie komendant. Po odraportowaniu mojem Lazarew kazał właśnie wyprowadzić z więzienia owego starca i pomówiwszy z nim kilka minut po turkomeńsku, uderzył go tak silnie w twarz, że staruszek się wywrócił i odsłonił swobodne nogi. Tego wypadku właśnie obawiałem się, bo Lazarew w uniesieniu zawołał:

— Jakto bez kajdan?

— Kazałem je zdjąć, pułkowniku, rzekłem, bo on jest chory i nogi ma opuchłe.

— Co ci do tego, krzyknął satrapa, a potem z przekąsem dodał: a wiem... pan *Płak* lituje się nad podobnym sobie buntownikiem. Zakłuj go!

Oslupiały stałem jak wryty w ziemię.

— Zakłój go bagnetem! — krzyknął znowu.

— Nie mogę, panie pułkowniku — rzekłem.

Nie wiem, na czym by się ta tragi-komedja skończyła, gdyby mnie nie był zastąpił obok stojący żołnierz, który podskoczywszy, tak silnie uderzył kolbą w piersi starca, że mu krew ustami się puściła i przygotował mu kilkodniową męczarnię, po której skołał..

Ileż by to w Dagestanie i w Czerni naliczyć można było Lazarewów, chociaż mniej wyrafinowanych morderców. Lecz nad nich wszystkich okrutniejszy był w Czeczeni generał kozacki Baklanów, a nad nich wszystkich znakomity generał Jermolów, najslawniejszy liberał moskiewski z nikołajewskich czasów, który przedsięwziął ludność w stronach, w których mu stawiono opór, i nabrzymał tyle nosów i uszów, że i do dziś dnia pamiętka tego rodzaju jego cywilizacyjnej misji na Kaukazie pozostała. Niejeden rozumiejący rzeczy na Kaukazie wołał:

Zachowaj Boże ludy od Moskali, a szczególnie od ich liberalów!!...

Górale prowadząc wojnę, gdy uczuli swą przewagę, wycinali nieraz do szczytu moskiewskie szeregi, lecz nigdy nie czynili tego podstępnie. Moskale przeciwnie nie raz otoczony hufiec góralski nakłonili do złożenia broni i potem dopiero bezbronnym ludzi mordowali. Jeden z takich wypadków stał się w chanacie mechtulińskim, w pobliżu Ibrahim Dady, gdzie około 200 ludzi z oddziału Dzemał-Eddina po złożeniu broni zakluto bagnietami w r. 1857.

Lecz na pewien czas odwrómy oczy od tych okropnych widowisk. Nowe krwawe sceny ujrzymy jeszcze później, gdy nam wypadki Kaukazu każą się im koniecznie przypatrzeć, aby poznać tak zwanych mieszkańców gór i tak zwanych ucywilizowanych Rosjan. Teraz zaś przypatrzmy się dalej nadbrzeżnym okolicom Kaspijskiego morza w Dagestanie, ich mieszkańcom i ludziom, co nad nimi panują.

Jedna z podróży w tych stronach przypadła mi w r. 1857 w miesiącu marcu, który zaczyna budzić martwą naturę do życia.

Podróże tu odbywały się drogą pocztową, zasłoniętą przedniemi fortami i licznymi wojskami od napadów wolnych górali, jednak liczne wypadki nieszczęść, spowodowanych przez partyzantów szamilowskich, były powodem do wielkiej ostrożności i konwojowania podróżnych przez dońskich kozaków. Nawet pocztamty postawiono we wsiach warowne, a każdy otoczony murem ze strzelnicami. Oprócz tych posterunków codziennie stała straż na starych basztach, po cyplach wzgórz porzucanych i strzegła bezpieczeństwa swoich stadnin na polach.

Pod tą zasłoną oracze pruli tłustą ziemię na rolach, pługami zaprzężonemi w cztery lub w pięć par

wołów, i posuwały się po drodze niekiedy ode wsi do wsi skrzypiące arby (wozy), wiozące albo przedmioty żywności, albo kobiety jadące do swych rodzin, tęsnących za niemi. Wtedy orszak konnych jeźdźców otaczał arbę i śpiewał improwizowane pieśni.

Wsie po tej drodze, czasem co mila, czasem co dwie, a nawet i co trzy mile są oddalone od siebie, ale prawie wszystkie mają zewnątrz malownicze widoki, zmieniające się w czasach mgły, dymów, w porze wschodu i zachodu słońca. Z nich najpiękniej się rysuje na tle wzgórz auł Gilli, odlęgły o trzy mile od Szury, a szczególnie Kara-Buda-Kent, który nawet w porze zimowej wydaje się bardzo strojnym. Gęstwa morwów, rozłożyste buki, wysoko rosłe topole wieńczą u spodu okrągłe wzgórze, na którem dokoła piętrzą się, w amfiteatr, wysokie, białe, kamienne domy. Na szczycie wzgórza stoi piękny meczet z wysokim, podniesionym ku chmurom minaretem, który jest pychą ludu Kara-Buda-Kęńskiego. Pomiedzy morwami i brzożami ze skał spadają w jedno koryto liczne strumienie źródlanej wody i wartko obracają kilka kół młyńskich.

Nad tą wodą zbierają się z aułu wolni od pracy ludzie na kiejf (spoczynek) i siadłszy z założonemi pod siebie nogami, dają zupełne wytchnienie ciału i duchowi, nie robiąc i nie myśląc. Po ocknieniu się z mile uspiionych funkcij życia strużą patyki przez całe godziny, słuchają opowieści starców o raju, o pięknych w świecie kobietach, o sławnych koniach i dalekonośnej broni. Tylko nie słyszą opowiadań o bohaterskich czynach wolnych górali, bo Szamchał tego zabronił a Sybir jest straszny!... Lecz w duszy każdego Lezgina jest nienawiść ukryta do sprawców jego smutnej niedoli i dosyć najmniejszej sposobności, aby ten ociążały na pierwsze wejrzzenie człowiek stał się najczynniejszą istotą.

o! Gdy w umyśle Lezgina osiedzie myśl, gdy piersi jego ogrzeje uczucie, staje się podobnym do burzy. Lubi słoty, zachmurzone niebo, wiatr ostry, a w zachwycenie wpada od nawałnicy, gradu, piorunów i podoba sobie w zniszczeniu. Wtedy nie zraża się pracą mechaniczną, jego duchowe wysilenie do zenitu sięga, strony uczucia jego wyciągają się do niebezpieczeństwa. Nieraz aby dojść do celu, Lezgin rujnuje siły swoje, nadwiera umysł, uczucie rozdziera mu duszę na szmaty i wtedy pada już i oddaje się znowu czasowemu lub wiecznemu kiejfowi.

Nad wodą jeszcze zbierają się dzieci i podrostki i bawią się w różne gry. Najczęściej szykują się w dwa hufce i kamieniami z luków puszczanymi i kindzałami wypędzają siebie z zajętych pozycji. Czasem trudno oderwać oczu, patrząc na dziatwę zacieklą do boju a ręczo wspinającą się na skały z chorągiewkami i z krzykiem i odnoszącą mniemany tryumf. Każdy z nich już trafnie strzela, na koniu siedzi jak przyszyty i każdy wprawiony do harców bojowych jak do tańca.

Nienawiść w tych dzieciach do Moskali jest już wcześniej rozwinięta i nieraz żołnierze na marszu byli we wsiach napastowani i bici kamieniami, małe dziewczątka, stojąc na dachu, pluły na nich. Z nich to wyrastali właśnie owi dzielni partyzanci, którzy jak lisy omijali niebezpieczeństwa, a jak wilki wpadali na wdzierających się do ich siedlisk Moskali.

Aul bujnacki stoi na granicy południowej Szamchalstwa tarkowskiego. Niegdyś do Bujnaków przybijały statki kupieckie, lecz po zburzeniu przez Moskali dolnej części aulu zaledwie łódka rybacka zawinęła tu do brzegu. W górnej części aulu zachował się jeszcze zamek, w którym długo przebywała odsunięta od łaski żona Szamchala Abu-Musselim-Chana. Przewiezienie jej do Turków nastąpiło dopiero po odbiciu jej z dziećmi

od Miurydów, którzy wobec rozłożonego w aule bataljonu Moskali cichaczem opanowali zamek w r 1846.

Za Bujnakami, do ziemi Kazi-Kamuchskiej z zachodu, do Tabassarani z południa i do morza Kaspijskiego ze wschodu przedstawia się nam kraj obfity w lasy i w coraz gęstsze wsie. Jest to *Kajtach* (Kajtak). Ludność mniej piękna niż w Szamchalstwie tarkowskim i jednolita. Mieszkańcy są przeważnie Turkmenami, ale wiele jest wsi czysto lezgińskich, a nawet żydowskich i arabskich. Moskale oprócz punktów pocztowych zajmują dwa ważne punkta na pograniczach t. j. w mieście Derbencie i w ufortyfikowanej osadzie *Iszcarty*, gdzie Julian Surzycki własnym staraniem zbudował katolicki kościółek.

Kraj ten ze stutysięczną ludnością kilkakrotnie już był w posiadaniu Moskali, a ostatni raz już od lat kilkudziesięciu w ich ręku pozostał. pomimo licznych wysień górali i powstań miejscowych do wypędzenia wrogów. Przed ostatniem przyjściem Moskali, Kajtach dzielił się na dwie osobne krainy; jedną składała część nadmorska zwana *Terekame* (Tercheme); drugą zaś część górzysta zwana Kara-Kajtach.

Terehemska kraina rządziła się monarchicznie i miała swoich chanów, nazywanych *ucemjami*, rezydujących w Barszli, pięknym aule, otoczonym wzgórzami, wielkimi sadami i winnicami.

Stosunki między ucemjami a podwładnymi w części były oparte na wzajemnej ufności, a każdy ucmej był wychowankiem ludu. Od dawna bowiem był zwyczaj, że ucmejskie dzieci płci męskiej oddawano do wychowania na wieś i każde z tych dzieci mając swego opiekuna, uważało się za członka jego familji i za krewnego jego krewnych.

Zwyczaj ten praktykujący się dawniej na Kaukazie najdłużej przetrwał u wolnych Czerkiesów. Po poddaniu

się ucmeja Mahmy w r. 1799, któremu Moskwa wyzna-
czyła roczną pensją 2000 rubli, Tercheme wkrótce uz-
nawało się znowu krainą niepodległą aż do r. 1820.

W tym czasie właśnie generał moskiewski ks. Ma-
datów przybył do Derbentu, wszedł w stosunki z ucme-
jem Adel-Chamem i namową i groźbą zmusił go do
lennictwa Moskwie i wymógł na nim oddanie na zakła-
dnika starszego syna jego Mahomet-Chana. Adel-Chana
miał jeszcze dwóch synów; Dżamow-Beka i Ustar-Chana.
Rodzona zaś siostra ucmeja była za stryjecznym ich
bratem Murtuzalim, który miał znowu czterech synów:
Bała-Chana, Emir-Chamzę, Bej-Bała-Beka i Eldar-Beka.
Moskwa, chcąc powaśnić całą rodzinę, porwała synowca
ucmeja Bała-Chana, wywiozła go do Sybiru i rozgłosiła,
że ucmej go oskarżył o nieprzychylność do rządu mos-
kiewskiego. Tymczasem Adel-Chan nie tylko nie był
szczerym lennikiem Moskwy, ale unikał wszelkich z nią
stosunków i syna, będącego w zakładzie w Derbencie,
skrycie namawiał do ucieczki. Moskale dowiedziawszy
się o tym projekcie, podwoili wartość przy zakładniku,
ale w następnym roku, aby potępić w obec rodziny
ucmeja, oddali mu syna jako nagrodę za usługi oddane
rządowi. Ucmej zaś, wydostawszy z rąk Moskali syna,
zabrał całą rodzinę swoją i wyniósł się w góry do
Awarji, gdzie Sultan Achmet przyjął go gościnnie i dał
mu w posiadanie wieś Balkany. Książę Madatów ode-
brał od niego list następującej treści:

„Nie sądzę, że ja przyjeżdżałem do Derbentu, aby
się uniazać przed tobą. Celem mego przyjazdu było wy-
rwać syna mego pierworodnego z rąk waszych i do-
kazałem tego. Teraz zabierz sobie moje posiadłości;
porzucam je, gdyż nie chcę mieć was nad sobą.“

Po usunięciu się Abdel-Chana władza ucmejska zo-
stała zniesiona, a rządy Kajtachu oddane synowcowi
jego Emir-Hamzie, bez tytułu ucmeja i pod nadzorem

Welikentskiego przystawa. Emir-Hamza, zupełnie oddany
Moskwie, biernie zarządzał krainą, a myślał tylko o zem-
ście nad Adel-Chanem za mniemaną zdradę brata swego
Bała-Chana. Lezgin zbiegły z Sybiru przyniósł mu je-
szcze od brata list proszący go o zemstę i wręczył mu
dwa krzemienie, co znaczyło konta (krew za krew).
Adel-Chan chciał się porozumieć z synowcem Emirem-
Hamza i zaproponował mu zjazd wspólny.

Emir z radością przyjął tę propozycję, naznaczył
miejsce widzenia się i w zemście za brata zdradliwie
zabił starego ucmeja. Przy Adel-Chanie będący syn jego
Mahomet-Chan, zabił znowu dwóch towarzyszy Emira
i ratował się ucieczką w góry.

Po śmierci Adel-Chana, rodzina Ucmeja wpadła
w niedostatek i przyprowadzona prawie do nędzy udała
się do Mehti-Szamchała Tarkowskiego z prośbą o wy-
jednanie u Moskwy swobodnego powrotu i zwrotu ma-
jątków.

Generał Jermolów pozwolił jej wrócić do swej ziemi,
ale dał jej w posiadanie tylko jedną wieś, której do-
choły były za szczupłe na utrzymanie ucmejskiej ro-
dziny.

W owym czasie (w r. 1823) przebywał w Kajtachu
sławny partyzant Abdula Bek, syn tabassarańskiego
kadjego. Cały Dagestan czuł jego siłę i z chlubą głosił
jego czyny. Jermolów nie mogąc go zwalczyć ani ująć,
naznaczył cenę na jego głowę. Mahomet-Chan, były
zakładnik, stojący na czele rodziny ucmejskiej, powziąwszy
zamiar przypodobania się jakim czynem Moskwie i uzy-
skać przez to jej względy, podjął się zgubić słynnego
partyzanta a upatrzawszy sposobną chwilę, wysadził go
prochem w powietrze z domem i z całą jego rodziną,
złożoną z 17 osób. Lecz otrzymawszy za to pieniężną
nagrodę, łask sobie żadnych nie wyjednał. — Gdy w końcu
1826 r. w wyprawie na Tabassarań przywodzący milicji

Emir-Hamza zginął, zarząd prowincją przeszedł na jego braci Bej-Bała-Beka i Eldar-Beka. Ich przychylność i całkowite oddanie się Moskwie sprawiło, że brat ich Bała-Chan uwolniony został z Syberji w r. 1831. Nie długo jednak cieszył się powrotem, gdyż po roku negle umarł, a za nim skończył życie i Mahomet-Chan.

Wówczas w Dagestanie słynęła z piękności Taszymat, córka Dżuni-Ubach-Beka. Eldar-Bek zakochał się w niej i ożenił się, poprzysięgłszy na koranie nie brać nigdy innej żony. Po śmierci Bej-Bała-Beka, cała kraina przeszła na Eldar-Beka, który, nie pamiętając na przysięgę, ożenił się z Pachu-Beki, wdową po bracie swoim, także słynącą z piękności i rozumu. Faszymat uciekła do domu, a bracia jej poprzysięgli zemstę. Nie czując się jednakże na siłach występować przeciw rządzący prowincji, udali się do Ustar-Chana, najmłodszego syna po Adel-Chanie.

Młodzieniec ten pomny na śmierć ojca swego z radością zgodził się na udzielenie im pomocy. Długo wyszukiwał zręczności spotkania się z Eldar-Bekiem, ale jej napotkać nie mógł. Przelamanie tej trudności wziął już na siebie przystaw Welikentski (komisarz moskiewski) zaprosiwszy w r. 1836 do wsi Welikentu obu zawziętych na siebie stryjecznych braci na święta wielkanocne pod pozorem powinszowania urzędowego.

Wobec licznego zbioru znakomitszych bekóld (szlachty) spotkali się przeciwnicy oko w oko i zemsta w nich zawrzała.

W wyprawionej rzezi zginęło 13 osób, ocalał tylko Bacham nukier (kozak) Ustar-Chana. Iskender-Bek, krewny Eldar-Beka, konając od ran, rzucił w konwulsyjnych drganiach kindżał w pułap i wbił go wedle podania miejscowego aż po samą rękojęść.

W krótkim czasie intrygami wymordowawszy prawie do szczytu ulemejską rodzinę, Moskwa ostatecznie

z ziemi tarchemskiej zrobiła powiat Derbentski, zostawiając ślady zarządu jednemu potomkowi całej rodziny Dżomow-Bekowi, mając go na baczności i używając go do knowań swoich przeciw Kara-Kajtachowi.

Moskwa nie cofała się przed żadnymi środkami, któreby ich panowanie rozszerzyć mogły. Środki te nazywała środkami politycznymi albo moralnym podbojem. W tym też względzie generał Passek pod tytułem: „Sposoby ułatwiające zdobycze oręża i środki moralnego podbicia (pokorenja)” przedstawił swe rady zaborcze i powiedział: „Siłą oręża można ukorzyć każdy kraj, lecz ukorzyć materialnie; moralne zaś ukorzenie, osobliwie dzikich plemion góralskich, którym obce są wszelkie nasze pojęcia o wygodach spokojnego bytu, powinno się odbywać środkami politycznymi. Jedynie podobne środki są wstanie złać (splawić) podbijających z pobitymi i ułatwić materialne ukorzenie.”

Moskwa nigdy nie nazywa zaboru kraju podbojem, lecz *upokorzeniem* przed carem, który jedynie prawowitym jest władcą na świecie. Wielu jeszcze żołnierzy nosi medale z napisem: „*Ukorzcie się narody, albowiem z nami Bóg.*”

Moskwa, okalając wojskami pobrzeże Dagestanu, zostawiła w długiej niezależności razem z Tabassaranią zachodni Kajtach (Kara-Kajtach), rządzący się prawami gminnymi. Chociaż krainy te nieraz przyjmowały hufce góralskie albo o własnych siłach broń podnosiły, były jakoby forytowane przez wrogów, i po zwycięstwie dopominając się tylko ich neutralności w obok toczonych walkach, traktowano z nimi jako z niepodległym ludem.

W roku 1838 zażądała jednak Moskwa lenności od Kara-Kajtachów i po opanowaniu głównego aulu Kara-Gurisz uzyskała *gramotę poddaństwa* z warunkiem aby Moskale nie utrzymywali załogi na ziemi wolnego Kajtachu.

Kraina, opłacając haracz, czekała sposobności do zrzucenia dotykającego już ją jarzma i wchodziła w tajemne stosunki z wolnymi góralami. W roku 1851 deputacja ludowa zażądała od agentów Szamilowskich pomocy wojennej, skarżąc się, że ani lud ani zebrania jego nie mają swobody. „Niegdyś”, mówiła ona, „nasze jazdy na Samsa były liczne, drogami od Wilikenta i od Medżalisa jechała rada narodowa; a teraz nie ma kogo słuchać, bo każdy boi się mówić. Niech więc przyjdą wojownicy z gór, a my poddamy się Szamilowi.” Huście wojowników z 200 ludzi złożony przyszedł w lutym r. 1852 i pod dowództwem Bug-Mahony zajął wieś Szelagi.

Moskale tymczasem nie dając się ufortyfikować góralom, po dwudziestodniowym boju w dwa tysiące ludzi zdobyli wieś, ogarniętą płomieniem, i wzięli do niewoli pływającego we krwi Bug-Mahomę. Jenerał Czaplic, bohater szelagiński a dawniej ostrołęcki, przystąpił do Bug-Mahomy, na noszach leżącego i wyrzucał mu żądę krwi:

— Czyż wy się nigdy nie uspokoiacie, rzekł, żeby aż w te strony przychodzić i narażać się na takie straty?

— Ja się już niedługo uspokoję, odrzekł góral.

— Uspokoisz się bo umrzesz, albo cię powieszę jako wychodźcę; ale po coś tu przychodził?

— A ty po coś tu przychodził?

— Mnie posłała władza.

— I mnie posłała władza.

Czaplic zamilkł.

Bug-Mahoma na trzeci dzień umarł w Derbencie i pochowany w tajemnym miejscu, a Kara-Kajtach odtąd już i cienia niepodległości nie zachował.

Główny trakt od Bujnaków przez Kajtach prowadzi w pobliżu morza do kończyn odnogi górskiej, wyrosłej w kierunku wschodnio-zachodnim.

Płaszczyzna éwierémilowa, oddzielająca górę od morza, zabudowana jest przez miasto ze starymi meczetami i z nową cerkwią, obwarowane wysokimi murami i olbrzymimi basztami, zbudowanymi z ogromnych kamieni.

Nad tem długiem a wązkim jak wstęga, bo średnio tylko 500 sążni szerokości mającem miastem, groźnie się wznosi cytadela, na której powiewa chorągiew z dwugłowym czarnym orłem. Nad brzegiem koszary obronne grożą miastu i morzu. To imponujące miasto, przecinające drogę nadmorską, Arabowie nazywali *Wab-ulab-wad*, brama bram, a Turcy *Temir-Kapysi*, żelazna brama.

Właściwie zaś nazywa się *Derbent*. Ludność miejscowa cała zajęta handlem, niecierpiąca wojen, składa się z 2000 głów. Urzędnicy z garnizonem powiększają ludność o drugie 2000.

Po olbrzymich murach miasta najciekawszym i najosobliwszym zabytkiem Derbentu są jeszcze szczątki muru, który miał być przeprowadzony przez grzbiety gór na 60 mil długości do górnej rzeki Alazań, gdzie teraz widne są szczątki zwalisk.

Rzeczywiście zaś istnieją dotąd mury na dwunastomilowej przestrzeni, opatrzone we wklęsłościach gór basztami, z których się jeszcze 43 zachowało.

W różnych punktach tego muru, nazwanego *Dag-bary*, czyli górnego muru a przeznaczonego do zaporu przeciw napadom północnych ludów na południowe prowincje, pozostały ślady wielu bram. Mury te wedle podania ludowego miał budować Iskender (Aleksander Macedoński), badania zaś dziejowe przypisują te prace synowi Sassanidskiego władcy Kabada, Nuszyrwanowi sprawiedliwemu w VI wieku.

Derbent od najdawniejszych czasów był punktem, o który się dobijały walczące strony, a od czasów Naszywana był zawsze rezydencją namiestników, którzy

czasem wylamywali się z pod władzy królów i głosili się niezależnymi chanami. Chazorowie, a potem Persowie wieki o te strony walczyli, nie dopuszczali Rzymian, a potem łamali hufce Arabów, Turków-Seldżuków i, dopóki sił im starczyło, sprzeciwiali się Moskwie. Ale najwięcej zachwiała się tu ich potęga przez wystąpienie Arabów. W r. 661 Ratiat-ul-Bali dostał się z wojskiem 40 tysięcznym pod Derbent, lecz spotkawszy tu połączone siły Greków i Chazarów, do szczętu pobitym został. W 23 lat potem nowe wyborowe siły, z 30 tysięcy wojska złożone pod wodzą Muslimeha zdobyły przecież nie tylko Derbent ale i całe podgórze południowego Dagestanu aż do Darjańskiego wąwozu. Po upadku Arabów Persowie, walcząc z Turkami, znowu zapanowali nad Derbentem i nad pogranicznymi ziemiami. W r. 1722 Piotr W. po obaleniu sił Szacha i Umeja kajtachskiego pod Bujnakami zajął to miasto, naznaczył Imana-Kuli-Beka namiestnikiem swoim z tytułem chana i z rangą jeneralską, ale potem Moskwa musiała się zrzec tych stron na rzecz Persji.

Oslabiona wojnami Persja, musiała znieść cierpliwie wylamanie się z pod władzy Szacha nie tylko Szeika (chana) derbentskiego, ale również bakińskiego i kobińskiego, co znowu ułatwiło Moskwie wtargnięcie w te strony. W r. 1796 jen. Zubów obległ Derbent z lądu i z morza i zmusił miasto do poddania się, a jen. Glazona zmusił w r. 1806 zwyciężonego Szeika Szych-Ali-Chana do ucieczki do Persji. Kilka późniejszych miejscowych poruszeń i wysilenia górali nie mogły już odebrać Derbentu z rąk Moskwy.

Oprócz murów miasto posiada wewnątrz jeden szczególnie ciekawy i piękny meczet-szyitski, przy którym gmachy piętrowe przez długi czas były przytułkiem kształcącej się młodzieży i uczącego ją duchowieństwa. Sławny jest jeszcze cmentarz derbentski (kirklar) poza

murami miasta, na którym się znajdują wielkie mausolea dla uczczenia czterdziestu męczenników muzułmańskich. Podanie mówi, że byli oni zamordowani przez chrześcijan. Zdaje się jednak, że grobowce te wystawili Arabowie swoim żołnierzom, poległym w walce z krajowcami, wypędzającymi ich z miasta. Do tych grobowców w pewne dni schodzą się ludzie z okolicy na modlitwy i, założwszy nogi pod siebie i złożwszy ręce na piersiach, patrząc w niebo lub spuszczać oczy ku ziemi, szepczą pacierze i czołem biją o ziemię. Nikt żadnego roztargnienia nie dojrzy na ich twarzy, i zdaje się, jakoby każdy z modlących się był w zachwyceniu. Muzułmanie modlącego się człowieka nigdy nie napadają, choćby był żydem lub chrześcijaninem.

Cmentarz prawosławny nie posiada dotąd żadnego historycznego pomnika, jednak jeden nagrobek z napisem „Żertwa lubwi“ (ofiara miłości) przypomina o pobycie tu moskiewskiego przestępcy politycznego z roku 1825, Bestużewa, który uwolniony z Syberji i zaliczony do wojska kaukaskiego, napisał śliczne ustępy o stronach tutejszych, kilkakrotnie wydane pod nazwą „Opisanja Kawkaza Marlinskawo.“ Nie był on jednak tym Bestużewem, o którym wspomina wieszcz Adam w wierszu swoim „Do braci Moskali.“

Gdy Bestużew dosłużył się rangi oficerskiej i przeznaczony był do garnizonowej artylerji w Derbencie, poznał i pokochał namiętnie córkę żołnierza, którą sam chciał wykształcić i ożenić się z nią. Koledzy, ceniący jego zdolności pisarskie i uważający związek takowy z dziewczyną, poprzednio źle się prowadzącą, za niewłaściwy, przedkładali mu niestosowność jego zamiarów. Gdy jednak te przedstawienia żadnego skutku nie odnosiły, koledzy, zmówiwszy się, zrobili zakład z Bestużewem, że mu dowiodą przeniewierstwa dziewczyny.

On utrzymywał inaczej. Po paru dniach najbliższy przyjaciel jego poprowadził go wieczorem do domu jednego z kolegów i przez szpary okienicy ukazał mu między innymi kobietami i interesującą Bestużewa dziewczyną, siedzącą przy stole biesiadniczym. Bestużew na ten widok straszonym gniewem zapalał, nie chciał wejść między biesiadników, lecz wrócił do domu i w niespokojności go pożerającej trawił długie godziny; potem nabił pistolety i, gdy usłyszał szelest sukni kobiecej za drzwiami, siadł na łóżku z pistoletem w rękę. Nieszczęśliwa dziewczyna ukazała się na progu, a widząc zmieszanego Bestużewa, zawołała.

— Co wam jest?

Bestużew zamiast odpowiedzi, kulą w głowę zadał jej śmiertelną ranę i sam poszedł do komendanta, oświadczając, że zabił niewierną mu dziewczynę. Zabójca osadzonym został na odwachu. Lecz ci, co byli przyczyną tej katastrofy, postanowili ocalić kolegę. I okazali, że pierwsze protokoły o zbrodni zostały zniszczone, a inne bardzo zręcznie na jego korzyść zostały podsunięte. Napisano, że nie Bestużew, ale dziewczyna w jego domu oglądając nieostrożnie pistolety, była powodem swojej śmierci; że umierając sama to w obec rodziców zeznała. Istotnie umówiona dziewczyna umierając tak zeznała za zgodą rodziców, których oficerowie uludzili pieniędzmi.

Na ten protokół tylko sam Bestużew nie chciał się zgodzić; ale gdy się dowiedział o podstępie kolegów, z których jeden zaprosił ją w jego imieniu, zgodził się już łatwo na fałszerstwo aktu i powodowany żalem wystawił swojej kochance kamienny pomnik.

Bestużew przeniesiony potem na służbę nad Czarne morze, wedle wspomnień Wojciecha Potockiego, zamie-

szczonych w Atheneum, w jednej bitwie z Czerkiesami został posiekany na kawały.

Moskale wewnątrz murów zaimprovizowali sobie dwa pomniki historyczne. Jednym z nich jest otwór w murze byłego zamku chańskiego a obecnie domu komendantskiego, który niby miał wykuć własnoręcznie Piotr Wielki, aby dogodniej mógł patrzeć na morze i wyglądać flotylli astrachańskiej, mającej go wesprzeć w działaniach przeciw południowym prowincjom Kaukazu.

Drugim pomnikiem została lepianka nad morzem, w której ten monarcha miał się niby zatrzymać, odwiedzając swój obóz.

Co do okna, trudno powiedzieć, czy dziwactwo Piotra rzeczywiście wydrażyło w zamku chańskim jaki otwór, bo i bez niego przez inne okna mógł dawać baczenie na ukazanie się marynarki.

Co do lepianki, śmiech i smutek ogarnia prawego człowieka, patrzącego na ludzi zmyślających historyczne kłamstwa i podrabiających fakta dziejowe. Tem smutniejszemi są te wymysły, że zawsze kosztują wiele pieniędzy i pracy. Gdy kapitan Herszelman przed przyjazdem carewicza w 1851 r. doniósł gubernatorowi Minkwitzowi o swoim ważnym odkryciu, — którego prawdziwości żaden z mieszkańców zaprzeczyć nie śmiał, bo nie żył za Piotra, gubernator kazał odświeżyć lepiankę, obwieść ją żelaznemi łańcuchami i przystawić ciąglą wartę wojskową. Strzeżenie tej lepianki najwięcej niecierpliwilo żołnierzy, z których w tym czasie było jeszcze kilku pamiętających, jak ją sami przed 20 laty stawiali wśród kapusty i ogórków na strażnicę dla ogrodników garnizonowych.

Moskałom nie chodziło o prawdę, ale o dowód dawności swego panowania nad Kaukazem!?

Spoleczeństwo derbenckie złożone z 2000 Persów, Turkomanów (Turkmenów), Ormian i Żydów i z 2000 rodzin urzędniczych i załogi moskiewskiej, nie przedstawiało między sobą żadnej solidarności. Pojęcia religijne i dążenia polityczne w różne strony je wiodły a w obecności powagi moskiewskiej, ludność innych narodowości oddawała się wyłącznie sadownictwu, handlowi i rzemiosłom. Za najwięcej mdłych na duchu, za najwięcej niewieściałych, uważano tu jak i w innych miastach ku południowi, przesiedleńców perskich. Całem ich zajęciem było zbieranie pieniędzy i pilnowanie żon swoich.

Załoga moskiewska w Derbencie była mniej rozpustną niż w innych fortach. Żony oficerów i urzędników były moralniejsze niż zwykle na Kaukazie. Może wpływ główny takiego odróżnienia się niewiast derbenckich należy przypisać jednej z naszych rodaczek, Z. S., która była przykładem poświęcenia się dla męża swego, wygnańca. Zaczęły popędy serca i jasne promienie cnoty tego anioła, błogo odbijały się na każdej z otaczających ją osób, a najprzód na Polce L. która zrodzona i wychowana na moskiewskiej ziemi, potrzebowała ojczywego tchu i owionienia, aby uniknęła kosmopolityzmu w dzisiejszem znaczeniu, aby stała się rzetelnym czynnikiem ludzkości. Pani L., nie zdobyła się jeszcze na wyższe pojęcia, na szersze zrozumienie obowiązków kobiety, jednakże moralnością swoją, świeżą a naiwną duszyczką potrafiła zjednać sobie sympatję prawych ludzi i również dać moskiewkom zacny przykład niewieściego postępowania.

Z przebywających tu Polaków, najwięcej trzech ludzi pozostawiło po sobie pamiątki i dobre wspomnienie u krajowców. Telesfor Szparkowski zbudował wiele gmachów w całej prowincji, Juljan Surzycki główny funda-

tor kościółka deszlagarskiego sprowadził z gór wodę do miasta i podał plan do zbudowania mostu na szerokiej i bystrej rzece Samur, Gerard Łohynowicz znajomością i poświęceniem się dla sztuki lekarskiej słynął w całym Dagestanie i po za obrębem tej krainy. Każdy chory oddawał mu się z wiarą, a nawet Turkomany i Persowie przekładali go często nad swoich chakimków (lekarzy). Wszyscy trzej podziwiani głównie byli przez mieszkańców z niesłychanej między Moskalami bezinteresowności.

Przed wieki brzeg morski Derbentu musiał być dalszy od miasta niż w teraźniejszych czasach. Dość daleko sięgające w morze przedłużenie murów obronnych, zamieniają te przypuszczenia w fakt rzeczywisty. Napływ ten morski ku Kaukazowi zmienić musiał znaczenie wielu portów, a między niemi i derbenckiego. W Derbencie zmiana ta wypadła szkodliwie, gdyż nadbrzeżne skały, dziś zalane wodą, stały się przeszkodą do przebywania statków i niebezpieczeństwem żeglarzy w czasie burzy morskiej. Książę Woronców w 1853 r. zwrócił uwagę na tę niedogodność i według planu kapitana Herszelmana, kazał zbudować nową przystań. Wykonane jednak roboty pierwsza burza jesienna rozbiła i więcej jeszcze niedogodnym port uczyniła.

Z produktów i wyrobów miejscowych najwięcej wysyłano do Astrachania i dalej Wołgą na Niżnij Nowgoród do Moskwy marzanę, tytoń, kawior, kobierce i jedwabne materje. Z Astrachania przywożono najwięcej mąkę żytnią dla wojska, cukier, herbatę, świece stearynowe, wyroby bawelniane, sukna polskie i rzeczy zbytkowne.

Jak niedogodnym jest port tutejszy dla statków, tak niegodziwe są wszelkie trakty łączące Derbent z innymi punktami Dagestanu i z południowymi prowincjami.

Jadąc do chaństwa kubińskiego, droga w wielu miejscach nawet rowami nie jest oznaczona. W czasie roztopów wiosennych i jesiennych liczne kałuże, topieliska, zaś w porze zimowej liczne wyboje, utrudniają podróż wozową i pieszą. Jazda pocztą w porze suchej odbywa się nadzwyczaj szybko. Woźnice ujęci datkiem, puszczają nieraz luźnie ogniste konie, trzymane w ciemnych stajniach i migiem przelatują dwu lub trzymilową przestrzeń.

Zwalniają tylko bieg koni spuszczać się ze wzgórza w parowy, a przeciwnie wjeżdżając na pagórki puszczają swobodnie lejce, i wykrzykami, przygwizdywaniem i smaganiem zachęcają konie do wytężenia ostatnich sił w biegu. Zdarzało się, że puszczone konie kurjerskie paromilową przestrzeń od stacji do stacji przebiegały galopem.

Wieś żydowsko-arabska Arbach i piękna wioska Kutar ze spacerowym ogrodem przy stacji pocztowej migają wtedy niepostrzeżone prawie. Szybkość jazdy, świeże powietrze zawiewające z rąbka lasów kajtachskich, napęla wyobraźnią myśli jadącego. Tak jeszcze i za Kutarem między gajami na gęstych mostkach, na częstych strumieniach aż do Samuru...

Rzeka Samur o 5 mil za Derbentem oddziela Kajtach od chaństwa kubińskiego. Nowy most na tej szerokiej a bystrej rzece stał się wielką dogodnością dla mieszkańców i dla podróżujących. Przez całe półwiekowe panowanie moskiewskie w tej okolicy, podróżni przebywając w bród rzekę, narażali się nieraz na utratę życia i mienia a zawsze na wielką stratę czasu. W porze letniej, gdy nastaje wezbranie wody, mieszkańcy okolicznych wiosek, zamiast służenia w milicji, obowiązani byli do wskazywania brodu i przeprowadzania poczt i transportów rządowych, a nadto do oddawania podobnych usług i prywatnym osobom, za pewnem wszakże wyna-

godzeniem. Przewoźnicy ci rozebrani do naga, opatrzeni w drągi, konno i pieszo otaczali wozy, zręcznie je podpierali przeciw biegowi wody i konie prowadzili za cugle. Bywały jednak wypadki że przewodnicy i podróżni razem tonęli. — Teraz to niebezpieczeństwo przecież usunięte!

TRANSYWO KUBIŃSKIE

CZEŚĆ CZWARTA.

CHAŃSTWO KUBIŃSKIE.

Widoki i klimat. — Gruzy starej Kuby. — Nowa Kuba. — Charakterystyka miasta. — L. Kociejowski. — Żydzi. — Rodzina potomków chanów bakińskich. — Kamiński, nauczyciel Achmeda. — Abbas-Kuli. — Aga, poeta perski. — Zamełcie Zeybeny i Thury. — Sprawa o grunta wiejskie. — Święto perskie. — Szach Hussejn. — Post mahometański. — Ramozan. — Osada Kusary. — Pułk Szyrwański. — Ogólna niemoralność. — Bractwo polskie. — Położenie Polaków. — Maniukin. — Książ Wasilczykow. — Wasili Holowińskiej. — Kradzieże urzędników. — Lezgiński obrzęd weselny w Chazrach. — Obrzęd sprowadzania chmur.

Stanąwszy na prawym brzegu Samuru, w chaństwie kubińskim, czyjeż serce nie zadrży uczuciem dziecka na widok wesołej natury, umiłującej się do stworzenia uśmiechem kwiecia, ścielącej mu się pod nogi cudną zielenią trawy i patrzącej nadzieją rozwitych krzewów i drzew liściastych!...

Jakież to rajskie te lasy dokoła! Nad dziesięciu rzeczkami, od zachodu do morza na wschód szybko płynąciami i nad stu prawie strumieniami spływająciami znowu do rzeczulek, rosną one w zbytkownem prawie

bogactwie. Obok wiekowych rozłożystych buków (czy narów) owiniętych chmielem, obok wspaniałych osin, którym na smugach przypatrują się najpiękniejsze róże, rosną pyszne wierzby, topole, morele, grusze, jabłonie, brzoskwinie, morwy, tereśnie, a między nimi jeszcze leszczyny, maliny, porzeczki. Jakby sady jakie, wyglądają te lasy w drugiej połowie maja, w kwietniu bowiem zaledwie wierzby rozwijają listki. Sąsiedztwo morza i bliskość gór śniegowych opóźnia rozwijanie się roślinności. W lasach tych, w trzcinach nad jeziorami i na południowym błonię przesuwają się huk zwierzyny. Już nie pojedynczo ale stadami przebiegają jelenie, sarny, dziki, zajace i płaczące się u wsi po nocach szakale.

Na polach wśród bagien nadmorskich i nad drzewami przelatuje mnóstwo ptactwa, a największa z niego ilość gołębi, bażantów i kaczek.

Ryb i olbrzymich raków, o jakież dostatek! Pastwiska szerokie wypasają nie tylko mniejsze stada koni, bydła i owiec, ale jeszcze wykarmiają w zimowej porze cały dobytek okolicznych górali... Lecz nie zazdrościmy tej ziemi, bo nie miała ona szczęścia. Dawniejszego najeźdźcę nowy najeźdźca wyganiał, a śmiertelna febra w niższych miejscowościach rok rocznie tysiącami zabijała ludzi.

Kamień pozostały od półczwarta wieku na cmentarzu wiejskim w Czychmazi, opowiada o pogrzebaniu tam w jednym roku pół tysiąca zmarłych. Liczne cmentarze po lasach świadczą o zniknięciu wielu starych siedzib ludzkich.

Za naszych też czasów wojna i mór niezmiernie wyniszczała ludność miejscową. Dla uniknięcia chorób wiele rodzin w czasie upałów wynosi się z nizin na góryste miejsca, a pozostałe przebywały całe dni w sadach i namiotach z wojłoków urządzonych. Górale ze

swemi stadninami w lecie wynosili się do swych magarów (gmin), a pozostałych śmiałków po większej części śmierć sprzątała.

Ostatniemi dopiero laty przekonano się o dwóch przyczynach tego moru. Pierwsza z nich jest: sąsiedztwo kilku jezior, które wysychają nagle przez rozkład ciał organicznych, zatruwają powietrze całej okolicy, drugą zaś, używanie do picia wody z kanałów, przyjmujących ścieki z kilkudniowych nawodnień pól ryżowych (czalhyków).

Zbadanie tego przedmiotu i podanie łatwych środków do usunięcia klęsk miejscowych należy się Leopoldowi Kociejowskiemu, Podolaninowi, który po długich latach przebywania w szeregach wojskowych za karę przestępstwa politycznego naznaczonym był na naczelnika powiatu kubińskiego. Stał się on tedy w wielu względach dobroczyńcą tej prowincji i zyskał uznanie całej ludności, która mu przy powrocie do kraju serdeczne, nieurzędowe złożyła podziękowanie.

Ziemia kubińska, stanowiąca niegdyś z ziemiami leżgińskimi jedność społeczną, z powodu swego topograficznego położenia będąc łatwiejszą do zdobycia niż góryste strony, była ciągle przez podbój odrywana i najdłużej zostawała pod przemocą Persów. Od Piotra W. gdy polityka moskiewska udając przyjaźne stosunki z szachami, protegowała odrywanie się od Persji prowincji kaukaskich i panowanie osobnych drobnych chanów, wtedy i ziemia kubińska w osobie rządcy perskiego uznała swego osobnego chana czyli szejka. Późniejsze niezadowolenie ludności z szejka Hussejna-Ali-Chana było powodem do powstania i wyzucia go z władzy. Moskale zaraz korzystali z tej sposobności i wśród domowej wojny, torując sobie przyszły zabór, protegowali orężem syna jego Fecht-Ali-Chana, który się dostał do władzy.

Za ostatniego szeika Ali-Chana, Moskale w r. 1796 przeszedłszy Derbent, znowu podburzali przeciw niemu brata jego Hassen-Chana i wsparli go w walce. Ali-Chan utracił władzę, po którą potem w dziesięć lat znowu sięgał, ale Moskale pokonali jego dziesięcioletni zastęp, a zdobywszy stolicę kraju Kubę, miasto handlowe i przemysłowe w gruzy je obrócili. Na gruzach tych zbudowawszy szańce, długi czas w nich przebywali, aż z powodu niezdrowego klimatu straszliwie tępiącego wojska, zmuszeni byli do przeniesienia się do nowej osady o trzy mile ku południowi, której nadali nazwę Nowej-Kuby.

Gdy obecnie na gruzach obwiedzionej murem starej Kuby, na układającej się warstwie ziemi, porasta bujny chwast i tworzy się coraz obszerniejsze gniazdo gadów i owadów, Nowa Kuba dorasta już 10 tysięcznej ludności.

Chociaż i ona już w r. 1837 powstała przeciw Moskalom, ale klęska prócz poległych w boju, ograniczyła się na 40 powieszonych na ulicach i na placach mieszkańców miasta.

Dzieci i wnuki tych ofiar, nazywanych szegidami (męczennikami), odkupują od rządu miejsca, na których ich przodkowie chwalebna śmierć ponieśli i placą za nie wygórowane ceny. Stawiają na tych miejscach budynki, przeznaczone dla oka na mieszkanie lub na sklepy handlowe, a rzeczywiście przekazane dla drogiej pamiątki przyszłemu pokoleniu.

Nowa Kuba zbudowana nad głębokim urwiskiem, w którym rzeka Kudjat-czaj (Kudinka) przerzyna się po gruncie usianym kamieniami, naniesionymi z gór bystrym pędem wody, wzrasta żywo, a swoją wschodnią postać stroi w suknie europejskie. — Przy ulicach wyprostowanych i wybrukowanych stają coraz nowe i ładne kamienice. — W r. 1845 kupiec Łazarew wybudował

ładny kościół Ormiański z domem dla duchowieństwa i na szkołę. Parę nowych meczetów murowanych zbudował T. Szpadkowski na miejsce dawniejszych drewnianych.

Projektowaną cerkiew prawosławną, na którą już sporo funduszków zbierano, pewno też już postawiono.

Szyici i Sunici, to jest Persowie i Turkmeni z Lezginami główną składają ludność.

Ormian liczy się kilkadziesiąt rodzin. Rodziny moskiewskie zajmują głównie mieszkania na przedmieściu połączonym teraz z miastem jednym okopem, od czasu kiedy wojna turecka zapowiadała działania na Kaukazie.

Za rzeką po za mostem u niższego jej lewego brzegu ukazuje się przedmieście nazwane słabodą żydowską i zamieszkałe przez samych żydów, różniących się od naszych odmienną zupełnie mową, która jest jakąś mieszaniną języka hebrajskiego z chaldejskim.

Kiedy mianowicie żydzi osiedlili się na Kaukazie, powieść tego nigdzie nie potrafią, świadectwa jednak historyczne wzmiankują, że w r. 720, za potęgi arabów, liczne ich tłumy jako niewolników przesiedlono na wschodni brzeg Czarnego morza do Lezgitanu. Prawie wszędzie żydzi kaukazcy zajęli się rolnictwem. W Kubie od niedawna jak i w innych miastach zaczęli próbować zarobku w handlu, przy Persach, jednak a osobliwie przy Ormianach podnieść się nie mogą. Wyjątki niektóre, jak Nazarewicz w Kubie lub Abraham-Ogły w Derbencie, którzy znaczniejsze kapitały po kilkadziesiąt tysięcy rubli wynoszące zebrali, są tylko szczegółowe.

Kubińscy żydzi, za rządów krajem Leopolda Kocijowskiego, pewni, że wykrycie ich funduszków nie narazi ich na żadne straty, odważyli się stawić porządne murowane domy, na miejsce dawniejszych lepianek. Za po-

przednich zarządów, nie tylko żydzi, ale wszyscy mieszkańcy miasta udawali zawsze biedniejszych niż istotnie byli, z obawy zdzierstwa urzędników, którzy pod rozmaitemi pozorami wyciskali z nich pieniądze. Partyzanci też miejscowi szarpiąc Moskwę starali się chwycić bogatszych ludzi dla wymożenia na nich znacznego okupu. Taki sam wypadek stał się z Nazarewiczem w r. 1851, ale odbitym był zaraz w lesie przez miejscową milicję.

Kuba będąc na wielkim trakcie, łączącym północ z południem, przedstawiała zawsze ruch znaczny na swych ulicach. Nie mówiąc o przechodzących nieraz wielkich karawanach, ze stu lub dwustu wielbłądów złożonych, — powiększających ruch ludności i straszących miejscowe konie, życie miasta samo przez się było czynne i oryginalne. Szewcy, krawcy, siodlarze, srebrnicy, kowale i inni rzemieślnicy, pracowali przy szeroko otwartych od ulicy podwojach, jednocześnie sprzedając swoje towary przechodniom. Obok nich cyrulicy golili łby; nauczyciele uczyli dzieci pisma i czytania, karcąc rzemieniem nieuków i nieuważnych; rzeźnicy opiekali szaszłyki (baraninę) dla smakoszów, piekarze piekli czureki (placki). Ognie do późnej nocy paliły się w sklepach, na chodnikach i na placach. Śród przechodniów przemykały się osłonięte czadrami niewiasty, niosąc zdrojową wodę na głowach lub na ramionach, w miedzianych lub cynowych dzbanach. Przed nimi i za nimi sunęły się olbrzymie bawoły lub górskie małosre woly, ciągnące naładowane skrzypiące arby, na wielkich niby młyńskich kołach. Na główniejszych ulicach nieraz derwisze czytali ulubione miejsca „Tysiąca nocy i jednej” i deklamowali z pamięci ustępy z perskich poetów, głosili wielkość cara na widok moskiewskiego urzędnika, a po jego odejściu język mu pokazywali.

Ci z mieszkańców, którzy nie mieli żadnego w mieście zajęcia, udawali się za bramy miejskie na cmentarz swojej sekty szyitskiej i sunitskiej. Ale szyici (Persi) w mieście przeważali, mieli mnóstwo ozdobnych sarkofagów, przeniesionych z ciałami zmarłych, z cmentarza staro-kubińskiego. Wielki nagrobek jakiegoś znakomitego męczennika (szegida) ściągał obok siebie pobożnych.

Mężczyźni znosili białe kamienie, aby przechodnie w nocy ciemne, zwracali oczy w tę stronę; kobiety na grobie szegida wieszały szmaty jako oznakę modlitwy. Cześć wszystkich dla szegidów jest niezmierna, bo wszyscy są pewni, że męczennik ginący za wiarę najniezawodniej dostaje się do raju, gdy ludzie najświętobliwszego życia mogą być jeszcze tyle winni przed Bogiem, że się raj zakrywa przed nimi. Krew przelana w walce z niewiernymi według muzułmanów gładzi wszystkie grzechy. Na świeżych grobach nie raz rozpaczliwe płacze i jęki niewiast smutkiem przejmują obecnych.

Obok cmentarzów rosną cieniste sady, niektóre z altanami a niektóre i z grzędami kwiatów, z których najczęściej gwoździków, lewkonji, rezedy, astrów, lupinów, skabiozów, maków, petanji i t. p.

W tych sadach nie raz muzyka przygrywa improwizacjom śpiewaków, nie raz ochotni do tańców wyskakują lezginkę, a żądający kiejfu (spoczynku) wylegają lub przesiadują całe godziny na murawie pod drzewami.

Najpiękniejsze sady posiada perskiego pochodzenia rodzina Bakichanów. Oprócz niej prawie nie ma w chaństwie, nazywanem teraz powiatem, wyższych rodzin beków (szlachty). Dawni chanowie i beki znikli, słudzy zaś ich i Ormianie zajęli ich miejsca.

Ojciec terażniejszej rodziny Bakichanów, był panem chaństwa bakińskiego pod imieniem Mirzy-Maho-

med-Chana II., który za opór wojskom moskiewskim w końcu zeszłego wieku podległ wydziedziczeniu z władzy i z dobr swoich. Uciekł wtedy do pokrewnego sobie domu chaństwa kubińskiego, w którym znaczny majątek przypadł na jego żonę. Obecnie Bakichanowie podzieleni na sześć familji, posiadają kilkanaście wielkich wsi dobrze zagospodarowanych i kilka domów w Kubie. Głową rodziny był najstarszy z pozostałych przy życiu braci, Dżafar-Kuli-Aga, w obecności którego bez jego zezwolenia żaden z jego braci nigdy usiąść się nie ośmielił. Wszyscy oni służyli w wojsku, mieli wyższe rangi i pobierali znaczne pensje. Jenerał Dżafar-Kuli-Aga, major Mustafa-Aga i rotmistrz leib-gwardji kozaczego pułku, przebywali długi czas w Polsce i wiele wspomnień z niej wynieśli.

Dżafar-Kuli-Aga wyjednał u wyższej władzy wyjątkowe pozwolenie dla szeregowca Władysława Kamińskiego, wykładania nauk najmłodszemu jego synowi Achmedowi. Gdy na wschodzie znaczenie nauczyciela jest wielkiej wagi, matka Achmedowa chciała osobiście poznać Kamińskiego. Przedstawiony więc nauczyciel oglądany z za kotary, ale nie widzący osoby, której był przedstawiony, usłyszał te wyrazy zdziwienia o sobie: — O jakież to szczupły i mały ten usta (uczony)!

Pamięć jej o nim była ciągła. Przysyłała mu prawie co dnia owoce i łakocie, a niekiedy jaką swoją drobną robótkę. Wywiadywała się o postępach syna, a temu kazała opowiadać czego się nauczył.

Urządzenie wnętrza domu jenerała bardzo mi się podobało. Gdy to zauważył w dobrym humorze, prosił mnie ze sobą do pokojów kobiecych, przy osobnym dziedzińcu umieszczonych, a w których przebywała żona jego z dwoma córkami i ze sługami. W uradowaniu myślałem, że przecież ja będę szczęśliwym i ujrzę zamknięte córki wschodu przy ich zwyczajnem zajęciu, czy

też zabawie. Niestety, Dżafar-Kuli-Aga wezwał je do wyjścia i w wielkim salonie, oszklonym z góry i z boku różnobarbnymi szybami i zwierciadłami, ujrzałem na tapczanach tylko rozrzucone roboty, a między niemi piękne, złotem i srebrem szyte poduszki, kapszuki, igły, napatki, nożyczki i różne przyrządy do roboty. Wielkie szklane drzwi otwarte były do ogrodu, w którym śród kwiatów szumiała woda bijąca z wodotrysku.

Musiałem się zadowolić i z tego, a przypadek zdarzył, że nazajutrz rano wychyliwszy się z piętrowego okna, ujrzałem obie córki jenerała w koszulkach, boso przechodzące przez ogród. Dziewczęta te, ani ich matka pisać i czytać nie umieją. Prawda, że i sam jenerał pieczętką się ratował od znajomości pisma. On wierny dawnemu przykazaniu zwyczajowemu, jako potomek chanów, zajęcie się pismem uważał za ublżenie swojej godności, mógł go używać jedynie tylko dla zabawki, dla siebie. Lecz gdy czasy się zmieniły, kazał Achmedowi poduczyć się nieco.

Dziwnem zdarzeniem najstarszy z tych braci, zmarły Abbas-Kuli-Aga, był nie tylko pismiennym ale uczonym nawet mężem. Jako człowiek fantazji i uczucia pisał poemata, jako człowiek badawczego umysłu, robił notaty historyczne o prowincjach sąsiednich. Nie gardził obcemi naukami, zwiedzał Turcję i Persję. Szach i sultan zadziwieni jego nauką obdarzyli go orderami *Lwa i Słońca i Nawtyhar*. W Petersburgu i w Warszawie nauczył się moskiewskiego i polskiego języka. Zasmakował w polskiej literaturze, sprowadzał sobie książki i nie na jednej liście prenumeratorem pism polskich wydawanych w Petersburgu, mieści się jego imię z dodatkiem: „poeta perski.“

Miał on dwie córki: Zejben-Nizę-Bajginá i Tuhre-Chamun. Przecież zwyczajowi miejscowemu, chcącemu, aby kobiety sztuki pisma nie posiadały, aby nie mogły

same żadnych korespondencji prowadzić, nauczył je czytać i pisać a nawet starszej Zejbena, chciwej nauki dał wyższe wykształcenie. Zejbena zna dobrze jeografię, stosunki międzynarodowe i nie jest fanatyczką. Przyjmując u siebie jedną rodzinę polską, zdumiała ją swemi wiadomościami o naszym kraju i swoim jasnym poglądem na rzeczy.

Abbas-Kuli nie znikł niepostrzeżenie między swymi. Miał wpływ na wielu, miał szacunek ogólny i jakowąś miłość, która przeszła aż na jego córki.

Nie dziw, bo jego pieśni przeszły do ksiąg derwiszów i achundów, którzy głosili jego imię, jako wybrańca mowy rajskiej.

Opowiadają, że podróżując, gdy zatrzymał się w mieście perskiem Ardehil i gdy wszedł do meczetu, usłyszał o sobie te słowa achunda:

— Teraz czytać będę wstawione pieśni w raju przebywającego, a przed wieki na ziemi naszej żyjącego, Abbasa-Kuli.

Achmund później czytał ustępy z zajęciem. Słuchacze podziwiali pieśni, unosili się i zapalali. Poeta widząc to zapłakał, a lud to spostrzegłszy zwrócił się ku niemu. Achund zaś zapytał go.

— Czego podróżniku płaczesz, gdyś z nami powinien pić słodycz mowy i pożywać pokarm wiedzy z tej książki?

— Ja płaczę ze szczęścia, rzekł poeta. Wy chwalcie tę księgę, a ja ją pisałem. Imię moje jest Abbas-Kuli, a jestem synem Mirzy-Mahomed-Chana.

Wyznanie to upojonemu pieśnią ludowi, wprawiło go w nowy zapal. Podróżny musiał w mieście dłużej zostać i był przedmiotem licznych owacji.

Wracając z Mekki w 1845 r., Abbas-Kuli zatrzymany przez muszeida, (naczelnika duchowieństwa szyit-

skiego), przy grobie jednego z szegidów, umarł i pochowany został w Bade-Tatma.

Ponieważ było we zwyczaju, że panujący chanowie z rodu perskiego, kazali sobie i członków swojej familji chować w miejscach świętych, przeto ciało poety, jak i zwłoki krewnych jego złożonych tymczasowo na kubińskim cmentarzu, oczekując przeniesienia do miasta Dedżeb, w prowincji bagdadzkiej, gdzie pochowany Ali, zięć Mahometa. Po śmierci Abbasa-Kuli, namiestnik kniaz Woroncow, przejeżdżając przez Kubę, rozpatrzył jego bibliotekę i rękopisma, zostające w czasie małoletności córek pod zarządem Dżafar-Kuli-Agi, a za kilka wyproszonych egzemplarzy, ofiarował dla żony generała kołczyki brylantowe, cenione na 800 rubli.

Doczekawszy pełnoletności starsza córka poety Zejbena, objęła w swój zarząd majątek ojcowski, nie oddzielając go jednak od dóbr Bakichańskich i z prawa pierwotstwa, przyjęła na siebie opiekę nad młodszą siostrą Tuhra. Stryjostwo Dżafar-Kulowie z powodów majątkowych, życzyli sobie połączyć je małżeństwem z ich synami Hassanem-Agą i Achmetem-Agą: lecz wykształcona Zejbena nie miała serca dla młodszego od siebie Hassana, wycieńczonego na zdrowiu i kompletnego niedołęgi umysłowego. Achmet więcej przypadł dla Tuhry. Przez baczność wszakże stryjostwa długi czas żadne swaty do bogatych dziewcząt dojść nie mogły.

Dopiero w 1857 r. rządca sąsiedniego chaństwa kiuryńskiego, Jushuf Bek, potrafił zgłosić się do Zejbeny, w zamiarze ożenienia z nią syna swego. Zejbena słysząc już wiele pochlebnego o tym młodzieńcu zgodziła się na przysłanie swatów.

Te tajemne umowy doszły do wiadomości całej rodziny i Dżafar-Kuli, jako stryj i głowa całej familji powiedział, że się temu będzie sprzeciwiał, że może ona nie wychodzić za jego syna, ale że nie powinna

domu swego łączyć węzłem familijnym z domem innego wyznania, że Jussuf-Bek jako sunita nie powinien także przyjmować do domu swego szyitki.

Cała liczna rodzina zerwała z Zejbena osobiste stosunki, nikt jej zamku nie zwiedzał; lecz za to widziano jak nieraz siwy starzec w białej sukni, przepasany białym pasem i w białej czapce, głowa miejscowego duchowieństwa, muszeid szeitów, Effendi-Hadzi, syn Effendego Ismaila, stukał nieraz do bramy i jak go do zamku wpuszczano.

Starzec ten napominał Zejbena, aby postępkiem swoim obraży Bogu, a sromu szyitom nie przynosiła. Przypominał jej prochy ojca, które się poruszają w Bada-Tatma na wieść bolesną, którą mu wiatry z lasów kubińskich przyniosą.

— Mój ojciec — rzekła Zejbena — był prawowierny, ale on mnie nauczał, abym nie miała nienawiści religijnej.

— A czy ty chcesz być mądrszą od swojej matki i od swojej babki, o perło domów chańskich — rzekł muszeid. — Górę twojej wiedzy, gdy Bóg zechce, wiatr rozproszy. Gałąź twoja, gdy się oderwie od drzewa szyitów, uschnie w górach kiuryńskich. Bądź roztropną!...

Wdanie się do tej sprawy muszeida pociągnęło za sobą zajęcie się nią całej, a najliczniejszej w mieście ludności szyitskiej. Zejbena tylko garstkę sunitów miała za sobą. Wszyscy z niecierpliwością czekali rozwiązania tego dramatu.

Dżafar-Kuli dowiedziawszy się o wysłaniu od Jussuf-Beka swatów i posłów z listami i podarkami, posłał przeciw nim swoich uzbrojonych dworzan i nawerbowanych zapaśników, z zapowiedzeniem, aby się nie ważyli wstępować do miasta.

Naprawdę w mieście mogła się łać krew i muszeid zawiadomił Zejbena o tem na co się zanoszą. Wieścią tą przeszył jej duszę.

Zejbena rozpuściła w smutku włosy, a pełna żalu i niechętna przelewowi krwi postanowiła iść tam, gdzie ją losy wiodą. Zaprosiła do siebie stryjenkę. Siadła przy niej na ziemi i płacząc przepraszała ją za swój upor. Prosiła aby się o nią nie bili.

— Ja wyrzekam się Jussuf-Bekowego syna, mówiła, ale przemieniecie koniecznie wojnę na spokój. Tuhra zgadza się być żoną Achmeda, a Hassan niech się ze mną żeni.

Posłów więc Jussuf-Beka dopuszczono tylko do mostu miejskiego i na jego listy odpisano listem odmownym.

Odbył się zaraz czorek-kesti (obrzęd zmowin). Wysłani poważni swatowie, na znak przyjęcia przez dziewicę oświadczeń młodzieńców, przynieśli od nich chleb i sól pobłogosławiony przez muszeida.

Szyici bardzo radzi byli z takiego rozwiązania sprawy, a szczególnie cieszyli się Dżafar-Kulowie. Rozbiegli się jego dworzanie po mieście, roznosząc miłą nowinę znakomitszym osobom, nie wyłączając i wyższych urzędników moskiewskich, zaco według zwyczaju nagrodzeni zostali. — Kilku gońców wysłano w okolice do beków, a poczta powiozła jeszcze listy zawiadamiające krewnych i przyjaciół w sąsiednich krainach, a nawet w Persji, o tym wypadku.

Wzajemnie wszyscy zawiadomieni w mieście, pospieszyli osobiście do Dżafar-Kulego z powinszowaniem tej radości: z Szemachy zaś, z Baku, z Szuszy, z Derbentu i z Teheranu nadeszły listy napojone szczęściem z tej okoliczności.

W parę tygodni odbył się nizan (zaręczyny) Tuhry. Zejbena chciała opóźnić swój ślub, aby jako zastępu-

jąca matkę dla młodszej siostry, najprzód jej losem zająć się mogła. Jej zaś nizan odbył się dopiero w kilka dni potem.

Achmet i Hassan przez posłów posłali swym narzeczonym pierścienie, szale i materje na suknie, które zostały przez nie przyjęte. Dżafar-Kuli ugaszczal u siebie znakomitszego stanowiska ludzi, a biedniejszych obdarowywał peszkieszami (podarkami). Rozdano przychodzącym 450 głów cukru, 1600 funtów karmelków i 500 dukatów pieniędzmi. Dla urzędników moskiewskich wykupiono wszystko szampańskie wino ze sklepów, oprócz likierów i znacznej ilości wina kachetyńskiego.

Muzyka grała przed domem jenerała, a improwizatorowie do północy śpiewali pieśni. Cały rynek oświecony Muminacją i fajerwerki sprowadziły tłum ciekawego ludu, który sprawiał nie mało zgiełku i wesołego hałasu.

Po weselu Tuhry Zejbena nieoczekiwanie odłożyła swoje zaślubiny na parę miesięcy.

W czasie gdy trwały te zabawy w Kubie, działy się dochodzące do bójek spory graniczne we wsiach nadmorskich, należących do rządu jako skonfiskowanych i do Ormianina Chazarowa. Spory te chciał załagodzić głowa duchowieństwa sunickiego Kadi-Nasir-Ulla i brat jego Efiendi-Asad-Ulla, ale te starania nie otrzymały żądanego skutku, z powodu uporu Chazarowa. L. Kocijowski zjechał sam na grunt, zaprosiwszy z sobą wspomnianych duchownych, a nie mogąc stron pojednać, żądał zeznania całych wsi pod ostrą przysięgą, którą Nasir-Ulla ułożył w meczecie karadzallachskim. Przysięgający przy podniesieniu ręki powtarzali słowa następujące:

„Ja niżej podpisany wedle czystości mego jestestwa, klnę się na rozdziale strasznej przysięgi Fi-fi-rydzal, wypisanej w księdze Boga wszechmogącego, że według

powinności dam najsprawiedliwsze odpowiedzi na zadane mi pytania. Gdybym zaś wbrew przysięgi mojej stał się pobłażliwym dla jednej ze stron, w takim razie poddaję się karze oznaczonej dla krzywoprzysięzców. A na dowód sprawiedliwości moich odpowiedzi, całuję słowa koranu, w tej myśli, abym na strasznym sądzie mógł pragnąć i abym godzien był należeć do liczby rzetelnych (wybranych) ludzi.“

Poczem przysięgający dotykali czołem koranu na znak czci i całowali go.

Nim lud wezwany został do zeznań, Nasir-Ulla srogo upomniał miejscowego mullę, za widoczny brak jego staranności o meczet.

Mulla tłumaczył się, że dziesięciny regularnie nie odbiera i że ludność pokazuje mniejsze niż ma rzeczywiście dochody.

Nasir-Ulla zapytał dla czego tak robią.

— Dla trudnych czasów, odpowiedzieli.

— Trudne czasy nadeszły, odrzekł Nasir, boście nagrzeszyli i o meczetach nic nie pamiętali, ani o wdowach, ani o sierotach. Dawniej ptaki na naszych minaretach znajdowały sobie ziarno przez rolników niesione, a teraz odmawiacie dziesięciny, nakazanej przez koran. Czy obiecujecie iść za głosem proroka?

Schylili się ludzie, czyniąc ukłon Nasirovi, całowali jego szaty i suknie brata jego.

Sprawa graniczna po kilkudniowej pracy, mogła być tylko czasowo załagodzona.

Muzułmanie oprócz dni piątkowych obchodzą jeszcze uroczystości kilka świąt do roku, na pamiątkę ważnych wypadków religijnych. Twierdzą, że Mahomet wybrał piątkowy dzień na odpoczynek, dla wyróżnienia świąt wiary swojej od żydowskich i chrześcijańskich. Mahometanie zaś powiadają, że święcą piątki dla tego, że je i prorok święcił, że on i Ali urodzili się w piątek, że

Jezus z Nazaretu w ten dzień, na półtóry godziny zatrzymał słońce i że nareszcie w piątek nastąpi wielki dzień sądu Bożego.

Jeżeli ważne są święta *arbain* jako dni wzajemnego sobie przebaczenia win; święta *Eid - i' - maulad* jako dni podawania biednym pomocy i jałmużny; święta *Biza* i *Barata* jako dni zaduszek, w które wieczorami modli się duchowieństwo z ludem na cmentarzach; najdłuższe są jednak obchody świąt *Mucharrema*, *Safara* i *Ramazana*. Pierwszy z tych obchodów religijnych poświęcony jest u szytów nowemu latu duchownemu i pamięci męczeństwa Hussejna, syna Alego i Fatymy córki Mahometa.

Podanie mówi, że Hussejn urodził się w 4. roku chidzry, po sześciomiesięcznej brzemienności Fatymy; że cud ten oznaczył wyższość Hussejna, który wyprzedził wszystkie dzieci, mające się z nim razem narodzić; że w jego dzieciństwie anioł Gabryjel przepowiedział mu śmierć męczeńską i że z tego powodu całe życie był smutny.

Hussejn miał 8 lat, gdy umarł Mahomet, a 38 lat, gdy jego ojciec Ali był zabity. Pozostałe życie Hussejna przez ciąg 20-letni, przeszło spokojnie przy kalifacie Moowiego; lecz następca i syn tego ostatniego Jezyd powstał przeciw całej familji Mahometa i przeciw jego nauce. Wysłał on rozkaz do Medyny, gdzie się znajdował Hussejn, ażeby go zabić i tym sposobem zabezpieczyć się na kalifacie. Hussejn usłyszawszy o tym rozkazie, uciekł do Mekki z Abdullą synem Zabajra i ogłosił się przeciw Jezydowi. Mieszkańcy miasta Kufy, po większej części wyznawcy Alego, dowiedziawszy się o prześladowaniu Jezydowem, zaprosili do siebie Hussejna, w zamiarze ogłoszenia go kalifem. Hussejn w gronie swej rodziny, krewnych i sług i małego oddziału Arabów dażył do nich przez pustynię, między Kuffą

a Mekką. Jezyd posłał przeciw niemu wodza Obejdallę z wojskiem, do którego przyłączyły się inne oddziały, baczące na przejazd Hussejna. Obejdallo przeciął mu drogę od strony Chaldei, a potem otoczył go w 10 tysięcy jeźdźców we wsi Kerbała, i zwyciężył go po 10 dniowej walce w 10 dzień Mucharrema, 61 roku chidzry czyli 773 r. po Chr. Głowę Hussejna, którą się z nągrawaniem nabawił Jezyd, pozwolił on odwieźć i pochować w Damaszku. Głowę tę następnie przewieziono do Askalonu w Palestynie, a nareszcie do Kairu, gdzie była złożona w nowym meczecie Maszech-Hussejn.

Wypadek ten historyczny, połączony z fantastycznymi podaniami, stworzył u Persów religijną dramę, która się corocznie w święta Mucharem w meczetach odbywa, a nadto zrodził krwawe obchody religijne, które jeszcze w Kubie i Szemarze zamieszkałej przez Persów, dotąd są praktykowane, a nazwane Szach-Hussejn. Po spokojnym dniu letnim miasto wieczorem zamienia się w obozowisko ludu. Płoną pochodnie i pęki smolnych szmat; rozlega się szum przechadzającego się wszędzie ludu, grzmot bębnow i pękanie rakiet, brzmia dzikie krzyki i wznosi się gęsty dym smoły. W każdej części miasta, wśród pochodni formują się koła prawowiernych, trzymających się jedną ręką za pas sąsiada, a drugą trzymając podniesioną do góry z kijem, dla wymierzania sobie ciosów. Taniec kołowy odbywa się w podskokach naprzód, w tył i bok, którym takt oznacza huk bębnow i dźwięk mosiężnych talerzyków. Przy każdym skoku dają się słyszeć wykrzykniki; „Ach Hussejn, waj Hussejn!“ albo: „Aga Iman, Aga Iman!“ albo: „Ali-dżan, Ali-dżan!“ (ach Hussejnie, ach Hussejnie! panie Imanie, panie Imanie! Ali-duszo, Ali-duszo!)

Dobosze i muzycy ubrani wtedy po arlekińsku (fokkebar).

Na dwóch placach stanęły ołtarze, upiękzone kobiercami, aksamitnymi i jedwabnymi materjami, zwierciadłami i błyskotnymi talerzami.

Okolo jednego z nich stanęło koło pokutników młodych, zadających sobie razy w głowę kijami (kilbazy), innych zaś kindżałami lub kamieniami (senyzeny). Okolo drugiego obchodziło koło obnarzonych po pas młodzieńców, bijących się pięściami w piersi (sinezem). Derwisze jednym i drugim czytali w przestankach modlitwy z koranu i śpiewali hymny: Mułlowie zaś zagrzewali do silnych uderzeń i przypominali o wielkich przewinieniach pokutników.

Dziki i straszny jest ten obrząd, powtarzany co wieczór przez dziewięć dni; ale jest on tylko przygotowaniem do dnia ostatniego Mucharremu, w którym dreszcz przejmuje, patrząc na straszne pastwienie się ludzi nad sobą samymi! Już od rana całe miasto jest na nogach. Wojsko jest w pogotowiu, patrole się kręcą.

Wszystkie kobiety szyitki, jedyny raz na rok zrzucają z siebie zasłony i siedząc na płaskich dachach i na gankach, przypatrują się obrzędowi. Z meczetów wychodzą procesje ludzi, we dwa szeregi uformowanych, a obnarzonych z odzieży, z obuwia i bez czapek. Mają na sobie tylko opaski pokrywające biodra. Ludzie ci postępują zwolna w takt bębnów i przy odgłosach: „Szach-Hussejn, waj Hussejn“ siekali się kindżałami po głowie. Krew strumieniami spływała po całym ciele i zaskrzepiała się w plastry lub taśmy. Wszyscy byli zbladli od cierpień. Zniemożenie szczególniej dotykało tych, co po odparzeniu ciała włazniach pokrajali je na piersiach, plecach i pozatykali kindżały, kłódki żelazne i łańcuszki. Szli oni ostrożnie bez skoków, posuwając zaledwie nogi śród morderczych bólów i ubiegłej krwi. Równie straszny był widok tych jeszcze, co tłukąc się

pięściami, poodbijali sobie piersi krwią nasze i wyrosły na dwa wielkie wrzody. Procesje takie, chodząc po mieście, mają pomiędzy sobą osoby wyobrażające Hussejną, posłańca jego Chusa, dzieci, krewnych i przyjaciół Hussejny. Dzieci niesione są na tronach pod baldachimami purpurowymi, złotem błyszczącymi. Tysiące dukatów nanizanych na jedwabne sznurki, ozdabiają świetną lektykę. Chłopcy i dziewczątka ubrane jak najpyszniej, po królewsku, wybierają się z najdorodniejszych z całej okolicy. Chłopcy w czalmach mając przed sobą na kolanach otwartą księgę koranu, zdają się być zagłębieni w nią całym duchem. Dziewczynki zaś drobnymi rączkami ciągle rozgarniają sobie z czoła włosy, na złoty kolor pofarbowane. Obok tych dzieci, które są łagodnym odbiciem od otaczającego dokoła krwawego obrazu, prowadzone są za złociste cugle białe konie, wiozące na bogatych czaprakach ku ziemi zwieszane trupy z drużyny Hussejny.

W czasie pochodu robią się wytchnienia dla odczytania ustępów z życia Hussejny i dla modlitwy. Przed laty zdarzało się że dwie procesje spotykając się z sobą, każda w fanatyzmie uważając drugą stronę za przeciwników Hussejny, w pień się wycinały. Obecnie każda parafia za wpływem L. Kociejowskiego miała na czele swoim ludzi szanowanych od ludu, których zadaniem było oznaczać czas pochodu z takim wyrachowaniem, aby podobnych spotkań uniknąć, a w razie wydarzyć się mających, aby obie strony ogłosiły się sługami Hussejny.

I udało się to wybornie. Dwie procesje spotkały się, ale obie wysłały do siebie posłańców z oznajmieniem przyjaźni, uszykowały się potem w półkole, razem w podskokach utworzyły wieniec i później rozeszły się bez rozlewu krwi. Za procesjami postępowali z lekami

doktorzy i cyrulicy, podnosili zemdlonych lub silnie pokaleczonych i opatrywali ich zaraz na miejscu.

Kto ze czcicieli Hussejna nie chciał należeć do obchodów krwawych, udawał się do meczetów, a tam właśnie w ciągu dziewięciu dni odgrywano co wieczór świętą tragedję, na dziewięć części podzieloną. Żadnej tam nie było dekoracji, ani sztuki dramatycznej. Artyści prowadzili dyalogi, jak kto umiał, jedni z pamięci, drudzy z kartek. Miednica napełniona wodą oznaczała źródło: machanie płachtą oznaczało wiatr pustyni. Wszyscy aktorowie siedzieli między widzami. Gdy przyszedł czas na wystąpienie którego, przywoływano go z nazwiska. Role kobiet odgrywali przebrani młodzi mężczyźni, niezmieniając nawet głosu. Wszelako dla ludzi obojga płci przedstawienia takowe były wystarczające. Smucił on się, wdychał i płakał. Niektóre sceny rozrzewniały go do głębi duszy i utulić się nie mógł od płaczu. Oprócz szytów lubili chodzić na te przedstawienia i miejscowi chrześcijanie, ormianie i gruzini, wzruszając się niemi. Nie ma jednak prawidła bez wyjątku. Spostrzegłem wyrostka pod filarem w najlepsze śpiącego. W tej obojętności poznałem duszę, która potrafi się później złamać. Człek bez wiary jest nieszczęściem ludzkości.

Alé i ta tragedia meczetowa przedstawiana z różnemi co rok i co miasto zmianami, na dziesiąty dzień w południe przenosi się na plac meczetowy. Plac z początku oznacza pustynię. Wyjeżdża smutny Hussejn, na białym koniu w białej sukni (Eotaban) i w białej czalmie.

Lud przy jego ukazaniu się płacze. Potem wyjeżdża Hassan, brat Hussejna, a obok żony ich, dzieci i krewni. Za nimi konie wiozą ruchomości w jukach. Hussejn opowiada pustyni słowo Mahometa, ale pustynia milczy. Zapytuje więc co to jest za ziemia? Ale pustynia milczy.

Ukazuje się wieśniak i Hussejn pyta go: co to za ziemia?

— Arzi-Taf, rzecze wieśniak.

— Czy prawdę mówisz?

— Więc Nejmawa, jeśli chcesz.

— Ty mylisz mnie!

— Więc Tesztmar, jeśli się podoba.

— O powiedz prawdę, bo zgrzeszysz, jeśli oszukasz podróżnego.

— Więc ci powiem prawdę — rzecze wieśniak — ta ziemia nazywa się Kerbata!

— Kerbata!.. ty prawdę mówisz. To miejsce naznaczone mi przez Gabryela.. tu się powinna przelać krew moja!..

Lud cały płacze i woła dokoła:

— Szach Hussejn! Waj-Hussejn!..

Dzieci podjeżdżają do Hussejna, pokazują mu spiekłe usta i proszą o kroplę wody. Hussejn zachęca je do cierpliwości, ale poruszony ich jękiem i rozpaczą, jedzie szukać wody i spostrzega rzekę.

Lecz hufiec Jezyda ukazuje się przed nim i zagraża mu drogę.

— Puście mnie — woła Hussejn — abym trochę wody przyniósł dla dzieci!..

— Choćby i cały świat przemienił się w wodę to ci i kropli nie damy.

Hassan dobywa miecza, naciera i ginie.

Dziewczęta wpadają wołając.

— Szach-Hussejn, Waj-Hussejn!

Lud cały im wtóruje.

Synowie Hussejna z kolei nacierają i giną, a dziewczątka i lud cały wydaje okrzyki.

Wtedy sam Hussejn wpada w tłum wrogów, wali ludzi z koni ale i sam nareszcie pada.

Żony i krewni rzucają się na trupa w rozpacz krzyząc: Szach-Hussejn, Waj-Hussejn, lecz słudzy Jezyda ściągają ich i razem z trupem wloką za sobą. Niesłychany płacz, wołanie ludu. Scena się zmienia. Na jednym rogu placu na podniesieniu, siedzi Jezyd, czekając wieści o Hussejnie. Naprzeciw niego siedzą na ławkach nadzy ludzie, z krwią zapiekłą od słońca. Mają to być jego pokonani wrogowie.

Na znak zezwolenia wjeżdża poseł Tranków z listem, czyta go przed Jezydem i siada obok niego.

Lud cały oburzony.

Pędzi goniec i niesie wieść, że Hussejn zabity i że cała jego rodzina w rękach zwycięzców

Zaraz też słudzy Jezydego opaleni, w kurzu wloką przed niego kobiety, dzieci, starców i podają wypchaną głowę Hussejna.

Lud do najwyższego stopnia fanatyzuje się i na tem się kończy tragedia.

Przyjmującemu na siebie rolę Jezyda zwykle sunicie, żydowi albo chrześcijaninowi, płacono w Kubic po sto albo po dwieście dukatów. Niebezpieczna to bowiem bywała rola, gdyż lud rozgorączkowany, nieraz w fanatycznym zapomnieniu, rzucał się na aktora, siekał go kindzałami, albo zabijał wystrzałami, jakoby rzeczywistego Jezyda.

Najmujący się zwykle miał ukrytych swoich sprzymierzeńców, których opłacał i którzy trzymali dla niego w gotowości konia i zbrojnie występowali w jego obronie.

Przytaczam jeden z hymnów spiewanych na tej uroczystości króla męczenników.

„Ach wtedy kiedy Szimr zwyciężył króla wiary, Hussejna, zapytał się go Imam (Hussejn). A czy wiesz jaki jest dzień dzisiaj.



KH29
S. Kamin
Karakou, 6.6.62
24. 1/2 - 2602

W BIBLIOTECE HISTORYCZNEJ

wychodzą

DZIEJE POWSZECHNE SZLOSSERA

od najdawniejszych czasów do dni dzisiejszych, w 22 tomach, w formacie niniejszym, objętości około 40 arkuszy druku тов.

Jest to jak wiadomo popularny wykład dziejów powszechnych, odznaczający się gruntownością i bezstronnym poglądem, które autora postawiły na tem wyniosłym stanowisku, że dzieło jego uważano jest za najlepszy podręcznik do poznania dziejów powszechnych. Przekład polski jest, a ile być może przekład tak wielkiego dzieła, bardzo dokładnym i piękną polszczyzną dokonany. Przekładu dokonali znani w kraju pisarze: pp. Wł. Górski, Józef Trzeciak, Bronisław Komorowski, prof. Walligórski, Bolesław i Wincenta Limanowski, Aureli Urbański, Władysław Kosiński i prof. Czesław Pieniątek pod redakcją Dr. Komorowskiego.

Już wyszło tomów 17, pod prasą tom 18. i 19. Druk ukończonym zostanie na początku roku 1878.

Cena każdego tomu 5 złr., 10 marek, 15 franków

Można jeszcze aż do ukończenia druku, zapisując się na całe dzieło, otrzymać takowe w cenie prenumeracyjnej o połowę taniej, a mianowicie opłacając przy odbiorze I. tomu z przedpłatą 21 sztuką 5 złr., 10 marek, 15 franków — przy każdym następnym tomie po 2 złr. 50 ct., 5 marek, 7 fr. 50 c. — Nowo przystępujący prenumeratorem winni wszelkie przy najmniej po 2 tomy na miesiąc odbierać.

Cały dochód z tego wydawnictwa przeznaczony jest na oświatę ludu.

Lista wszystkich prenumeratorów będzie do dzieła dołączoną z wyjątkiem wielu kto tomów odebrał.

W dalszym ciągu BIBLIOTEKI HISTORYCZNEJ wyjdą:

T. T. Jęta (Zygmunta Miłkowskiego)

Dzieje ludów słowiańskich

wyłączenie dla Biblioteki historycznej przez jednego z najznakomitszych współczesnych pisarzy opracowane.

Stali prenumeratorem Biblioteki historycznej otrzymają to dzieło po równie niskiej cenie.

BIBLIOTEKĘ HISTORYCZNA można prenumerować w Księgarni Polskiej we Lwowie (której nakładem wychodzi), jak również w wszystkich innych księgarniach i agentach krajowych i zagranicznych.

Księgarnia Polska

Lwów, 12 ul. Kopernika 12.

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA T. 23.

MATEUSZ GRALEWSKI.

KAUKAZ

WSPOMNIENIA Z DWUNASTOLETNIJ NIEWOLI.

OPISANIE KRAJU. — LUDNOŚĆ — ZWYCZAJE I OBYCZAJE.

Zeszyt III.

Kaukaz wychodzi w zeszytach pięcioarkuszowych, których wyjdzie pięć i utworzy dzieło objętości dwudziestu pięciu arkuszy. Przedpłata na całe dzieło wynosi 3 złr., 6 marek pruskich (7 franków), można ją składać częściowo w 3 ratach, opłacając przy odbiorze zeszytów 1., 2. i 3. po 1 złr., 2 marki pr., następnie zeszyty otrzymają prenumeratorem bezpłatnie bez względu chociażby się okazała większa objętość dzieła. Przesyłka franka.

Całobne okładki po 60 ct. można zamawiać przy zapisaniu dzieła, albo też gotowe oprawno egzemplarze po 3 złr. 80 ct.

Przedpłatę można składać w księgarni nakładowej, t. j. *Księgarni Polskiej we Lwowie przy ulicy Kopernika 12*, we wszystkich innych księgarniach, oraz w redakcjach pism: *Gazety Narodowej*, *Dziennika Polskiego* i *Kroniki Codziennej*, oraz u osób uproszonych do zbierania przedpłaty.

W Poznaniu skład główny w Administracji *Dziennika Poznańskiego*, u pułkownika E. Calliera i w księgarni J. K. Zupańskiego.

W Paryżu u Dr. W. Bartoszewicza, Avenue Parmentier 126.

W Nowym Yorku w Redakcji *Kurjera Nowyorskiego*.

W Cieszanowie w księgarni Karola Malika.

W Krakowie w księgarni Adolfa Dygasińskiego.

Do dzieła będzie dołączona lista wszystkich prenumeratorów. Po wyjściu z druku dzieła, cena będzie podniesioną.

L W Ó W.

NAKLADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ

12 ul. Kopernika 12.

W Drukarni A. J. O. ROGORZA,

1877.

Przeznaczony uwagę na ostatnią stronę okładki.

„A Szimr odpowiedział: przysięgam na proroka że dzisiaj jest piątek i czas modlitwy.

„Hussejn zapytał: a czy znasz moją godność!

„Szimr odpowiedział: w godności nie znajdziesz sobie równego.

„Hussejn zapytał: a czy znasz mojego ojca i godność mojego dziada i mojej matki.

„Szimr odpowiedział: twój dziad był posłańcem bożym, modlącym się za grzechy jego ludu; Twój ojciec Ali niebo i ziemię światłem obdarzył. Twoja matka jest córką naszego proroka.

„Jednak dziś pozwolono mi zabić ciebie. Ja cię zabijam dla złota i za złoto czynię cię łupem śmierci.“

W lecie, oprócz religijnych obrzędów poświęconych pamięci Imana Hussejna, przypada jeszcze miesiąc utrapienia Ramazan, czyli post, od którego uwalniają się tylko dzieci do siedmiu lat, chorzy, podróżni i kobiety ciężarne. Wszystkim zresztą od wschodu do zachodu słońca zabrania się jedzenia, picia, palenia tytoniu, żądzania tabaki, używania kąpieli i lykania śliny, związków płciowych i t. p. Prawowierni mogą tylko wieczorem i przed rankiem posilać się. Długie zaś dni ludziom obarczonym pracą, stają się straszliwym umartwieniem ciała. Ale lud cały dotrzymuje z największą punktualnością takiego postu. Chorzy nie chcą w dzień przyjmować, nawet lekarstwa, byle nie obrazić Boga. Łaknący i pragnący wychodzą o zachodzie słońca na ulicę i całemi gromadami upatrują wschodu księżycy. Słabego wzroku starcy spuszcza ją na młodych i gdy który z nich dostrzeże róg albo tarczę księżycy, a kilku potwierdzi to ukazanie się, gromady pospiesznym krokiem rozchodzą się do domów na posiłek. Post ten tak jest osłabiający, że przy końcu Ramazana postacie nawet krzepkie, anują się omdlałe jakby cienie jakie.



Koran w czasie tego postu zaleca pokój, a wojnę nazywa grzechem, ale za większy jednak grzech uważa obojętność religijną i woła: „bałwochwalstwo jest grzechem gorszym od wojny“ I znowu: „Jeżeli kto jest przeciw wam, bądźcie i wy wzajem przeciw niemu, a bójcie się Boga i wierźcie, że Bóg jest z tymi, którzy w nim ufność pokładają.“

Kto przeczyta te ustępy o okrutnem męczeniu ciał przez Szytów, mógłby ich posądzić o nadzwyczajną srogość obyczajów. Wcale przeciwnie. Miałem sposobność przekonać się, że zamieszkali po miastach przesiedleńcy perscy są bardzo miękkiego życia. Czas wolny od kupczenia tracą w bezczynności, lubią wyrafinowane rozkosze cielesne i oddają się sodomii. Gdy do Kuby przybył z persji chór muzyki i śpiewaków razem z tancerzami, znalazł najlepsze powodzenie. Podobno cały tabor był pochodzenia cygańskiego, ale się do tego nie przyznawał. Tancerzy przeciw zwyczajowi golenia głów, zapuszczone mieli włosy do ramion; w czasie wystąpień ubierali się w spodniczki krótkie; a w ruchach naśladowali dziewczęta. Takich chłopców, którzy muszą być gładcy na twarzy i dobrze złożonego ciała, zowią tu taksurami.

O dwie mile od Kuby ku północno-zachodniej stronie, leży wśród lasów obszernych osada wojskowa (uroczyszcze) Kusary, zajęta przez pułk szyrwański, czasowo nazywany pułkiem ks. warszawskiego Paszkiewicza. Ta osada założoną została w miejsce aulu Kusary, którego mieszkańcy żywi i umarli przed r. 1830 wypędzeni zostali do innego miejsca. Powiedziałem że i umarli, bo mahometanie nigdy nie porzucają zmarłych na obcych polach, ale chowają ich na blizkich cmentarzach, w grobach, na których się modlą w dnie oznaczone. Związek ten duchowny żywych ze zmarłymi jest bardzo żywy i obudza poszanowanie.

Gdym opuszczał Kusary już po wojnie wschodniej, osada ta miała około trzysta domów drewnianych, w trzy linje ustawionych i poprzecinanych ulicami. Posiadała jeszcze ogród spacerowy, przy którym była przerobiona z altany kaplica katolicka. Ze wschodniej strony osady, stały murowane obronne koszary w czworobokach zbudowane, wewnątrz których stały na placu kancelarya i cerkiew. Osada sama była jeszcze okolona wałem, do którego na zachodniej stronie przyczepiony był meczecik drewniany, dla mahometan handlarzy. Od niedawna pozwolono im przebywać w osadzie, wszelako bez dozwolenia posiadania własności nieruchomości.

Oprócz oficerskich domów, których było że trzydzieście wystawionych z dochodów właściwie im tylko znanych, wszystkie domy żołnierskie, zbudowane były z dochodów, mających źródło w rospuście. I właściwie domy te należały nie do żołnierzy ale do żołnerek. Żołnierze żonaci liczyli się prawie wyłącznie w kompanii inwalidnej (nielinjowej) i w czwartej kampanji 5. bataljonu, który nigdy nie występował na linję bojową, ale utrzymywał garnizon w kwaterach, wspierał częściowo i czasowo sąsiednie garnizony w Kubie, w Achtach i gdzieindziej.

Kobiety tutejsze jako żony żołnierzy, na ich żądanie były sprowadzane z dziećmi z Moskwy i z Polski kosztem rządu. Nędza okropna była zwykle pierwszym parciem do niemoralności tych kobiet. Niepoczucie się żołnierzy do godności i chęci posiadania wygod życia była drugim powodem do obojętnego zapatrywania się na bezwstyd żon swoich. Wszelako i namiętności grały swą rolę. Kłótnie i bójki bywały liczne, a osobliwie w porze zimowej, gdy czynne bataliony wracały zwykle z ekspedycji. Co rocznie wydarzały się zbrodnie okropne: zabijano się, zarzynano i truto. Na te ostatnie wypadki wpływały nie tylko żołnierki, ale i żony ofi-

cerskie. Bez intryg miłosnych, prawie ani jeden dom nie ocalał, dla tego każda osada wojenna była gniazdem zdrożności, brudu i bezwstydu. Każdy człowiek moralny ze smutkiem na to patrzył, ubolewał nad społeczeństwem, które co tydzień wysyłało do szpitala dla opatrzenia stanu zdrowia wszystkie kobiety, prócz żon oficerskich.

I dziwić się potem, że mieszkańcy kraju gardzili tem bydłem, że plwali na niego, że ich przezywali świniami obrzydliwymi!... I dziwić się, że tego bydła nie radzi byli wpuszczać do swoich mieszkań, między swoje rodziny!...

U Sunitów za przewinienia podobne istniało kamienowanie, kara okropna wzdrygająca duszę człowieka, ale kara, która wyrażała ich wygórowane pojęcie o obowiązkach czystości kobiety.

Powie ktoś, że właściwie położenie Moskali na Kaukazie, było w tem niezwykajnem położeniu, które zmuszało ich do przewinień i popychało do zbrodni. Tak jest, ale któż to ich położenie wyjątkowe wywołał i ciągle wywołuje?...

Po zesłaniu mię na Kaukaz, przeznaczono mnie właśnie do pułku szyrwańskiego, do jednego z tych plugawych gniazd w których natura człowieka niezsutego wzdryga się na widok bezceństwa. Między rodzinami wojskowemi znajdowały się ze dwadzieścia rodzin polskich, z których tylko sześć należało do stanu oficerskiego. Żołnierskie polskie rodziny podlegały epidemii ogólnego zepsucia. Bolesć była dla polek, co przybyły z mężami wygnańcami i co słyszeć musiały o podobnych siostrach. Trzeba było radzić.

Kilku z zesłanej młodzieży postanowiło szczerze pracować nad podniesieniem upadłej moralności rodaków. Na wzór bractw krajowych założono bractwo kościelne pod opieką śś. Stanisława i Kazimierza jako

patronów Polski i Litwy. Oprócz obowiązków zwykłych przywiązanych do podobnych bractw, zamieszczono artykuły, żądające koniecznej moralności, pod zagrożeniem wyrzucenia z bractwa i pod groźbą hańby. Bractwo to miało jeszcze na celu skupienia sił do możliwego uchowania żołnierzy od wpływu moskwicyzmu. I rzeczywiście bractwo to w lat parę wydało dobre owoce. Ze składek zwyczajnych, z darów ubocznych, nie mówiąc o przybranie kaplicy w obrazy, obudzające pamięć o kraju, i nabożeństw naszych, każdy dom posiadał obrazki i ryciny swojskie, każdy dom, znający się na piśmie, posiadał kilka lub kilkanaście książek wyborowych, a stosownych do pojęcia, które obowiązywał był czytać w święta i niedzielę, dla nieumiejących czytać rodaków. W kaplicy urządziły się nabożne śpiewy najulubieńsze przez lud i odbywały się czytania z miejsc wybranych z pisma świętego i z żywotów św. Czytano ustępy z kazań Skargi, czytano przygotowane nauki, a zastosowane do okoliczności. Na sprowadzonych elementarzach chętnie uczyli się czytać młodzi i starzy żołnierze!... Bractwo doznało w krótkim czasie takiego przyjęcia, że zapisywali się do niego i żołnierze w innych miejscach przebywający.

Skupienie się w tem bractwie zrodziło korzyści wielkie. Żołnierze i oficerowie Polacy i ich żony, stanowili jedną harmonijną siłę.

Na czele bractwa stali sami żołnierze i podoficerowie z wyboru. Cechmistrzem i podcechmistrzem byli pułkowi szewcy, podskarbin ślusarz, pisarzem podoficer. Oprócz tego w obowiązkach było dwóch chorążych i ośmiu kantorów, między którymi były i kobiety. Reszta była zwyczajnymi członkami i schodzili się co kwartał do zakrystji, dla narad.

Harmonia Polaków oddziaływała, zastanawiała Moskali i niemoskali. Często dawały się słyszeć głosy po-

dziwiająco naszą jedność. Obyczajność między nami tak się wzmogła, tak żołnierze przestrzegali się w postępowaniu, że posunęli się w gorliwości swojej do strofowania postępowania człowieka, od którego zależeli, a nawet byliby mu wymierzili cielesną karę, gdyby wdanie się rozważniejszych nie powstrzymało ich zapału. Szkoda że w ogóle nie byliśmy szczęśliwi z wyboru ludzi, których nam przysyłano na kapelanów.

Oprócz ogólnej biblioteki brackiej, złożonej wyłącznie z pism religijnych, moralnych i dotyczących historii polskiej, mieliśmy osobną wyborową biblioteczkę ze składek utworzoną. Nadto wymagaliśmy przy sprzyjających okolicznościach, aby pułkowa biblioteka, do której wszyscy oficerowie obowiązani byli składkę wносить, sprowadziła Gazetę Warszawską i Bibliotekę Warszawską. Takim sposobem wykształceni mogli korzystać z pierwszych utworów krajowych i zagranicznych, mniej wykształceni korzystali z biblioteczki brackiej. Ponieważ zdradliwie byłoby utrzymywać pisma polityczne, które niekiedy dostawały się nam w ręce przez Rygę i Petersburg a nawet przez Moskwę, staraliśmy się jednak je zachowywać tym sposobem, że dzieła pisane prozą rozdzielaliśmy na arkusze i takowe w różnych książkach przechowywaliśmy aż do czasu przesłania ich do innych pułków. Poemata zaś, przepisawszy je na kilka rąk także dla innych osad wojskowych, wyczuliśmy się z nich na pamięć ustępów najcelniejszych, z takim wyrachowaniem, że każdy z nas co innego umiał, a w czasie wspólnego zebrania, obowiązany był dla innych powtarzać. Tak samo rzecz się miała z pieśniami narodowymi, które śpiewaliśmy już to w prywatnych domach już to w lesie dokoła nas otaczającym. Las kusarski był dla nas najgościnniejszem i najmiłszem schronieniem i z tego względu byliśmy szczęśliwi od braci gdzie indziej zamieszkałych. W lesie zbieraliśmy się nad stru-

mieniem w gromadce i tam wspólnie na czytaniu, na nauce, na udzielaniu sobie świeżych wiadomości, na tęsknem wspomnieniu kraju przepędzaliśmy wiele dni.

Siadywaliśmy przy cmentarzu, na którym pogrzebiono wielu rodaków naszych. Niektórzy mieli pomniki z polskimi napisami. Obok cmentarza był grób wygnańca Juljusza Muczsera, podolanina, z Jarmoliniec. Skończył on ciężkie swoje życie samobójstwem, po wieloletnich cierpieniach wygnania, które oddziało chorobliwie na jego umysł. Był to jeden z braci obdarzony wielką tkliwością duszy, która przeszedłszy w egzaltację przyczyniła się do stanu jego chorobliwego. Z wygnańców politycznych złożony był jeszcze na cmentarzu warszawianin Aleksander Leśkiewicz, zmarły w skutek febry. W wiosennej więc czy w letniej porze ci, którym nie wypadło należeć do ekspedycji, chodzili w godzinach swobodnych i w dni świąteczne do lasu i na groby braci. Łączenie się z sobą i odosobnienie się od Moskali, stawało się ulgą niewypowiedzianej tęsknoty, która przenikała każdego.

Widok natury, przemykające się zdala ledwo dojrzone na morzu statki żaglowe, a osobliwie majestatycznie wznosząca się z zachodniej strony wiecznie śniegiem pokryta góra Szach-dach, odżywiały bardzo rdzewiejący w koszarach umysł.

Gdy zima nastąpiła kupiliśmy się wszyscy w jednym kącie koszar, a największy gwar żołdactwa nie przeszkadzał naszemu zajęciu. Dziwna rzecz, że pijani żołnierze lub junkrowie, hałasując lub bijąc się zajadło, szanowali nasz kąt i nigdy nam natręctwa nie zrobili.

Pomimo ogólnego prześladowania Polaków jako Polaków, każdy z nas miał pewne poszanowanie u zwierzchności. A gdy z rozkazu wyższego czyniono nam jaką krzywdę, robiono to z pewnem uwzględnieniem.

Bardzo często skazańców używano do pisemnych zajęć. Antoniemu Kasperowiczowi, akademikowi wileńskiemu, poruczono zbieranie materiałów do pisania historii pułku, które odsyłano do generała Michajłowskiego Danilewskiego, autora moskiewskiego dzieła „Historja wojny ojczyznej w latach 1812 i 1813” — Juljusz Muczler, Władysław Kamieński, Gustaw Kan z Warszawy, Antoni Zawadzki z Wołynia, jako zdolniejsi z młodzieży pułkowej, pisywać musieli korespondencje i prowadzić różne rachunki.

Będący w niewoli z roku 1831 Napoleon Suchodolski, Franciszek Kozłowski i inni używani byli na przewodników łowów. Z tymi, którzy mieli prawo szlachectwa, starszyna obchodziła się powszechnie uwzględniająco, lecz rodacy, wzięci z poboru, bici i zabijani nieraz bywali pałkami. Ci również, co pozbawieni byli prawa szlachectwa, srogo kijami byli okładani. Dość wspomnieć z pułku czyrwańskiego Tadeusza Mikuławskiego, który otrzymał 500 drugi 1500 kijów za dezercję i A. Leśkiewicza, który za nieprzyszycie rzemienia, pomimo słabego zdrowia, otrzymał 400 płazów. Sztabskapitan Archangielskiej zaćwiczył różgami Gebutowskiego, podoficera. Antoni Wróblewski, żonaty podoficer, najzaciej broniący godności żony w obec generała brygady, zdegradowany był na prostego żołdatę, następnie bity kilkakrotnie aż do wstrząśnienia w nim mózgu i do przyprowadzenia go do obłąkania.

Starszyna głównie srożyła się na Polaków, jak mawiali za ich niepokorność (nieuległość). Ale trudno było wymagać od Moskali wymierzania sprawiedliwości dla Polaków, kiedy i dla swoich pokornych żołdatów byli okrutni, bili ich z przywidzenia i z kaprysu.

W roku 1848, zdaje się w miesiącu lutym czy w marcu, generał Maniukin przyjął pułk od generała Plac-bek-Kokuma. Według przepisów, każdy nowy do-

wódca zapytuje żołnierzy, czy nie mają pretensji do poprzednika jego i wszelkie pieniądze egzokwują w pieniądzech albo w materiałach. Zacher Stepanowicz Maniukin odbył już ową formalność i dostał od Kokuma sowite pieniądze, aż się o to pogniewali na zabój. Wszyscy mówili że Maniukin *bezcześnyj człowiek*, że strasznie obdarł Kokuma. Gdy Kokum wyjechał, jego następca powinien był zaspokoić wszelkie żądania żołdatów. Ale Maniukinowi było żal oddawać pieniądze, które chciał uwiesić jego poprzednik. Więc zdobył się na dziki sposób. Na wpół pijany wypadał na ulice osady, zaczepiał żołnierzy i pytał, czy który ma jaką pretensją. Każdego z tych którzy upominali się o bóty, o koszulę, albo o gażę, odsyłał zaraz do kancelarji, aby tam na niego czekali. Wpadł potem rozwścieklony do kancelarji, prowadząc za sobą podoficera Michajłowa, ex-popowicza, który przez nieuwagę zapóźno stanął frontem i za późno zdjął przed nim czapkę, kazał mu dać 150 różeg, aż podłoga kancelarji krwią biednego zafarbowwała się. Potem z okropnym hałasem i wymyślaniem wysłał na odwach tych żołnierzy, którzy w najlepszej wierze na zapytanie jego odpowiadali o należących się im rzeczach od Kokuma. Odesłał i aby nie miewali i nie ośmielali się mieć nigdy żadnej pretensji do naczelników, kazał im dać dla pamięci po 60 różeg. Srogi był dowódzca pułku Plac-bek-Kokum, ale miał pewne wyrozumienie, równie jak Zaliwkin i kniaź Wasilczykow, którzy przed nim i po nim dowodzili pułkiem; ale Maniukin podobny był do szalonego zwierza, gdy był pijany. Wymyślał na wszystkich bez wyjątku, kto tylko był pod jego komendą. Dla obcych przeciwnie, gdzie władza jego nie sięgała, był nadzwyczaj grzecznym i liberalnym. Dziwna rzecz! dopóki się nie ożenił i nie miał syna protegował bardzo Polaków i szlachtę, przedstawiał ich do awansów, nawymyślawszy i nadrwiwszy z nich wprzód.

Zdawało się nieraz, że ganił rozkazy wyższej władzy polecające srogie postępowanie i nie wypełniał ich. Z generałem Brymerem miał z tego powodu zwadę w roku 1848.

Brymer pisał do niego: „Potrzeba ażeby zesłani Polacy uczuli karę za swe przewinienia, aby drwa rąbali, oczyszczali koszary, nosili ciężary; aby nadto wszyscy tak byli rozdzieleni, żeby żadnych z sobą stosunków nie mieli.” Maniukin powiedział, że on durak, ale gdy natarczywości Brymera musiał ustąpić, zalecił adiutantowi, aby nas wysłano do batalionów, które za parę miesięcy miały się połączyć w ekspedycję.

Rodzaj postępowania jego był nieraz zagadkowy. Kiedy mi już, jak to mówią, nabijali drzazg za paznokcie, raptem po roku zadawania mi przykrości stał się moim protektorem. Odważałem się wtedy mówić do niego po polsku i zanosić prośby za swoimi rodakami. Pomagał mi nawet materialnie, i z własnej inicjatywy, aby mi pomódz wydożyć się w oficerstwo, zapisał mię na listę szlachty. Gdy na jego przedstawienie do awansu wysłany byłem w roku 1862 na egzamin do Taganrogu nad azowskie morze, dał mi list rekomandacyjny i załączkę z własnej kieszeni. Wracając po awansie z rodakiem Juljuszem Muszterem, zatrzymaliśmy się parę dni w Derbencie. Maniukin, przedzierzgnięty na nowo, wobec przyprowadzonego na plac wojska opowiadał głośno oficerom, że my z innymi Polakami w Derbencie dzielimy Rosję na cztery części, i że chcemy ogłosić się królami. Zapewniał, że od gubernatora z Derbentu urzędowe ma o tem wiadomości.

Gdyśmy wjechali do Kusarg, wszyscy bojaźliwi stornili od nas. Później dopiero opowiadano nam Maniukinowski dowcip. Należało nam przedstawić się mu formalnie. Maniukin stanąwszy na środku pokoju, ujął się pod boki i zapytał ku naszemu zdziwieniu:

— Kto wy tacy? — I powtórzył trzykrotnie: — kto wy tacy?

Ale nie rozumieliśmy jakiej on chce odpowiedzi. Dopiero nam pomógł:

— Czy wy oficerowie?

— Oficerowie — odrzekliśmy.

— A tak wy oficerowie — powiedział. — Widzicie! wy ze szlachty polskiej staliście się oficerami. Patrzcie się w zwierciadło, jak wam to do twarzy. Nasz hosudar' (panujący) zrobił was oficerami, ludźmi, przebaczył wam wasze winy. A wasz król polski coby wam uczynił? Nie, pomarnielibyście szlachtą. A wy teraz będąc ludźmi z łaski cara, chcecie dzielić Rosję na cztery części! Wiem co tam było w Derbencie... Ale wam zapowiadam, że jak słowo usłyszę o was, iż dybiecie na Rosję, zgubię was.

Nie rozumiałem z początku powodu tego wystąpienia, dopiero później dowiedziałem się, że jedynym z powodów takiej zmiany dla nas w usposobieniu był Hołotwinkoj.

Młodzieniec ten za sprawę Pietraszewskiego w r. 1849 skazany był na śmierć. Stał na szafocie w śmiertelnej koszuli, a potem ułaskawiony na Sybir do wojsk oremburskich. W skutek nowej łaski Mikołaja przetranszłokowany do kaukaskiej armji, pierwszą i jedyną gościnność znalazł u nas. Przyjeliśmy go jak brata, tem bardziej, że posiadał bardzo rozległe wiadomości o świecie politycznym, że kochał swoją sprawę, za którą cierpiał, że był wielce chciwy nauki i wiele czytał. Podobał się nam z płynnej a silnej swojej wymowy, w której ujemne strony swego narodu przedstawiał doskonale. Lecz gdy jego naukowa strona, jego oryginalność charakteru i właściwy mu dowcip, dała się powoli poznać starszyźnie, a wzgląd, że był synem generała, otworzyła mu drzwi do domów sztaboficerów i jenerałów, stał się

dal nas szkodliwym. Nowe stosunki jego, a szczególnie z pułkownikiem, księciem Wasilczykowem i z jenerałem Maniukinem przyczyniły nam wiele przykrości i kłopotu. Bo Hołowinskoj nie zważając na to, że oni byli bezpośrednimi naszymi zwierzchnikami, czy z wrodzonej mu gadatliwości, czy też z grasującej nienawiści do Polaków w czasie wojny wschodniej, wypowiadał im nasze zasady, wtrącając w to i prywatne nasze stosunki, jemu zwierzone.

Maniukin ze słów Wasila Hołowinińskiego wywnioskował, że każdy z nas jest jego osobistym nieprzyjacielem, bo naprawdę za patriotyzm nasz tak bardzo by się nie oburzał; bo on sam był pokurczem z ojca Moskala i z matki Polki, urodzony w mohilewskim województwie, a wychowany w dawnym zakładzie witebskich jezuitów, bo wyniósł wiele pamiątek z domu, które go budziły chwilami do zacności. Po zdradzie zaś Hołowinskoja Maniukin, jak wyrzekł, że zgubi nas za słowa przeciw Moskwie, tak ciągle odtąd dążył do szkodenia nam. Książ Wasilczyków, z charakteru cichy i powolny, systematycznie także występował przeciwko nam. Jeżeli przez formalne wybory oficerów pułkowych został z nas który powołany do objęcia jakich szczególnych obowiązków, starał się wybory te unieważnić a systematycznie w czasie bojów wystawiać nas na pierwszy ogień nieprzyjacielski.

Zarządzaliśmy pozwolenia zbudowania w osadzie kościółka murowanego, na podobieństwo zbudowanego w Temir-chan-szurze i w Daszlagaru. Pozwolono. Jednak mając już trzy tysiące rubli składki, ledwo zdobyliśmy się na założenie fundamentu. Kościół mógł stanąć mi-giem. Wypalenie cegły prawie by nic nie kosztowało, bo las był do użytku powszechnego. Dalsza składka pokryłaby wkrótce wszelkie koszty. Ale książ Wasylczyków nie pozwolił nam użyć żołnierzy Polaków do

roboty, którzy chętnie szli pracować, lecz użył ich do innych robót pułkowych, obiecując, że potem weźmie na siebie zbudowanie kościoła i z katolikami zatrudni i prawosławnych żołnierzy. Obietnica istniała cztery lata, fundamenta przysypano ziemią, a potem nie wiem co się stało...

Biedni nasi żołnierze woleli by jednak tę pracę nad roboty pułkowe. Roboty pułkowe! był to straszny wyraz dla każdego żołnierza. Żle było w szeregu, mało wypoczynku, bito: lecz który z żołnierzy oświadczył się, lub wydał się, że zna jakie rzemiosło... nieszczęśliwy, umieszczony zostawał przy warsztatach pułkowych, a praca jego wyciągnięta została do najwyższej możliwości. Krótki tylko czas spania i ciągła robota! Gdy każdy pułk musiał sobie wszystko sam przygotować: umundurowanie, obuwie, bieliznę, uprzęż całą na konia, siodła, jaszczyki, kibitki, nadto wybudować koszary, postawić domy i gdy wykonanie tego powierzonym było dowódcom pułków, więc oni dla własnego zysku nadużywali pracy żołnierza, a obok nich korzystali z niej i inni obowiązkowi oficerowie. Najwięcej korzystano z wybornych rzemieślników warszawskich, którzy głównie kierowali wykonaniem robót. Piąty batalion używany do robót posiłkowych, dla powodów korzyści dowódców zawsze liczył ludzi nad komplet. Uwalniał się od ekspedycji w góry, ale na miejscu pełniąc służbę garnizonową, tak był męczony, że często z nocnej warty lub ze straży odwachowej szedł prosto do owych robót. Sianożęcia łąk pułkowych, uprawa ogrodów, opierały się także na ciężkich robotach żołnierzy. Zdawać by się mogło, że okrutni wojaacy, zwyciężywszy jakich ludzi i zabrawszy ich do niewoli, traktują ich jak nieprzyjaciół. Ucieczką dla biedaków był lazaret, ale tam znowu głodem morderzeni, uciekali, aby dostać swoje trzy funty chleba i



pochlebki wody z trawą jaką, lub z odrobiny krup z solą złożonej.

Jedzenie mieli w ogóle złe, a szczególnie w zimie w czasie dwóch długich postów, jeżeli im się w beczkach kapusta przegniła, którą jedli z olejem. Gdy przyniesiono do koszar tę strawę dla całej kompanji, robił się w ogóle zapach nieprzyjemny, a jeszcze gorszy, gdy gotowano przekwaszoną czeremszą, rodzaj dzikiej cebuli, jako środek od skorbutu. Wówczas powietrze było zabijające i to tylko ratowało każdego od obrzydliwego powonienia, że sam się najadł tej czeremszy. Lepszy pokarm mieli żołnierze w czasie świąt i w czasie pochodów, w dniu mięsne; bo gdy w koszarach dawano raz na tydzień po pół funta mięsa i po dwie kryszki wódki na jednego, w pochodzie dawano dodatkowe porcje mięsa i wódki, czyli dawano na żołnierza tygodniowo dwa funty mięsa i cztery kryszki wódki. Te dodatkowe porcje udzielały się tylko z rozkazu dowódcy oddziału w czasie forsowanych marszów lub stałej sloty.

Bywało, że żołnierze dzień po dniu jedli mięso przez dwa tygodnie, pili wódkę codziennie, lecz za to później musieli przestawać na pochlebce okraszonej słoniną.

Chleb miewali dobry, stojąc w koszarach i porcja trzyfuntowa musiała im wystarczyć za wszystko. W pochodzie zamiast chleba dostawali po funcie i po trzy ćwierci sucharów, rzadko kiedy dobrych.

Były one przepiekane z niewypieczonego chleba, podlegające stęchliźnie i zgniliźnie. Komisjonerowie i dostawcy magazynów szachrowali z kwatermistrzami pułkowymi, bogacili się, trując żołnierzy lub głodząc ich, bo każdy żołnierz odebrawszy swoją wagę, musiał odrzucić nie tylko za bardzo nadpsute kawałki, ale zwykle jeszcze pencynki cegły, kamyki, grudki piasku, popro-

chu i t. p., które dla wagi mieszano. Tak zwyczajnie prowiantowano wojsko; lecz zdarzały się dla niego dni, a nawet tygodnie szczęśliwe. Bo częściowe polowania w lasach, rabunki ruchliwych aulów, dostarczały im nieraz znaczną ilość bydła, owiec i różnych zapasów żywności. Wtedy biedni żołdacy, tak jedli, gotowali, tak piekli całe dni i noce, że część ich nieraz musiano zostawić w szpitalu, z powodu dyarji.

Do szczęśliwych dni pod względem pokarmu należały jeszcze dni przeglądów. Wtedy na każdego żołnierza nie tylko kładziono do kotła po pół funta mięsa i to dobrego mięsa, ale jeszcze słoniny dodawano. Nadto kaszę gęstą, ten specjal żołdaka, ze słoniną warzono. Jenerał czy pułkownik próbował, chwalił i zapytywał żołnierzy, czy zawsze dobre jedzenie dostają. „Toczno tak wsjem dowolny“ (tak jest wszystko mamy) wołali żołnierze, bo wiedzieli dobrze co to znaczą pretensje.

Wszelako się zdarzały takie szczegóły, że żołnierze pojedynczy i całe rotty z nadmiaru cierpliwości nieraz rościły pretensje, buntowały się nawet. Wtedy sprowadzono drugie kompanje z nabitą bronią, przywoływano do porządku, hersztów rozstrzelano lub do robót ciężkich zesłano, innych obito kijami i rozesłano między różne wojsko miejscowe.

Tylko kije trzymały w porządku wojsko moskiewskie. Gdyby nie kije, żaden car, żaden Jermolów, ani Maniukin nie utrzymałby wojska w karności. Ledwo i tak się trzymało jako tako. Bywały nieraz albowiem takie dezereje, że dziesiątkami, wyraźnie dziesiątkami na umówionego uciekali w góry. O takich wypadkach wiedział tylko dowódzca pułku i naczelnik oddziału. Wyższa władza odbierała raport o ucieczce tych ludzi ale w rozłożonych terminach, tak że ostatni z nich jeszcze w następnym roku liczyli się w pułku jako obecni, brano na nich żołd, odzież, amunicję i prowiant! Tak samo

rozkładano do wykreszenia zmarłych już żołnierzy. Fundusze brał pułkownik, kassjer, kwatermistrz i to właśnie nazywało się dochodem *czestnym* (honorowym), bo nie krzywdzono ani zbiega ani zmarłego. Strata skarbu nie ważyła, bo skarb przez Moskali uważany jest za źródło, z którego każdy czerpać może, byle mu się udało. Kto zaś nie czerpie, kiedy może, nazywany bywa durakiem. Moskale mają taką maksymę: „bierz bo możesz sobie zostawić i dać drugiemu.”

Zdarzył się jeden dowódca niepamiętnego mi nazwiska, a przebywający może trzydzieści lat temu koło Odessy. Chciał się wynieść nad innych i zyskać względy u starszych, przeto tak nazwaną ekonomją pułkową, którą zwykle jego towarzysze składali w własnych kieszeniach i w banku moskiewskim, przedstawił skarbowi jako dochód z oszczędności.

Wypadek taki niezwykle, otworzył usta zdziwienia jeneralicji i ministerjum. Jakto, pomyślano, on jeden popisuje się z udaną ekonomją. A że nie brał i nie dzielił się z nikim, więc miał wszystkich przeciwko sobie. Naznaczono śledztwo, komisją uznała, że popisujący się pułkownik krzywdził żołnierzy, bo mógł im dać lepsze koszule, lepszy pokarm, lepsze mundury, a przeto winien podlegać sądowi. Co to jest sąd w Moskwie? Sąd moskiewski jest wymyślony na to, aby człowieka zgubić według woli zwierzchnika, byle tylko według nadanej formy. Gdy oddają kogo pod sąd, to wcale nie znaczy, że w sądzie ma się rozpatrywać jego sprawę, stopień winy lub niewinności, bynajmniej. To znaczy, że ma być karany. Wyrok na sądzonego trzyma w swoich rękach zwierzchnik. Chociaż on nie zasiada w sądzie, ale kieruje zależnym od siebie prezesem jego i audytorem. Sprawa tak się gnie, skraca lub przedłuża, jak chce naczelnik. To też bywało, że sąd przeciągnął się nieraz nad winnym po kilka lat, a końca nie było

dla braku dowodów. Popisujący się jednak pułkownik swoją oszczędnością padł ofiarą, bo zdegradowany został na szeregowca. Tę wiadomość mam z opowiadania przetranslokowanych oficerów. Podług pojęcia Moskali brać (kraść) należy w miarę i zręcznie, żeby nie być pochwyconym na gorącym uczynku, bo bywały wypadki, że zbyt krzywdząco, utrata sum pułkowych i t. p. karały się również zesłaniem do szeregu. Takiego losu doznało w czasie mego pobytu w kaukaskiej armji kilku jenerałów i pułkowników, głównie za kradzieże, a szczególnie jenerał Szwartz i naczelnik rezerwy, który najmował żołnierzy kompaniami do różnych robót u kupców i właścicieli ziemi i brał za to pieniądze do swojej kieszeni, zaś jenerał Rozenkampf za przedstawienia, w skutek których car rozdawał znaczną ilość orderów za szczególną waleczność takim oficerom, którzy nie tylko nie byli w boju ale do ekspedycji wcale nie należeli

Zapewne ciekawość ogarnia nie jednego, w czem jest miara i zręczność kradzieży dowódcy. Damy kilka przykładów. Oto biorąc setki postawów sukna, tysiące kop płótna, tysiące sztuk skór i t. p. z komisarjatu, po większej części zleżących i gorszych od prób zatwierdzonych, dostaje dowódzca, dajmy na to cztery tysiące rubli dodatku i kwituje że dostał dobre. Żołnierz nie oponować nie może, owszem sam dowódzca głosi, że mu w tym roku wysłano zły materiał, więc żołdat rad, że i naczałstwo wie, iż on nosi strasznie rozlążącą się koszulę, przegniłe wierzchy i podeszwy u butów. Przegląd też jeneralski z obiadem sutym i z podarunkiem, wypadnie dobrze. Dajmy drugi przykład.

Była bitwa, wprawdzie niewielka. Z obu stron zaledwie padło kilkunastu ludzi. Dowódzca został żywy, przedstawia naczelnikowi oddziału raport, że w czasie boju padło mu kilka koni obozowych, a raniono kilka-

naście albo kilkadziesiąt. Naczelnik wyznacza komisją dla opatrzenia strat materialnych. Komisja hula sobie trochę na rachunek dowódcy i bez oglądania poranionych koni, wydaje świadectwo. W skutek tego świadectwa, dowódzca odbiera na każdego konia po kilkadziesiąt rubli, koni zaś nowych nie kopuje, tylko na liście zmienia nazwiska dawnych koni na nowe. Gdy wojsko odjedzie z placu, kto mógłby potem sprawdzać świadectwo i ktoby tego chciał?

Denuncjacja i szpiegostwo w tym względzie, tak jest nienawidziane i niesłyszane, że dowódzca bardzo spokojnym być może o swój dochód, wynoszący tysiąc lub dwa tysiące rubli.

Odebrawszy świadectwo na niby zabite konie, dowódzca okazuje się hojnym nieraz i dla żołnierzy. Zwoluje śpiewaków, poi ich, a nawet dla rot całych daje kilka półimperjałów na wódkę.

Byłem też świadkiem jednego sposobu zysku inspektorów (smotryteli) magazynów prowiantkich. Gdy polecono jednej gminie (magałowi) zwieźć zboże do kusar, jako podatek w ziarnie, ściągnęło się na raz parę set wozów. Trzeba było przemierzyć owo ziarno, więc wiele fur czekało na kolej po dwa i po trzy dni na słońcu i w błocie.

Potem, aby je prędzej puszczono, niedość że za dwie saby (miara ćwierciowa), które kazano zdać z każdego dymu, musieli mieszkańcy złożyć je z nadmiarem, ale na żądanie smotrytela musieli dodać miarki dla myszy i na przetrząskę i jeszcze dopłacić po pół rubla z saby. Najniezawodniej wypadło, że smotrytel przyjmując zboże od mieszkańców jednego powiatu, zyskiwał od razu dwa do kilku tysięcy rubli. Korzystne to też były posady i nikt ich nie dostał, póki się do-

brze z góry nie opłacił w prowiantkiej komisji w Tyflisie.

Ci smotrytele nie pobierali ani grosza pensji, tylko przesyłali pokwitowanie. Pensję zaś odbierali za nich urzędnicy komisji.

Porzucam już ten przedmiot wstrętny, który przytoczyłem jako jeden z wybitnych stron charakteru urzędów moskiewskich; przenoszę się zaś w inną sferę ludzi i życia, w sferę nawet na ten raz żywą i wesołą.

Kilku z naszych rodaków zaproszono w r. 1849 na wesele do wsi lezgińskiej Chazry, gdzie mieszkał pan młody. Wieś ta odległa od Kusar o 4 mile na północ znana nam była dobrze, ale nie znaliśmy jeszcze pana młodego Mustafy-Achmed-Ogły, który żenił się z Fatymą-Achmed-Kis ze wsi Glli na wpół drogi od Kusar do Chazrów leżącej. Zaprosiny wyrobił nam Bobrowski, pisarz przy uczestkowym zasiedatelu znajdujący się.

Jechaliśmy konno i spostrzegliśmy zdala na drodze blisko już Chazrów orszak weselny. Posuwało się po drodze kilka arb wysłanych i osłoniętych dywanami, ciągniętych każdy po parze bawolów. Na wozach tych siedziały kobiety, swacha, siostry i krewne panny młodej. Kobietom tym towarzyszyło kilkunastu jeźdźców. Śpiewy kolejno rozlegały się po lesie. O nas jeden zaimprovizował:

„Oto jadą obcy, z dalekich stron pędzą
Ażeby podziwiać dziewczkę urodziwą,
A młodziana zabrać ze sobą do bojów.
Wy nie ujrzycie przecież lica śnieżnego,
Wy przenigdy nie ujrzycie pysznych włosów,
Lehcących lubieżnie kosteczki jej nożek.
Wiotkiej jej postaci nie dojrzycie wcale,
Ani na jej oczy nie spojrzycie nigdy;
Ale w nich się przejrzy młodzian wilezej siły,
Którego do boju ze sobą wziąć chcecie.“

— Salam-alejkam! (pozdrowienie).

— Alejkam-salam!

Z dwóch stron przemówiliśmy, łącząc się z sobą i dalej w orszaku postępowaliśmy razem.

Zbliżając się do wsi, spostrzegliśmy jezdnych pana młodego naprzeciwko nam przyjeżdżających. Pewne poruszenie zrobiło się między naszym orszakiem. Kilku dżygików (chwatów) z chorągwią weselną, puściło się naprzód, aby się przebić przez hufiec zastępujący nam drogę, a trudno im było dokazać tego w wąwozie jakby w ulicy ściśniętym. Hufiec pana młodego tryumfował, dżygity otoczeni, wzięci do niewoli, chorągiew zdobyta. Reszta orszaku panny młodej otacza jej arbę i broni do niej przystępu, a gdy przeciwnicy chcą ją opanować, dobywa pistoletów i ogniem odstrasza zuchwalców. Darmo, ogień silniejszy zwycięża i zdobywa arby z orszakiem. — Pędzi poselstwo do wsi, do pana młodego, zwiastując mu o znakomitej zdobyczy.

Dom pana młodego zamienia się w zamek, do którego lud cały dąży na gody. Sień, krużganki i dach zajęty przez mężczyzn, dzieci i kobiety. Pokazuje się arba. Z zamku palą z gwintówek wiwaty ogłuszające powietrze. Zapalają się kagańce. Muzyka w sieni gra na surmach i bębnach. Improvizatorowie śpiewają pieśni. Wjeżdża panna młoda do zamku. U wrót na jej arbę sypią się z dachu ziarna pszenicy, jęczmienia i prochy mąki. Podają krople miodu i woniące balsamy.

Wozy przeszły przez obszerną sień i zatrzymały się u drzwi mieszkalnych. Wysiadły niewiasty otulone w białe czadry; nie poznać, która jest Fatyma... Znikła z naszych oczu i więcej się nie pokazała. Goście zasiedli miejsca pod trzema ścianami. Muzyka usadowiła się pod jedną, mając obok improvizatorów, którzy w pieśniach opiewali piękność Fatymy, a dzielność Mu-

stafy. Po każdej strofie śpiewu muzyka przygrywała, goście klaskali w ręce i gestami okazywali zachwyt.

Muzyka potem zagrała żywą lezginkę. Goście zaprosili jednego dżygita by tańczył. Powstał dżygic i stojąc prawie na miejscu, w takt muzyki wykazywał w zwinnych ruchach swoją zgrabność i elastyczność członków. Powstał drugi dżygic i chwalił się równą zręcznością. Nareszcie oba w posuwistych krokach w trzy tempa poskakując na nogach, wywoływali oznaki zadowolenia, w takt bite klaskania dłoni i radośne pa, pa!...

Usiedli obaj. Wystąpił inny dżygic, skłonił się gościom, krótko przetańczył i skinął w stronę kąta, w którym stały okryte czadrami kobiety. Wyszła z pośród nich jedna niewiasta. Czy była piękną? trudno było dociec. Postać miała poważną i widocznie była mężatką. Opuszczona z głowy jej czadra, zakrywała dodatnie ujemne strony twarzy. Wszelako czadra była przeniezana ponętą, była nie tego rodzaju jak zwykle czadry, mocno zbite i nie przenikające. Ta czadra tanecznicy była dosyć przejrzystą. Na niej odbijały się tajemnicze oczy i usta, uwydatniał się nosek. Tanecznica lekko podjawszy ręce, klaskała w palce i drobiąc nóżkami, zdawało się, że ugina się pod powiewem wiatru. Wszystkie jej ruchy były jakoby grą siły powietrza. Tę siłę wywował na przeciw stojący tancerz. Jego ruchy wywoływały jej ruchy. On ją chciał niby przyciągnąć niewidoczną siłą do siebie. Ona jakby widmo zakłęte nie chciała czy nie mogła zbliżyć się do niego. On zdesperowany po kole posuwa krok dalej, ona o tyleż się odsuwa, on posuwa się jeszcze, ona znów się usuwa i tak dalej i ciągle!... Prąd jego przyspieszony oddala ją zawsze, nie może jej uchwycić. On dżygic śmiały, dzielny, chwytając rękę kindżała i pędzi za nią nareszcie po kole, ale nigdy ani na krok nie jest bliżej swojej tanecznicy. Ona usuwa się zawsze. Ha, musi to być hu-

ryska, coś nie ziemskiego!? Nie widać jej stąpań, nie znać skoków; ona płynie po ziemi, a jeśli czadra jej powiewa i suknia jej drży, to wszystko od siły zapłału dżygita. — Takie dziwo zapala widzów! Wszystkie ręce są w robocie, wszystkie wybijają takt muzyki. Zachwyceni znoszą jej w ofierze dary, a przesłane pieniądze zawieszają w końce czadry malcy, z taką zręcznością, aby najmniejszej przeszkody nie zrobić w jej ruchach. Ustał dżygit, skłonił się gościom, a jego tanecznicą poszła na swoje miejsce. Muzyka grać przestała. Improwizatorowie opiewają piękność samurskich dziewcząt i rycerzy ich kraju. Struny muzyczne i poklaski słuchaczy wtórują ich pieśni.

Znowu lezginka zabrzmiała. Wystąpiły dwie niewiasty, jedna znana już nam z poprzedniego tańca, a druga wysmukłej postaci. Pływały same, bez spójni z sobą. Każda z nich swoje myśli miała. Jedna niższa wirowała i kołysała się na jednym miejscu, druga płynęła w takt muzyki po całym kole. Nieco przejrzyste ich osłony, podnoszące tajemniczą ich piękność, strasznie zapalały wyobraźnię widzów. Spojrzałem na wszystkie strony i widziałem sto par oczu palących się ogniem i sto par promieni zapalem przebijających zasłony.

Trzeba namiętności gniewu, zazdrości lub lubieżności aby tak patrzeć!...

W koło wstąpiło dwóch dżygitów i przedzieliło od siebie tanecznicę. Łatwo im będzie schwycić je, bo oni zapewne umówieni kunacy (towarzysze). Więc poczyna się taniec wspólny. Chłopcy zawiązują w czadry pieniądze od widzów ofiarowane. Poklaski nowe, coraz gwałtowniejsze. Muzyka zachęcona ogólną uroczystością, silnie swe tony wydaje. Widzom w ogóle mało oczy nie wylecą ku zaklętym huryskom. Dżygity okrążają swoje dziewczęta, ale przebóg ująć ich nie mogą. Przez wście-

łość swojej niemocy, wyciągają z pochew kindżały, aby rozciąć niewidome przeszkody. Ale kindżały błyszczą tylko w powietrzu, a huryski ciągle są im niedostępne, ciągle płynące w koło.

Ale cóżby się stało, gdyby tak ciągle było? Padliby dżygity, widzowie by poszaleli, a nikt by nie ujął widm niezemskich. Więc kobzy wydawszy ton krzyku, struny wydawszy ton jęku, dla opomnienia grać przestały. Bęben brzęczący, jakby żartowniś szyderczy, odezwał jeszcze kilka razy! Przycichło. Rozmowy nie było. Wszyscy prócz dzieci pograżyli się w myślach rokosznych. Dzieci przebiegały po sieni szepcąc do siebie, a ogień na kotle rozżarzył się mocno, a nad nim rumieniły się sztuki pieczonej baraniny, a przy nim buchała para z rondłów pełnych siurpy (rosolu) i płowu (ryżu).

Po chwili Bobrowski dowiedział się od znajomego sąsiada, że pierwsza tanecznicą tańczyła z mężem, a druga dziewczęta z bratem, że wolno kobietom tańczyć tylko z krewnymi, bo inaczej byłoby nieprzyzwoitością i wstydem dla kobiety tańczyć z obcym.

Potem rozdzielano wieczerzę na miseczki. Każdy z gości obowiązany był mieć swój nóż do krajania pieczywa, zaś płów jadł się palcami.

Gdyśmy pożywali wieczerzę, Mustafa wyprawił się do zaślubin domowych. Zastukał do drzwi, za którymi była zamknięta panna młoda ze swachą.

Swacha nie chciała otworzyć, dopiero po wielkich obietnicach łask i wynagrodzeniach pozwoliła mu wejść.

Potem ukazała mu przy świetle kagańca w kącie izby utuloną w czadrę dziewczę. On chciał ją ująć, ale temu to tylko pozwolono, ktoby posiadał jej poduszkę. — Młodzian przepłaca więc swachę, strażniczkę dziewczęcy, i ta oddała mu jej poduszkę a sama wyszła z izby. Po-

wiedziano, że potem młodzian postąpił ku tajemniczemu kątowi i stanął na dywanie.

Dziewica się podniosła i spytała, czego żąda? On jej oświadczył, iż on odtąd jest jej mężem i na znak podał jej własną poduszkę. Po znakach właściwych ona poduszkę poznała i młodzieniec przyjął. Młodzieniec na znak związku umieścił jedną swą stopę między stopami dziewczicy i zdjął jej czadrę. Po pewnym czasie nowy mąż, dał w izbie wystrzał w górę na znak, aby się zgromadzenie bawiło. Więc nastaly nowe śpiewy i tańce, liczne strzały i okrzyki pozdrowień.

Gwar ten przycichnął ku schyłkowi nocy i ożywił się dopiero koło południa, gdyż wystąpili jeźdźcy do gonitw, turniejów i strzałów celnych do jablek, butelek i szklanek, ustawionych na płotach, dachach i na kominach. Te obchody mają wielkie znaczenie w życiu mieszkańców. Są one szkołą i egzaminem wojskowym. Z nich dowiadują się mieszkańcy, kto lepiej strzela, kto ma najlepszą broń, kto najlepszego konia. Dobra gwintówka, koń, mają tu nieporównaną wartość, bo nie tylko, że same przez się cenią się niezwykle drogo, ale nadto każdy ich właściciel słynie z ich posiadania w dalekich okolicach. Jego nazwisko znane jest w pieśniach. Dobra szaszka, zginająca się w pierścień a przecinająca zamki i bagnety; dobra koleczuga, misiura, pancerz lub przyłbica, również są poszukiwane i sławione.

To też ciekawość była posłuchać Chazryńczyków gdy na drugi dzień zebrawszy się przed meczetem rozpowiadali o popisach weselnych. Zwycięzcy gonitw musieli opowiadać przymioty swoich koni i ich rodowód. Zwycięzcy celnych strzałów pokazywali swoje gwintówki i pistolety. Tłum ludzi był obecny, bo dla nich przedmiot ten tak jest ciekawy i upodobany, że nigdy nie może się dość przedyskutować. Tu i wspomnienia dzia-

dów swoich i Czeczeńców dalekich i bliższych Awarów, posiadających dobre konie i rynsztunki wojenne.

Jeżeli który z szczęśliwych posiadaczy znakomitej szaszki lub gwintówki zmuszony zostanie koniecznością do sprzedaży, dostaje za sztukę parę koni, kilka sztuk bydła, lub stadko owiec. Giaur mu płaci tysiące abazów, ale niechętnie mu oddaje taki skarb drogi.

Opuszczając już Chazry skończyliśmy na opatrzaniu ładnego meczetu, zbudowanego z ciosowego kamienia. Meczet ten jest zagadką dla badaczy przeszłości, jako zbudowany w stylu bizantyjskim, jak wszystkie kościoły gruzińskie. Napis zaś na nim, szumnemi wyrażeniami zrobiony, świadczy, że zbudowany on jest dopiero od dwóch wieków, za panowania w tej stronie Persów.

Wtedy przy meczecie, byliśmy jeszcze świadkami szczególnej uroczystości. Siedmiu konnych ludzi przejeżdżało z Derbentu ku Szachdachowi (królewskiej górze) majestatycznie w odległości sześciu mil wznoszącemu się z zachodu. Ludność cała nie wyłączając i kobiet, wybiegła z domów, aby spotkać gości. Nie rozumiejąc powodu tego nagromadzenia, musieliśmy poprosić o wyjaśnienie. Zapytany lezgin, w ten sposób nam rzecz określił.

— Oto widzicie górę olbrzymią na dwie części zerwaną, a wiecznie śniegiem pokrytą u szczytów. Kiedykolwiek od niej wiatry unoszą ku nam chmury, zawsze miewamy rzęsiste deszcze, konieczne dla spiekłych nizin nadmorskich, a osobliwie dla okolic Derbentu. Gdy zaś ztamtąd chmur nie widać, pola i sady nadmorskie więdną, a mieszkańcy smutni chodzą. Odwiekowe doświadczenia przekonały też wszystkich, że grudka śniegu przywieziona z Szach-dachu, przez niewinnego człowieka, sprowadza ze sobą chmury, które zlewają ziemię. Otóż i teraz mieszkańcy Derbentu po długiej spieczę wyprawili w tym celu pielgrzymów, a między

nimi Mullę i kilkunastuletniego niewinnego młodzieńca na białym koniu, który, nabrawszy śniegu w gliniany dzban, wiszący u jego siodła, przywiezie go przed swój meczet. Potem błogosławionym roztopionym śniegiem skropi się ziemia, a niezawodnie liczne chmury z Szachdachu naniósą deszcze na spragnioną ziemię derbentską. My pielgrzymów witamy i odprowadzimy ich za aul.

МУБЫДЫЗМ КА КАЗАДИ

CZĘŚĆ PIĄTA.

CZĘŚĆ PIĄTA.

MIURYDYZM NA KAUKAZIE.

Wskrzesiciele miurydyzmu. — Mulla-Machomet. — Młodzieniec Chas-Muchomet. — Efendi-Ismail. — Zasady miurydyzmu. — Nauki w Jarachu. — Ruch religijno-społeczny. — Aslan-Chan. — Rozporządzenie Jermołowa. — Zjazd znakomitszych ludzi. — Aresztowania. — Wystąpienie imama Kazi-Mully. — Schamchal-Mechti. — Sagit Efendi konserwatysta. — Wybuch wojny świętej. — Śmierć Kazi-Mully. — Imam-Hamzad-Bek. — Wytepienie domu Chanów awarskich. — Śmierć Hamzad-Beka. — Imam-Schamil. — Długoletnie walki. — Wzrost Miurydów. — Upadek. — Niewola Schamila. — Pogląd na charakterystykę taktyki lezgińskiej i czeczeńskiej.

Nim wejdziemy do wnętrza Dagestanu (kraju gór), nim poznamy tamtejsze miejscowości, powinniśmy najprzód poznać zasadę idei o którą mieszkańcy tak długo walczyli; powinniśmy przyjrzyć się ogólnemu obrazowi walk, nim wdamy się w wyjaśniające szczegóły.

Obraz walk!... łatwe to słowo do wypowiedzenia! Walki bywały orężne i moralne, kosztowały wiele wysilenia. Aby je zdolnie i należycie przedstawić w wspaniałej wielkości i w smutnem nieszczęściu, potrzebaby

było trudu wieloletniego, swobody i zamożności większej aniżeli ta jaką żołnierz mógł mieć.

Z natchnienia sumienia wykonany obraz tych zapasów, potrafiłby zwrócić uwagę, wywołać oburzenie ludów i żywe ich współczucia nie kończące się może, tylko na westchnieniu.

Nie dano żołnierzowi być tak szczęśliwym!...

Lecz z tem co mamy, idźmy dalej i podzielmy się wiadomością czerpaną z urzędowych raportów i z opowiadań krajowców.

Około r. 1823, we wsi Jarachu, w kuryńskim chaństwie, żył Mulla-Machomet. Z powodu swojej głębokiej nauki, uważany on był w całym Dagestanie za alima (uczonego), i powszechnie był poważany i szacowany. Posiadał on znaczne mienie, które będąc najwyższym sędzią (kadi), nabył prawnie z urzędowania swego. — Gdy według zwyczaju miejscowego, wszyscy uczeni udzielają nauk młodzieży pragnącej oświaty, więc i Mulla-Machomet otoczony był młodzieżą pragnącą nauki, a między nią odznaczał się niejaki Bucharczyk, Chas-Machomet. — Spędziwszy siedm lat przy pracy, opuścił swego mistrza aby udać się do kraju rodzinnego; ale po roku z nowu ukazał się w Jarachu. — Mulla-Machomet sądził, że uczeń jego powrócił w zamiarze dalszego korzystania z jego nauk, lecz Chas-Machomet złożwszy szacunek nauczycielowi, sam tylko zagłębiał się w koranie, stronił od ludzi i często dniami i nocami zamykał się w swoim mieszkaniu. Nauczyciel podziwiał takie zachowanie się ucznia i zaczął zwracać uwagę na jego postępowanie.

Jednej nocy, wedle podania miejscowego, Mulla-Machomet poszedł do mieszkania Chas-Machometa i przez szparę okiennicy ujrzał go w zadumie siedzącego nad księgą koranu; ozwał się więc u drzwi wedle zwyczaju.

Chas-Machomet zaprosił cenionego gościa, ale jednocześnie zagasił świecę.

— Co to jest. — przemówił Mulla, — ciemność... a widziałem światło u ciebie. Widziałem świecę, gdy wszyscy tu przy kagańcach czytają. Wyjechałeś, pożegnawszy nas na zawsze, wróciłeś znowu po roku. Żyjesz między nami nie biorąc już zasiłku z rebatu (dziesiątyny) i z czego ty żyjesz, gdy byłeś ubogi?

— Bóg jest jeden, a Machomet jego prorok! — wyrzekł z uniesieniem młodzieniec. — Pożegnałem ciebie, meczety i groby prawowiernych w górach waszych, udając się do ziemi rodzinnej. Miałem waszych stron ani ludzi nigdy nie oglądać, aby być między Bucharczykami. Lecz inaczej mię przeznaczenie wiodło; bo gdym w pielgrzymce mojej szedł od wsi do wsi, z miasta do miasta, na raz w krainie Szyrwanu olśniła mnie gwiazda nauki i zatrzymałem się tam, aby się uczyć dłużej. A przebywszy rok, gdy mi mój nowy mistrz dał zasiłek, przybyłem stęskniony do was.

— Czyś po to tylko przybył mój uczniu?

— Przybyłem aby ci mistrzu okazać jeszcze moją wdzięczność, jakiej mnie nauczył nowy mistrz dla ciebie!

— Kto on taki i gdzie mieszka, bo uważam, że serce twoje z jego sercem wiąże nie uczucia.

— On przybywa w Aule Kiurdomirze, w Szyrwanie, nazywa się Hadzi-Izmail a urząd jego *Efendi* dygnitarz hierarchii duchownej, prawie odpowiadający godności biskupiej.

— A jakiej wdzięczności nauczyłeś się u niego dla mnie?

— Abym ci mistrzu opowiedział to, czegom się nauczył, a o czem mi nie mówiłeś.

— Wszystką wiedzę moją dałem poznać umysłowi twemu.

— A nie mówiłeś mi o miurydyzynie.

— Wiem tylko, że taka nauka przebywała przed trzema wiekami w Persyi między mędrkami, zwanymi *miurzydami* i że ich wpływ i ich *miurydów* (zwolenników) był tak potężny, że miurszyd Sofi Izmail zawładnął tronem Szachów.

— Otoż ja tej nauki słuchałem i dowiedziałem się, że ona jedna powróci wierze siłę, naród poprawi, oddali go od przewrotnych grzechów i zrobi go niezależnym od gaurów (niewiernych).

— Może myślisz, że i lud gór zrobi niezależnym od Urusów (Moskali)?

— Co Bóg nazaczył, stać się musi! Zgodnie zaś z koranem nauka ta głosi, że Machometanin podległy niewiernym, lub komu bądź, nie jest Machometaninem.

— Pociągająca taka nauka, bo ulgę czyni duszy; otwórz więc jej zdroje abym zrosił pragnienie umysłu. Z mistrza staną się uczniem twoim.

— Ja niegodny jestem tego zaszczytu, lecz szczęśliwym zostanę między tworam, jeżeli mnie posłuchasz i pojedziesz do Efendego Ismaila, do Kúrdomiru. Tam zstąpi na ciebie istotne poznanie koranu; a światło któreś mi dał, światłem się na tobie odbije i będziesz blaskiem słońca w górach Dagestanu.

Nad to nic ludzie nie wiedzą i nie mówią jakie były rozmowy mistrza z uczniem, dodają tylko, że od tam często się z sobą obaj widywali i że każdorazowie długo radzili. Mułla-Machomet jeszcze pojedynczo zapraszał do siebie uczeńszych Mułłów i przy zamkniętych drzwiach prowadził z nimi tajemne rozmowy. — Domyślano się powszechnie, że o coś ważnego mu chodziło.

Ciekawszą nad wszystko rzeczą dla ludzi był wyjazd jego z Jarachu w towarzystwie Chas-Machometa i kilku z Mułłów, którzy z nim poprzednio tajemniczo radzili. Dokąd pojechali?... nikt nie wiedział.

Po kilku dniach podróży, stanęli jezdni w Kiurdomirze przed domem Hadzi-Ismaila i dowiedzieli się, że nie ma go w mieszkaniu, ale że pracuje w sadzie. Wiadomość ta wielce wzruszyła przybyszów i na wstępie usposobiła ich do czci dla męża, który odrzucił wszelkie dochody z urzędu duchownego mu przynależne, a korzystał tylko z tego co mu praca rąk przynosiła. Uniesione opowiadania Chas-Machometa o życiu mędrca na wstępie znalazły sprawdzenie.

Podróżni uwiązali konie u słupów i poszli do sadu przywitać Efendego. — Patrzą, nie dowierzają sobie, a Efendi... obcinał gałązki morwy. — Obcinał latorośle!... sprzeciwiał się woli Bożej, popełniał czyn nazwany grzechem w Koranie!...

Podróżni spojrzeli na Chas-Machometa zapytując czy może to być ten sam mędrzec, do którego ich sprowadził. — Zauważył to Efendi, a podstępując ku gościom odezwał się:

— Wiem co myślicie. Gorszycie się że obcinam gałązki morwy. Czynię to nie ze swawoli ale dla pokarmu jedwabników, które mi snują jedwab, jedyny środek do wyżywienia mojej rodziny.

— Więc czy wolno obcinać latorośle, czy wolno zmieniać słowa zapisane w księdze Bożej (karanie)?

— Słowa Bożego zmieniać nie wolno, ale żadnym słowem Bóg nie nakazał morzyć robaczków, które stworzył na pożytek ludzi; a latorośle morwy rosną na ich pokarm. Jeżeli przyjmiecie moją gościnę, wstąpcie ze mną do domu, a ja postaram się wytłumaczyć wam moje pojęcie. Później osądzicie czym winien grzechu lub nie.

Poszli goście do domu Efendego, który po chwili przemówił.

Zaszczycaacie mnie bardzo, że będąc duchownymi suniekiej sekty, przybywacie odwiedzać mnie ducho-

wnego szyickiej sekty. Ale i wam cześć, że nie oglądając się na niezgodę dwóch zasad Mahometańskich, które wojnami szarpią Turcję i Persję, przybyliście z Chas-Machometem posłuchać mego zdania o sprawach muslemizmu. Bóg rozumami ludzkimi kieruje! Może ja z was, może wy ze mnie kluczem swej wiedzy otworzycie źródło prawdy.

— Słyszac o twojej nauce — rzekł Mulla Machomet — nie zraziliśmy się niechęcią wspólną naszym wyznań; gotowiliśmy przyjąć z twoich ust naukę, która by podniosła w chwale muslemizm i odżywiła lud Boży.

— Tego dawno pragnęła dusza moja, która mdła tylko siostry widziała obok siebie — rzekł Efendi. — Chas-Machomet mówił mi że nad Ciebie nie spotkał człowieka, któryby był gotów pozbyć się marności, a życie pędzić i umrzeć dla zasługi religijnej. Chwała temu co nad wszystko ceni godność swoją, pełni obowiązki względem Wszzechbędącego.

— Efendi! mów nam o nauce swojej — przemówił Mulla Machomet — Czas nie powraca, a czas rodzący się przed nami ma wiele do roboty.

— Moją naukę streściłem wam: „Chwała temu co nadewszystko ceni godność swoją i pełni obowiązki względem Wszzechbędącego.“

Są w człowieku trzy pierwiastki życia; jeden cielesny, drugi umysłowy, a trzeci duchowy. Pierwiastek cielesny jest najsilniejszy, i dla tego aby nie zapanował nad innymi pierwiastkami, prawo *Szajratu* w księdze koranu, naznaczyło mu drogi i granice działania w domu i w społeczności.

— Znamy to, rzekł Mulla Machomet.

— Pierwiastek umysłowy, mówił dalej Efendi, będący źródłem zdolności człowieka, jest potęgą wielką, nie raz korzystną, a nie raz i niebezpieczną. Dla tego część

Maarafatu w księdze koranu podaje należyte pravidła rozwijania zdolności i wytyka kierunek ich użycia.

— Znamy i to — przemówił Mulla Machomet.

— Pierwiastek duchowy — mówił znów Efendi, budzi godność ludzką i uświęca ją, a najduchowniej-szych ludzi stawia jako gwiazdy między narodami. Duchowy tylko człowiek może podbijać cielesne i umysłowe namiętności. Część *Tarihahu* w księdze koranu podaje sposoby jak podnieść człowieka do wysokiego poczucia obowiązków i nastroju duchowego. Wszyscy wyznawcy proroka rządzą się koranem, ale widzimy różnice w ich rządzeniu się. Nie *Szarjat* ani *Maarafat* nas różni, ale pojęcie *Tarihahu*.

— Prawda! — wyrzekł Mulla Machomet.

— My duchowni, — kończył Efendi — z obojętnością patrzymy, że lud w górach i u gór grzeszy, że oddał się pijaństwu i przewrotności, że nie zna wcale zakonu swej wiary, która przez niewiernych jest zachwiana.

— Cóż tedy robić?

— Powołać lud do godności przeznaczonej mu od Boga, zrobić go wolnym i nikogo nad niego nie wywyższać; bo dopóki będzie zależnym od swoich albo poddanym komukolwiek niezdolny będzie wznieść się do poznania nauki *Tarihahu*.

— Zamilkł Efendi, zaś Chas-Machomet uważał jakie wrażenie na słuchaczach ostatnie słowa zrobiły. Uważał długo i nie mówił przez szacunek wschodni dla starszych, a w młodzieńczej piersi dusił ogień zapalu swego promieniejący mu tylko z ocz i zdradzający się tylko w stłumionych westchnieniach.

Mulla Mahomet pogrążony był jeszcze w myślach, gdy jego towarzysze wyszli do meczetu. A gdy wrócili, dowiedzieli się że z Efendim wyjechali gdzieś konno. Wycieczki takowe już odtąd co dzień obadwaj robili,

a nikt nie wiedział, czy zwiedzali sąsiednie wioski, czy gdzie pod cieniem drzew przesiadywali. Domyślali się tylko wszyscy, że obaj uczeni naradzali się nad sposobami podniesienia ludu z jego poniżenia.

Po kilku dniach goście Efendego siedzieli już na koniach, a stary dygnitarz błogosławił ich na drogę. — A ponieważ Efendi najprzeważniej żądał poprawy życia, przeto wszyscy obiecali mu wejść na drogę cnoty i prawdy, a dobrym przykładem pociągać cały lud do spełnienia obowiązków. Chas-Machomet pojechał także do Dagestann.

Nowa nauka miurydyzmu głosząca zasady zgodnymi wyznań machometańskich równości i niepodległości, miała naprzód wcielić się w życie górali. Odtworzona w głębokiej pracy Efendego Hadzi Ismaila, poczuta żywo i podniesiona przez młodzieńca Chas-Machomet, przyjęta ku rozwinięciu przez Mullę-Machomet, nauka ta miała poruszyć całą ludność mahometańską i wyrzucić Moskali za Terek.

Mulla Machomet po powrocie swoim do Jarachu, jął się zaraz do pracy. Nauczał i przekonywał, błagał i zaklinał, aby ludzie się opatrzyli, aby zobaczyli morze nieszczęścia jakie ich zaleje w powodzi złego, ale wołanie jego było próżne! Niezrażony jednak trudnymi początkami, różnymi przeszkodami, wchodził ciągle w stosunki z ludźmi najoświecieńszymi, przyjmował ich u siebie i wyjaśniał im nowe zasady. Powoli wykłady jego ściągały coraz liczniejszych gości do Jarachu.

Nareszcie gdy sława nauki jego wzrosła i gdy ściągnęła tłumy pielgrzymów z dolin i gór, Mulla-Machomet wystąpił i po długim namyśle przemówił do ludu:

— Nie wiedziałem dotąd co nam Bóg rozkazał i co nam prorokował Machomet. Dopiero teraz doszedłem do poznania wielkiej prawdy.

— Wszystkie moje dotychczasowe czyny, grzesznie ciężą na duszy mojej.

— Brałem od was dziesięciny (zekat) a że duchowni nie powinni jej brać, więc popełniałem straszne przestępstwo.

— Mój majątek do was należy.

— Przyznaję się do winy i proszę was, abyście moje mienie wzięli jako swoją własność i rozdzielili pomiędzy sobą.

Na te słowa między ludem powstały głosy żywego uniesienia i wołania: Mulla Mahomecie, nie mamy ci co przebaczać, Bóg patrzy że brałeś od nas najmniej. My ci nie ruszymy o światły Alimie (uczony) ani okrucy dobra twojego. Bierz sam co chcesz z naszego mienia, boś świątobliwy!

Wysłuchawszy to Mulla-Machomet podziękował ludowi za okazane mu współczucie i po chwili tak znowu mówić zaczął:

— Od pewnego czasu wyczekiwałem chwili, żeby wam wytłumaczyć, co jest nasza wiara.

— Ludu! myśmy ani machometanie, ani chrześcijanie, ani poganie.

— Bo wyznanie machometańskie nie pozwala nikomu zostawać pod władzą niewiernych, Machometanin nie powinien być niczym niewolnikiem, ani poddanym; nie powinien płacić podatku niewiernym. — Kto jest muzułmanin, ten powinien być wolnym człowiekiem, a między muzułmanami powinna istnieć równość. — Kto się uważa za muzułmanina, tego pierwszym obowiązkiem jest *kazawat*, wojna święta o wolność, a drugim obowiązkiem spełnienia szarjatu (zakonu).

— Dla muzułmanina spełnianie szarjatu bez *kazawatu* nie jest drogą do zbawienia.

— Kto prawdziwie chce spełniać obowiązki zakonu, ten powinien uzbroić się w cokolwiek może, rzucić dom, ziemię, rodzinę, i nie żałować swego życia.

— Kto pójdzie za moją radą, tego Bóg wszechmocnie w przyszłym życiu wynagrodzi.

— Gdy zostajecie pod władzą niewiernych, albo w jakiegokolwiek zależności choćby od swoich, wszystkie wasze namazy (religijne obmywania) wszystkie modlitwy, wszelkie pielgrzymki do Mekki, wasze związki ślubne, wasze dzieci, wasze ofiary biednym, wasze rozczytywanie się w koranie, stawianie grobów dla umarłych i wszystkie dobre uczynki wasze, od przybycia Urusów, nie mają u Boga żadnej wartości.

— Ludu! my pozbawieni wszelkich praw jakbyście goście na tej ziemi, idźmy do właściwej nauki, aby w niej znaleźć drogę zbawienia. — A oto co napisane w księdze świętej.

— Ten muzułmanin, kto nie żałuje ani życia, ani mienia, ani rodziny; kto wypełnia wolę koranu i rozszerza mój szarjat po świecie. Kto tak będzie postępował, temu obiecuję że na tamtym świecie będzie wyższym od wszystkich świętych, jacy do mnie byli.

— Zaklinam cię ludu, byś przysiągł że wyrzeczysz się wszystkich grzechów i nigdy do nich nie będziesz wracać. Przepędzaj dnie i noce w meczecie, módl się w pokorze, korz się, proś Boga, żeby się zlitował nad tobą. A gdy potrzeba będzie chwycić za broń, stań się gotowym, a dotąd korz się i módl się.

— Jam jest najgrzeszniejszy człowiek na świecie! Przebaczcie mi! odtąd rzekam się wszystkiego co jest ziemskie.

Po takim przemówieniu, lud zachwycony słowami i zasadami przypadającymi do jego usposobienia i cha-

rakteru, uczuł się odżywionym i podniesionym moralnie.

Meczety odtąd prawie nigdy się nie zamykały. Wszystko co żyło, tłoczyło się do świątyń proroka i modliło się obiecując poprawy z grzechów. Sława Mully Machometa z dnia na dzień coraz więcej rosła po całym Dagestanie i zewsząd nowi ludzie przybywali do Jarachu, ażeby na własne oczy ujrzeć świątobliwego męża, usłyszeć naukę z ust jego i przyjąć błogosławieństwo na nowe życie. Wszyscy przysięgali że będą postępować według jego nauki, a Mullowie uznając go za *miurydę*, głosili się jego miurydami.

Po roku nauka ta zaczęła się ujawiać. Najprzód w Jarachu, miurydzi gdy nie wolno było obnażać pałaszy, porobili sobie drewniane szaszki, chodzili z niemi po wsi i na pola, a zbliżając się do domów lub nagrobków, budząc żywych i umarłych, zwracali się w stronę Moskwy, uderzali swemi drewnianemi pałaszami i wołali: — Muzułmanie! kazawat, muzułmanie! kazawat, kazawat (wojna święta).

Całe dnie spędzali potem w okolicach na podobnych obchodach i wszędzie wzywali: Muzułmanie, kazawat!

Miurydów jarachskich poczęto wszędzie naśladować.

Potem miurydzi jednych wsi przechodzili do innych i okrzyki: „Muzułmanie! kazawat!“ przenosiły się przez całe Chaństwo kiuryńskie i odezwały się w sąsiednich krainach.

W marcu 1824 r. Rządca Kaukazu generał Jermołow, dowiedziawszy się o tych wołaniach, wezwał do miasta Kuby, Aslan-chana, władzcę Kunuchskiego i Kiuryńskiego chaństwa, zażądał od niego aby uśmierzył te nieporządki (prekratit bezpakojstwa).

Stosując się do woli Jermołowa Aslan-chan pojechał do kiuryńskich swoich posiadłości, a zatrzymawszy

się we wsi Kaziu-kent, wezwał do siebie prawie wszystkich mullów z Chaństwa. — Gdy na wezwanie stanęli wszyscy, Aslan-Chan przemówił groźnie do Mully-Machometa.

— Powiedz mi, jaką ty nową naukę ogłaszasz i bałamucisz lud głupi? A Mulla Machomet odrzekł:

— Moja nauka, nie jest moją ale proroka.

Wtedy Aslan-Chan przemówił:

— Czyż ty nie znasz siły Urusów (Moskali) i nie przenikasz ile z twego powodu może spaść cierpień na ludzi i ile może ich zginąć niewinnie. — Mulla Machomet na to:

— Zapewne że Urusy silniejsi są od nas, ale Bóg silniejszy od nich. My byliśmy grzesznikami, więc powinniśmy zgładzić winy nasze i przeprosić Boga. Ja oddałem się modlitwom, porzuciłem ziemskie frasunki aby wybłagać przebaczenie boskie.... Szkody zaś nikomu nie czynię.

— Zgadzam się, rzekł Aslan-Chan, ale dla czego miurydzi twoi, ostrugawszy drewniane szaszki, chodzą po wsiach, po polach, włóczą się po lasach i jeśli spotkają jaki przedmiot, zatrzymują się, zwracają się ku ziemi Urusów i uderzają szaszkami, wołając: „mużulmanie kazawat.“ Czyż wy nie wiecie, że przez to nieszczęście nawołujecie na cały lud.

— Moi Miurydzi, rzekł Mulla Machomet, o tyle poznali żywotną prawdę o potędze i wielkości Boga, że wznoszą się do niego myślą i uczuciem, pałają miłością nieograniczoną ku Wszechmogącemu (ahik) i dochodzą do zapła. Oni jeszcze sami nie rozumieją co robią, oni są niewinni w czynach swoich, które jednak jasno wskazują co mahometanom czynić wypada. Ja bym Chanie i tobie radził, ażebyś porzucił ziemskie marańści, ażebyś pomyślał dokąd my wszyscy pójdziemy, zacząwszy od nędznych niewolników aż do króli ziem

i proroków. Nie ma dla nas zbawienia w przyszłym świecie, jeśli nie potrafimy zrozumieć potęgi Boga i jeżeli według szarjatu nie będziemy wypełniać jego świętej woli.

— Ja spełniam szarjat, powiedział Chan.

— Wcale tak nie jest, odrzekł Mulla-Machomet, bo gdy zostałeś poddanym niewiernych, spełnienie twoje szarjatu nie ma żadnego znaczenia.

Chan usłyszawszy pierwszy raz w życiu od paddanego mu że jest sam poddanym, uważał to słowo za wielką dla siebie obelgę i w gniewie uderzył Mulla-Machometa w policzek. Nadąsany, dla rozpedzenia swoich przykrych myśli, kazał Chan natychmiast sprowadzić muzykę, a Mullom kazał tańczyć. Posłuszni Mullowie tańczyli z kolei lezginkę, dopóki się ich pan nie udobruchał. A gdy go już gniew silny ominął, skinął na Mulla-Machometa i przemówił do niego:

— Przebacz mi że cię uderzył, ale proszę cię abyś nie zbierał twoich miurydów. Nie okazuj nic jawnie, bo Urusy zażądają abym cię wydał w ich ręce, a ja będę musiał to wykonać. — Chociaż boję się gniewu Bożego za ciebie, lecz cóż by mi pozostało zrobić? Gdybym cię nie wydał, uważaliby mnie za zdrajcę, zburzyliby moje chaństwa a mnie z rodziną wypędzili by z moich posiadłości.

Mulla Mahomet na to:

— Moją krzywdę niech Ci Bóg przebaczy, Chanie, ale pamiętaj abyś żadnej życzliwości nie miał dla Urusów, abyś miecza nie podnosił na ludy gór i abyś ich nie oddawał pod władzę niewiernych. — Jeżeli nie chcesz pozwolić, aby lud z twoich posiadłości przeprowadził *Tarihoh*: nie broń jednak tego innym ludom Dagestanu. Pamiętaj Chanie, że gdy Moskale będą mieli wielu nieprzyjaciół i tobie wtedy będzie lepiej, bo im będziesz potrzebny. Wtedy będą ci okazywali swoją życzliwość,

swoje względy i zaszczyty. Gdy zaś podbiją Dagestan, gdy będziesz im niepotrzebny, pozbawią cię tedy chaństwa, albo usuną cię od władzy jaką posiadasz. Poddani zaś twoi nie będą już używać nawet tej swobody, jakiej teraz używają.

— Aslan-Chan długo pomyślawszy nad słowami Mully Mahometa przemówił:

— Zgadza się z tobą Alimie, mądrość przez ciebie mówi. Zgadza się w wielu rzeczach. A na znak mojej łaski dla ciebie, otrzymasz peszkiesz (podarek).

Zaraz Mulla Mahomet otrzymał w darze suknię bogatą (archałub) i uzyskał kilka słów przymilenia. — Inni mułlowie kiuryńskiego chaństwa skazani zostali na karę. Każdy z nich musiał dać jednego bawoła.

Po takim rozporządzeniu się Aslan-Chan uwiadomił generała Jarmołowa, że w kiuryńskim chaństwie porządek przywrócony i że już spokojność wszędzie panuje. — W kilka zaś dni Aslan-Chan kazał wrócić mułłom zabrane im bawoły.

Po powrocie Mully Mahometa do domu znowu zaczął się lud gromadzić w Jarachu i pragnął widzieć świątobliwego męża. On wyszedłszy do niego, odezwał się w te słowa:

— Ludu! Jam grzeszny człowiek, jam się unioś pychę przez twoje do mnie zaufanie.

— Bóg mi nazaczył karę. Aslan-Chan dał mi policzek.

— Jam teraz poniżony i zesromocony wobec was.

— Aslan-Chan postąpił ze mną według woli bożej, bo sam przez się nie jest w stanie zrobić, nawet muchy zabić.

— Gdy prawdziwy muzułmanin postępuje według szarjatu, wtedy bez woli Boga nikt mu nie jest w stanie ubliżyć.

—

— Ja modłę się aby Bóg przebaczył mojej dumie i dumie Aslan-Chana. — Ludu! cieszę się z twego zapatu i z gorliwości, ale przestań biegać z szaszkami i zaczepiać niewiernych, dopóki nie nastanie czas.

— A ja wam powiem kiedy będzie czas.

Lud pielgrzymujący rozszedł się i przestał ujawniać swoje uczucia. Tymczasem Mulla-Mahomet zaczął działać tajemnie i zaprowadzać organizację. Zaprosił do siebie najznakomitszych ludzi z różnych plemion sąsiednich. Przybyło pięciu ludzi. Z ziemi Kajsabu przybył cichy dotąd i nieznany Kazi-Mulla-Mahomet, którego dla odróżnienia od Jarachskiego, nazywano później tylo Kazi-Mulla; z chaństwa Awarskiego, Szych-Szaban; z Szamchalstwa Tarkińskiego, ze wsi Gubdeń, Mulla Pladzi-Juzof, z chaństwa Kazi-Kumichskiego Mirza Dżemał-Eddin; z ziemi Tabassarańskiej, ze wsi Żuliz Mulla Chan-Mahomet.

— Mulla-Mahomet zebranych mężom przedstawił niebezpieczeństwo wiary i wolności ludów dagestańskich ze strony Moskali; przytoczył im, że całe kiuryńskie Chaństwo już jest podbite, że w jego sercu, w aule Kurach, stoi załoga Moskali; że Aslan-Chan się boi, że bez jego pomocy Kiuryńcy nie są w stanie walczyć przeciw wrogom, że przeto potrzeba połączenia wszystkich ludów Dagestanu. A dalej mówił:

— W imieniu proroka rozkazuję abyście wrócili do ziem swoich, abyście zebrali lud i głosili mu moje postanowienia.

— Uzbrojcie się wszyscy i idźcie na Kazawat!

— Wytępcie Urusów i oswobodźcie muzułmanów braci naszych.

— Jeśli polegniecie w boju, raj wam będzie nagrodą; jeśli kto zabije Urusa, raj mu będzie nagrodą.

— Jeżeli zaś opuścicie pola bitwy, czy ze strachu, czy dla pieniędzy, czy za kłamliwe obietnice, pokonają

was wrogi. Meczety wasze obróca oni na cerkwi, a wy będziecie na wieki przekłęci; nie będzie dla was zbawienia! O bójcie się gniewu bożego!...

— Spójrzcie na ludy co są wolne jeszcze, niepodległe Moskałom. Niezależne żyją w obronnych miejscowościach i są waleczne. Złączcie się z nimi.

— Jeden muzułmanin powinien iść przeciwko dzieięciu niewiernym; nie powinien się bać, ani obracać się plecami do niewiernych. Powinien iść twarzą w twarz; a kto tak będzie iść, temu raj dostanie się na wieczną nagrodę i zostanie świętym.

— Oto są wasze obowiązki, na spełnienie których błogosławią was.

— Ciebie zaś Mułlo-Mahometcie z Kojsubu, naznaczam na imama (Hetmana wojny świętej).

— Idźcie do domów, módlcie się i prowadźcie Kazawat.

Pojechali nowi apostołowie miurydyzmu do ziem swoich i podawali ludowi nowe tłumaczenie Tarihathu. W chaństwie Kiuryńskiem mieszkańcy coraz bardziej unikali stosunków z Moskałami i w ogóle między góralami rosła ku wrogom nienawiść, a z nią chęć do wojny. Coraz niecierpliwiej ludność gór oczekiwała chwili, w której by się zaczęło dzieło wyswobodzenia od wpływów Moskali. Ale miurszyd i pięciu głównych miurydów uważali się jeszcze za słabych do wystąpienia. Przechodziły dnie i miesiące na nauce.

Znowu generał Jermołow dowiedziawszy się o rozszerzaniu nowych zasad polecił Aslan-Chanow i pod osobistą odpowiedzialnością, ażeby Mułłę-Mahometa uwięził. Aslan-Chan także znowu dał polecenie krewnemu i namiestnikowi swemu w Kurahu Harun-Bekowi i przystawionemu do jego boku z ramienia Moskali praporczykowi Manatylle.

Mułla-Mahomet był schwytyany i bez najmniejszego oporu odprowadzony do Kurahu, zajętego przez wojska

moskiewskie. Ztamtąd jednak mając ułatwioną ucieczkę, zbiegł do ziem wolnych Tabassarańczyków, gdzie nauczanie swoje prowadził gorliwie i zyskał wielu zwolenników.

W r. 1826 Moskale byli zajęci wojną perską a później turecką, mało więc mogli zwracać uwagi na Dagestan, a nieprzewidując skutku miurydyzmu, przez szpary patrzali na to co się w nim działo. Doszło nawet do tego, że Aslan-Chan wedle życzenia ludu, otwarcie wezwał Mułłę Mahometa z Tabassaranji i pozwolił mu mieszkać w Jarachu.

Naznaczony na imama, Kazi-Mułla-Mahomet z Kojsuku, czyli jak go odtąd nazywać będziemy Kazi-Mułla, wróciwszy z Jarachu po błogosławieństwo na kierownictwo wojną świętą, zaczął też głosić nową naukę we wsi Giury i powoli oswajał lud z nowymi obowiązkami. Przemawiał otwarcie i ostro:

— Są na świecie chrześcijanie, mówił on, są żydzi i różne narody: Wszyscy oni mają swoje przykazania, które spełniają, tylko my muzułmanie pozostaliśmy bez wiary.

— Chrześcijanie mają ewangielję, żydzi talmud, mahometanie zaś koran. Lecz my mahometanie nie postępujemy ani według ewangielji, ani według talmudu i nie znamy co to jest Szarjat. Wszyscy oddani jesteśmy pijaństwu, kradzieży i bójkom.

Po siedmiu miesiącach pracy w Gimrach, Kazi-Mułla zabrał z sobą kilku młodych miurydów, a między nimi głośnego później Szamila i udał się z nim do ziemi Czerkieskiej, ku północy, dla rozszerzania nauki. Ale w Czerkieju znalazł pewien opór. Lud wysłuchawszy go bowiem, odpowiedział:

— Chętnie słuchamy twojej nauki i przyrzekamy ci, że między nami nie będzie zabójstw, kradzieży ani pijaństwa. Będziemy się też modlili, aby Bóg nam od-

puścił grzechy. Ale jeśli ty chcesz, abyśmy się bili z Urusami, to ci tego wręcz odmawiamy. Pamiętaj o tem, że w Andrejewie wielu mamy u nich zakładników, że nasze stała pasą się na pastwiskach przez nich zajętych. My nie jesteśmy w stanie stawić im oporu, możemy zginąć z mieniem i z rodzinami.

Po wysłuchaniu tego zasmucony Kazi-Mulla tak rzecz załagodził:

„Gdy powiadacie, że jesteście zmuszeni koniecznością dawać Urusom amanatów (zakładników), dawajcie więc do czasu; lecz gdy nastanie ta chwila, gdy siła władców Wschodu, na sławę koranu nagniecie plugawego smoka, wtedy wy będziecie mogli i powinniście powstać przeciw niemu i iść na Kazawat!”

Jak Czerkiewowie tak i inne społeczeństwa pograniczne, mając stosunki z Moskalami, przezbojaźń nie dawały się wciągać do wojny, chociaż dla zasad nauki nowej okazywały żywą sympatję. Taką też sympatją wypowiedział mu w r. 1829 nawet jeden z władców starzec Szamchal Mehti, mianowany przez Moskali generałem. Pisał on do niego: „Słyszałem, że ty czynisz prorocтва. Jeżeli to prawda, to przyjeźdź do mnie, nauczaj Szarjatu lud mój i mnie samego. Jeśli zaś nie przyjedziesz, to bój się sądu bożego na tamtym świecie. Ja tam wskażę na ciebie jako na winowajcę, którego prosiłem, a on nie chciał mnie naprowadzić na drogę prawdy.”

Ucieszył się z tych zaprosin Kazi-Mulla, pojechał do wsi Paraul, gdzie wówczas przebywali Szamchalowie i odezwał się do starca: — „Tyś jest Chanem obszernej ziemi, lecz więcej jest takich.”

„Aleś ty Walijem (sędzią) międzynarodowym w Dagestanie. Liczne ludy są ci poddane, a te które są niezależne, słuchają twoich wyroków.”

„Ty masz znaczenie i powagę w Dagestanie, więc powinieś z prawa być stróżem Szarjatu.”

„Twoi poddani nazywają siebie muzułmanami, nie wiedząc co to jest muzułmanin.”

„Wszystkie ludy zależne i niezależne ale pod wpływem twoim będące, obciążone są grzechami, a część tych grzechów leży na twojej duszy. A gdy pozwalasz mi tłómaczyć twoim ludom naukę Szarjatu, więc za to dobro dla niego Bóg cię nagrodzi w raju.”

Szamchal-Mechti wyjechał wkrótce do Petersburga i jadąc z powrotem umarł w drodze. Kazi-Mulla korzystając z jego nieobecności, śmiało występował przeciw Moskalom i przeciw nadużyciom chanów, gromił ich za stosunki z wrogiem i podnosił lud w zapale do wojny. Ludno dwie wsie: Małe i Wielkie Kazaniszcze zgodziły się nawet na Kazawat.

Chociaż drewniane szaszki nie uderzały już zdawna o domy żywych i o nagrobki umarłych, ale w cichości propaganda religijno-bojowa rozszerzała się po górach i wąwozach Dagestanu.

Hasła te bojowe przestraszały wielu ludzi, a szczególnie zamożniejszych. Ci ludzie sklaniali się do zasad moralnych ogłaszanych przez zapalonych ludzi, uznawali potrzebę poprawy byczajów i podniesienia religijnego, ale wobec potęgi moskiewskiej drżeli i zalecali ostrożność i wyczekanie szczęśliwszej chwili, kiedy Turcja nasiedzie Moskwie na głowie. Setki dowodów i porównań przytaczali na poparcie swoich twierdzeń, tysiąc zaklęć czynili, aby nie poruszać niedźwiedzia, który spi.

Te działania ludzi uważających się za doświadczonych były wobec nowej nauki tylko pewnem tarcieniem się pojęć, zagrzewaniem i hartowaniem siły przeciwnej. Nie robiły szkody ogółowi, raczej były ballastem i wędzidłem dla rozhukanej wyobraźni młodych miurydów.

Chodziło tylko o to, aby w czasie krwawych działań ci ludzie nie stanęli w poprzek prądu ludowego.

Ale między ludnością tamtejszą znajdowali się ludzie będący po większej części na stanowiskach wyższych, ludzie z orszaków chańskich, lub zasiadający na radczych dywanach, lub mullowie nawet, pobierający jawny żołd albo tajemne płace, którzy potajemnie pracowali nad zniszczeniem miurydyzmu, przekręcając jego znaczenie i szydząc z niego przed ludem.

Po nad nich wszystkich wznosił się zdolnością wyższą, członek hierarchji duchownej, Sagit-Efendi z Charichanu (Arkan), z ziemi Kojsubu, były nauczyciel Kazi-Mully. Miał on łaski poprzednio u Jermołowa, a później u Paszkiewicza i odbierał od nich znaczne fundusze. Sagit-Efendi na zasadzie koranu występował przeciw miurydyzmowi, dając mu tłumaczenie odpowiadające widokom rządu moskiewskiego. Znajdował także zwolenników w ludziach oddanych służalstwu, a na słabe umysły nie był bez wpływu. Mając poparcie w Moskalach nie obawiał się wcale o swoją osobę, tembardziej że uważał ucznia swego Kazi-Mullę za człowieka skromnego, cichego, potulnego i jakoby bojaźliwego.

Kazi-Mulla dawniej był rzeczywiście takim, był jeszcze i potem gdy przyjął tajemnie błogosławieństwo na wodza wojny świętej, ale gdy już zauważył, że mu czynnie działać wypada, okazał się stanowczym i energicznym.

Kazał on z kilku wahających się wsi zabrać zakładników od znaczniejszych rodzin, a sam w towarzystwie zaufanych sobie ludzi zajechał do Efendego Sagila. Nie zastawszy go w domu, zniszczył jego mienie i spalił wszystkie pisma. Nakazał zbór miurydów i ogłosił, że gdziekolwiek spotka opór, będzie wszystko niszczył ogniem i mieczem.

Gromadził się więc lud zbrojny koło popielisk Sagila, który uciekł pod opiekę Aslan-Chana. Po 20-stu dniach Kazi-Mulla przywódcą paru tysiącom miurydów przeszedł swobodnie wolne krainy: Kojsubu, Humbet, Andją i wszedł do Chaństwa Awarskiego już na czele kilku tysięcy. Zażądał aby dom Chański przystąpił do miurydyzmu, aby się wyrzekł despotyzmu i wassalstwa Moskwie. Dom chański wdał się z nim w umowy, dawał zakładnika, czynił obietnice poparcia Kazi-Mully, ale jawnie nie chciał zrywać z Moskwą, ani wyrzec się pretensyj do panowania nad ludem. Lud zaś Awarski z zapalem przyjmował miurydyzm i dostarczał ochotników na Kazawat.

Kazi-Mulla na żądanie miurydów postanowił ostatecznie wypowiedzieć wojnę Chanom i Moskalom i przed wiosną w r. 1830 w ośm tysięcy ludu zbrojnego podstąpił pod Chunzach, rezydencję Chanów Awarskich. Jednocześnie na innych punktach gór powstały inne oddziały: Szich-Szaban z Hamzad-Bekiem znieśli załogę moskiewską w Zakatalach; Mulla-Chan-Mahomet z wolnej Tabassaranji wpadł na władzcę południowej Tabassaranji Ibrahin-Beka; Hadzi-Jusuf mając słabe siły posiłkował tylko Kazi-Mullę; Mulla Dżemał-Eddin rzucający Aslan-Chana, przy którym trudno mu było działać na korzyść sprawy, przeszedł do Cudacharu i tam lud gromadził; nakoniec sam Mistrz nauki nowej miurszyd Mulla-Mahomet dowiedziawszy się o nowem poleceniu Paszkiewicza, żeby go ująć i odesłać do Tyflisu, przeszedł do Tabassaranji, rozniecał tam płomień miurydyzmu i ogłosił przewrót religijno-społeczny. Od tych wypadków nie już nie było słyhać o Chas-Mahomecie, a Efendi-Hadzi-Junail przenosił się do m. Tywoz w Turcji azjatyckiej.

Pierwsze wystąpienie Kazi-Mully pod Chunzach było nieszcześnie. Z początku ludność tego kraju wa-

hała się, którą stronę przyjąć i postanowiła zostać neutralną. Wszelkie zachęty młodego Chana, Abu-Nuniała, były bezowocne. Dopiero wpływ kobiety podziałał na nią. Matka Chana widząc niechęć ludności do walki, porwała szaszkę w rękę i biegnąc za synem do boju, wołała:

— Wy bojaźliwi nie powinniście nosić oręża, oddajcie go kobietom, a sami okryjcie się czadrami.

Zarzut tchórzostwa obudził namiętność dumy mężczyźni w Chunzachach. Chwycili za oręż, z zaciętością uderzyli na hufce miurydów nieprzyzwyczajonych jeszcze do stawiania czoła wobec niebezpieczeństwa bojowego i rozproszyli ich.

Niepowodzenie to wywarło niekorzystny wpływ na mieszkańców gór. Wiele gmin na żądanie Moskali pod wpływem strachu wysłało deputacje ze złożeniem poddaństwa dla cara, który za okazaną wierność przysłał Chanowi Awarskiemu i jego poddanym: chorągiew sgo Jerzego, order i pieniądze. Jednocześnie z rąk generała Paszkiewicza kapłało złoto na resztę Dagiestanu. Iwan Karganów, zwany Wańką Kainem, rozwoził podarki dla znakomitszych osób.

Kazi-Mulla z swej strony wyrzucał zebranych rozbitkom brak wiary, a przez to brak męstwa i odwagi. Wysilenia jego zdołały uformować zaledwie mały hufiec miurydów, który zajął Gimry (Gumry). Zdawało się, że sprawa miurydów na samym wstępie działania gasła. Jednakże gdy jen. Rozen podszedł z wojskiem do tej wsi i nie odważył się jej atakować, podniósł przez to ducha w miurydach i wzmocnił wpływ i władzę Kazi-Mully. Całe Kojsubu z kilkunastu gmin złożone, odrazu podniosło oręż. Kazi-Mulla więc nakazał nowy zбір miurydów w Szamchalstwie Tarkowskim, w lesie Czunkieńskim, który obrał za punkt operacyjny swoich działań i w którym zaraz był atakowany przez generała

kniazia Bekowicza. Odparty z boju Bekowicz dał świadectwo wobec Dagestanu, że Moskwa może być bitą i pokonaną. Na wieść klęski moskiewskiej Miurydzi licznie się zbrali, a po ukazaniu się w obozie krewnego Szamchała, Irizi z Czeczui, mieszkańcy wsi szamchalskich jedni za drugimi powstali. Tak nagle wzmocniony Kazi-Mulla powziął zamiar iść ku Kaspijskiemu morzu. Po drodze zajął z boju Alty-Bunen, zniszczył Paraul, ówczesną rezydencję Szamchała, zajął Tarki i obległ nad morzem fort Burny. Lecz odparty cofnął się na poprzednie stanowisko do obozu Czunkeńskiego.

Po dziesięciu dniach wzmocniony połączeniem się wielu górskich wsi z lewej strony Sułaku łączących, i przybyciem do obozu znacznej liczby ludzi, Kazi-Mulla przedsięwziął nową wyprawę na północ ku Terekowi. Uderzył niefortunnie na ufortyfikowaną Wniezapną i musiał się cofać, ale przy odwróceniu ścigany przez jen. Emanuela, rozbił go na Auchowskiej ziemi.

Stanąwszy w lesie Czunkeńskim wódz przyjmował deputację z wielu gmin Tabassarańskich, która mu przywiozła pozdrowienie od przebywającego u nich miurzyda Mully-Mahometa z Jarachu i wiadomość o rozbiciu przez Hamzad-Beka Moskali i jeźdźców Majsumskich (Chańskich) na górze Kargul.

Gdy w tym czasie zanosilo się na wojnę z Perją, wojska moskiewskie udając się do Szyrwanu opuściły Dagestan, zatrzymując tylko załogi w punktach nadmorskich. Kazi-Mulla chciał korzystać z tej okoliczności i z przyjaznego usposobienia dla siebie ludności kajtachskiej. Postanowił iść ku południowej stronie na Derbent, najglówniejszy punkt wojenny nad morzem. Wyruszył więc w tę stronę, wszędzie będąc przyjęty z oznakami radości i zapалу, a doszedłszy do góry Samsa założył tam obóz, zebrał siły 7. tysiczne, uderzył naprzód na posiadłości przychylnego Moskwie

Ibrahim-Beka z Karczaku w południowej Tabassaranji, zniszczył je ogniem, a potem dopiero podstąpił do murami opasanego Derbentu. Po ośmiu dniach oblężenia Kazi-Mulla widząc zbliżający się od strony północnej oddział Moskali dowodzony przez jen. Kochanowa, zwinął oblężenie i przeszedł do wsi Dukach i Hiumenti na zachód. Tam wydał ciekawą odezwę do mieszkańców Derbentu, przeważnie Persów, którzy razem z Moskalami bronili miasta przeciw Miurydom.

„W imię Wszchemocnego a nami się opiekującego Boga

Rozkaz.

„My poddani Boga, silni i groźni dla chytrych ciemieńców, jak również i dla tych, którzy mają nieprzyjaźń dla ludzi przejętych świętym Szarjatem, jesteśmy łaskawi z woli Stwórcy dla wszystkich, którzy idą za naszą radą i postępują jako prawdziwi muzułmanie.“

„Niech wiedzą plemiona, że my poświęcamy życie i wazelkie dobra ziemskie, żeby podnieść do wysokości słowo boże i spełnić wolę świętą Najwyższego.“

„Jeżeli wy myślicie, że jakimkolwiek sposobem potraficie uniknąć losu jaki was czeka, to użyjcie go, abyście nie powiedzieli potem, że nieoczekiwany wypadek zrzucił wasze nieszczęścia.“

„Gdy my przybliżamy się do granic nieprzychylnego nam ludu, wtedy jego położenie robi się na podobieństwo zalęknionego poranku.“

„Jeżeli wy jeszcze okażecie skruchę z powodu dotychczasowego waszego zachowania się, pozostawione wam będzie wasze mienie i wy zostaniecie nietknięci.“

„Przeciwnie zaś, wiedźcie o tem, że gdy tylko zima zrzuci z siebie szatę mroźną, a wiosna przywdzieje kwitnącą odzież, przyjdziemy wówczas do was z zastępami, którym nie będziecie w stanie stawić oporu.“

Wypędzimy was z waszych domów i tylko przez wzgląd, że możecie potem okazać swój żal, poddamy was małej karze, a uchronimy od wielkiej.“

„My, ludzie dobrzy dla Muzułmanów, a groźni dla niewiernych, wystąpiliśmy zbrojnie, aby pomagać naszym współbraciom. I niech dla nich będzie pokój i Boże błogosławieństwo do końca wieków. Amen.“

Aby odstąpienie od Derbentu nie wywarło szkodliwego wpływu na ludność Kajtachu, wódz wydał jeszcze następną proklamację.

„Współbracia nasi! Cierpliwość wszystko może przemóć. Podtrzymujcie jeden drugiego, bądźcie jednomyślnymi między sobą, a bójcie się Boga, żebyście nie utracili nadziei zbawienia dusz swoich i wybawienia ich od mąk naznaczonych dla niewiernych i przestępców wiary.“

„Stwórca nie pochwała postępów buntowniczych, więc trzymajcie się razem przeciw wrogom Muzułman do czasu naszego przyścia do was, nie poddawajcie ucha występny i niczego się nie obawiajcie.“

„Zaprawdę powiadam, że wiara wasza zwycięstwo odniesie.“

Po wydaniu tej odezwy Kazi-Mulla rozpuścił swoje oddziały na zimowe leże, zalecając im gotowość na wiosnę. Zaprosił do siebie całą rodzinę Mully-Machometa z Jarachu, ożenił się w Gimrach z jego córką i kazał głosić, że zajęty jest weselem. Zauważywszy zaś, że generał Kochanów pilnuje ciągle Derbentu, zebrał nagle znaczny hufiec, przebył z nim na północy rzekę Terek, zdobył i spalił miasto Kizlar i powrócił z wielkim łupem do lasu czunkeńskiego. W nieobecności potem wodza miurydzi rozbici zostali w tym lesie przez oddział Mikłaszewskoj, który zastąpił usuniętego Kochanowa. Mikłaszewskoj sam poległ, ale zachwał siłę Miurydów.

Lud rozliczając swoje całoroczne ofiary, nie zadowolniał się rezultatami walki. Gdy nie widział wido-

cznego powodzenia, zaczął się niecierpliwić wszelkimi operacjami. Lud chciał widzieć już w ręku Miurydów wszystkie forty moskiewskie, a nie widząc ich, zrażał się. Propaganda moskiewska rozrzucając arabskie proklamacje, zbijające na zasadach koranu ideę miurydyzmu, siała rozczarowanie. Tak się zakończył rok 1831.

Na początku 1832 r. Kazi-Mulla przebiegał całą przestrzeń u spodu gór północnych od fortu Władykawkaz po Tereku aż do jego ujścia do morza; ale niewielkie odniósł korzyści.

Tymczasem jen. baron Rozen, dowódzca sił kaukaskich, zebrał wielki oddział nad Terekiem, przeszedł Czecznję, spustoszył ją ogniem, rozproszył ludność, dotarł do Dagestanu, przeszedł rzekę Sulak pod wsią Miatli i z Temir-Chan-Szury zagroził Gimrom.

Kazi-Mulla wezwał lud do obrony. Hamzad-Bek dał mu znać, że od Derbentu idzie druga siła ku Gimrom, i że on pod wsią Irhanaj przeciw niej stanie. Lud cały strwożył się i wódz znalazł obok siebie ze 400 tylko Gimryńczyków. Jednak Imam nie zawahał się.

— „Broniąc rodziny, przemówił, broniąc świętych prawd Tarihału, broniąc świętego Szarjatu, postanawiam polegnąć w Gimrach. Kto gotów umrzeć, niech zostanie, kto nie chce niech idzie ztąd.”

Moskale prowadzeni przez Weljaminowa, rozbili wały armatami, wyparli Miurydów z kilku punktów obronnych i rozproszyli ich. Nie licząc rannych, zostało na poboju 60 trupów. Kazi-Mulla zamknął się w jednym domu z 15 Miurydami, a gdy z nich już połowa zginęła w pożarze, Imam wezwał aby pozostali szli za nim na przebój. I gdy wystąpił pierwszy z domu, ugodzony został kamieniem, a potem zakłuty bagnetami. Ten los spotkał i innych Miurydów idących za nim, prócz Szamila, który tylko rany ciężkie odniósł.

Gdy Moskale odszukali i poznali ciało Imama, wystawili je na szyderstwo u meczetu z jedną ręką podniesioną w górę, a z drugą trzymającą za brodę. Chociaż klęska czy upadek jednego człowieka nigdy nie może być upadkiem idei wsiąkniętej w massy, jednak Moskale znęcaniem się swoim na trupie Kazi-Mulla, rzucili bezwiednie iskrę do palnego materiału, sami poddmuchnęli płomień, który gasili krwią i pieniędzmi. Postawa bowiem, w jakiej poległego Imama ukazali, oznacza u Muzułmanów człowieka podniesionego do szczytu modlitwy. Lud trwożliwy ochłonawszy ze strachu po odejściu Moskali, patrząc na trupa Imama, wołał i śpiewał:

— „Kazi-Mulla był sprawiedliwym za życia,

„On pozostał takim i po śmierci.

„On święty!

„Patrzcie że on zmarły modli się do Boga.

„Nam należy postępować jak on zalecał.”

Walka więc nie mogła ustać, a lud wołał o nowego wodza. Miurszyd-Mulla-Machomet naznaczył i błogosławił Hamzad-Beka, zaledwie 40-letniego męża, znanego z osobistego męstwa, a zresztą pokaźnego i ujmującej postawy, na następcę Kazi-Mully. Ogólny głos był za nim i uroczystość wyniesienia go na Imama odbyła się niebawem w aule Irhanaj (Irgany).

Hamzad-Bek widząc upadek moralny miurydów i osłabione siły całej ludności, postanowił powstrzymać się pewien czas od zaczepnych działań. Koniec 1832 r. i cały r. 1833 zeszedł mu głównie na podnoszeniu ducha ludności przez pisma i mowy i zresztą na kilku mało znaczących wycieczkach, w których odniósł przewagę nad Chanem Mechtulińskim, i nad posiłkującymi go Szamchalcami i Akuszyńcami. Nadto Hamzad-Bek zorganizował kompanję ze zbiegów moskiewskich, między którymi liczyli się i Polacy i poruczył ją zbiegłemu ex-oficerowi Branowskiemu.

W roku 1834 Hamzad-Bek postanowił wytepić wszystkie rodziny chańskie wiążące się z Moskwą, a pierwszy zapęd skierował na dom Awarski, który właśnie znacznie osłabił postęp Kazi-Mully.

Na czele 12000 zajął w pobliżu stolicy Awarskiej wieś ludną Chocatl i wzmocnił ją okopami, aby w razie klęski miał w niej punkt oparcia. Rozłożył się następnie obozem pod bramami Chunzachu, żądając aby Chan bezzwłocznie zerwał z Moskalami, aby lud uznał za wolny i aby swą siłą zbrojną złączył z zastępem miurydów.

Chan chociaż nie mógł oczekiwać zaraz znikąd pomocy, nie zgodził się jednak na takowe żądania. Chanowa Paku-Beke, jego matka, która poprzednio zażądała lud do wystąpienia przeciw Kazi-Mulle, stanęła teraz przed synem i powiedziała mu:

— „Synu! Czyś ty taki tchórz, że się boisz naszego dżanki (poddanego) lub czyś taki dumny, że uważasz za poniżenie dla siebie chołzić do Beka!... więc ja sama pójdę do niego.“

Młody Chan ustępując woli matki, odważył się wysłać młodszego brata swego, 16-letniego młodzieńca Oma-Chana. A gdy długo nie było go widać z powrotem, matka chańska znowu się przyczepiła do syna i nagliła go, aby sam pojechał na umowy.

— „Powiedz Hamzad-Bekowi, rzekła, żeby on nas zostawił w pokoju. My mu nie będziemy w niczen przeskadzać, aby on tylko bez nas walczył z Urusami, którym nie możemy się przeniawierzać.“

— „Dobrze, odrzekł Abu-Nuncal-Chan, pojedę, ale widzę matko, że ty mi śmierci życzysz.“

Wyjechał Chan w poczcie 200 jeźdźców, ale powrócił zaraz z drogi, spędziwszy strach swój na lejący wtenczas deszcz.

Po kilku dopiero godzinach naglony przez matkę odważył się pojechać, lecz w świącie tylko ośmiu najwierniejszych mu ludzi.

Gdy dano znać Imamowi o przybyciu Chana, Hamzad-Bek powitał go odpowiednio do jego godności, ale potem kazał go stracić z bratem i ze swiątą. Rozkaz ten był dla Miurydów przerażającym. Usłyszeli wyrok niegdyś podwładnego, skazujący na śmierć pana krainy!... Chociaż pragnęli wszyscy równości, ale nie mieli odwagi podnieść ręki na człowieka, który swój ród wyprowadzał od siostry Mahometa.

Jeden z Miurydów mający ogólny posłuch (podobno Szamil) uspokoił towarzyszyw przełożeniem konieczności takiego środka.

— „Ci co biorą pieniądze od Urusów, powiedział, służą im, krew współbraci za nich przelewają, choćby byli z rodu Mahometa gorsi są od niewiernych. Mieście odwagę i straciecie ich.“

Wyrok Imama został wykonany. Wszyscy skazani padli od kul, a między nimi padł i Chan z ręki prostych ludzi, co ani słyszane, ani pomyślane nie mogło być nigdy w Dagestańskich ziemiach.

Bramy Chunzachu otworzyły się nagle w przestrachu. Hamzad-Bek wszedł z tryumfem i na wstępie kazał stracić starą frymarchyżnię Chanową. Głowa Paku-Beka odpadła od kadłuba. Brzemienna żona Chana, a córka Szamchała Mechty pozostawiona była przy życiu.

Padła jeszcze jedna głowa Surchaj-Chana, pretendenta na Chaństwo, którego Jermołow niegdyś obdarzył tytułem pułkownika i promował do władzy na miejsce nieżyczliwego Moskwie Chana Sultan-Achmeta.

Odrazu cała Awarja przeszła pod władzę Imama. Ale jednocześnie wszyscy Chanowie Dagestanu wylakłszy się czynu Hamzad-Beka otwarcie oświadczyli się przeciw miurydyzmowi. Moskwa ze swej strony pismem i słowy

potępiając Miurydów, głosiła się opiekunką Chanów i obrończelką *rzetelnych* wyznawców koranu.

Hamzad-Bek obrawszy zamek Chunzacki na swoją rezydencję, udał się z niego z 5000-mi Miurydów do wolnej Andołańskiej krainy, a potem na czele potrojnego zastępu wkroczył do Cudacharskiej i Akuszyńskiej ziemi. Lecz nigdzie nie miał powodzenia, wszędzie wybieralni naczelnicy tych ziem przygotowali dla niego niechęć i wstręt do Chunzackiej rzezi. Zarzucano Imamowi zdradę, a śmierć młodego Chana i jego towarzyszków uważano za męczeństwo. Przeciwnie lud pod Chanami zostający, przyklaskiwał straszному wypadkowi i przysyłał posłów do Imama, aby go przyszedł oswobodzić. Hamzad-Bek przygotowywał się w Chunzacku do wstępnego boju i zapowiedział, że nie przepuści ani jednemu Chanowi, jeśli się zaraz nie zrzeknie władzy. Lecz nagle uknuł się spisek prowadzony przez sprzymierzeńców chańskich i w jeden dzień świąteczny, dzień czerwcowy, Hamzad-Bek padł w meczecie ugodzony kulą w piersi, a straż jego z kilkudziesięciu Miurydów złożona, wymordowana.

Jeden z głównych działaczy spisku, mleczny brat zabitego Chana, Hadzi-Murat, wziął zaraz na się rządy Awarji i zarządzał pomocy Chanów i Moskali. Ale żadnej zrazu nie otrzymał, bo Chanowie bali się wyprwadzać siły z ziem swoich.

Najdzielniejszy po Hamzad-Boku Miuryd Szamil dwukrotnie kusił się o zajęcie Chunzacku, lecz mieszkańcy odważnie się bronili aż do przyjscia Moskali, którzy usadowiwszy się w Chunzacku stali się panami najważniejszych i najtrudniejszych do zdobycia miejscowości w Dagestanie.

Po trzechmiesięcznym nieładzie w sprawach Miurydów, wybieralni naczelnicy wolnych gmin wynieśli na godność imamską Szamila (Samuela). Czeczeńcy od-

ważnie wojując rządzeni byli przez wybranego także Taszow-Hadżego.

Po przyjęciu władzy, Szamil zaraz w październiku 1834 r. uderzył na Moskali, którzy pod jenerałem Lanskajem zajęli wieś Gimry, i wyparł ich stamtąd ku Temir-Chan-Szurze, ale nie mógł przeszkodzić nowemu natarciu stamtąd jenerała Klugi von Klugenau, który przez Gimry pustosząc wsie, otworzył sobie drogę do Awarji i wypędził Miurydów z Chocatla.

Nowy Imam ciągle miał zwróconą myśl na krainę Awarską, jako na węzeł ziem górskich. Kilka jednak wypraw odbytych w r. 1835 i 1836 nie przyniosły mu żadnej korzyści; bo chociaż zajął na nowo Chocatl, ale był z niego wyparty przez jen. Reutta. Za to w roku 1837 pod Aszilti zniósł do szczętu oddział grafa Iwelicza: a drugi zastęp Miurydów w Achulgo pod walecznym Ali-Bekiem długo opierał się 10-tys. oddziałowi jenerała Fesi. Obrona zajętego Tylifli prowadzona przez samego Szamila, przeciw dwóm połączonym oddziałom: Fesego i pułku Buczkijewa, stała się chwałą Imama. Wydał on też po zwycięstwie następującą odezwę:

„Muzułmanie! Widzieliście żem rozbił Urusów pod Aszilti, lecz oni nie poznali się na mojej sile.“

„Wstąpili oni znów do naszej ziemi i podstępnie pobili naszych i zajęli Achulgo. Taka była wola Boża!“

„Lecz jednocześnie walecznym zastępem zwyciężyłem Urusów w Tilitli, choć oni tam zmuszeni byli do użycia naraz całej swojej siły; poruszyłem przeciw nim różne górskie ludy, nawet za wodą Samuru aż do morza.“

„Wtedy gdy wrogi marzyli o zwycięstwie i tryumfie nademną, niewidoma siła zmusiła ich płochliwie uciekać na ratunek swoich domów i na przechowanie zagrabionego wam mienia.“

„Muzułmanie! Bądźcie stałymi w waszej wierze, a szczerze spełniajcie Szarjat przez proroka od Boga nam dany.“

„Nie upadajcie przy największych nieszczęściach naszych.“

„Módlcie się, żałujcie za grzechy i często powtarzajcie: nie ma Boga prócz jedynego Boga, a Mahomet Jego prorok.“

Moskali jednak nie niewidoma siła zmusiła do ucieczki od Tilitli, a powstanie ludu kubińskiego, karatajskiego i tindejskiego nad Samurem. Jenerał Fesi, wskutek umówicznego z Szamilem zawieszenia broni, wystąpił z pogranicza awarskiego i dążył pałakowatą drogą po nad morzem ku południowi. Gdy Fesi prawie cały rok był zajęty nowym podbojem powstałych prowincyj, Szamil organizował wtedy ludność górską i wzmacniał na nowo zamek Achulgo.

Znaczenie Szamila wzrosło i Taszow-Hadzi, wódz niepodległej części Czeczni, skłonił przed nim głowę.

Czeczeńcy podbici, poruszeni nauką *Tarihatu* a głównie gwałtami jenerała Pullo, powstałi w r. 1839 Szamil mając przy boku swoim znakomitego strategika i taktyka wojennego, Achwerdi-Mahome, wkroczył przez Humbet i Andję do górnej Czeczni, zajął Iczkeri, Rissipi i Szubuzi i przepędził Moskali prawie z całej krainy. Klęska nad Argunem, a nawet zdobycie nowe ważnego zamku Achulgo przez jenerała Grabbe, nie mogły przeważyć korzyści jakie osiągnęli Miurydzi przez przyłączenie do swoich ziem czeczeńskiej krainy.

Czeczeńcy sprawniejsi do partyzantki od Lezginów, ciąglemi odtąd podjazdami niepokoiłi nadterecką okolicę i zaraz w r. 1840 wplądłszy na płaszczynę, przeprowadzili z moskiewskiego osiedlenia w sunżyńskie lasy i w Czarne góry podbitych swojaków. Staranie

Szamila o przecięcie drogi moskiewskiej od Dagestanu przez Kiżlar po bitwie pod Iszkartami, spełzło na niczem.

Zaczyna się znów szereg nowych powodzeń dla Szamila.

Hadzi-Murat, zabójca Imama Hamzad Beka, przykrzywszy sobie Moskali, poróżniwszy się z nimi, uciekł z ich więzów do Miurydów.

Daniel-Bek, sułtan ziem elisujskich, przykrzywszy sobie również przystawę Meleszkę i powiesiwszy go, ogłosił się zwolennikiem zasad miurydzkich i uznał nad sobą władzę Imama.

Gminy andalalskie i karachskie, niegdyś z orężem w ręku występujące przeciw Hamzad Bekowi, teraz same wyrzekły się swojej odrębności.

Kibit-Machoma, dziedziczny pan ziem tilitlińskich, widząc się z trzech stron otoczonym przez krainy zmiurydyzmowane, uznał za stosowne ogłosić się także Miurydem.

Hadzi-Murat, Daniel-Bek i Kibit-Machoma mianowani zostali naibami (wojewodami) swoich prowincyj.

Ludność awarska sprzyjała wielce Hadzi-Muratowi i w terażniejszej okoliczności przyjęła jego stronę i uformowała znaczny hufiec. Ale naib rozbity pod Celmesem na początku 1841 r., do czasu musiał się zadowolnić zajęciem tylko części krainy.

Gołowin, wódz moskiewski, porobiwszy ogromne przygotowania, posunął w góry od strony Czeczni i od Temir-Chan-Szury dwa wielkie oddziały, po kilkanaście tysięcy liczące. Niektórzy z naibów żądali stanowczej bitwy. Lecz Szamil nie odważał się na ryzykowny bój. Moskale odparli Miurydów pod Chubazem i zajęli bez boju Czerkęj opuszczony przez Szamila. Nadto wdarłszy się do Sałatawji i do auchowskiej ziemi, zabrali i osie-

dotarli kolumnami aż do źródeł rzeki Białej, wysiedlili kilka gmin Makoszów i Egeruchajów za Kubań.

Przez owładnięte pasy Abadzechji, dostali się nareszcie Moskale do Ubychów, jednego z plemion abaskich, liczącego zaledwie 25 tysięcy ludności. Ubychy posiłkujący zawsze inne plemiona, nie wytężali dotąd swej siły. Teraz by niedźwiedzie z pod śniegowych zasypów zerwawszy się na huk dział straszących ich dzieci i niewiasty, gniewem i wzdardą życia przejści zostali. Nasrożyli się w swoje przyłbice, pancerze, misiury i kolczugi, pozostałe im może po rycerzach jeszcze szturmujących do ziemi świętej, a wyrzuconych tu na brzegi Euxinu z Genuńczykami i z Byzantczykami. Przypasali miecze znaczone wyobrażeniem lub imieniem Marji, znakiem krzyża, lub ustępem łacińskim z biblij. Krew swą etiopską, może nieco pomieszaną z krwią poprzednich zdobywców, poruszają w naprężonych żyłach i opuszczają chmurni swoje domy od wieków wrogom nieznane. By wichry zlatują z swoich gór śnieżnych, wpadają z ogniem zapалу na ufortyfikowaną już Kamchetę w Abadzechji, wycinają w pień załogę moskiewską, zdobywają i traktują stacje nad Łabą, palą je i lud kozaczy pędzą w góry do niewoli. Porwane tą zapędliwą odwagą okutych w żelaza Ubychów, podnoszą się ujarzmione gminy Szapsugów, chwytają za oręż, oblegają forty moskiewskie Gregorjew i Dmitrjew, wpadają do ziemi Natuchajów i w perzynę zamieniają nowe siedziby wrogów. Szapsugów znowu wspierają gminy nadkubańskie, dostarczając im prochu, ołowiu i broni... Moskale stracili tyle pasów ziemi podbitej. Zostali oni w chwilowem przerażeniu... Posiłki jednak, które im nadeszły, wystarczyły na odepchnięcie Ubychów w góry.

Wiosna 1863 roku oznaczoną znowu została płaczem wielu rodzin natuchajskich z nad morza i szapsugskich

z nad rz. Adeguma i Dżuby, gwałtem przesiedlonych do ujścia Kubania.

Szczęście jest wielkie dla ludzi, że się w nieszczęściu łatwo pocieszają. Na czarne niebo niepowodzeń, weszła dla Czerkiesów gwiazda nadziei; a tą gwiazdą stała się wiadomość o bitwach za Dnieprem, o powstaniu w Polsce!... Z powodu polskich ruchów postanowili znęcani Czerkiesi walkę przetrzymywać. Wysłali tajemnie deputacje do Konstanopola i do Londynu z prośbą o pomoc. W Londynie posłowie Hadzi-Hajden-Hassan i Rustam-Ogły nic u Russla zyskać nie mogli, a u narodu angielskiego wyjednali nieco ciekawego zajęcia sobą, trochę rozpraw i parę słabych metyngów. Z Konstantynopola zaś przybył z garstką ochotników z czterema działami i z obietnicami pomocy Izmail-Basza.

Powstały nowe wysilenia. Przewodnicy zachęcali do wytrwałości; aby zaś mieć oparcie w działaniach sypali na przedce oprowadzaną palisadami redutę między Pszechą a Szipssem, wpadającymi do Kubania. Moskale jednak przed dokończeniem szturmowali tę fortyfikację, zdobyli ją, paraliżując następnie ruch powstańczy. Straszna rozpacz stała się powszechną. Ocalałe resztki najczynniejszych obrońców opuszczają domowe ogniska, aby nie wpaść w ręce wroga i chronią się gromadkami w przetrzebionych lasach i w pieczarach.

W lutym 1864 roku graf Jewdokimow kazał na nowo całej pozostałej ludności górskiej przenosić się na Tamań za ujścia Kubania. Pędzono w te strony prawie sto tysięcy niedobitków, kobiet i dzieci, aby je potem w większej części, z wiosną, wysłać do Turcji. Do Sybiru mała ich część poszła, gdyż tam wtedy pędzono Polaków, a nie chcieli Moskale nagromadzać naraz krocie ludu, przejętego żywiołem swobody. Lecz gdy Moskale kazali się wynosić gminom Dżigetów (Dżigitów), razem z ich przetrzebionymi już jednoplemiennikami Ubychami,

gdy kazali oni opuszczać im stare siedliska i szanowane przez nich cmentarze z kośćmi ich ojców, wtedy Dzi-gety mający zawsze najwięcej sławy bojowej, mający miano, którem wszystkie ludy kaukazkie czcili bohaterów swoich, nie mogli znieść takiego upokorzenia i nie-szczęścia. Wszyscy którzy ująć oręż mogli, co do jednego, zebrali się na skale nad Gadlikiem i przyjęli bój śmier-telny. Przyjęli bój po to, aby sami konając, znaleźli w śmierci wroga zadosyć uczynienie dla siebie!...

Jeszcze nie koniec tym zaciętym zapasom!

Jeszcze snuły się kamiennej wytrwałości dusze, jakby śmiertelne posłannice wszelkich plemion, które dla idei niepodległości, chciały zgonem ciał swoich jakby prze-kazem testamentowym, ogłosić przyszłym pokoleniom ich zadanie. Na znaki umówione, już nie jako miurydzi, jako stronnicy książąt, ale jako czysto Czerkiesi, po-ściągali się ci ofiarni ludzie z lasów, ze skał, z pieczar i z bagien do zakłęśłego wąwozu Aibgo. Przyszedł do nich jen. Szatilow, próbował umów — ale na próżno, próbował szturm — ale na próżno. Brat carski Michał Mikołajewicz, jako nowy namiestnik, kazał ich wytracić działowemi nabojami. Szatilow rozkaz ten literalnie wy-pełnił, zarzucił bowiem kartaczami, granatami i bom-bami całą poświęconą gromadę.

Dnia 14. czerwca 1864 roku Michał Mikołajewicz złożył raport carowi, że na Kaukazie nie ma już ani jednego plemienia wolnego.

Tak się zakończyła, ostatnia za dni naszych, trzy-dziesto kilkoletnia wojna Czerkiesów z Moskalami!...

CZEŚĆ DZIESIĄTA.

S Z A M I L.

Rodowód Szamila. — Wychowanie. — Objaw charakteru. — Podróże naukowe. — Szamil miuryd. — Rana piersiowa. — Wysokie stanowisko. — Wybór Szamila na imama. — Prace organizacyjne. — Propaganda. — Wpływ moralny. — Zasady religijne. — Moskiewskie kłamstwa. — Tolerancja. — Wypadki w Achulgo. — Zdolności militarne. — Kierunek ludowy. — Szczyt potęgi Szamila. — Daniel-Bek. — Duchowe zniżanie się Szamila. — Dyktatura dynastyczna. — Niezadowolonia ludu. — Nowe organizacje. — Upadek Wedenia. — Zdrada Daniel-Beka. — Opuszczenie Szamila przez lud. — Zemsta Indowca. — Obrona na Gunibie. — Niewola. — Rodzina Szamila. — Zpotęgowanie siły moskiewskiej i niebezpieczeństwa.

Upadek miurydyzmu, a następnie i pobój Czerkiesów przez Moskali, wiąże się bardzo z upadkiem Szamila w Dagestanie. Gdy człowiek ten należy do największych znakomitości, jakie w naszych czasach wydały góry kaukazkie i gdy wypadki miejscowe wybitnie odrysowały tę postać na tle krwawych a zaciętych bojów, przyjrzyjmy się jej bliżej i poznajmy ją od kolebki.

Wedle zebranych na miejscu wiadomości Szamil urodził się w miesiącu czerwcu 1797 r., we wsi Gimry (Gumry albo Humry), w wolnej gminie Kojsubu, będącej częścią Awarji. Jego ojciec Dengaw-Mahomet był rolnikiem stanu wolnego, a matka jego Bachu lub Pachu-Mesdon miała pochodzić ze stanu beków, to jest szlacheckiego. Szamil miał tylko jedną siostrę Fatymę (Patymat).

Pochodzenie matki wedle praw miejscowych nadałoby Szamilowi tytuł szlachestwa, gdyby wówczas już społeczeństwo kojsubulińskie nie rządziło się zasadami demokratycznymi.

Opowiadają, że od samego urodzenia, Szamil był bardzo wątłego zdrowia i że przez to rodzice jego mieli wiele z nim kłopotu. Żadne starania, ani żadne leki przyczyniające wydatki, nie mogły go w ciągu kilku lat przyprowadzić do należytego zdrowia. Ktoś kabalistycznie doradził, aby mu zmienić imię i że to może przemienić jego niemoc na siłę.

Przezowano go więc Samuelem. Zdarzenie mieć chciało że chłopczyzna właśnie wtenczas gdy zamiast Alego począł nosić imię Szamila, czuł się coraz zdrowszym, nabywał czerstwości sił i rósł jak na młodziach.

Temperament jego okazał się wesołym i swawolnym. Żadna gra, żadna zabawa chłopiąt wiejskich nieobyla się bez niego. Z odkrytą piersią jak i wszyscy i często boso, ścigał się z zawodnikami do mety, wdrapywał się na okoliczne skały, albo z narażeniem potłuczenia sobie boków spuszczał się w głębokie parowy. Zabawami temi, rzucaniem kindżała do celu i machaniem szaszka, nabył takiej zręczności, że już go nikt z rówieśników w tem nie przesadził.

Gry te ćwiczące ciało i zdradzające jego usposobienie do oręża nie przeszkadzały Szamilowi do chętnego przykładania się do nauki czytania i pisanja.

Chłopiec okazywał przytem usposobienie uczuciowe. Był mocno przywiązany do ojca, matki i do siostry. Lubił bardzo towarzysów szkolnych i zabaw, lubił krewnych swoich i cieszył się nawzajem ich przywiązaniem.

W miarę wzrostu jego, wzrastało w nim także poczucie godności i obowiązków człowieka. Z przykrością patrzył on na smutną skłonność ojca swego do upajających napojów i nieraz czytał mu ustęp z koranu, w którym zabraniało się pijaństwo. Pewnego razu gdy ojciec się upił i idąc w tym stanie przez wieś stał się przedmiotem pośmiewiska, Szamil będąc już podrostkiem nie mógł znieść takiego upokorzenia. Gdy się więc wytrzeźwił, wbrew zwyczajowemu zachowaniu się dzieci względem ojca, stanął przed nim Szamil, z nieśmiałością ale i z determinacją i powiedział:

— Ojciec mój! gdy się jeszcze raz zdarzy, że sąsiedzi nasi będą się z ciebie śmieli, ja nie przeżyję tego, bo w oczach twoich życie sobie odbiorę.

Zapowiedzenie to jedynego i niezmiernie kochanego syna silnie zrobiło wrażenie na Dengaw-Mahometcie i już go odtąd nikt nigdy nie widział pijanym.

Okazywane przez Szamila chęci do książek skłoniły ojca, że go przeznaczył do zawodu naukowego. Mający piętnaście lat młodzieniaszek udał się do sąsiedniej Akuszy, aby tam jak powiadają odbierać wiadomości teologiczne i naukę języka arabskiego u Gimryńczyka Kazi-Mully, ówczesnego tam Kadiego (sędziego). Oddając się pracy, długo on tęsknił do rodziny i do wsi swojej i dla uspokojenia uczuć wyrwał się przy każdym zdarzeniu do Gimrów. Nacieszywszy się z rodzicami i z kochaną swoją siostrą Fatymą, biegł Szamil do sąsiadów, aby powitać młodych przyjaciół. Potem znów wracał do Akuszy, do nauk.

Lecz z miesiącami, z latami, miłość jego poczęła w sercu przybierać głębsze i szersze rozmiary; przestał

on ją ograniczać do swojej tylko rodziny i do swojej wsi tylko. Rozciągnął on miłość do całej krainy kojsubuskiej i do Akuszy, a następnie do całych gór i dalej, gdzie go wiedza nauki poznał z innymi mahomekańskimi ziemiami.

Skończywszy kursa swoje w Akuszy, a pragnąc nabycia dalszych wiadomości, puścił się w świat dagestański i kolejno zwyczajem uczniów miejscowych, słuchał nauk u najslawniejszych ulemów (mistrzów). Między innymi był i u Dżemmal-Eddina, późniejszego teścia swego w Kumuchu. Znajomość języka arabskiego otworzyła mu stare skarby wiedzy i piękna w księgach zapyłonych, ale jeszcze bardzo świeżych dla synów Kaukazu.

Podróż ta naukowa była podwójnie korzystną dla niego, bo nie tylko wykształciła umysł różnostronnie, ale zarazem dała poznać jego zdolności najświetlejszym ludziom w kraju, a ludowi między którym przebywał, okazała wielkie serce jego i olbrzymią wzniosłość ducha, z której jak z minaretu miała się potem głosić potęga Boga i sława islamizmu.

Tak lud o nim mówił.

To też gdy w 1830 roku podniesioną została chorągiew miurydyzmu, a Kazi-Mulla ów poważny, milczący, głęboki mistrz jego objął hetmaństwo wojny świętej, umieścił on zaraz Szamila w przybocznym hufcu swoim.

Szamil wśród drużyny miurydzkiej dawał dowody męstwa, a przedewszystkiem pytany, podawał rady nacechowane żywym, jędrnym a śmiałym poglądem. Praktyczność jego zdania, będąca wyrazem potrzeb ogółu, będąca wagą ciężących okoliczności i miarą środków stosownych do użycia, do tyła zastanawiała uwagę Kazi-Mully, że mąż ten wyraźnie zalecał go na przyszłego imama miurydów.

Kazi-Mulla, jak powiedziałem, zginął bezśmiertnie na zwaliskach Gimrów w 1832 roku. Szamil w ucieczce torując sobie drogę między Moskalami, z których podobno że trzech powalił na ziemię, sam tak mocno został pchnięty bagnietem w piersi, że dalej nie mógł postępować. Na zakręcie ciasnej uliczki schował się on do ocalałego od zniszczenia domu, gdzie los sprowadził za nim niejakiego Mahomet-Alego, który później w ciemną noc, między posterunkami moskiewskimi, zdołał go ociekającego ze krwi przeprowadzić do pobliskiej wioski. We wsi tej nikogo nie zastali, bo wszyscy mieszkańcy uciekli w góry i w pieczary. Dostał się nareszcie na pół żywy Szamil do wsi Uncukul i tam zaległ łożo niemocy.

Zdało się że dni jego już były policzone, gorączka go mocno trawiła, a rana przybierała groźny charakter. Ale gdy po 25 dniach wrócił z wyprawy bojowej miejscowy chirurg Abdul-Azis i opatrzył go, chory uczuł tyle ulgi, że zasnął na całą dobę. Przybyła do niego w tym czasie i siostra jego Fatyma z Aszyli i przyniosła mu jego kosztowności po rodzicach pozostałe. Szamil patrząc na te kosztowności, rzekł w duchu miurydzkim:

— Weź to sestro, co mi potem...

Fatyma niezmiernie ceniąca i kochająca Szamila, wnioskuje z tych słów brata prędką zapowiedź jego śmierci, złękła się i zzieleniała z bólu sercowego.

Lecz stan zdrowia Szamila polepszać się odtąd począł, gorączka ustawała i rana się oczyszczała. Po trzech tygodniach starania, chirurg Abdul-Azis oświadczył mu, że już ustało niebezpieczeństwo, wszelako zalecił mu trzymiesięczny spoczynek.

W tym właśnie czasie podnosiło się po klęsce nowe, silne życie. Lud wołał o nowe boje i o następcę świątobliwego Kazi-Mully. Miurszyd Mulla-Mahomet wskazał

do tej godności walecznego Hamzad-Beka, a uroczystość wyniesienia go na imama odbyła się w Irganaj. Radość i okrzyki ludu uszczęśliwionego były nieskończone. Okrzyki te odbijając się echem od skał, przelatywały przez wąwozy od wsi do wsi i doleciały do zacisza Szamilowego. On, który obawiał się aby sprawa miurydyzmu, sprawa wolności i niepodległości, nie skończyła ze śmiercią Kazimully, uszczęśliwił się tą wieścią. Nie dniami, ale chwilami już wzmagał się na siłach i przed terminem jaki mu naznaczył lekarz, poszedł do opuszczonej przez Moskali wsi Gimry i z rozjaśnionem ze szczęścia obliczem stawiał się przed nowym hetmanem. Hamzad-Bek ujrawszy Szamila, którego z powodu ciężkiej rany uważał był za niezdolnionego do działań, z zapalem uniesienia przyjął go u siebie i również jak poprzednik umieścił go przy swoim boku, aby korzystać z jego nauki i rad.

Hamzad-Bek właśnie potrzebował kierunku takiego umysłu, jaki posiadał Szamil. Hamzad-Bek odznaczał się odwagą i osobistą dzielnością bojową. Śród walczących zastępów, jego rycerska postać malowniczo się przedstawiała między chorągwiami jego orężników. Siła rzutności jego magnetyzowała podkomendnych i nakazywała uznanie jego wyższości... ale wyższości chwilowej i warunkowej. Hamzad-Bek był stworzony do wprowadzania w bój towarzyszków, ale nie był on pono ani taktyk głębszy, ani strategik rozległy, a jeszcze bardziej nie był on administrator, ani polityk. Zaczynał Hamzad-Bek póki jeszcze w pysze nie zanurzał swej władzy, może czuł sam ten brak zdolności swoich i właśnie dla tego wezwał Szamila aby mu radził i pomagał. Dawne koleżeństwo i przyjaźń wzajemna ułatwić bardzo mogła te nowe stosunki, w innych już warunkach teraz postawione.

Szamil na wstępie doradzał nowemu imamowi, aby czasowo wstrzymał się od walnych bojów i aby przede wszystkim zajął się w początkach wytworzeniem sił

potrzebnych i zjednaniem sobie ludności ujarzmionej przez chanów i Moskalów, a potem aby stanowczo uderzył na Awarję. Przeszedł też cały rok na takich przygotowaniach, a w 1834 roku jak się wzmiankowało już, Hamzad-Bek zdobył Hunzag, inaczej Chuzach, a wielce szkodliwy dom nuncalów (chanów) w pień wyciął.

Wypadek ten przypisują głównie radzie Szamila, jako wówczas zapamiętałego wroga domów panujących na Kaukazie. Jednak jeżeli się Szamil zgadzał na podobne przedsięwzięcie, czemu trudno przeczyć, katastrofę tę wszelako należy uważać jako wynik okoliczności. Twierdzą że Szamil uwiadomiony o przechowanym w Hocatlu 12-letnim bracie chana, Bułaczu, kazał go również ściąć; lecz jemu także przypisują ocalenie młodej chanowej nie dla tego że była brzemienią, ale że była córką przychylnego miurydyzmowi szamchała (chana) Mechti. Ten ostatni powód jest dowodem, że Szamil kierował się nie nienawiścią z zasady do wszystkich członków rodzin książęcych, ale wyrozumowaną przez niego koniecznością głądzenia tylko tego co na drodze postępu sprawy stawało.

Wytepienie domu chańskiego w Awarji nie utoroowało jednak drogi miurydyzmowi, owszem niektórych chanów związało więcej ze sprawą moskiewską, a nawet przewodnicy oddzielnych społeczeństw wolnych poczęli słuchać ze wstrętem o miurydyzmie. Lud ważył się w opinji.

Bądź co bądź Szamil był rad ze zwycięstwa i z zajęcia Awarji, która była powodem znacznego przedtem przelewania krwi, a która na ten raz zdobytą została ofiarą tylko kilkunastu osób. Ale znając usposobienie wielu Awarczyków, a głównie mieszkańców Chunzachu, przychylnych rządowi chańskiemu, Szamil radził Hamzad-Bekowi, aby się osobiście usunął z Awarji. Hamzad-Bek zaś ufny już własnemu rozumowi nie słuchał Szamila,

owszem dla nadania sobie powagi groźnego zwycięzcy, osiadł w chunzachskim pysznym zamku chańskim, otoczony strażą ze setki może ludzi złożonej. Kilkakrotne rady Szamila nie mogły z tej fałszywie lehcącej go ambicji sprowadzić, a nareszcie ozwał się: „już moja brona po uprawnej roli bronuje, nie rozbije się ona o kamienie.“ Jeszcze Szamil powróciwszy z wyprawy do Gimrów, niepokojony dolatującymi go wieściami, wysłał swego nukiera (posyłkę) do imama, błagając go o przeniesienie się do Hocatla o trzy tylko mile od Chunzachu leżącego. Po trzech dniach nukier wrócił nocą do Gimrów i wysłał żonę do Szamila z uwiadomieniem, że dla wielkiego zmęczenia nie może się stawić przed nim. Szamil domyślał się nieszczęścia i krzyknął:

— Hamzad-Bek zabity!...

Sprawdziwszy swój domysł, Szamil z prawa mu służącego natychmiast objął tymczasowe dowództwo nad hufcami Górali. Wielu kadiów zarządzających niepodległymi krainami, z powodu już zaszłej śmierci miurszyda Mahometa-Mully, który ogłaszał imamów, w imieniu plemion wyprawiło poselstwa do Szamila, aby przyjął na siebie władzę imama. Lecz Szamil wręcz odmówił i przedstawił do tej godności innych kandydatów.

Po wspólnem porozumieniu się następnie kadiów, naznaczono w celu wyboru imama, zjazd ogólny na dzień 2. października 1834 roku, na górze Araktan (Arakany).

Zjazd jednogłośnie zaraz okrzyknął Szamila imamem.

Szamil dobrze rozważający stan rzeczy i przewidujący, że w tych warunkach w jakich społeczeństwa miurydzkie w owym czasie zostawały, nie mógłby ująć w swe ręce wszystkich sił moralnych i materialnych kraju, że dla utrzymania samej harmonji między plemionami musiałby poświęcać prawie cały czas, nie chciał

przyjąć ofiarowanej mu władzy. Gdy Szamil przedstawił Zjazdowi Sagida z Igali, ten odpowiedział:

— Nie na moje siły takie brzemię, nie na moje zdolności takie rządy.

Gdy Szamil przedstawił na imamstwo Chadzio-Debira (Gazio) z Karanaju, ten także powiedział:

— Czyny żywota mego, ani imię moje nie budzi zaufania powszechnego. Przemawiam za tobą Szamilu, bo imię twoje brzmi na ustach każdego miuryda, a o sławie twojej dzieci nawet prawią.

Gdy Szamil jeszcze przedstawiał innych kandydatów i obiecywał każdemu swą pomoc, gdy ci kandydaci wymawiali się a nikt ich nie popierał, wtedy zniecierpliwiony rozprawami Chadzio, ozwał się do Szamila:

— Jak to, więc i ty Szamilu dopuszczasz abyśmy już drugi dzień trawili na rozprawach!? Ty się targujesz i nie chcesz przyjąć władzy dawanej ci przez wszystkie plemiona? Więc ty gardzisz życzeniami plemion!? Wrogi na okół nas obstąpili, szyki na ciebie patrzą i czekają hasła twego na boje, a ty się uchylasz od obowiązku! Więc ty chyba chcesz uniknąć śmierci poprzednich imamów?... co niepodobna! Słuchaj Szamilu, jeżeli nie przyjmiesz władzy, my nazwiemy ciebie naszym nieprzyjacielem!...

Szamil do głębi ducha wstrząśnięty takimi wyrzutami, odezwał się donośnie:

— Nie uchylam ja się od śmierci i w kazawacie (wojnie św.) gotów jestem zginąć. Nie jestem waszym nieprzyjacielem, bom gotów w obronie waszej umierać. Szczerze jednak wam powiadam, że ja się nie czuję zdolnym do rozkazywania wam, bo nie mam u was powagi Kazi-Mully, bo nie mam u was bojowej sławy Hamzad-Beka. Wiem zaś że ludzie, których podaje na imamstwo mają szacunek powszechny, więc będą mieć i łatwiejsze posłuszeństwo. Przyszły imam potrzebuje bezwarunko-

wego posłuszeństwa wszystkich, aby dokonał czego się od niego wymaga. Popatrzcie wzrokiem jasnym. Zasady miurydyzmu wymawiają się ustami, a nie są wykonywane. Gdy potrzeba bojów, wtedy prowadzą się różnolite spory, właśnie, z których wróg korzysta, a nasi w zemście giną z rąk swoich. Każde plemię, a często i gmina osobnem polem chodzi. Imamy wiele trudu mieli, aby w potrzebie skupiać rozdrobnione siły. Przyszły imam, którego wybierzecie powinien mieć wszelką władzę i wszelkie posłuszeństwo.

Po Szamilu przemawiał Sagit, Chadżio i inni, a każdy powtarzał o potrzebie posłuszeństwa i wszyscy na nowo zażądali od Szamila przyjęcia władzy. Szamil wtedy przemówił:

— Czy wszyscy zgadzacie się słuchać moich rozkazów?

— Co każesz wykonamy, gdzie wskażesz pójdziemy... i różnie w tym duchu przyrzekali zebrani.

Wówczas Szamil złożył ręce na piersi, podniósł oczy w górę i wyrzekł:

— Nic się nie dzieje bez woli Boga. Mówię wam i ogłoście plemionom, że ja jestem imamem!...

Zaraz odbyła się uroczystość wyniesienia Szamila, którego wybór był tryumfem całego ludu.

Szamil zaczął od tego, co niegdyś doradzał Hamzad-Bekowi, zaczął od organizowania sił wojennych. Aby tej organizacji nadać moc trwałą i użyteczność, oparł ją na obszernych podstawach administracyjnych i politycznych. Była ta praca trudna, przerywana walkami z wrogiem i z wewnętrzną nawykłością do zupełnie innych urządzeń, innych form, gdzie nigdzie może do większych, ale w samowolę wyradzających się swobód społecznych, które Szamil kazał poświęcić dla nowych ustanowień.

Organizacja ta przeprowadzała się powoli i nabierała mocy i trwałości w miarę zwycięstw, otrzymywanych

nad nieprzyjacielem. Podaję ją tu w opisie, jak już stała koło 1840 roku, ze wzmiankami późniejszych ustanowień.

Ziemie podwładne Szamilowi, dzieliły się administracyjnie i wojskowo na cztery obwody, pod zarządkiem pierwszorzędnym naibów (wojewodów). Tymi naibami byli Achwerdi-Mahoma, Szaib-Mulla, Hadżi-Murat i Kibit-Machoma; później Daniel-Bek, Toszaw-Hadżi (czasowo) i Kazi-Mahomet.

Obwody te, z najwyższą 300 tysięczną ludnością, dzieliły się na naibstwa pod zarządkiem drugorzędnych naibów, których bywało około dwudziestu. Każdy z głównych naibów zarządzał osobiście jednym z naibstw swego obwodu.

Naibstwa liczące po kilka tysięcy familji, dzieliły się na debirstwa (opola) pod zarządkiem debirów, a debirstwa na gminy pod zarządkiem mullów.

Naibowie posiadający w swem ręku kilka połączonych władz, dla podolania czynnościom mieli swoich pomocników i pisarzy (mirzów).

Siły wojenne Dagestanu i Czeczni dzieliły się na piechotę, jazdę i artylerję. Liczba pierwszej wynosiła najwyżej 40.000, drugiej 6000, a trzeciej 500 ludzi.

Do piechoty liczył się każdy mieszkaniec zdolny do przenoszenia trudów obozowych. Broń własną i żywność zapasową na kilka dni, każdy mieć musiał w pogotowiu.

Niezdolni do trudów obozowych, niektórzy kalecy i niedorostki w razie wymarszu zdrowych ludzi z aulu, stanowili załogę miejscową (pospolitaki).

Imam starał się urządzić i nizam czyli regularną piechotę, ale słabe środki Górali i wstręt do bagnatów, wiele mu trudności stawiały. Nizam w 1850 r. przełamany w zawiązku swoim na dolinie szalińskiej przez Moskali, już się więcej nie zorganizował.

Jazda (murtari) wybierała się w każdej wsi, po jednym z 10 dymów. Jeździec bywał odziany, uzbrojony i dostawał konia od rodzin, które go wybierały. Nadto jeździec w ciągu roku dostawał od nich 10 rubli żołdu, 10 worków zboża i 10 fur siana. Rodzina dostarczająca jeźdźca żadnych wydatków na utrzymanie jego nie ponosiła.

W razie zniszczenia której wsi przez nieprzyjaciela, jezdni utrzymywani bywali ze skarbu imamskiego.

Jezdni powinni byli służyć od 20 do 60 roku życia pod chorągwią naibską i oprócz prowadzenia bojów z nieprzyjacielem i eskortowania naibów, spełniali niekiedy i policyjne obowiązki.

Artylerję urządził imam dopiero w 1842 r. po zabranii 40 dział moskiewskich w Awarji i gdzieindziej. Używał jej w polu i na pozycjach w obronnych aulach i w zamkach. Artylerja ta obsługiwana była przeważnie przez zbiegłych od Moskali Polaków, a osobliwie Rusinów z nad Dniepru. Lecz byli przy obsłudze i czyszcii Moskałami. Fabrykowane w górach działa z napisami arabskimi z jednej strony: „Szamil,“ a z drugiej: „Bóg wzmoże i wzniesie swą chwałę,“ nie wytrzymały prób.

Siły te tak musiały być zawsze rozłożone na kresach granicznych, że zaledwo część ich mogła być użytą do ruchów na moskiewskim terytorjum. Na jeden punkt bez osłabienia innych nie mógł Szamil więcej gromadzić nad 10 do 15 tysięcy, a im więcej tem na czas krótszy.

Wszystkie zastępy bojowe dostawały proch przez naibstwa, ze skarbowych fabryk w Uncukulu, w Wedeniu i na górze Gunib urządzonych. Rzadko i to tylko przy obfitości prochu wydawał się on dla polowania, zabaw i t. d. Na ten wszakże użytek istniało kilka prywatnych fabryk. Czeczeńcy nie posiadający takich prywatnych fabryk, płacili po dwie kule za jeden nabój prochu.

Urządzone magazyny prowianckie po naibstwach, a powstałe z wnoszonej dziesięciny od każdego zboża, dostarczały żywność zastępom przeznaczonym do dłuższego przebywania na liniach bojowych, a w razie wypadku i gminom dotkniętym nieurodzajem, lub spustoszeniem przez nieprzyjaciół.

Cała siła piesza i jezdna podzielona była na dziesiątki, setki, trójsetki i t. d.

Starszyzna nosiła różne odznaczenia. Główni naibowie nosili srebrne naramienniki na obu ramionach. Inni naibowie i naczelnicy jazdy nosili jeden naramiennik owalny. Juz-baszi (setnicy), ust-juz-baszi (trójsetnicy), bez-juz-baszy (półtysiączeni), nosili na piersiach różne srebrne blaszki kwadratowe, z odpowiednimi napisami.

Za zasługi bojowe nagradzał imam kołmi, szatami honorowemi lub pieniędzmi. Od 1841 r. za odznaczenie się dawano znaki według stopnia zajmowanego stanowiska. Niekiedy na poległych znajdowano naszyte na czalnie kawalki zielonej materji, znajdowano medale okrągłe na piersiach z arabskim napisem: „walecznemu setnikowi“ i trójkątne medale z napisem: „szczególnie walecznemu trójsetnikowi.“ Pierwszorzędni naibowie ozdabiani byli gwiazdami. Do niektórych z tych znaków przywiązana była nieznaczna pensja. Oprócz tych powszechnych oznak zaszczytu, imam niekiedy udzielał wyłączone. Achwerdi-Mahoma miał u naramiennika zawieszony medal z napisem: „nie ma waleczniejszego nad Achwerdi-Mahomę i dzielniejszej szaszki nad jego szaszkę.“ Naibstwa i gminy odbierały za meztwo chorągwie z odpowiednimi napisami. Niektóre gminy dostawały kamienie z wyrytymi dla pamięci opisaniami ich głośnych czynów. Taki kamień wmurowany był w baszcie nad bramą we wsi Gergebil, po obronie w 1847 r. od napadu księcia Woroncowa. W innych wsiach kamienie wmurowywano w meczetach. Odbite nieprzyjacielowi

chorągwie oddawały się zwycięzcom dla ozdoby ich domów. Takie chorągwie odbite jen. Grabbemu mieli Sznaib i Utubej.

Przeciwnie za tchórzostwo w boju, winowajca nosił prawy rękaw obsyty wojłokiem, albo miał przszyty kawałek szarej materji na plecach i nosił go dopóty, dopóki następnem mężstwem nie zmasał swojej poprzedniej winy.

Przy nowej organizacji i przy zaprowadzonym coraz lepszym rygorze, zastępy miurydzkie robiły się coraz więcej zręczne w boju, stawały w wybornym szyku i w potrzebie potrafiły się rozwijać w linje i łamać się w kolumny i w czworoboki.

Najdzielniejszym hufcem miurydzkim, byli *murtizigaty*, jeźdźcy doświadczonej odwagi, waleczności i wypróbowanej wierności dla sprawy i przywiązania do osoby imama. Stanowili oni przyboczną straż Szamila w domu i w obozie. Liczba ich różna bywała; było ich niekiedy dwustu i mniej, a czasem i kilkuset ludzi. Za wojny wschodniej w 1854 r., w oczekiwaniu na przybycie Turków, dano im uniformy. Hufiec ten bezwarunkowo oddany usługom imama, obowiązany był na czas murtizigactwa do bezżenności. Ci którzy mieli żony musieli zawiesić swoje stosunki z niemi i z całą familją, aby łatwiej aż do poświęcenia życia swego mogli słowem i przykładem, walecznością i rezygnacją, wpływać wszędzie i zawsze do utwierdzenia miurydyzmu i władzy imamskiej. Mieli oni zupełne utrzymanie ze skarbu imamskiego; szeregowi brali płacy po 10 złp. miesięcznie i część zdobyczy osiągniętej na nieprzyjacielu. Niekiedy część ich bywała rozłokowywana po wsiach w pobliżu rezydencji imama. Oszczędzani oni bywali w bojach i tylko występowali w chwilach gdy osoba imama była zagrożona. Naczelnik murtizigatów był tak wysokiego znaczenia, że zasiadał w dywanie imamskim.

Oprócz administracyjnych i wojennych przeobrażeń, Szamil usuwając prawo zwyczajowe, a odmienne w każdym plemienu, urządził także sądownictwo na podstawach szarjatu. Po naibstwach, które były osiłą krajowego zarządu, kadiowie rozpatrywali sprawy i wydawali wyroki. Decyzja w ważniejszych sprawach kryminalnych a nawet politycznych należała do naibów. Wyroki wszakże śmierci podawane były do przejrzenia pierwszorzędnym naibom, a w niektórych razach i imamowi, a raczej zostającemu przy jego boku najwyższemu urzędnikowi sprawiedliwości, którym był najdłużej uczony i cnotliwy Czecceniec Taszaw-Hadzi.

Stosownie do winy, różne kary były wymierzane na winnych. Za jedne przestępstwa winowajcy nosili kawałki szarego sukna na sukni, nie mogąc w tym czasie mieć żadnych stosunków z kobietami; za drugie sadzani bywali do ciemnic na paro lub kilkotygodniowe więzienie. Tym ostatnim rodziny dostarczały żywność w gatunku i w ilości dozwolonej. Winowajcy osądzeni bywali także na kary pieniężne albo na dostawienie pewnej ilości zboża lub bydła. Te ostatnie kary praktykowały się szczególnie w sprawach o zemstę krwi.

Wiadomo, że Górale z uświęcenia zwyczaju liczyli sobie za obowiązek religijny mścić się śmiercią za śmierć, kalectem za kalectwo. Nie jedno zabójstwo rodziło szereg nowych. Synowie, wnuki, mścili się za przodka swego, bracia za braci, krewni nawet dalsi obowiązani byli do zemsty. Szamil dopiero z wielkiem wysileniem przekonał lud, że zemsta krwi powinna być spełniana tylko na wrogach kraju, a w łonie jednego społeczeństwa powinna się załagadzać karą majątkową krzywdzącego, na korzyść rodziny skrzywdzonej i na korzyść skarbu publicznego.

Dla uniknięcia podobnych przestępstw srodze było wzbronione używanie upajających napojów.

Kary śmierci były dwojakiego rodzaju, jedna poczesna, a druga hańbiąca. Poczesną śmiercią ginął ten, kto siedzący na ziemi z odwiniętym kołnierzem na szyi i nachylony w modlitwie miał mieczem głowę odciętą. Hańbiącą zaś śmierć ponosił, kto na rusztowaniu miał toporem odrąbaną głowę.

Jeńcy wojenni — mówi się o szeregowych — zostawali niewolnikami tych, którzy ich na polu bitwy zabrali. Prawo dozwalało właścicielom postępować z nimi według upodobania. Byli więc przedawani i używani do robót około domu lub w polu, do paszenia trzód i innych zajęć. Przyjmujący wiarę mahometańską i żeniący się w górach, stawał się równym innym mieszkańcom.

Oficerowie moskiewscy uważani byli za niewolników tej z gmin, która ich ujęła. Przeznaczani oni byli do wykupu za parę do kilku tysięcy rubli. W czasie targu o nich, nie używano ich do żadnych robót, a niekiedy wypuszczano z więzienia, z warunkiem aby za wieś nie wychodzili. Podporucznik Nikorkin, podpułkownik Kobjew i inni opowiadali o łagodnym z nimi obchodzeniu się.

Uciekających oficerów okuwano w ciężkie kajdany i trzymano w lochach, a czasem tracono. W czasie szybkiego marszu Moskali pod Dargo w 1845 roku, Szamil odstępując nagle i paląc aul, kazał ściąć 34 uwięzionych tam oficerów.

Szamil mając wzgląd na zmniejszanie się ludności przez ciągłe boje, dozwolił naibom upoważniać takie związki małżeńskie, którymby się nawet rodzice nowożeńców sprzeciwiali. To prawo dające oporę dla miłujących się par, jako przeciwne odwiecznym zwyczajom, wywoływało niezadowolenie nie jednych rodziców, twierdzących że ono upoważnia młodzież do przedwczesnych niedozwolonych związków z sobą. Spory o wysokość *kałymu* czyli wiana, jakie winien wnieść nowożeniec rodzicom zaślubionej, toczyły się często przed sądami,

z prawem apelacji do naibów, którzy ostatecznie sprawę rozstrzygali.

Do czasu nowego urzędzenia, skarb publiczny albo imamski (*beit-el-mal*) zasilał się z *chamusu* czyli z piątej części zdobyczy, przez kogokolwiek i gdziebądź na nieprzyjacielu osiągniętej; składał się jeszcze ze sztrafów pieniężnych wnoszonych za wyrokami sądowymi przez przestępujących prawa. Szamil zaś do powyższych źródeł skarbowych, dodał jeszcze kilka innych. Naznaczył on powszechny podatek *zekat* po rublu z każdego domu; dołączył wszelkie przekazane po zmarłych dochody meczetowe i przyłączył wszelkie majątki po właścicielach bezpotomnych.

Szamil chciał urządzić własną mennicę, ale jak mówią, z obawy aby Moskale nie podejrzewali gór o posiadanie bogatych kruszców, albo aby mu nie nasyłali fałszywej monety, zaniechał tej myśli. Trudno wiedzieć coś rzeczywistego w tym względzie, ale wiadomo, że konfiskował on narzędzia i warstata tych, którzy się robieniu moskiewskich pieniędzy oddawać chcieli. Ostatecznie z obawy aby podwładnego mu kraju fałszywymi pieniędzmi nie zarzucano, za podobne rzemiosło naznaczył on karę śmierci przez ucięcie głowy.

Ze skarbu imamskiego dawano fundusz nie tylko na utrzymanie domu imama, na utrzymanie murtizigatów, ale wydawano nagrody wojskowe, wspomagano zniszczone na majątkach rodziny, oraz wdowy i sieroty po poległych obrońcach; wspierano mało mające dochodów meczety i szkoły przy nich urządzone; zasilano funduszem młodych ludzi udających się po wyższą naukę do Konstantynopola; zaopatrywano też ludzi wysyłanych w poselstwie i t. d.

Urządzona poczta, służyła tylko dla spraw publicznych. Posłaniec (*nukier*) okazywał papier od imama lub od którego naiba, dostawał w każdej wsi gotowego

konia i przewodnika, a na noclegach dostawał kwatery i pokarm. Spisane rozporządzenia ogólne, administracyjne lub policyjne, pod odpowiedzialnością debirów i mullów, przesyłały się ze wsi do wsi, zatknięte w rozszczipioną laskę na podobieństwo dawnych wici.

Całą tę budowę organizacyjną Szamil uwieńczył dywanem, który był jego radą i ministerstwem w różnych gałęziach zarządu. Dywan ten w ostatnich czasach składało sześciu członków: Mohammed-Efendi (godność biskupia) z Kazi-Kumucha, Radzabil-Mahoma z Czerkiej, Jabija-Chadzio naczelnik artylerji, Dżemał-Eddin teś Szamila, Chadzio-Debir z Karanaj i Mitlik-Murtuzali komendant murtizigatów. Prócz tego dwóch mirzów: Mahomet-Kadi i Adir-Chan pełnili obowiązki przybożnych sekretarzy imama.

Praca organizacyjna Szamila, oparta na duchu miejscowych potrzeb, a przeprowadzająca się lat kilka z wysiłeniem, przygotowała góry do długiej niewidzianej nigdy takiej obrony w tych stronach i przeciw siłom, któreby w krótkim może czasie mogły zachwiać nie jednym państwem europejskim drugiego a nawet i pierwszego rządu.

Lecz Szamil rozumiał że same boje jako nienawistne zapasy dwóch sił, nie doprowadzą gór do żadnych rezultatów. Ścisła więc on te prace cementem idei religijnej, jak się wyraziła odezwa do Kajtachów „podnosząc do wysokości słowa Boże.“ Nie przestawał on na tem, że idea miurydyzmu, że nauka Mahometa-Mully, że życie Kazi-Mully zapalały lud do walki i czyniły go zdolnym do przenoszenia trudów. Utrzymywał on ciągle propagandę, ukazując wolność jako najzacniejszą cechę człowieka, ukazując chanów jako gwałcicieli prawa Bożego, a Moskali jako najezdników podkopujących grunt, na którym idea wolności i równości się utrzymuje.

Szamil obrzydzał ludowi bogactwo, jako psujące człowieka, jako wiążące go do ziemi, jako trwożące go w boju i w domu. Jego porywająca wymowa podnoszona była do apostolskiego znaczenia, gdy życiem swoim stwierdzał słowa swoje. Ubiór jego był ze zwyczajnych krajowych wyrobów. Żadnych błyskotek, jedwabów nie nosił i nie pozwalał ich rodzinie swojej. Wykwintnych potraw unikał. Całym jego pożywieniem była rano i wieczorem herbata albo mleko z chlebem, a w ciągu dnia ryż i miód z chlebem albo owoce. Jadał zawsze sam jeden, usługiwany przez żony.

Skromne życie Szamila prowadziło za sobą wielką oszczędność skarbcza ogólnego, którym mógł dowolnie rozporządzać. Szanował on grosz publiczny i dbał o jego przysporzenie.

Te osobiste przymioty Szamila więcej działały na lud niż najrzęczniejsze przebiegi dyplomacji, ale dla tego właśnie samego był on znakomitym politykiem. Któż to sprawił jeżeli nie on, że ta Czecznia która odrębnie zawsze się rządziła i walczyła, że ta Czecznia tak harda, gdy szło o usunięcie jej autonomji, że ona naraz w 1837 r. zgadza się iść pod prawa miurydyzmu. Światły i waleczny jej naczelnik Toszaw-Hadzi przyjechał do Dagestanu i w imieniu całego ludu sklonił głowę przed imamem.

— Sława bojów twoich, powiedział, jest chwałą gór, ale sława cnót twoich jest chwałą całego islamizmu. Zgasł mój rozum przy jasności umysłu twego, niech on mnie odtąd oświeca i kieruje naszym plemieniem.

Szamil po paru latach osiadł między tym ludem w Dargo, a potem w Wedeniu, aby osobiście wpajać w niego taryhat, nie bardzo zgodny z jego dotychczasowymi społecznymi zasadami i urządzeniami, oraz aby ściślej połączyć Czecznę z Dagestanem.

Chanowie wstydzieli się swego upokorzenia, i dla

zatarcia rażących różnic niektórymi urządzeniami, stawali się naśladować miurydzkie ustanowienia.

Moskale aby zatrzeć Szamilowe imię, nazywali go obalamucającym lud religijnym oszustem. Posty jego a szczególnie chałwaty (medytacje) w meczecie, lub w gabinecie, po odsiadywaniu których zwykł corocznie zwoływać mullów i dawać im nowe skazówki życia, nazywali obłudą. Pomawiali go, że się ogłasza nowym prorokiem, że udaje iż rozmawia z Bogiem i z Mahometem, aż między wielu bajkami wymyślili jedną, którą dla próbki i porównania przytaczam.

„Gdy jednego roku straszny głód zapanował w górach, Szamil zebrał radę. Radzili różnie wezwani naibowie i mieli się ku wyjściu nie postanowiwszy, gdy stara matka Szamila powiedziała:

„— Jabym radziła, aby uczynić pokój z Urusami, bo im nie podolamy, a tylko przez upór same cierpienia spadają na lud biedny.

„Wezwani naibowie spojrzeli po sobie jakby zapytując, czy nie jest to zdanie Szamila wypowiedziane przez jego matkę. Zasmucił się bardzo z tego Szamil, bo wypadek ten nasuwał mu niezmiernie wiele kłopotu. Każda Góralka za podobne odezwanie się musiałaby być karana. Począł więc myśleć jak ma postąpić z matką i czy ma prawo wydawać na nią wyrok. Rada powiedziała, że on jako imam jest sędzią najwyższym całego ludu, a więc i swej matki rodzonej. Szamil więc oddał matkę pod sąd, który ją skazał na 40 różeg chłosty. Przeczytawszy taki wyrok, zamknął się Szamil na trzy dni w meczecie i rozmyślał. Potem kazał zwołać sąd i lud i przemówił do niego:

„— Ludu prawowierny! Jesteś wyznawcą proroka. Ten prorok nakazał w koranie karać winnych. Moja rodzicielka zgrzeszyła przeciw Bogu, żądając naszej zgody z niewiernymi. Według ustawy koranu moja matka winna

więc być karana i sąd sprawiedliwie ją osądził na karę cielesną. Modląc się o oświecenie mego rozumu — abym nie zblądził w tak trudnym dla mnie razie, gdy syn ma zatwierdzać wyrok na matkę — odebrałem od proroka natchnienie, które rozstrzyga tę wyjątkową na mem stanowisku sprawę. Otóż przestępstwo musi być ukarane, ale karę ja mogę przyjąć na siebie.

„Potem zaleciwszy wykonawcom wyroku, aby kara nie pozornie tylko ale pocuciowo była wykonana, położył się imam na przygotowanym kobiercu i odebrał szczerych czterdzieści różg. Szamila pobolało jakiś czas, a głupi Górale naprawdę uwierzyli, że on z Bogiem i z prorokiem rozmawia.“

Moskale puszczając taką historyjkę, mieli zamiar rozpuścić wieść, że całe już góry, że już nawet matka imama — a która wtedy wprawdzie nie żyła — poddania się im żądała, i że Szamil jeden jako chciwy władzy trzyma się krnąbrnie w swych buntowniczych zamiarach.

Takie tendencyjne baśnie chociaż z najlepszą wiarą były przyjmowane przez moskiewskie żoldactwo, a chanów i ich popleczników bawiły, nie miały posłuchu u ludu ujarzmionego, bo on czerpał wiadomości z gór przez swoich abreków (wychodźców), albo tajemnym sposobem od pogranicznych mieszkańców gór wolnych.

Lud wiedział, że Szamil był szczerym wyznawcą koranu, że miał tę samą co i on wiarę, że się modlił i spełniał obowiązki religijne z głębokiego swego przekonania. O żadnym oszukaństwie, o żadnym szalbierstwie imama, nigdy nikt w górach nie mówił, bo nikt tego nawet nie przeczuwał. Życie zaś codzienne Szamila na które ciągle baczono, budziło powszechny szacunek i dowodziło o jego prawdziwej bogobojuści.

Spełniając zasady swojej wiary, Szamil publicznie dawał dowody poszanowania innych przekonań religij-

nych. Wielu żydów swobodnie pod jego opieką wyznawało swoją religję. Roskolnicy moskiewscy uważani za rewolucjonistów w urzędowej wierze, biegli pod jego opiekę i pod nią dopiero swobodnie mogli rozprawiać o Rjazynie, o Pugaczewie i swobodnie mogli zachować liturgją i księgi uświęcone przez patriarchę Nikona. Mieli oni swoją cerkiew w Dargo, a gdy w 1845 roku dla kombinacji strategicznych spalił ją Szamil z całą swoją rezydencją, sam kosztem skarba publicznego kazał potem wybudować inną w Szubucie.

Szamil ani Górale, pomimo ich usposobienia religijnego, nigdy nie byli zagorzałcami, ani prześladowcami. Usposobienie ich religijne w mahometaństwie tak się miało do tureckiego, jak w katolicyzmie polskie naprzykład do hiszpańskiego.

Przy opisie walk miurydów, podałem zarys bojów Szamilowych, nacechowanych wyższymi pojęciami taktyki i strategji. Z nich każdy łatwo mógł rozpoznać silny charakter męża tego, który nie łamał się ponoszonemi klęskami, ani też nigdy nie zapalał się dobrem powodzeniem. Nie zbyt on dbał o opinię osobistej waleczności, ochraniał zawsze swą osobę i oprócz achulgińskiej obrony, tylko w razie ostatecznej potrzeby dobywał szaszki i mieszał się pomiędzy szeregami swoich huców. Nigdy go też żaden Góral nie nazwał *dżigitem*, chociaż Szamil poniósł w bojach dziewiętnaście ran od kul, od bagnatów i od pałaszy i chociaż był gotów do największych poświęceń osobistych.

Obaczmy go na tem polu, właśnie w zamku Achulgo w 1839 roku, który dla kombinacji strategicznych chciał koniecznie ale nie mógł wtedy utrzymać. Było to po długim oblężeniu, po stracie paru set odważnych Górali, a szczególnie dzielnych przywódców Ali-Beka, Surchaja, Ali-Czuła i Mahomy, gdy brakło amunicji i żywności i gdy wszystkie punkta prócz jednej skały nad rz. Kojsu

były już zajęte, Szamil dla wyjścia z trudnego położenia postanowił prowadzić układy z jenerałem Grabbe. Mieli oni w tym celu spotkanie na płaszczyźnie przed zamkiem. Zasiedli obaj na kobiercu, a po za nimi o kilkadziesiąt kroków stało z dwóch stron po kilkuset ludzi uzbrojonych.

Grabbe z góry powiedział Szamilowi, że Moskale dla tego atakują niektóre plemiona, że one napadają na drogi, na forty i na stacje kozackie.

Szamil odpowiedział, że gdyby Moskale wycofali wojsko swoje z Dagestanu, a na linji kaukazkiej gdyby się cofnęli za Terek, wtedy nastalby trwałe pokój.

Grabbe przedstawił Szamilowi niepodobieństwo samoistnego bytu Górali i że oni tylko pod rządem cara mogą być szczęśliwi.

Szamil odpowiedział, że plemiona istniały dawniej, rządziły się same, że więc i nadal mogą pozostać niepodległe.

Grabbe później obiecywał imamowi wysoki stopień jeneralski, wielkie majątki i łaskę carską.

Szamil odrzekł, że w islamizmie nie może mieć wyższego znaczenia nad to jakie posiada, i że bogactwa go nie obchodzą.

Potem układali się o sam zamek Achulgo i stanęło na tem, że poddanie się zamku miało w trzy dni nastąpić, a pozostała załoga miała być z Szamilem wolno wypuszczoną. Dla zapewnienia wykonania tej umowy, Szamil wydał Moskałom najstarszego swego a kilkolatniego zaledwie syna Dżemał-Eddina, jako zakładnika.

Szamil poświęcając syna, nie myślał jednak o kapitulacji. Chciał on tylko zwłoki czasu dla wycofania całej załogi z zamku. Ucieczka urządzona była z pomocą wiązań broni poskręcanej sznurami z końskich ogonów, i spuszczonej ze skały na koryto rz. Kojsu, urządzona

była i z tratwy na której miała się załoga przeprowiać częściami na drugi brzeg.

Ulubiona siostra Szamila, Fatyma, zapytała go wówczas, coby jej wypadło czynić, gdyby w czasie ucieczki napadli na nią Moskale.

— Otoż masz kindżał, powiedział jej Szamil podając jej oręż, nie oddawaj się żywą!..

Z kilkoma ludźmi, z żoną i z synem młodszym spuścił się najprzód Szamil szczęśliwie. Lecz... Moskale dostrzegłszy ruch tratwy na wodzie dali ognia i skierowali działa na skałę, z której spuszczała się improwizowana drabina. Nie pozwolili się oni nikomu już ratować, a o świcie zażądali natychmiastowego poddania się zamku, pod groźbą stracenia syna Szamilowego.

Załoga nie chciała się poddać. Moskale szturmowali zamek i opanowali go. A wtedy gdy już prawie wszyscy obrońcy padli, Fatyma — matka trojga dzieci — aby się żywą nie oddawać, kindżał braterski utopiła w swych piersiach.

Poświęcenie Szamila powiększone potem jeszcze zostało śmiercią jego najdroższej żony po imieniu także Fatymy (Patimat), córki chirurga Abduł-Azisa z Unkula, która po rozstaniu się z synkiem Dżemał-Eddinem, z ciężkiego smutku po nim umarła.

Moskale takie znaczenie przypisywali zajęciu Achulgo, że wybili pamiątkowy medal dla kilkunastotysięcznego zdobywającego go oddziału. Myśleli oni, że w tym zamku siły góralskie się skruszyły.

Nie było tak jednak, bo Szamil w którego duchu ześrodkowała się cała potęga Górali, umiał klęski łagodzić i poprawiać się z błędów.

Odtąd nigdy już on nie dowodził osobiście żadną załogą, już nigdy nie narażał gór na zawikłania jakieby wynikły z raptownej jego śmierci albo też niewoli. Rozległe zaś jego kombinacje wojenne zaraz wstrzymały

W BIBLIOTECE HISTORYCZNEJ
KRAJOWEGO MUSEUM
W KRAKOWIE

WYKAZ
KRAJOWE MUSEUM
KRAKÓW

Kraj.
S. Kaminiski
Krajow. 6.6.62
200.72-2602

W BIBLIOTECE HISTORYCZNEJ

wychodzą

DZIEJE POWSZECHNE SZLOSSERA

od najdawniejszych czasów do dni dzisiejszych, w 22 tomach, w formacie niniejszym, tom objętości około 40 arkuszy druku.

Jest to jak wiadomo popularny wykład dziejów powszechnych, odznaczający się gruntownością i bezstronnym poglądem, które autora postawiły na tem wyniosłem stanowisku, że dzieło jego uważane jest za najlepszy podręcznik do poznania dziejów powszechnych. Przekład polski jest, o ile być może przekład tak wielkiego dzieła, bardzo dokładnym i piękną polszczyzną dokonany. Przekłada dokonali znani w kraju pisarze: pp. Wł. Górski, Józef Trotiak, Bronisław Komorowski, prof. Waligórski, Bolesław i Wincenta Liśmanowscy, Aureli Urbański, Władysław Kozłowski i prof. Czesław Piniątek pod redakcją Dr. Komorowskiego.

Jeżeli wyszło tomów 19, pod prasą tom 20 i 21. Druk ukończonym w ostatnie na początku roku 1878.

Cena każdego tomu 5 złr., 10 marek, 15 franków.

Można jeszcze aż do ukończenia druku, zapisując się na całe dzieło, otrzymać takowe w cenie prenumeracyjnej o połowę taniej, a mianowicie opłacając przy odbiorze I tomu z przedpłatą za ostatni 5 złr., 10 marek, 15 franków — przy każdym następnym tomie po 2 złr. 50 ct., 5 marek, 7 fr. 50 c. — Nowo przystępujący prenumeratorem wiśni wszelkie przynajmniej po 2 tomy na miesiąc odbierać.

Cały dochód z tego wydawnictwa przeznaczony jest na oświatę ludu.

Lista wszystkich prenumeratorów będzie do dzieła dołączoną z wyrażeniem wile kto tomów odebrał.

W dalszym ciągu BIBLIOTEKI HISTORYCZNEJ wyjdą:

T. T. Jota (Zygmunta Miłkowskiego)

Dzieje ludów słowiańskich

wyłącznie dla Biblioteki historycznej przez jednego z najznakomitszych współczesnych pisarzy opracowane.

Stali prenumeratorem Biblioteki historycznej otrzymają to dzieło po równie niskiej cenie.

OSKARA PESCHLA

Historja wielkich odkryć geograficznych.

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA można prenumerować w Księgarni Polskiej we Lwowie (której nakładem wychodzi), jak niemniej we wszystkich innych księgarniach i agencjach krajowych i zagranicznych.

Księgarnia Polska

Lwów, 12 ul. Kopernika 12.

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA J. 23.

MATEUSZ GRALEWSKI.

K A U K A Z

WSPOMNIENIA Z DWUNASTOLETNIJ NIEWOLI.

OPISANIE KRAJU. — LUDNOŚĆ — ZWYCZAJE I OBYCZAJE.

Zeszyt VII.

Kaukaz wychodzi w zeszytach pięcioarkuszowych, których wyjdzie siedem i utworzy dzieło objętości trzydziestu pięciu arkuszy. Przedpłata na całe dzieło wynosi 3 złr., 6 marek pruskich (7 franków), można ją składać częściowo w 3 ratach, opłacając przy odbiorze zeszytów 1., 2. i 3. po 1 złr., 2 marki pr., następnie zeszyty otrzymują prenumeratorem bezpłatnie bez względu chociażby okazała znacznie większa objętość dzieła. Przesyłka podopaska franko.

Ozdobne okładki po 60 ct. można zamawiać przy zapisaniu dzieła, albo też gotowe oprawy egzemplarze za 3 złr. 60 ct.

Przedpłatę można składać w księgarni nakładowej, t. j. *Księgarni Polskiej we Lwowie przy ulicy Kopernika 12.* we wszystkich innych księgarniach, oraz w redakcjach pism: *Gazety Narodowej, Dziennika Polskiego* oraz u osób upoważnionych do zbierania przedpłaty.

W Poznaniu skład główny w Administracji *Dziennika Poznańskiego*, u pułkownika E. Calliera i w księgarni J. K. Zapańskiego.

W Paryżu u Dr. W. Bartoszewicza, Avenue Parmentier 126.

W Nowym Yorku w Redakcji *Kurjera Nowyorskiego*.

W Cieszynie w księgarni Karola Malika.

W Krakowie w księgarni Adolfa Dygasńskiego.

Do dzieła będzie dołączoną lista wszystkich prenumeratorów.

Po wyjściu z druku dzieła, cena będzie podniesioną.

L W Ó W.

NAKLADEM KSIĘGARNI POLSKIEJ

12 ul. Kopernika 12.

Z DRUKARNI A. J. G. ROZCISZA.

1877.

Zwracamy uwagę na ostatnią stronę okładki.

w szachu nieprzyjaciela, który go licznymi bataljonami opasywał. Nagły potem a obrachowany rzut sił ku Awarji, zmusił wroga do opuszczenia nie tylko świeżo zajętego Achulgo, ale i innych ważnych punktów.

W miarę powiększania się liczby nieprzyjacielskiego wojska, które z korpusu kilkunastotysięcznego wzrastało do dwustutysięcznej armji, musiał Szamil i potrafił z jednych i tych samych zasobów miejscowych, wytwarzać coraz nową a większą siłę.

Była to rzecz trudna!... Łatwo było Moskwie zapelniać kadry i wysyłać coraz nowe bataljony, pułki i dywizje; łatwo jej było sprowadzać sztucery bejgijskie, które miały przewagę nad gwintówkami góralskimi, — bo ona mogła oddzielić część wyćwiczonego wojska i wydać miliony pieniędzy na jego potrzeby, — Szamil zaś nie miał wyćwiczonego wojska, a jego skarbiec publiczny był za ledwie fortuną naszego panka. Przeciw regularnej, płatnej armji, musiał on wyprowadzać do boju lud, który sam ciężko uprawiał ziemię, który część zebranego zboża zwoził do magazów, który opłacał podatki do skarbcza ogólnego, który wspólnym kosztem uzbrajał kawalerzystów i który sam siebie musiał uzbroić w rynsztunek wojskowy.

Z tego ludu jednak przez utrzymanie porządku i przez podnoszenie idei wolności, Szamil utwarzał bitne zastępy, prowadząc go na zacięte walki. Ten lud kierowany przez Szamila nieraz przepędzał Moskali z gór i z miejsc ufortyfikowanych. On to w górzystej Awarji w 1841 i 1842 roku zabrał wrogom działa i ogromne zapasy amunicji. Na innych punktach szarpiąc ich podjazdami, wyrywał im zagrabioną zdobycz. A owe walne bitwy w lasach iczkeryńskich i jeszcze obrona Gergebila, Saltów i Czochów jakież to nauczające dały dowody, że lud wyzwalający się dziesięćkroć mniejszych potrzebuje zasobów materialnych do prowadzenia wojny,

niż naród ujarzmiający! Lud ten 300-tysięczny tylko, biedny, ogłodzony nieraz, jakąż potężną siłę stanowił przeciw wrogom. Tajemnicą tej siły było gorące pragnienie niepodległości i poświęcenie.

Poświęcenie przedewszystkiem!... Kto powiada, że Górali zasłaniały tylko skały i niedostępne miejsca, ten się myli. Nie ma miejsca, któregooby nie można było obejść i zdobyć, choćby długiem oblężeniem. Górale przedewszystkiem walczyli poświęceniem. Ileż oni w ciągu wojny utracili mienia i dobytku! Tysiące sztuk bydła i owiec, jedyny skarb biednego ludu, uprowadzała Moskwa. Liczne auly, z setkami piętrowych domów w ruinę obrócone zostały.

Sami Górale opuszczając swoje siedziby palili je i palili wszystko z mienia co w nich było. Często rodzina góralska rzucała wszystko co miała, na pół naga nciekając przed niewolą!

Nie góry więc same, nie urwiska i nie rzeki, ale takie zrozumienie walki i tylko takie poświęcenie mogło dziesiątki lat przedłużać wojnę...

Szamil, jak się rzekło, mówił ludowi o marności rzeczy ziemskich, a zalecał niezależność społeczeńską. Czyny wszystkie sprowadzał on do zasługi religijnej.

Człowiek ze zdrowymi zmysłami a niespodlony na duchu, może tylko zginąć dla wzniosłej idei. Umierają ludzie za niepodległość ojczyzny, za wolność, umierają i za wiarę. Górale umierali za wiarę, bo szczytnie ją postawili pierwsi nauczyciele miurydyzmu, mówiąc że mahometanin nie może być niczym niewolnikiem, bo on z prawa Boskiego powinien być wolnym. Chociaż zasada ta odnosiła się tylko do jednego wyznania, lecz wobec najazdu moskiewskiego wystarczała dla ludu, któremu chodziło tylko o odparcie tego najazdu. W dogmacie wiary dającej mu wolność, znajdował on ideę, która zaspakajała jego najdroższe pragnienia. Nieraz nawet starzec

uwolniony od stawania w zastępach, szukał boju i bił się choćby na pojedynek, aby mógł umrzeć za tę ideę.

Moskale swojemi przyborami wojennymi, odbierający przewagę jaką istotnie w niektórych okolicach dawały Góralom skały i wąwozy, nie mogli ich jednakże przełamać, dopóki idea taka przejmowała umysły całej ludności i Szamila.

Duch miurydyzmu koncentrujący się w górach Dagestanu, schodził powoli ku dolinom i wstępował już na ziemie Czerkiesów. Szamil od 1842 r. miał u nich swoich powiernych, a nareszcie swego namiestnika w osobie Mahomet-Amina. Zdawało się, że Szamil przedstawiciel idei miurydyzmu w niedługich latach wyprze Moskali za Terek i za Kubań, i że zapewni niepodległość ludności kaukaskiej.

Dzieło to możeby się uwieńczyło pożądanym skutkiem, gdyby nie świetny z powierzchowności, ale w skutkach najfatalniejszy wypadek, który jeśli nie przyniósł zarodu upadku, to z pewnością przyczynił się do poniżenia ducha miurydyzmu u Górali. Mam tu na myśli przrzucenie się na stronę niepodległych plemion sultana (chana) ziemi elisujskiej, Daniel-Beka.

Daniel-Bek cały czas od rozpoczęcia bojów przez Miurydów, należał do liczby tych chanów, którzy walczyli przeciw wolności i równości społecznej. Podległy Moskalom, przepuszczał swobodnie ich wojsko przez swoje posiadłości położone z południowej strony Lezgi stanu i w czasie wypraw przystawiał im kontyngens milicji, którym często i sam dowodził. Moskale — tłómacząc się potrzebą zabezpieczenia osoby samego sultana, przystawili do jego boku w zamku Elis, oddział z piechoty i z kozaków złożony, z parą armatami. Nareszcie tłómacząc się potrzebą baczości na emisarjuszów miu-

rydzkich z gór wysyłanych i potrzebą ciągłych stosunków sultana z rządem moskiewskim, przystawili mu komisarza rządowego pod nazwą *stanowego przystawca*. Każdy taki urzędnik bywał na to postawiony, aby powoli, od czasu do czasu, zręcznie wydierał władzę panującym domom i aby nareszcie lud ukorzyć przed carem.

W 1844 roku był właśnie takim przystawem urzędnik Mielezko, który zbyt widocznie i nagle zaczął ścieśniać sultana w jego postępkach, a nareszcie dopuścił się na nim osobistej obelgi. Chociaż Daniel-Bek bardzo już przywykł do Moskali i wiele z ich zwyczajów wprowadził do swego domu, nie mógł jednak znieść doznanego od Mielezki upokorzenia. Zwołał on nagle lud do meczetu, przedstawił mu nadużycia najezdniców, zerwał z siebie szlify jeneralskie i ordery carskie, zdeptał je nogami, a lud za sobą wezwał do walki. Mielezko zaraz kazał powiesić, zaś kozaków z dwoma działkami, naśladując w tem mieszkańców Gimry, którzy wypędzając Moskali od siebie pomagali im działać przez górę przeprowadzać, wyprawił pod własnym konwojem za granicę posiadłości!... Następnie Daniel-Bek ogłosił się wyznawcą zasad miurydzkich, opuścił swoją rezydencję w Elisu i z liczną ludnością przeniósł się w wyższe, obronniejsze okolice.

Czyn ten sprawił niesłychane wrażenie na Kankazie. Moskale zdziwieni i przerażeni nim, ostrożniej ale i podejrzliwiej zaczęli postępować z innymi panami. Górale ucieszyli się. Szamil aby okazać że nie jest wrogiem osób ale zasad chańskich, że nie pragnie żadnego z nich śmierci, ale wymierza im według czynów ich sprawiedliwość, mianował zaraz Daniel-Beka naibem Irybu. Oddał on mu pod zarząd nietylko świeżo przyłączoną krainę, ale i kilka naibstw przedtem już wolnych.

Szamil niezmiernie ujęty czynem Daniel-Beka, otaczać począł jego osobę szczególnymi względami i okazywać mu tyle szacunku, ile nie okazywał żadnemu z naibów. Dla ściślejszych jeszcze z nim węzłów, ożenił później syna swego Kazi-Mahomę z córką jego Kerimą (Karimat), dorodną ale dumną dziewczicą, nazwaną różą Kaukazu.

Węzły te jednak drogo opłacili Górale i sam Szamil. Słyszałem nieraz, że Daniel-Bek i w górach nie był zadowolony z losu swego. Wiem że prowadził on korespondencję z swoją krewną Nach-Bike, chanową mechtulińską a podwładną moskiewską. Można przypuszczać, że on ją prowadził z wiedzą Szamila, lecz to pewna, że pod jej jawną osłoną, przysyłał on chanowej wiele tajemnych zwierzań się. Nawiasowo pisał on do niej, że gdyby go Moskale żywcem ujęli, pewnoby go srogą śmiercią zamordowali. Chanowa znowu także z wiedzą i w skutek zapewnień urzędowych księcia Argutyńskiego lub Orbeljani odpowiadała, że gdyby on wrócił, nietylko że życiaby swego nie narażał, ale powróciłby sobie dawny stopień jenerał-lejtenanta i pensją jaką posiadał.

Daniel-Bek zrazu wcale nie myślał o powrocie do Moskali. Chociaż był podwładnym Szamila, jednak zapakował swą dumę pierwszym znaczeniem, jakie po imamie posiadał w górach. Chodziło mu tylko o zapewnienie sobie tego znaczenia. Myślał on, że w razie śmierci Szamila, gdyby wybór padł na jakiego podrzędnego miuryda, albo nawet na którego z jego dawnych poddanych, jego stanowisko mogłoby być niższe, albo nawet zupełnie podkopane. W potocznej więc rozmowie z naibem tyliłińskim Kibit Mahoma, pochodzącym także z chańskiej rodziny, podsuwał myśl, aby dla usunięcia nieporządków jakieby mogły wyniknąć po śmierci Szamila przy wyborze nowego imama, a z których Moskale

bardzoby mogli korzystać, zawczasu przygotować przyszłego imama.

Myśl ta na pozór zacna i oględna, podawana w kołach starszyny, znajdowała coraz więcej uznania. Szamil długi czas nie dawał w tym względzie swego zdania, ale swoim milczeniem zdawał się pochylać podobny pomysł.

Dywan imamski nareszcie i pierwszorzędni naibowie przedstawili Szamilowi propozycję, by dla powodów wyżej wzmiankowanych, naznaczył po sobie następcę w osobie syna swego Kazi-Mahomy.

Szamil nie odpychając zasady zabezpieczającej spokojne przejście władzy do swego następcy, odparł tylko formę tego aktu. Pochodząc sam z wyborów, chciał aby i jego następcą z nich także pochodził. Zwołał więc w 1848 r. wyjątkowe za swych rządów zebranie starszyny wszystkich gmin do Wedenia, dla rozpatrzenia tej ważnej sprawy. Zebranie to na którym Szamil osobiście nie był, składające się całe z ludzi zależnych od naibów, a więc i od Szamila, zadecydowało najprzód potrzebę wybrania następcy, a potem ogłosiło Kazi-Mahomę przyszłym imamem.

Rzecz przeprowadzona była spokojnie i szybko. Dyktatorska choć niewidzialna ręka Szamila nadała ład zebraniu. Jego moc miała się przelewać na przyszłość w jego pokolenia i utworzyć nową panującą dynastję w górach. Myślało tak wielu a głównie Daniel-Bek. Szamil prawdopodobnie myślał także o tem. Wiele czynów w przyszłości zdradzało te jego myśli, czyli wykrywało odstępstwo od idei miurydyzmu.

Krok fałszywie postawiony spychał go odtąd powoli do nowych ciągłych, idących za sobą błędów i do przepaści. Szamil wzrosły już w pychę, zwykle już nie znaczącą ale zakrywającą jasne pojęcia, nie rozumiał tego, że gdy Moskal potrafi oddać życie swoje za cara, —

bo bez niego nie mógłby istnieć, — że Góral wcale nie potrafi przelewać krwi swojej dla żadnego choćby miurydyzmem uświęconego chana; nie rozumiał on wtedy, że gdy ideą polityczną moskiewską jest car — niewola — podbój, że ideą góralską jest Bóg — wolność — swoboda.

Szamil wtedy już się przeżył. Jak każdego człowieka osobiste zasoby ducha i potęga zdolności, chociażby on był największym i najgenialniejszym, mogą wystarczyć tylko dla jednego pokolenia, tak i Szamil w krępujących go formach władzy, odosobniony od ludu, żyjący dawnymi a nie odświeżającymi się pojęciami społeczeństwa, nie odczuwał nowych potrzeb, nie umiał korzystać z nowych okoliczności i stojąc na szczycie tego społeczeństwa, własną ręką łupał je na dwa odłamy, czyli na dwa prądy życia.

Starszyna pruchnieć zaczęła, lud począł narzekać na swoich mullów, debirów i na swoich naibów. Jeszcze on nie śmiał nic mówić przeciw Szamilowi, ani przeciw jego synowi.

Szemrania te dochodziły do uszu Szamila, który zamiast wnikięcia w istotne potrzeby ludu i zadosyćuczynienia im, przestawał na zalecaniu, aby naibowie powiększyli straż domową i aby bez eskorty nigdy się z domu nie oddalali. Poczet swego konwoju poprzedzanego toporem jako godłem władzy, kazał odtąd także wzmacniać w podróżach. Wzmacniając terroryzm, zabijając samodzielność, budził on nowe niezadowolenia. Nie umiał on już pogodzić mocy dyktatury, potrzebnej w tak trudnych zapasach z nieprzyjacielem, z potrzebą rozwoju życia umysłowego i duchowego, które daje siłę walkom.

Niezależnie od jego z natury prostego i łagodnego usposobienia, wkładała się na jego dworzec pod nazwą potrzeby, fałszywa etykieta. Chociaż do ostatka rządów swoich wzbraniał on żonom szat jedwabnych i wszelkiej wykwinności, chociaż z synowej swojej aby nie była

dla domu jego pokusą, zdejmował błyskotki i rzucał je w ogień, chociaż sam w ubiorze i w jedzeniu nie zmienił weale trybu skromności, jednak dziedziczna dyktatura siłą nazwy samej czyniła i cały dom odosobnionym. A nie było komu ostrzedz Szamila o jego i o całego ludu niebezpieczeństwie.

Żony jego, które miały dla niego nieklamany szacunek, teraz mu także poczęły składać oznaki hołdu. Najulubieńsza w tym czasie Szuaneta darząc go szczerą miłością, nie umiała jako wychowanka chrześcijańska i nie mogła jako nie przeczuwająca ducha góralskiego, objaśniać go temi radami, jakie serce przez przecucie dać mogło. A tamta która na Szamila pewien wpływ wywierała, Fatyma z Uncukulu, już nie żyła.

Czerpiąc więc wiadomości o kraju z urzędowych tylko sprawozdań dywanu, z doniesień naibów lub z jedyńie poufnych stosunków jakie miał z synem Kazi-Mahomą, domyślał się tylko niezadowolenia ludności i sądził, że dodaną jeszcze jedną gałęzią organizacji, dojdzie do uciszenia opozycji.

Dla zaciągnięcia wiadomości o krzywdach ludu lub o jego potrzebach, ustanowił pod zarządem syna Kazi-Mahomy rodzaj żandarmskiej instytucji: *mudirów*, których obowiązkiem było sprawdzać czynności naibów i mehtesibów, objeżdżać wskazane im okolice, przyjmować wszelkie zażalenia, a oprócz tego wymiarkowywać usposobienie ludności i wpływać na nią w duchu z góry natchnionym.

Widzieliśmy, że przeszłą organizacją Szamil silnie zorganizował podwładny mu kraj, i że przez to ułatwił obronę jego; lecz po zwicnięciu swej drogi nie potrafił zmienić ani dodać w duchu swego społeczeństwa, ale naśladował obce organizacje, zbyt albo nieodpowiadające miejscowym potrzebom i charakterowi wojny, jaką była powyższa.

Ścisnięty lud w swoich czynnościach, w żadnej osobistości nie mógł wykazać wyższego talentu czy to na polu bitwy, czy też na polu administracji. Nie mogli się wykazać nowi samodzielni partyzanci Hamzad-Beki, Surchaje, Ali-Beki, Mahomet-Musa-Kaije, i tacy taktycy jak Sznaib-Mulla a osobliwie pogromca Moskali nad rz. Walerik, znakomity Achwerdi-Mahoma. Ostatnia organizacja i jej dopełnienia zbyt skule osobistą swobodę każdego Górala, obcięły mu skrzydła imaginacyjne i umysł przykuły do poziomu. Nie wychowała ona mędrców ludowych, do współnictwa których w wzniosłości myśli i ducha przyznałby się Mahomet-Mulla z Jarachu lub Kazi-Mulla. Ich miejsca na naibstwach, zajmowali ludzie miernych zdolności, ale układni przed Szamilem. Inni wyższego talentu, już zestarzali, trzymani byli na urzędach, aby wspierali istniejący porządek czyli ustaloną formę i zasadę następstwa imamskiej władzy w jego rodzinie. Naib Duba i Hadzi-Murat wyróżniali się tylko z tej kategorii.

Kazi-Mahoma następca imamski, o którym sam ojciec powiedział, że „mój Kazi-Mahoma zajęty jest haremem,“ chociaż osobiście mężny, lecz niedoświadczony i nieudolny jako taktyk, dla wprawy do rządów oprócz innych poruszeń, mianowany został pierwszorzędnym naibem w Czechni. On, Daniel-Bek i starzec Kibit-Mahoma, w ostatnich latach, jakby o zakład bitwę po bitwie przegrywać poczęli.

Tacy naibowie pomimo klęsk przez nich ponoszonych nie usuwani od dowództwa, przestawali budzić zaufanie i niepokoiłi lud rozpowszechniającem się niedołęstwem. Osobliwie niemiłym i obawnym stał się dla niego Kazi-Mahoma. Lud też szczególnie z nad Kara-Kojsu, szukając sam przez się przyszłego hetmana, zwracał oczy na Agała Beka z Kazi-Kumuchu, generała moskiewskiego. Był to zapalczywy nieprzyjaciel Szamila, rzutki

i zdolny wojownik i organizator; ale czy byłby dobrym miurydem, czy odpowiedziałby zadość powołaniu imama?... wątpię. Przyczyną jego niezdolności do takiej władzy wskazuję w rozwiniętym w nim potem nałogu do pijaństwa.

Taki był stan rzeczy w 1852 roku, gdy Szamil nie mogąc siłą wyprzeć Moskali z nad morza Kaspijskiego, powziął zamiar ogarnąć te strony za pomocą walenrodzizmu. Udając niełaskę dla Hadzi-Murata, a potem zabrawszy mu rodzinę, zniszczywszy jego majątność i zagrożiwszy ukarać śmiercią, wysłał go, po tajemnej wprzódki umowie, do trudnych robót spiskowych. Chociaż Szamil zrzęcznie uczynił go w oczach Moskali odstępca od miurydyzmu i śmiertelnym swoim nieprzyjacielem, jednak walenrodzizm, jak to już opisałem, nie powiódł się Hadzi-Muratowi, a Szamil stracił najlepszego, najwięcej uroku w górach i na dolinach mającego partyzanta.

Siła sprawy miurydzkiej, w gnieździe swem traciła już na żywotności. Rosła ona przecież w krainach podległych Moskalom, a co najważniejsza, zapuszczała coraz głębsze i rozleglejsze korzenie w stronach czerkieskich. Trudno przewidzieć coby nastąpiło z takiego stanu rzeczy za lat kilka nawet. Ale wnioskując z niepowodzeń Moskali, którzy już przy nagromadzonej 300-tysięcznej regularnej i nieregularnej armji, załedwie tego lub owego roku mogli chelpić się kilku milami kwad., zdobytemi na swych przeciwnikach, i licząc chociaż na jeden pomyslny obrót przyszłych powstań ujarzmionych przez Moskwę plemion, przypuścić można, że wkrótce wszędzie na łądzie byłiby najezdniczy odcięci od Gruzji i od stron południowych Kaukazu. Po zajęciu drogi wojenno-gruzińskiej przez miurydów, Szamil rozkazywałby całym górom od morza do morza, a siły moskiewskie zajęte i innemi sprawami, nie byłyby w stanie podolać wtedy Góralom.

Niebawem nastala wojna wschodnia. Ufając tureckim siłom i ich pomocy, wyższe stany czerkieskie wręcz wyrzekły się miurydyzmu, który załedwie u jednego plemienia mocniej się zatrzymał. Tym sposobem książęta zerwali i te słabe nici, jakie ich wiązały z Szamilem. Lud wtedy musiał tam być posłuszny książętom.

Szamil jakby mało na to zwracał uwagi, wysłał Mahomet-Amina do Warny dla umów z Frengami, który był razem posłem i książąt czerkieskich. Jednocześnie imam wchodził w stosunki i w umowy z Turkami, o wspólność działania przeciw Tyflisowi. Niezrażony niedoleżtstwem tureckich baszów na azjatyckiej granicy, miał on świetne nadzieje na przyszłość. Czytywał publicznie listy odbierane przez niego od znakomitości zagranicznych, w których uwielbiano jego genjusz i zapowiadano blizką niepodległość ludów kaukazkich. Od sultana tureckiego, na którego przyjęcie uformował podwójny komplet murtizagatów, miał otrzymać order i tytuły honorowe. Po wzięciu Sewastopola, w pogranicznych aulach, kazał dawać salwy z dział i z ręcznej broni, i tym sposobem w wielu miejscach wschodnich, Moskale dowiedzieli się o smutnym dla nich wypadku.

Szamil zrobił sam dywersją do Gruzji, wtargnął na płaszczynę kumyjską i małemi wycieczkami utrzymywał znaczne siły moskiewskie u swoich granic.

Wtedy to właśnie Szamil tryumfował, zabrawszy księżniczki gruzińskie w zamku cinondolskim, za uwolnienie których odebrał z rąk Moskali najstarszego syna Dżemał-Eddina. Rozczulający to był widok, gdy zaplakany ze szczęścia imam, przyjmował go w swoje objęcia. Ożenił go zaraz z młodszą córką Daniel-Beka, lecz Dżemał nie lubiący jej, zawarł związki potem z córką walecznego naiba Talhika, poległego w boju jeszcze w 1850 r., co dobre wrażenie na ludzie sprawiło. Lud miał wielką sympatję do Dżemała, zawsze go serdecznie

witał jako męczennika sprawy, a nawet pragnął, aby on objął rządy po ojcu. Jednak wielu z tych co mieli synów, braci albo i ojców w niewoli, niezadowoleni byli, że Szamil nie wyostał ich razem z swym synem. Przypisywali mu oni z tego powodu troskę tylko o swoją rodzinę.

Gdy wojna wschodnia tak dziwacznie prowadzona, zakończyła się dziwaczniejszym jeszcze traktatem paryskim, w którym ani wzmianki nie uczyniono o Kaukazie, Szamil, wedle późniejszego zeznania Daniel-Beka, mocno się zasmucił.

Mocno się Szamil zasmucił, bo z jednej strony ujrzał wpływy swoje długim staraniem zdobyte u Czerkiesów, przez okoliczności wojny wschodniej w gruncie zniweczone, a z drugiej strony przeczuwał, że nagromadzone na tureckiej granicy siły moskiewskie, przeciw niemu się jeszcze obrócą. Radość jego z odebrania syna swego Dżemał-Eddina już miała mniejsze znaczenie, a i całe ono znikło, gdy ten syn ciężko począł chorować i umarł.

Szamil, który zapowiadał pomyślny obrót z wojny wschodniej, stracił z tego powodu także wiele uroku i u swoich bezpośrednich podwładnych. W ich oczach malejący Szamil okazał się bez znaczenia u sultana i u Frengów.

Zaprawdę, że tyle ile Turcy i sprzymierzeni w wojnie wschodniej, nie przyczynił się nikt do podbicia Kaukazu przez Moskali! A sumienie narodów i rządów europejskich jest spokojne i może nie przypuszcza, aby Szamil lub jakieś tam plemię czyniło im podobny wyrzut. Ale tak jest. Powtarzam, że Europejczycy pomagali Moskałom do zdobycia Kaukazu!...

Szamilowe przewidzenia spełniły się. Moskale ścigawszy wojsko od granicy tureckiej a w części i z Krymu, w 1856 r. poczęli najprzód wydierać Góralom odebrane im wybrzeża i doliny. W 1857 r. przeważną siłą obrócili

przeciw Czechni, aby ją oderwać od miurydów i pozabawić Górali najurodzajniejszej krainy. Wycinano i palono lasy, pustoszone całe okolice. Szamil sam niszczył co miało wpaść w ręce wrogów. Robił on nadzwyczajne wysilenia, lecz nie mógł podoleć nawale moskiewskiej. Ostre męztwo Lezginów i Czecheńców z nadmiaru znojów i niepowodzeń tępieć poczynało. Boje, czyli jeden dwuletni bój, przerywany słabymi wypoczynkami, skończył się w kwietniu 1859 roku zdobyciem Wedenia, obronnej rezydencji Szamila.

W właściwym miejscu mówilem o tych wypadkach obszerniej, o ostatnich zaś chwilach upadku, jako cechujących Szamila i ludność całą, uważam za potrzebne szczegółowiej się rozwinąć.

Moskale dowodzili, że dokonany przez nich podbój Czechni, której płodami oprócz jednej Sałatawji żywili się wszyscy Górale, musi wywołać zupełny upadek miurydów.

Szamil jednak wierzył jeszcze w gwiazdę swoją i w siłę bronioną przez niego sprawy. Pamiętał on, że Górale dwukrotnie już znajdowali się w podobnie trudnym położeniu i że Czechnia była już dwukrotnie moskiewską. Oparty o silne pozycje postanowił on walczyć odpornie, dopóki los nie rozwiąże mu rąk do zaczepnych działań. Liczył na powstania w podbitych przez Moskali ziemiach i na zgodniejsze działania Czerkiesów.

Los go wszelako teraz zdradził. Nie los ale Daniel-Bek, ciągle cofając się bez bitwy, przepuścił Moskali przez podwładne mu naibstwo i oddał w ich ręce silnie ufortyfikowany Iryb. Za Daniel-Bekiem dopuścił się zdrady i Kibit-Mahoma, przepuszczając nieprzyjaciół przez ziemię tyliłińską. Lud przerażony naprzód upadkiem Wedenia, a potem taką haniebną zdradą najwyższą przez Szamila szacowanych naibów, sam znękany ciągłymi bojami i pełny nieufności do władz swoich, z rezy-

gnacją patrzył już na nowe zdrady innych naihów, którzy bez wystrzału oddawali Moskałom najobronniejsze stanowisko w Czoeh i Ułuk-Kale. Lud ten sam, który niedawno jeszcze bronił Moskwie przejścia przez lichy strumyk, dawszy ognia z kilkunastu gwintówek, jakby dla przywitania sprzymierzeńców, spokojnie patrzył na przeprawę Moskali przez Andyjskie-Kojsu, na przeprawę trudną, na której niejednokrotnie kruszył się zaboczy zamach.

Lud ten sam, który bezwarunkowo był posłusznym imamowi, który jakiegokolwiek postawienie się przeciw niemu uważał za grzech społeczny, teraz otwarcie wystąpił przeciw jego osobie. Awarowie koło Hocatla chcieli ująć syna jego Kazi-Mahomę, by go wydać wrogom lub zabić, strzelali bowiem do niego. Gdzieindziej w lasach karahskich mieszkańcy zatrzymali juki imamskie, rozebrali 15 tysięcy rubli z kasy, zabrali broń drogą i różne kosztowności ze skarbca ogólnego. Wszędzie po aułach składano hołd Moskałom, wydawano im jeńców, a nawet zbiegów, witano ich jako ludzi niosących więzy lub śmierć Szamilowi.

Lud w zapalanej nienawiści swojej do imama uczynił się naraz tchórzliwym i płaszczącym się przed wrogami, zwalając całą swą dzielność poprzednią i teraźniejszą swoje poniżenie na Szamila. On nie rozumiał, że przez swoje wysokie wzniesienie się duchowe, niegdyś sam postawił na wysokość Szamila, że Szamil był jego myślą, jego wyrazem i siłą, słowem że był jego przedstawicielem.

Szamil także jęknął boleśnie na to straszne odstępstwo ludu, który przez ćwierć wieku był mu potulny jak dziecko. Ale czy on zrozumiał, że dzierżąc dyktatorską władzę, sam w ostatnich latach despotycznymi rozporządzeniami zabijał ducha wolności w górach, że uczyniwszy z ludu tylko maszynę wojenną, odebrał mu zdolność samodzielności i dał mu niemoc w nieszczęściu.

Jakiegoż powtarzam człowieka, jakiego zdolnego wodza wychowały jego rządy? Żaden się nie pokazał, bo pod nim nie było pola do samodzielności i do okazania talentów.

Ten lud, który na początku jego rządów miał wyrobione poczucie obowiązków aż do zaparcia się siebie, który stawiał ucywilizowanym ludom przykład poświęcenia, jakże przy końcu jego rządów zmaliał, zmizerniał!? Jakby on nie ten sam był!... To też teraz lud ten w konwulsyjnych drganiach mścił się na przewodniku swoim, myśląc że sobie ulgę a jemu wymiar sprawiedliwości czyni.

Obaj nieszczęśliwi i lud i jego hetman!...

Opuszczony imam spojrział przed siebie i obaczył wyjątkowego znaczenia górę Gunib. Odosobniona ta skała od innych wyniosłości, z trzech stron będąc pionową, lub zwieszona nad poziomem, przez naturę przeznaczoną została na silną twierdzę. Pokryta na swej powierzchni grubym słojem ziemi, karmiącej ludność dwóch wiosek i cudownie z daru przyrodzenia zaopatrzona w strumienie zdrowej wody, pokazywała się sposobną do długiej obrony. Stał tam jeszcze magazyn zboża i prochowia.

Na tę górę prowadziła tylko jedna kręta ścieżka pomiędzy stromemi strzępinami skały, ścieżka na wielu ustępach zabarykadowana bryłami kamieni, prawie niepodobna do przejścia. Góra więc ta, zdała się imamowi tarczą jego przeciw wrogom i ostatnią osłoną jego godności.

Wdrapał się na nią imam otoczony przedziesiątkowanym tylko hucem murtizigatów i niezachwianymi miurydami, którzy naprzekór całemu ludowi chcieli do końca pozostać wiernymi idei niepodległości.

Było ich wszystkich dwustu. Do tej garstki przyłączyli się i gunibscy mieszkańcy. Szamil więc ujrzał

się wodzem już tylko może czterystu orężnych ludzi, ale na czele tej drużyny postanowił walczyć.

Spojrzał on z góry... i do koła u stóp swojej skały, widział rozkładające się już bataljonowe kolumny wojska moskiewskiego i naliczył ich kilkadziesiąt... W oddali, przez lunetę, poznawał błyszczące się bagnety wrogów na murach Sugratla. Czocho, Tylitli! Na taki widok można mu było zmartwieć, ale Szamil nie okazywał trwogi swojej. Głęboko wklęsłe siwe oczy jego patrzyły się z pod gęstych brwi z determinacyjnym spokojem. Oczy te 62 lat na świat patrzące, wznosiły się teraz częściej niż zwykle ku niebu, jakby dla ściągnięcia z tamąd zastępu posiłkowego. Widokiem nieba wzmacniał on ducha swego, a w niektórych chwilach zdawał się być przeniknięty nieziemską atmosferą. Jego świąteczna zielona szata i biały turban na głowie, wtórowały formą i barwą jego duchowemu usposobieniu. Chwilami znowu prostował swą wzniosłą postać, a wtedy jego lwich rysów, ale przyjemna twarz, przybierała ton imponujący. Znowu chwilami znać było na nim wzruszenie; zdawało się, że każdy włos na jego siwawej brodzie drgał od gry miotającej nim burzy wewnętrznej. Nadchodziła chwila pieczęci żywota.

Wódz moskiewski, książę Barjatyński, posłał do niego parlamentarza, aby się poddał i dał mu obietnicę, że będzie miał wolny przejazd do Mekki z dożywotnią pensją. Szamil odrzucił te propozycje. Barjatyński jeszcze kilkakrotnie ponawiał propozycje, ale bez żadnego skutku. Szamil w końcu nie chciał wdawać się w żadne stosunki z Moskalami i zapowiedział, że jeżeli mu będą jeszcze przysyłać parlamentarzów, iż on każe im głowy ścinać!

Moskale więc przygotowali się do długiego prawidłowego oblężenia, robiąc dla siebie reduty i zasieki. Pułkownik Tergukasow stojący z jedną kolumną pułku apszerońskiego ze strony północnej, zawiadomił sztab,

iż zauważył tam możliwość dostania się po ustępach skał na szczyt góry, byle Szamil nie stawiał mu przeszkody, chociażby częścią swych wojowników. Projekt ten rozważono i przyjęto. W dzień pochmurny z przeciwnej strony tych ustępów, począł Barjatyński przypuszczać fałszywy atak na zabarykadowaną, a opisaną wyżej ścieżkę. Cała prawie siła Szamila pobiegła jej bronić.

Nagle miurydzi w popłochu porzucają tę ścieżkę, z tyłu bowiem siebie mieli już kolumnę Tergukasowa, która pod zasłoną chmur, nie znalazłszy na swej drodze żadnego oporu, wdrapała się ustępami na sam szczyt Gunibu. Tam dopiero kilku wartowników dało ognia i uciekło ze stanowiska.

Szamil pędem zajął jedną wieś i jeszcze postanowił bronić się w niej. Nowi parlamentarze nie mogli znowu wymódz na nim poddania się. Bój się nowy zapalił, bój nierówny, bo z jednej strony najpewniejszy zwycięstwa, a z drugiej dobijający się tylko śmierci.

Daniel-Bek będący już w obozie moskiewskim, załował takiej doli imama i prosił kn. Barjatyńskiego, aby mu nie dał umrzeć śmiercią Kazi-Mully. Barjatyński rozumiał także, że dla tryumfu jego, że dla poniżenia sprawy miurydzkiej w oczach Górali, stokroć, tysiąckroć, byłoby lepiej aby Szamil oddał się żywy w jego ręce. Więc dwa razy przerywał ogień działowy, burzący i palący ostatek schronienia wielkiego imama i dozwalał Daniel-Bekowi namówić go do poddania się, zapewniając mu teraz życie w głębi moskiewskiego kraju.

Szamil zaczął się namyślać... Zostało mu tylko 47 miurydów. Reszta poległa a z nią i kilkanaście kobiet. Pozostałe przy życiu niewiasty jedne owdowiały, drugie pokaleczone, trzymając u swego łona drobną dziatwę także w części poranioną, jęczały z bólu ran i z bolesnego uczucia. Szamil widział ten straszny obraz nieszczęścia i rozpacz, która ogarnęła i tę garstkę miurydów

co żyła jeszcze z nim, ale niemo wyrażała utratę tej nadziei, która ją ożywiała lat trzydzieści!...

Daniel-Bek dokonał swego. Szamil się poddał!..

Wyszedł on z kilkoma ludźmi ze wsi i zmieszany stanął przed kniazem Barjatyńskim. W tej chwili może zapragnął on śmierci Kazi-Mully, Hadzi-Murata... za późno! Lecz opamiętał się wkrótce i przytomnie odpowiadał na pytania kn. Barjatyńskiego. Wódz moskiewski zapytał go:

— Czy ty jesteś Szamil?

— Tak, ja jestem, odrzekł.

— Więc dobrze. Ocaliłeś sobie życie. Zachowasz swoje żony, dzieci i swoje mienie. Jutro odeszłę cię do Petersburga do miłościwego cara, który ostatecznie los twój urządzi.

Niewolnik spuścił głowę nie rzekłszy ani słowa. Moskale, którzy go ogłaszali dotąd za buntownika, teraz zaczęli dowodzić, że on był znakomity wojownik, mądry prawodawca, a nawet zany człowiek, i poczęli mu świadczyć względy i okazywać honory, jakie dawali Francuzi Abdel-Kaderowi. Lecz Szamil wcale innego był znaczenia i wcale inne miał posłannictwo niż Abdel-Kader...

Wieziony Szamil z rodziną przez okolice dawno od Moskali zajęte, doznawał wszędzie od ludności największego współczucia. Smutek, rozpacz nawet malowała się na wielu twarzach. Kobiety płakały i rwały sobie na głowie włosy. Tu i owdzie rzucił się lud do całowania rąk jego i szat. Przyjmował upadły imam te objawy uczucia ludowego, lecz ze wzdargą odepchnął od siebie naiba z Żyran, który w dniach nieszczęścia opuścił zdradziecko chorągiew miurydyzmu.

Zbliżając się ku Temir-Chan-Szurze, którą kilkakrotnie atakował, gorzko zapłakał na jej widok. Od dwóch dni tłumy ludu go tam oczekiwały i zaległy

drogę na całą milę. Jeden z moich rodaków, który był między ciekawymi, tak się wyraził w liście do mnie: „Poszedłem aż do Muselim-aułu, a ztamtąd klusem bieglem pomiędzy eskortującymi dragonami, co krok się oglądając żeby mnie końmi nie stratowano. Nie żałuję tego, bo widziałem na własne oczy Szamila! Żon jego nie widziałem, bo wszystkie były w zakrytych brykach.“

Po kilku dniach Szamil został wywieziony do Petersburga, a ztamtąd odesłany był z całą rodziną do Kaługi, jako do miejsca swojej niewoli, zkad uwolniony, umarł w 1871 r. w Medynie. Jego złemu duchowi Daniel-Bekowi przeznaczono do śmierci po 4 tysiące rubli rocznej pensji i wskazano mu Tyflis na miejsce pobytu.

Rodzinę Szamila składały wówczas trzy żony jego. Jedną Zaidę (Zeideta) trzydziesto dwuletnią niewiastą, córką zanego Dżemal-Eddina z Kazi-Kumuchu, która była gospodynią domu. Drugą Szuanetę (poprzednio Anna) trzydziesto sześcioletnią kobietą, córką kupca Ormianina z Mozdoku, która zostawszy branką dla oswo-bodzenia licznej swojej rodziny, wyuczyła się koranu i po dwu latach została żoną Szamila. Trzecią dwudziesto trzechletnią Aminetę, która była branką z ziemi Kistów i od pięciu lat wieku swego wychowaną była w domu Szamila.

Zaida miała chłopięcych usposobień, lecz piękną dwunastoletnią córkę Nażawetę.

Szuaneta miała kilkoletnią córeczkę Zaidetę, a kilkoro dzieci poprzednio pochowała.

Synowie: Kazi-Mahoma 24-letni, jak również Mohamet-Szabi (Szeffi) 20-letni i córki Napizeta 18-letnia i Fatima (Patimat) 16-letnia, zrodzone były ze zmarłej Fatymy z Uncukula.

Do tej rodziny liczyła się jeszcze stara Bakko, matka wspomnianej Fatymy, którą Szamil wysoce cenil i dla której może przez wdzięczność opieki, jaką mu w jej

domu dano rannemu po klęsce gimryńskiej, okazywał ciągle wyłączne względy. Będąc w swym zamku codzień ją w jej mieszkaniu odwiedzał i codzień pieczołowitością ją okrywał. Nareszcie stara Nanana, matka Aminety i piękna a kokietliwa synowa Karimat, żona Kazi-Mahomy, a córka Daniel-Beka, zamykała koło rodzinne Szamila.

Dla utrzymania licznej tej rodziny w niewoli car przeznaczył 12 tysięcy rubli rocznej pensji.

Oprócz przytoczonej Fatymy z Uncukula, pożegnał Szamil cztery jeszcze inne groby, przysypujące ciała zmarłych żon jego: najpierwszej Fatymy i Chorji pochodzących z Gimrów, następnie Dżawgarady niewiadomego mi pochodzenia i Zainaby, czeczenki.

Po upadku Szamila i po upadku miurydyzmu w Dagestanie, rząd moskiewski natychmiast starał się zaprowadzać tam swoje ustanowienia. Począł on od mianowania naczelnikiem zarządu chańskiego w Awarji, kadeckiego wychowawca, adjutanta carskiego Ibrahim-Chana z Mechtulji, który po zgasłym Sułtan-Achmecie, jako jego brat cioteczny był najbliższym krewnym panującego tam niegdyś domu.

Podbity lud dagestański a szczególnie czeczeński, słysząc o nieustających długo walkach Czerkiesów, począł się nagle upominać. Zaczął on okazywać nienawiść do Moskali, a kobiety na ich widok zakrywając oczy z płaczem wołały:

— Boże! czegośmy doczekały... Nigdy ich nasze oczy nie oglądały, a oni teraz swobodnie chodzą po naszych aulach!...

We wsi Balakan, gdy tłumacz idący z oficerami zażądał od pastucha, aby im wystawił swoją czapkę do strzału, ten śmiało odrzekł tłumaczowi:

— Lepiej sam strzelaj do oficerów, których masz obok siebie.

Po okazywaniu wielu podobnych niechęci do najezdniczków, gorętsi poczęli czynić zmywy do powstania. Jedna zbrojna gromada ukazała się nawet u Czarnych gór w Czeczni i do boju wstąpiła. Czujność jednak i nowe kaźnie moskiewskie, sparaliżowały ogólny wybuch.

Kaukaz po długich wojnach wpadł w ręce barbarzyńców nowoczesnych, tem strasliwszych, że upolowanych pokostem cywilizacji. Wypadek ten jest niezmiernej wagi. Przewidując go sir John Mac Neil, niegdyś poseł angielski w Persji, wyrzekł znajome na Kaukazie słowa: „tutaj właśnie zachwieje się równowaga polityki świata.”

Moskwa oddawna dążyła do tego podboju, za Piotra W. i przed nim jeszcze. W przeprowadzaniu swoich zamiarów była nadzwyczaj zręczną, cierpliwą, przebiegłą i podstępą. Oszukując wszystkich dokoła, potrafiła się zawsze w swych podbojach i zabiegach uniewinnić i wytłumaczyć, albo prawami międzynarodowemi, albo potrzebą dróg handlowych, albo stosunkami serdecznej przyjaźni. Wspierała jedne plemiona przeciw drugim, chrześcijan przeciw muzułmanom, panujących przeciw poddanym, poddanych przeciw panującym. Ofiarowywała się panującym z haraczami, których potem z tego tytułu nazwała dawnymi poddanymi, jako pobierającymi carską pensję. Wszystkich potem zdławiła.

Wplątując Ormian w sieci swej polityki, Moskwa oderwała od Persji i od Turcji obszerne prowincje z Erywaniem i z Achalcykiem i zbudowała na samej granicy twierdzę Aleksandropol (Gumry). Brzegi morskie uzbroiła aż do Mikołajewskiego fortu. Są to przednie placówki do dalszych projektowanych zaborów.

Po zajęciu Kaukazu stała się ona niezmiernie śmiałą, bo powetował jej się na lądzie Sewastopol, bo ma otwarte

wrota do Małej Azji i ogromne siły do jej zajęcia. Chodzi jej o przyjazną tylko porę.

Obojętność Europejczyków na los ludów kaukaskich, przypisać należy niezrozumieniu przez nich wagi posiadania Kaukazu. Inaczej czyżby oni czekali losu rozpędzonych Czerkiesów? czyżby oni — prawda że nie jutro, ani może za wiek, czekali na cara, który jak Atylla z biczem Bożym miałby spaść na nich?...

Niech groby ludów kaukaskich będą przestrogą dla innych! Kto ma oczy niech widzi, kto ma uszy niech słucha...

CZEŚĆ JEDENASTA.

CZESC IEDENASTA

POLACY NA KAUKAZIE.

Początki wysyłania Polaków. — Trudne przejścia wiarusów z 1831 r. — Młodzież wileńska i kijowska. — Cierpienia i badania. — Młodzież warszawska. — Zajęcia naukowe. — Nadzieje w 1848 r. — Denuncjacja Sollohuba. — Aresztowania i śledztwa. — Uciemiężenia religijne. — Skład dekanatu kaukaskiego. — Ostrożności najeźdźców. — Aresztowany Francuz jako Polak. — Rozdział Moskali i Polaków za wojny wschodniej. — Domaganie się zasad liberałów moskiewskich. — Holowinskoj. — Korowajew. — Podejrzenia i pogrożki moskiewskie. — Prześladowania urzędowe. — Kahal żydowski z Polaków. — Przewidywanie krwawych scen. — Pokój. — Prace moralne zesłanych. — Oporne stanowisko. — Niekorzystanie z okoliczności. — Amnestja. — Powrót zesłanych.

Wiadomo jest, że już od 1773 r. w zabranej części rzeczypospolitej polskiej, Moskale rekrutowali i pędzili w kaukazkie strony lud nasz zdolny do broni. Wiadomo, że w 1783 r. carowa Katarzyna przesiedliła tu z nad Dniepru resztki Zaporozców. Następnie po powstaniu Kościuszkowskim, z obszerniejszego zaboru Polski, spędzano tu corocznie gromady Polaków. Wojny napoleońskie dostarczyły też niewolników polskiej narodowości,

z których jednego, jeszcze w 1856 r., widzieliśmy w Petrowskim linjowym bataljonie. Był to starzec ośmdziesięcioletni, ogłuszony, oniemiały i bezwiedny prawie o sobie.

Sprawa Filaretów wileńskich przypominała się tu w osobach Franciszka Borkowskiego i Andrzeja Janiewicza, przebywających w Czyrjurcie w Niżegorodskim pułku dragońskim.

Nim nastał 1831 rok, już setki tysięcy ludzi zrodzonych na polskiej ziemi, przybyło, żyło tu i skonało.

Potem, oprócz kolonizowania stepów kaukaskich ludem z Wołynia, z Podola i z Ukrainy, obficie jeszcze zapełniano Polakami kadry wojskowe. Większą część powstańców z 1831 r. zabranych z pola, z domów, ze szpitalów i tych których uludną amnestją ściągnięto z Galicji i z Prus, tutaj spędzano. Słowem odrazu kilkanaście tysięcy ludzi z tych co się bili przeciw carowi, przypędzono tutaj pod bagnietami, aby się bili za niego.

Mieli oni jednak wstręt do podobnej walki, owszem jedni na wstępie zaraz wiązali się z Gruzinami — którzy w owym czasie ostro się postavili przeciw rekrutowaniu u nich ludzi — drudzy pałali chęcią przerwania się na stronę walczących Górali. Nowe te objawy ducha powstańców, wywołały prześladowania dowódców i nienawistne zajęcia koszarowe. Przychodziło w nich nietylko do kłótni, ale i do gromadnych bójek, kończących się śmiertelnymi nieraz z obu stron wielu ranami. Żołnierze powstańczy nieznoszący brutalnego z nimi obchodzenia się, zabijali także nieraz w uniesieniu, znęcających się nad nimi oficerów, za co podlegali katowaniu i rozstrzelaniu. Rozdział w szeregach doszedł wtedy do tego, że w niektórych pułkach Polakom z osobnych kotłów jeść dawano.

W miarę przedłużania się tak ciężkiego położenia, wielu z naszych powstańców dostało obłąkania umysłu,

a wielu samobójstwem skracalo sobie tęskne do kraja a nieznośne życie. Nareszcie z 1835 na 1836 rok, wiarusy w całym żołnierskim uzbrojeniu zaczęli się przedzierać gromadkami do Turcji, do Persji, lub w góry, stosownie bliskości granicy od punktów, w których zostawali. Gromadki te z kilku, z kilkunastu lub z kilkudziesięciu ludzi złożone, nie w jednym miejscu musiały sobie karabinem torować przejście. Jedna gromadka do szczętu rozbiła oddział kozacki zastępujący im drogę za Szuszą. Krok ten jednak nie powiódł się.

Gromadki które się przedzierały do Turcji częściowo ocalały, ale te co przeszły do Persji, po podstępem rozbrojeniu, wydane zostały. Te także co dążyły w góry, bez mała wszystkie zdradliwie pochwyte zostały przez nastraszonych groźbą moskiewską zaleźnych krajowców i odstawione do najbliższych załóg.

Całe bataljony na kilku placach kaukaskich egzekwowały potem kijami kolejno wyroki sądów wojennych. Pastwiono się osobliwie nad tymi zrozpaczonymi dezertierami, którzy przed sądami wojennymi wręcz odmówili wierności dla cara.

Chociaż zamiar uciekających wiarusów nie powiódł się powszechnie, ale krew przelana przyniosła zaraz pewien owoc. Lecz niestety ten owoc, stał się potem trującym gromadę polską.

Rząd petersburski przeląkł się następstw swego postępowania. Dano nowe rozkazy. Jenerałowie tak zmienili odrazu ton swojej mowy, że trudno było uwierzyć czy on pochodził z ust, które niedawno jeszcze poniewierały polskiem imieniem. Jenerał Florow przeglądając pułki swojej dywizji w te słowa odzywał się do żołdatów:

— Wiem co się tu u was dzieje, wiem *maszenniki* (oszusty) jak dokuczacie Polakom, wiem że wy niechlujni jak świnię nie dopuszczacie ich do wspólnych kotłów.

A nie wiecież to wy *padlacy*, że car każdego swego żołnierza jednakowo ceni, czy on Ruskij, czy Polak, czy Tatar. Jeżeli nie wiecie, to ja was sucze syny pałkami nauczę. Gdy usłyszę jeszcze o waszej niesforności, gdy się dowiem, że Polaków będziecie nazywali bezmózgłymi, albo polskimi mordami, albo buntowszczykami, że oni Warszawę na kartoflach przespali, albo że będziecie śpiewali pieśni ich obrażające, wtedy was na śmierć zaćwiczę różgami.

Tak groził Moskałom jen. Fłorow i po tej przemowie awansował wielu Polaków na podoficerów.

Gdzieindziej podobnie się działo, a jen. Weljaminow rozdając krzyże dla kabardyńskiego i kuryńskiego pułku, połowę ich nawiesił na piersi samych wiarusów.

W 1839 r. kilkudziesięciu współuczestników sprawy Konarskiego, przeważnie studentów z akademji wileńskiej i z uniwersytetu kijowskiego, przysłano na Kaukaz. Zesłani ci osadzeni zostali najprzód w fortach linjowych, ale nie na długo. W drugim zaraz roku po ich przybyciu robiono u nich rewizje, przeglądano książki i papiery i prowadzono śledztwa o tajne ich porozumiewania się. Powstańca z 1831 roku Stanisława Luberadzkiego w tymże czasie ściągano z nad Czarnego morza do Tyflisu. Potem ich wszystkich porozsyłano do czynnych pułków i baterji artyleryjskich.

Otwarte niezgody między Polakami a Moskałami wówczas już przycichły; znaczna też liczba Polaków otrzymała stopnie oficerskie. Okoliczność ta ułatwiająca bliższe zapoznawanie się ze starszą moskiewską, przepuściła studentów do biur wojskowych, do szkół kantonistów i do kierunku naukowego dzieci oficerskich, przy rodzicach będących.

Jenerał Kluki-fon Klugenau, rodem Węgier, cały swój sztab dywizyjny złożył z samych prawie Polaków, przez co zwrócił uwagę ministra wojny Czernyszewa,

który go wezwał do tłumaczenia się. Klugenau odpowiedział, że chcąc się otoczyć zdolnymi oficerami, trafem przyszedł do takiego składu, ale że wyłączny wybór Polaków do obowiązków szczegółowych, nie leży w jego systemie. Car jednak całego tego składu nie zatwierdził i kazał ministrowi wydać ogólne polecenie, aby żaden z zesłanych za polityczne sprawy, pomimo ulaskawienia i awansu, nie był dopuszczany do posad sztabowych.

Rozporządzenie takie cieszyło rodowitych Moskali, poczynających narzekać, że im obcy zagradzali drogę do dostojęństw i wykrzykujących że dla uzyskania lepszej posady potrzeba było im się rodzić Niemcami, Polakami albo co najmniej Małorusami.

Kłęski ponoszone od Górali zwłaszcza od 1840 roku, zmusiły cara do wysłania zasilkowych bataljonów z 6go korpusu, rozłożonego koło m. Moskwy, które wcielone zostały do czynnych pułków. Wysłanie jeszcze kolejne dywizji 5go korpusu powiększyły znacznie liczbę Polaków na Kaukazie. 5ty korpus przeformowany właśnie został z b. korpusu litewskiego, który car Mikołaj, napakowaniem węgł massy Moskali, chciał dodna zmoskwicid. Przed wysłaniem tego korpusu, robiąc przegląd, zapowiedział mu: „że jeżeliby podejrywał w kimkolwiek, że ma jeszcze w sobie jedną żyłę polską, zarazby ją kazał wypruć.“ Po krótkim istnieniu, tylko kadry powróciły z tego korpusu, w których nie kazał car zostawiać Polaków, ale polecił ich wcielać do pułków kaukazkich.

Zaprawdę Polakowi, który przeszedł zgnidy Jegorłyk, trudno było wracać. Nie uwalniała go ani choroba, ani kalectwo.

Gdy miejscowe władze na zasadzie świadectw lekarskich przedstawiły zesłanego Sobolewskiego z Podola, już oficera, do uwolnienia do ziemi rodzinnej jako obłąkanego na umyśle, otrzymano polecenie z Petersburga,

aby go wysłać do Saratowa, jako do miejsca, w którym klimat odpowiada podolskiemu. Gdy znowu z Saratowa podobne przedstawienie zrobiono, przewieziono obląkanego Sobolewskiego do Jekaterynosławia nad dolnym Dnieprem, gdzie i wkrótce umarł.

Ociemniałego studenta kijowskiego Edwarda Milewskiego uwolniono z wojska, ale nie dozwolono mu wyjeżdżać z Kaukazu.

Z Petraszkiewiczem nieco względniej postąpiono, o czem pisma z 1845 roku tak podały: „Z kaukazkiej grenadjerskiej artyleryjskiej brygady, bateryjnej Nr. 4 baterji, fejerwerker 4tej klasy Ksawery Petraszkiewicz, który w 1839 r. oddany był do służby wojskowej z liczby studentów uniwersytetu św. Włodzimierza za należenie do towarzystwa tajnego, a teraz za Najwyższem dozwoleńiem zdawał w pomienionym uniwersytecie egzamin i otrzymał dyplom na stopień kandydata 1go oddziału fakultetu filozoficznego, z Najłaskawszego względu ku ciężkiej ranie odniesionej przez Petraszkiewicza w bitwie z Góralami od kuli w dolną część żołądka, i na poświadczenie zwierzchności o dobrym sposobie myślenia i odznaczonej gorliwością służbie Petraszkiewicza, Najjaśniejszy Pan w dniu 23. maja raczył rozkazać zatwierdzić go w randze 10tej klasy, na zasadzie świadectwa uniwersyteckiego o zdanym egzaminie.”

Grodecki takim też sposobem po wyjściu z pułku dragonów uzyskał dyplom lekarski w Charkowie, z obowiązkiem wszakże wrócenia na Kaukaz.

To zamknięcie między skałami, wśród tłumów obcych ideał, wśród niewolników z wychowania i z tradycji — ten brak własnego powietrza i swojskiego odżywiającego się ciągle w społeczeństwie żywiołu, niejednokrotnie brak nadziei powrotu — ogarniał niekiedy duszę Polaka cierpieniem.

Jeden Wołynianin nie znajdując w umyśle rozwiązania zagadnienia tych swoich i ogólnych narodu cierpień, przemawiał do góry Kaz-beg:

„Powiedz mi, powiedz, o starcze wyniosły
Co głową bijesz w te błękitne stropy!...
Tyś tyle widział!... Jak pod twemi stopy
Wieki niejedne wzrosły i przerosły,
I zagięły. — Jak wielec tej ziemi
Byli i znikli. — Całe pokolenia,
Za twej pamięci, krokami spieszniemi
Biegły, dobiegły do wrót zapomnienia!
Tyś tyle słyszał! o twe chłodne skały
Szpieg twój huragan co chwila roztrąca
Pieśń ułożoną z akkordów tysiąca,
Co z piersi tyla stworzeń się wybrzmiały
Ile jest stworzeń!..

A czołem, o starcze!

A czołem siwem, tyś nieba sąsiadem!
Ty zda się toniesz w tym lazurze bladym.
Tyś jak w zwierciadło, na księżycu tarczę
Wpatrzył się niemy i dumasz. — Do ciebie
Mrok niedowionie, co tu émi w nizinach!
Powiedz, co o nas mówią tam na niebie,
O naszych wielkich pomysłach i czynach:
Czy naszych wieszczów górne uniesienia
Którym posągi stawim i ołtarze,
Słyszą niebianie? Czy widne tam cienia
Naszych olbrzymów, i w jakim rozmiarze?
Zali dolata do siedzib aniołów,
Różny, zwikłany chór ziemskiego głosu,
I jak dolata, muzyką chaosu,
Niestrojnym wrzaskiem zmaconych żywiołów,
Lub hymnem wielkim, jednym co do treści,

Hymnem głoszącym, — o Bogu zbawienia?
Czy słowa grzechu, od modlitwy pienia
Echo tam dzieli? Czy krążą tam wieści,
Że my przemożni nadzieją i duchem,
Świat oplątali myślą jak łańcuchem,
I śmieli wtargnąć za światy widziane?
Powiedz, te gwiazdki tam pozawieszane,
Na toż się tyła osnuły promyków,
Tyła błyskotnych roziskrzyły wieńców,
By nas oświecić światła zwolenników,
By służyć dla nas, Bożych ulubieńców? "...

Potem powiada, że na te pytania:

„Milczał i milczał pierwszy syn potopu,
Smutno migocąc tłem ze sfer odbitem,
Snać się zapatrzył w dal siniego stropu,
Snać się zasluchał z milczącym zachwytem
W muzykę światów...

A jam już nie pytał
Wielkiej przyrody o wielkie Jestestwo,
Jam w jej milczeniu *odpowieź przeczytał,*
Straszną *odpowieź, straszną jak nicestwo!*"...

Kijowianin znowu, dosadnymi słowy maluje osobistą
walkę z otaczającymi go okolicznościami i zlewa się
z wszechogólnym duchem świata. Zaczyna od pytania:

„Czy znacie co jest piekło! O, kto nie był w piekle,
Ten w całej wyobraźni nie ma dlań znaczenia.
Czy znacie co tęsknota? znacie ją z widzenia
Coście jak ja nie czuli... tak dziko, tak wściekle...
To piekło tu na ziemi!

Znacie co jest to piekło? To ten ogień wielki
Uczuć, boleści, wspomnień i pragnienia,
A w sercu ni pociechy, ani odrętwienia
Pałacemu pragnieniu ni rosy kropelki...
Znacie co jest to piekło? To dążność ku niebu,
Którą jeszcze w kolebce zapaliły duchy;
W całej swej sile, żywcem pchnięta do pogrzebu;
W sile woli okuta przemocą w łańcuchy.
Ta wola godło duszy, jej życie, jej technienie
Ta wola, cecha człowieka godności,
Co go do Boga wznosi — ciśnięta w więzienie,
Jest piekłem poniżenia, piekłem bezwładności!
Kto pełnem życiem, nadzieją niesiony
W przyjaznem kole druhów i rodziny
Zasnął letargiem i nagle zbudzony
Znalazł się w trumnie ofiarą cmentarza,
Piers jeszcze tchnącą tłoczy bryła gliny,
Piers jeszcze tchnącą ciężkie wieko gniecie...
A już przy grobie nie słyhać grabarza...
Próżna usilność, wołania i jęki!...
Któż jego rozpacz pojmie, jego ciężkie męki!...
Lecz ciężej temu kto żyjąc na świecie,
Na świecie jeszcze żywcem pogrzebiony!
Żywe uczucia, myśli i tę dzielność,
Co jak ciężarna matka musi plód swój rodzić,
Co na czole człowieka pisze nieśmiertelność,
Groblem milczenia, śmierci przywalony.
Równie go ciężar przemocy ugniata,
Równie nikomu z więzów oswobodzić,
Lecz ciężej jeszcze, bo żyjąc u świata,
U świata jeszcze żywcem pogrzebiony."

Rzuciłem strony mej ojczystej ziemi!
Od swoich, swoim okrutnie wydarty;

W dalekiej Azji górami zaparty,
Obcy sam sobie, pomiędzy obcemi,
W żelaznych szponach wielkiego Kaima,
Bez żadnej ulgi, bez żadnej nadziei,
Błądzą samotny wśród tej dzikiej kniei!...
Nikt mnie nie czuje, nikt mnie nie rozumie,
Nigdzie pierś moja echa sobie nie ma
W tym przestraszonym niewolników tłumie;
Tylko na głos dziki żalów
Przedrażnianie tylko słyszy,
Skał i lasów i szakalów,
Mych szczęśliwych towarzyszy!...

Gdzie moje cele, gdzie moje dążenia,
Nauki, prace, do których przybity —
Duszą w nadziemne latałem błękity,
Gdzie pierś moja pełne piła tchnienia,
Gdziem się uczył człowieka wolne cele cenić,
Widzieć cuda zwierzone genjuszów kluczem...
Teraz jak dziecko stapać mnie tu uczą,
Jak machiną wracają te same maszyny,
I chcą mnie, mnie człowieka w maszynę przemienić!...
Cóż memu żądłu wyrówna tęsknoty...
Moje złote widzenia zgasły błyskawicą,
Moje cele przecięte, moich dążeń loty
I życie moje jak liść zwity gąsienicą!...

Jeszcze myślałem wśród tego rozbicia,
Jeszcze się przyda cząstka mego życia
Na tym padole, wśród tych obcych ludzi.
Jeszcze myślałem, że te głupie ściany
Kiedyś ożyją, kiedyś się oswoją;
Lecz choć ich tłuką nadęte bałwany,
Jęczą i nieme i bez ruchu stoją;
Już i ta teraz nadzieja nie ludzi!
Lepiej jest umrzeć. Trup do swego wątku

Wróci użyźniać ziemię zastarzałą,
Przyniesie pokarm mnogiemu żyjątku,
Tak choć do swego zdaży przeznaczenia!
A tu... tu na nic i dusza i ciało;
Tu na nic myśli i czucia i chcenia,
Tu ani kroku związanemu ruszyć!...

.....
Za cóż się pali ten ogień w mej duszy!
Na co Bóg wszczepił tę dążność, te czucia,
Kiedy jak wulkan podziemne, okucia
Ciężkich pokładów nie może rozkruszyć,
I niszczy wnętrza, sam w sobie się trawi!?...
Czyliżby większych doświadczać katuszy?
Bo jeszcze mało zewnętrznych pocisków,
Bo jeszcze mało strat, klęsk i ucisków,
Bo jeszcze mało w łzach braci się pławi!?...

Może mnie filozofji chłóśnie kto przestroga,
Lub radą cierpliwości zbroić się wędzidłem?
Filozofja — cierpliwość... naprzeciw naturze!...
Ptak z uszkodzoną może latać nogą,
Lecz każ mu latać z wyłamanem skrzydłem,
Każ piorun zgasić w zapalanej chmurze!?...

Lecz ja nie skarzę, — a jeśli mym głosem
Wylewam bole, serca powierniki,
Dość mam sił jeszcze przetrwać cios ten dziki,
Nie cofnę kroku przed moim złym losem.
A jeśli czuję, czuciem jestem dumny;
Ono to godnie byt człowieka ceni.
Kamienie tylko nie czują i trumny
I podli ludzie gorsi od kamieni.

Wylałem gorycz tęsknoty, wygnania,
Wylałem jak jednostka, samotna, jedyna,
Jak gałązka odcięta, jak czuła roślina
Na obcej ziemi. Obce niebo nie osłania,
I obca rosa życiem nie napawa.
Dług ciała wypłaciłem... Ma ono swe prawa.
Ogniwo przyrodzenia nie spęka się snadnie,
Serce trudno oderwać, a gdy i odpadnie
Długo się na niem jeszcze piętni blizna krwawa!...
Lecz człowiek wyższych światów jest mieszkańcem,
Dalszem ogniwnem dalszego łańcucha...
Tam gdy wzleci, i pozna dążność swego ducha,
I cel bytu na ziemi — i za świata krańcem,
On już nie jest jednostką, już nie jest wygnańcem!...

Inni znów z punktu filozoficzno-dziejowego zapytują:
Czy dla dobra ludzkości Polacy tu przybywają?

Czy przedtem apostołstwo wolności nie wymagało
polskiego udziału w sprawach Kaukazu?

Czy Polacy obecnie nie są zmuszeni prądem dzie-
jowym do pracy, której za swej niepodległości nie do-
pełnili?

Czy cierpieniem i przelaniem krwi swojej nie zrodzą
pożytku dla przyszłości Polski i Kaukazu?

Czy tylko burza pochodu dziejowego przerzuca ich
w te strony jako mieszaninę ras i pojęć?

Czy jedna z nich, czy połowa, czy też wszystkie
powyższe przyczyny sprowadziły tu Polaków?

Jedni odpowiadali na te zagadnienia, że sięgając
okiem myśli człowieka, trudno jest dopatrzeć przestrzeni
i toni myśli Bożej i że z poddaniem się należy iść po
drodze, na której ich Opatrzność postawiła.

Drudzy odpowiadali, że drogi któremi narody prze-
chodzą, mają swoją dziejową logikę; że postęp zakre-
ślony prawami odwiecznymi jest niezmienny, — a chociaż
go w pewnych okresach i u pewnych narodów można
zwichnąć albo obejść, ale za to w następnych czasach
musi on odzyskać moc swoją, nawet zprocentowaną; —
że więc i Polacy nie dla żadnych chymer dziejowych,
ale z potrzeby postępu i dla przyszłej korzyści swojej
i korzyści ludzkości, sprowadzeni tu zostali przez ko-
niecność historyczną.

Niektórzy zaś porównywali gromadę polską z Pro-
meteuszem przybitym do skały kaukaskiej. Widzieli oni
w bajce mitologicznej tło teologiczno-dziejowe i prze-
nośnią polityczną. Czyż nie tak samo, mówili oni, Po-
lacy pragnęli braterstwa i lepszej doli ludzkości jak
i Prometeusz, który wykradzonym ogniem z nieba chciał
ją ożywić, objaśnić, oczyścić i uszczęśliwić? Czyż nie
tak samo Polacy odważają się powstawać przeciw po-
tędze carów jak i Prometeusz przeciw Jowiszowi? Czyż
nie tak samo i nie w tem samym miejscu są oni mę-
czeni dla miłości ludzkości jak ów olbrzym? Czyż nie
tak samo szarpie ich straszna boleść, jak sęp szarpał
wnętrzości jego?... Dodawali potem, że i rozwiązanie
bajki spełni się w tem samym znaczeniu na Polakach,
jak się spełniło na Prometeuszu, że chociaż przewagą
zostali skuci i unieruchomieni, jednak siłą ognia-uczucia
przez nowych Dekaljonów i przez nowe Pyrry, poruszają
do życia ludzkość przez carów do martwoty sprowadzoną.

Tym sposobem gdy jednych duch religijny, gdy dru-
gich pojęcia filozoficzne lub dziejowe, a innych uczucia
człowieczeńskie, pobudzały do badań; lot myśli wszyst-
kich namaszczony cierpieniem, wedle sił wzbijał się na
wyżyny i zagłębiał się w otchłanie i szukał tam wyrazu
przeznaczeń. Niektórzy nie znaleźli go wcale, inni go

odgadywali lub przeczuwali, inni powiedzieli że go wyraźnie dojrżeli, że tym wyrazem jest „posłannictwo.“

Ci ostatni uczuli się apostołami idei polskiej, za którą poddani zostali cierpieniu i uznali się częścią gromady spełniającej tę misję na obcej ziemi. Każdemu więc tam z Polaków przyznawali apostołstwo w większym lub mniejszym zakresie. Najnieruchomszego rodaka, choćby przez samo zajęcie przez niego stanowiska, już uważali za jedno z bezwiednych czynników zbliżających do celu tej idei narodowej.

Pojęcie tego posłannictwa znalazło potem wielu wyznawców między tymi, którzy w liczbie kilkudziesięciu zesłani byli z Kongresówki w 1844, 1845 i w 1846 roku.

W każdym normalnem społeczeństwie literatura odbija siłę moralną ogółu. Nie mogła ona jednak przedstawić pełnego obrazu gromady polskiej na Kaukazie. Obraz ten może się dopiero utworzyć, kiedyś... w dni szczęśliwsze, wolniejsze.

Dotąd z ogłoszonych pism lub przygotowanych do druku, zwrócili na siebie uwagę: Władysław Strzelnicki i Ksawery Petraszkiewicz jako poeci, zaś Michał-Butowd-Andrzejkiewicz jako historyk. Poza nimi szli Tadeusz Łada Zabłocki, Leon Janiszewski, J. Z., Wincenty Dawid, Kalinowski, Wojciech Potocki i Hipolit Jaworski. Niektóre ustępy ich pism umieszczone były w Rocznikach Podberskiego w Petersburgu, w Atheneum Kraszewskiego, w Bibliotece Warszawskiej, w Gwiazdce Kijowskiej Dołęgi, w Rubonie inflanckim Bujnickiego, i w Gazecie Codziennej; inne wyszły w osobnych wydaniach. Gedeon Giedrojé wydał swoje wspomnienia we Lwowie. Żał nam, że dotąd nie wydane są w komplecie pisma

śp. Wł. Strzelnickiego, których zbiór we dwóch tomach, przed kilku już laty, przygotowany do druku widzieliśmy.

Do najważniejszych jednak prac zaliczyć należy ogłoszone w Bibliotece Warszawskiej „Obrazy Dagestanu“ Juljana Surzyckiego i tłumaczenie z gruzińskiego „Tygrysiej skóry,“ z dodaniem naukowego wstępu, przez Kaz. Łapczyńskiego.

Specjalnym naukom poświęcał się Wincenty Sapalski, lekarz Minkiewicz i drugi Gerard Łohynowicz, naturalista Heliodor Pęczyński, geolog Strutyński, a przede wszystkim dyrygujący tryangulacją Józef Chodźko, który w sierpniu 1850 roku, po dwutygodniowym wysileniu, z jednym tylko z towarzyszy wyprawy zdołał dostać się na szczyt Araratu, wzniesionego na 16.953 stóp ang. nad poziom morza. Wszyscy oni, nie wyliczając innych, bądź to w polskich artykułach, bądź to w moskiewskich urzędowych sprawozdaniach, dali odznaczające świadectwo o swojej pracy i nauce. — Zacha olbrzymie prace nad językami miejscowymi, jak również Lisowskiego znakomite badania przyrodnicze, a osobliwie o botanice kaukazkiej zaginęły z ich nagłą śmiercią, bo pierwszego potok zalał, drugi zmarł od cholery.

Śp. Łada Zabłocki powziął zamiar wydawania zbiorowego pisma kaukazkiego, któreby zapoznawało rodaków w kraju z ziemią przeznaczoną na mogilnik ich braci. Drukarnia namiestnictwa, która w kalendarzu urzędowym, na kilkunastu stronicach, wytłaczała corocznie po polsku wykaz świąt katolickich, mogłaby była wystarczyć czcionkami dla takiego przedsięwzięcia; ale wzgląd na cenzurę, i przewidywanie nacisku władzy najezdniczej na drukowanie fałszów, wstrzymało ten piękny pomysł. Projektował później Zabłocki, co byłoby może więcej wykonalnem, wydawać takie pismo w jednej z drukarni kijowskich, lecz gdy się tam ukazała

„Gwiazdka,” zaczął on myśleć o zrobieniu jej organem kaukaskich pisarzy. Pismo to jednak po wyjściu kilku poszytów, wzbronionem przez cenzurę zostało.

Żałować należy, że wzmiankowany projekt specjalnego pisma o Kaukazie, nie przyszedł do skutku. Bo chociaż cenzura nie przepuszczałaby rzetelnych sprawozdań o istniejących bojach, ani rzetelnych wyjaśnień miejscowej historii z ostatniego wieku, jednak Polacy rozsiani po różnych zakątkach wawozów kaukaskich, między różnorodnymi plemionami, podając w jednym piśmie chociażby i niewprawnem piórem, wiadomości o językach, obyczajach, zwyczajach, przesądach, pieśniach i bajkach i podając owe na tysiące liczące się a tak piękne podania miejscowe, złożyliby prześliczny pamiętnik, drogocenny dla badaczy dziejów, a uzupełniający i wyjaśniający wielkiego znaczenia w świecie naukowym dzieło Jana Potockiego: „Voyage dans les steps d'Astrakhan et du Caucase. Paris 1829.” Uboga nasza literatura w rodzaju krajopisów, pomimo pobytu Polaków na całym świecie, nabyłaby tym sposobem przyczynek uzupełniający próżnię przynajmniej jednego mała nam znanego kraju, a który nietylko że nie powinien być obojętnym, ale powinien mocno obchodzić Polaków. Rozrzucone zaś ustępy po różnych pismach, nie kierowane żadną przewodnią myślą spółki piśmienniczej, muszą zniknąć bez właściwego pożytku.

Zajmując się pracami umysłowemi, zesłani poczęli myśleć o sprowadzaniu książek polskich, których zupełnie był brak na Kaukazie. Młodzież kijowska dała najpierwszy popęd urządzania składkowych biblioteczek w miejscach, gdzie kilku zesłanych gromadziło się. Ubóstwo jednak stawiało nie małe temu przeszkody. Zbierano przecież ile się dało. Z kopiejkowych ofiar i z kopiejkowych kar za dopuszczanie się błędów językowych w mowie, składały się sumki po kilka, potem

po kilkanaście, a nareszcie po awansach niektórych i po kilkudziesiąt rubli. W 1847 r. kilka punktów Kaukazu, dobrze już było zaopatrzonych w ksiąźnice polskie, liczące nawet po kilkaset tomów. Między dwoma albo trzema najbliższymi sobie punktami, zawsze się przed sprowadzaniem książek porozumiewano, aby jednych i tych samych dzieł nie nabywać. Po przeczytaniu książek w jednym punkcie, przesyłano je czasowo do drugiego i wzajemnie. Dzieła tylko wielkiej wartości starano się mieć w każdej biblioteczce.

Wyjątkowem zdarzeniem starzec Augustyn Serwiński b. urzędnik akademii wileńskiej, przywiózł ze sobą do Kusar, jedną skrzynię książek naukowych. Były między niemi dwa dzieła, odnoszące się do Kaukazu, jedno wileńskiego profesora zoologii Astmusa, zapomnianego już przezemnie tytułu, a drugie Dra Edwarda Eichwalda z 1831 r.: „Plantarum novarum vel minus cognitarum quas in itinere Caspio-Caucasico observavit.” Dzieła te po wyjeździe zacnej pamięci Serwińskiego na egzamin oficerski do Moskwy, przeszły na własność ogólną.

Myślano jeszcze w późniejszym czasie o dostaniu i właściwem zużytkowaniu ważniejszych dzieł z biblioteki seminarjum prawosławnego w Astrachaniu, w której przypadkowo jeden z wykomenderowanych do tego miasta rodaków, odkrył wiele ksiąg i manuskryptów ze zbiorów króla Stanisława Augusta. Zbiór ten miał być w depozycie złożony przez króla, a według innych miał być darowany przez cara Pawła mohylewskiemu prawosławnemu biskupowi Anastazemu Bratanowskiemu, który będąc potem przeniesiony do Astrachania, przekazał go testamentem tamicznemu seminarjum. Zamiar wszakże wyprawienia jednego z nas w tej drażliwo-dyplomatycznej misji do księży prawosławnych, odłożony został do chwil sposobniejszych, — które... nie nadeszły.

Dowódzca pułku szyrwańskiego Placbek-Kokum, uwzględniając prośby Polaków, umieścił w katalogu książek zagranicznych żądanych w 1847 r. przez ogół oficerów i „Gazetę Wielkiego Księstwa Poznańskiego.” Naczelnik dywizji Kluki fon Klugenau zatwierdziwszy przedstawiony katalog, niezmierną Polakom wyrządził usługę. Albowiem chociaż tej urzędowej gazety niezmiernie obcinanej, albo całemi numerami wstrzymywanej, wyrzekli się Polacy, jednak na jej miejsce zażądali urzędowego „Tygodnika petersburskiego” spodziewając się tam dobrych odcinków literackich. Gdy jednakże i Tygodnik nie odpowiedział najmniejszym wymaganiom, a była już możność sprowadzania pism wprost z Warszawy, odważono się żądać „Gazety Warszawskiej” i „Biblioteki Warszawskiej,” które prenumerowano z sumy bibliotecznej przez ogół oficerów składanej. Przykład ten pobudził Polaków i w innych pułkach do podobnego żądania, które im uwzględniano... do czasu.

.....

Gdy nastał rok 1848, wiadomość o upadku tronu Ludwika Filipa jak grom uderzyła w wojsko kaukazkie i odrazu podzieliła je na dwa odrębne polityczne obozy. Moskale wsłuchiwali się czy car nie poszle wojska na ratunek zbiegłego króla.

Jeden z dowódców kompanji, kapitan Karganow, zainteresowany tą sprawą, wezwał podkomendnego mu wtedy szeregowca Władysława Kamińskiego, na dyskusję polityczną.

— Dziwi mnie bardzo, rzekł, że nasz hosudar' (panujący) pozwala buntować się Francuzom.

— Francja jest niezależną, odrzekł Kamiński, car nie ma żadnego prawa do wtrącania się w obce sprawy.

— Jak to jest niezależną, zawołał kapitan, przecież Francja należy do cara.

— Bynajmniej. Francja tak jest niezależną, jak i Rossja.

— Cóż wy wygadujecie! przecież Aleksander I. Błogosławiony był pod Paryżem?

— Był.

— I wziął szturmem Paryż?

— Wziął.

— A więc Paryż należy do cara, a król francuzki zależny był od niego.

— Wcale nie. Według traktatu wiedeńskiego...

— Ot zaraz będziecie mnie tumanić i po waszemu wyjdzie na wasze; a u nas każdy Ruskij wie, że car Aleksander Błogosławiony zdobył Paryż i że Francja jest podbitą tak samo jak Polska.

Zamilkł Kamiński, aby z powodu tej drażliwej materji nie zostać razem z Francuzami winnym buntu przeciw carowi.

Podpułkownik Pirogow, który nadszedł na tę dyskusję przemówił:

— Bądź co bądź, jednak nie może ulegać żadnej sprzeczce, że Ludwik Filip był bardzo mądrym królem.

— I dlatego car zatwierdził go na króla, rzekł kapitan.

— A że był lubiany przez cara, dodał podpułkownik, dowodzi to, że jego wielkość prowadził z nim własnoręczną korespondencję!

Moskale mieli wtedy przeczcucie, że z wojen rozlanych po Europie nie podlegną żadnemu ubytkowi ziem zabranych. Słuchając i czytając o powstaniu w Poznańskiem, a potem i o legionach polskich na Węgrzech, zbywali te wieści jedynie przekazem mającym cechę żartu.

Przeciwnie Polacy byli przejęci radością. Nadzieja na bujnych skrzydłach unosiła ich w rodzinne strony i stawiła im ten niepodległy ustrój krajowy, który wykołysali w swej duszy. Ufali oni przede wszystkim współczuciu ludów, w których imieniu poetyczni politycy z uniesieniem odzywali się.

Każdy okrzyk wolności ludów, odbity echem od skał kaukaskich, napelniał gromadę polską szczęściem. Głos trąby bojowej wzywającej do walki za niepodległość, cuda sprawiał. Umarli z grobów powstawali. Widziałem krew już zastygłą, naraz w żyłach odżywną. Widziałem ramię przedtem paraliżem niewiary bezsilne, naraz podnoszące się w górę. Widziałem usta w zwątpieniu zaniemiale, wymawiające słodkie imię Ojczyzny. Widziałem serca tych wszystkich zmartwychwstańców przedtem unikających słowa o Polsce, błogosławiących teraz rodaków, noszących za nią po Europie życie swoje w ofierze... Obcy też widzieli i poszanować musieli to, pomimo woli, wyjawiające się uczucie, nad które dla Polaka nie ma żadnego niebezpieczniejszego, ale też i miłszego na ziemi.

Podchodził wtedy złamany nieszczęściami życia stary wiarus do młodszego od siebie zesłanego i zapytywał:

— Cóż tam słyhać na świecie, pono się już Moskał bije z Węgrem?

— A bije się, odpowiadał zesłany, i na początek został już wypędzony z Hermansztadtu i z Kronsztadu.

— Słyszałem. Ale podobno Moskał trzyma się za rękę z Austriakiem; jeśli to prawda, to Węgier nie wytrzyma.

— Węgrom pomagają Polacy z pod Karpat. Jest tam Bem, Dembiński, Wysocki i inni.

— Bem to tęga sztuka, pamiętam...

— Zapewno, ale i tamtym nic nie brak.

— Jak też pan myśli, co będzie z tego?

— Musi być dobre, tak zostać nie może.

— Ach, bodaj ono dobre nastąpiło raz w życiu, żeby chociaż kości swoje zaniósł do Polski. Niech panu Bóg da zdrowie za pocieszenie...

Gdy taka promieniejąca tęcza wolności błyszczała nad Polakami, jednocześnie wpijały się w nich dolegliwe okowy, bolącą rzeczywistością.

Zaraz po wybuchu rewolucji w Paryżu poczyniono liczne rewizje i aresztowania Polaków w fortach na Kумыskiej płaszczynie i w północnym Dagestanie. Na płaszczynie aresztowano Szymanowskiego, Franciszka Pantoczka, Bolesława Maciejowskiego, Konstantego Sicińskiego, Wincentego Dawida, Sicińskiego, Rudzińskiego. W Dagestanie uwięziono Kazimierza Łapczyńskiego, Telesfora Szpadkowskiego, Władysława Witkowskiego, dwóch oficerów Łozę i Kielczewskiego i innych. Księża Pruszkowskiego objeżdżającego forty dla spowiedania katolików, pojmano w Irodze i pod eskortą dragonów przywieziono do Temir-Chan-Szury.

Wypadek ten pociągnął za sobą najrozmaitsze domysły i baśnie, które nabierały wagi z powodu wiadomości z Petersburga, że nie kazano już nadal wysłać na Kaukaz skompromitowanych Polaków. Głoszono, że odkryty został szeroko rozgałęziony spis, mający na celu wymordowanie starszyny moskiewskiej, i że już jeden generał i kilku oficerów w Szurze, padło ofiarą tajemnej zмовы.

Jednocześnie dano także rozkaz z Petersburga, aby w ogóle posad sztabowych nie poruczano Polakom i aby na pisarzów do kancelarji bez wyjątku nie używać żołnierzy z Królestwa, ani tych z zabranego kraju, którzyby byli podejrzani o nieprzychylność do rządu. Polecono aby w żadnej osadzie, ani w forcie wojennym, nie dozwalać jednoczasowego pobytu chociażby dwóm zesłanym, a jeżeliby gdziekolwiek to się praktykowało, żeby ich

w przeciągu 24 godzin odosobnić przez wysłanie w inny punkt miejscowości. Nakazano aby jeżeli któremu z zesłanych przesyła rodzina znaczniejsze pieniądze, żeby mu na ręce jednorazowo nie wydawać więcej nad 30 rubli miesięcznie. Zabroniono im noszenia płaszców, mundurów i czapek z cienkiego sukna i butów z cienkiej skóry, oraz uczęszczania do oficerskich lub czynowniczych domów, a osobliwie zajmowania się w nich nauką młodzieży. Naostatek zalecono baczność na ich stosunki z wojskowymi niższych stopni i na przeglądanie wszystkich listów do nich adresowanych. Gdyby który dowódzca znalazł coś podejrzanego przeciw rządowi, obowiązany został każdy taki list wprost i natychmiast odsyłać do 3go wydziału przybocznej carskiej kancelarji, a osoby skompromitowane jednocześnie aresztować.

Rozkazy te wydane do wykonania pod najsurowszą odpowiedzialnością dowódców, najprzód spełnione zostały co do rozłączenia wszystkich zesłanych. Zatrzymano jednych w sztabkwaterach, innych natychmiast wysłano do oddzielonych bataljonów na linjach bojowych, innych przeznaczono do pogranicznych fortów. Zjawienie się nagle ludzi tej kategorii w niewłaściwych im częściach wojska, sprawiało między bojaźliwymi im częściami wojska, sprawiało między bojaźliwymi pewien popłoch i rodziło obawę w stosunkach z nimi.

W szeregach zaczynała się znowu wykluwać sprawa kotłowa. Soldactwo odzywało się: „że choć wilka karmisz, a wilk zawsze w las patrzy.“ Grzeczne jednak wtedy postępowanie dowódców z zesłanymi, wstrzymało wybuch żołdackiej nienawiści.

Obawa Polaków rosła w miarę przedłużania się aresztowań w Groźnej i w Temir-Chan-Szurze. Dopiero później przebieg tej sprawy został wyjaśniony. Początek jej ciekawy i zarazem jest oburzający.

Jeszcze w 1846 roku w szeregach wojska moskiewskiego, służył w Władykaukazie niejaki junkier Sołłohub,

człowiek młody a zepsutych obyczajów. Nie mając dosyć funduszków na częste hulanki, dopuścił się kradzieży, która poczęła się ujawniać. Z obawy sądu wojennego i degradacji, zbiegł on do niepodległych Górali. Sprzykrzywazy sobie znowu w górach, w których pośród twardego życia ludzi nie mógł sobie znaleźć odpowiednich swemu usposobieniu rozrywek, opuścił je. Będąc zawsze sprytnym, potrafił przejść wielką przestrzeń carstwa i dostał się aż nad Dniepr. Dopiero baczna policja pod zarządem jenerał-gubernatora Bibikowa, podejrzewając w nim polskiego emisariusza, ujęła go i osadziła w fortecy kijowskiej. Wtedy Sołłohub wnioskuje z badań, że może podlegz bardzo ciężkiemu wyrokowi, wołał przyznać się do zbiegostwa z wojska kaukazkiego. Wyznając zaś tę winę, powiedział zarazem, że wie o rozgałęzionym spisku Polaków na Kaukazie, którego centrum miało się znajdować w fortecy Groźnej. Dodał jeszcze, że szczegółów tego spisku dostatecznie nie zbadał, ale że jeżeli przebaczoną mu będzie jego wina i dozwolony mu będzie powrót na Kaukaz, że on jako znający język polski, w krótkim czasie wykryje całą tajemnicę.

Przedstawiony protokół tej sprawy naczelnikowi żandarmerji i ministrowi wojny zrobił wielkie wrażenie. Car w niepowodzeniu wojska swego, podejrzewał już zdrady i stosunki Polaków z Góralami. W tajemnicy więc wielkiej wysłano Sołłohuba z Kijowa; aby zaś ułatwić jego rolę, zmieniono mu nazwisko i tytuł przybycia. Napisano o nim w urzędowym papierze, że jako Nowicki, student uniwersytetu kijowskiego, zsyła się za polityczne przestępstwo do wojska i że przez wzgląd na jego młodość dozwala mu się zacząć służbę w stopniu junkierskim.

Oprócz naczelnika żandarmów okręgu tyfliskiego, jedynie przypuszczony był do tajemnicy kniaź Woroncow, jako namiestnik. Woroncow będący w nieszczerych stosunkach z ministrem wojny i z Bibikowem, czuł się

obrażonym za dopuszczoną myśl o jego nieprzezorności i za narzucany mu sposób wykrywania spisków, w kraju mu poręczonym. Nie czynił więc żadnych ułatwień nazwanemu Nowickiemu, chociaż też nie krępował z swej strony jego stosunków.

Nowicki od czasu przybycia w połowie 1847 r. do Groźnej, starał się wejść w najbliższą zażyłość z zesłanymi tam Polakami. Narzucająca się jego znajomość, mowa jego nie czysto polska, stopień junkierski, a narzeczcie zbijające jedne drugie podawane przez niego wiadomości o składzie uniwersytetu kijowskiego, zrodziły ku niemu pewną nieufność.

Po kilku miesiącach czasu danego Nowickiemu do szpiegostwa, otwarcie go potem wezwała żandarmerja do udowodnienia rzuconych na Polaków podejrzeń. Nowicki więc w akcie oskarżenia zarzucił Polakom: tajemne stosunki między sobą, utrzymywanie kompromitującej korespondencji, a co najgłówniejsze, prowadzącą się między nimi a Szamilem znowę, w celu oddania Góralom kilku fortów moskiewskich. Jako głowę tego przedsięwzięcia wskazał zesłanego z Warszawy Szymanowskiego podoficera, a jako najczynniejszego współdziałacza, również zesłanego z Kielc, aptekarza Pantoczka, także podoficera. Ten ostatni, według Nowickiego, miał przygotowywać jakąś ciecz, za pomocą której miało się ułatwić zapalenie wszystkich prochowni w fortach i jaszczyczkach artyleryjskich.

Po aresztowaniu więc w Groźnej, w Hassaw-jurcie, w Iszkartach i w Temir-Chan-Szurze kilkunastu ludzi i po zabranii wszystkich u nich papierów, wyznaczono komisje śledcze, jedną w Groźnej, a drugą w Temir-Chan-Szurze.

Sprawa ta jak drasnęła miłość własną kn. Woroncowa, tak również dotknęła i naczelników lewego skrzydła i Dagestanu, którzy otrzymywali znaczne fundusze na

szpiegowskie cele i mieli dostateczną liczbę płatnych agentów obok siebie w górach. Pewni o nieistnieniu żadnego spisku, wyznaczając z woli wyższego rozkazu komisje śledcze, ustnie zalecili ich prezesom, aby po zbadaniu formalnem stosunków z Szamilem, resztę kompromitujących okoliczności uważali za rzecz podrzędną.

Komisje te *względnie*, do których za tłumaczy przystawiono wyższej rangi Polaków ochotników, cechowały się jak najgrzeczniejszem obchodzeniem się z uwięzionymi. Dowiedziały się te komisje tylko o jednym zesłanym przebywającym w górach, który żadnego tam wpływu nie miał i któremu zagrożono, że jeśli choć słowo wyrzeknie przeciw Szamilowi i jego urządzeniom, że mu natychmiast głowa spadnie.

Po kilkotygodniowem badaniu komisje złożyły raporta, że nie tylko żadnego między oskarżonymi nie wykryły spisku, ale i nic takiego coby ich mogło kompromitować wobec rządu; że schadzki nazwane tajemnymi były eichem łączeniem się młodzieży wzajemnie usługującej sobie nabytkami nauki; że znalezione książki, notaty i rysunki techniczne stały się jednym z dowodów powyższego twierdzenia, i że w ogóle zachowanie się ich polityczne na żadne nawet podejrzania nie mogły komisji naprowadzić. Dowódcy też wojskowi lewego skrzydła i Dagestanu, złożyli z swej strony raporta, że po najskrupulatniejszym śledzeniu przez agentów mających stosunki z Góralami, nie okazało się najmniejszego śladu związku oskarżonych z Szamilem.

Po otrzymaniu takich raportów, Woroncowa aż do dalszej decyzji kazał zwołać rygor więzienny aresztowanych, którzy byli strzeżonymi z osobna na odwachach, w koszarach, lub w prywatnych mieszkaniach. Aresztowanym pozwolono już odtąd przechadzać się pod strażą, wolno ich było nawet odwiedzać, tylko im broniono widywać się z sobą.

Po miesiącu decyzja z Petersburga nadeszła. Car dalsze załatwienie sprawy Polaków oddał w ręce namiestnika, który udając się wtedy przez Dagestan na ekspedycję do Czeczni, kazał uwolnić wszystkich uwięzionych w Temir-Chan-Szurze, a księdza Pruszkowskiego sam osobiście przeprosił. W Groźnej zaś kazał jeszcze naocznie sprowadzić Nowickiego z Szymanowskim. Badanie to ostateczne prowadził w komisji naczelnik sztabu, jen. Kotzebue.

Nowicki ciągle wmawiał w Szymanowskiego, że z ust jego słyszał o projektach oddania fortów linjowych Szamilowi; Szymanowski zaś twierdził, że nigdy podobnej myśli nie miał, a więc że mu i mówić o tem nie mógł. Gdy żadnym dowodem nie mógł denuncjant poprzeć swego oskarżenia, wtedy Kotzebue zapytał:

— Czy dawno się panowie znacie?

— Od czasu przybycia Nowickiego do Groźnej, rzekł Szymanowski.

— A dawniej go pan nie znałeś, zapytał Kotzebue.

— Dawniej nie.

— Ale przypatrz mu się pan dobrze... tylko dobrze, pan go musiałeś znać.

Po długim wpatrywaniu się w twarz przeciwnika, ozwał się Szymanowski:

— Podobnego mu wprawdzie znałem nieco z widzenia, ale tamten był junkrem we Władykaukazie, a nazywał się Solłohub.

— Cóż się stało z tym Solłohubem? zapytał Kotzebue.

— Nie wiem, słyszałem że pono uciekł w góry, a dalszych o nim wiadomości nie miałem.

— Właśnie ten Nowicki jest Solłohubem, rzekł Kotzebue. On was denuncjował. Za niesłuszne oskarżenia będzie powołany przed sąd wojenny. Pan odtąd i pańscy

koledzy zostaniecie za kilka chwil uwolnieni. Wieszuję wam.

Wkrótce Solłohub wyrokiem sądu wojennego, potwierdzonym przez konfirmację kn. Woronkowa, skazanym został na pozbawienie go dworzeństwa i na wieczne osiedlenie w Syberji. Car rozgniewany, chcąc dać przykład kary za fałszywą denuncjację, dodał Solłohubowi dwa lata ciężkich robót przed osiedleniem.

Wiedziano jednak, że gdyby władze kaukaskie nie były zadrażnione w tej sprawie, los oskarżonych i wielu innych mógłby być odmienny.

Znajdowały się bowiem kompromitujące pisma, które w ciągu prowadzenia śledztwa znikły z aktów komisji, zapewno z ich wiedzą. Przypuścić także można, że Szymanowski mógł mówić przy Solłohubie o rozmaitych kombinacjach wojennych, któreby szczęśliwy mogły mieć obrót dla Górali, a przytoczenie podobnych pomysłów, chociażby bez przyznania się Szymanowskiego, mogłoby jego i towarzyszków więzienia narazić na przykre skutki.

Ostre skazanie Solłohuba było jednym z nowych dowodów, że wyżsi dowódcy żadnych denuncjantów nie mogli znieść w podwładnych szeregach, z obawy aby i ich nadużycia nie były przez nich odsłaniane. Każdy dowódzca podobnych ludzi, czy oni byliby Polacy czy Moskale, żołnierze czy oficerowie, starał się zatracić (unicztożyć). Gdy książę Paszkiewicz wysłał i utrzymywał na koszcie funduszów królestwa junkra grenadjerskiej brygady Aleksandra Gałęckiego, który poprzednio w Warszawie zdradził kilkunastu kolegów, zesłanych następnie do bataljonów oremburskich i na Kaukaz, i gdy dowódzca jego dowiedział się o tem, publicznie na przeglądzie w te słowa odezwał się do niego:

— Słyszę, że pan źle się prowadzisz. Słyszałem, że i w Warszawie podobnie się prowadziłeś, i że niewin-

nych swoich kolegów *zagubiles*. Zapowiadam panu, że jeśli nie odmienisz swego postępowania, ja pana *zatrace*.

Dowódzca ten groźbę swą wykonał wkrótce, albowiem gdy Gałęcki dopuścił się kradzieży u jednego oficera, oddał go pod sąd, który go niezwyčajnie srogo ukarał. Był bowiem nietylko zdegradowanym na stopień żołnierza, ale został przetranslokowany do wymierających czarnomorskich bataljonów i pozbawionym szlachectwa. Wieść o tym nikeszemniku wkrótce zaginęła. Może był zabity przez Górali, może umarł, a może przyjął prawosławie.

Wiadomo jest, że Moskwa do środków wynaradawiania, zalicza i przyłączanie do prawosławia. Religja jest u niej także instrumentem, którym przysrubowuje człowieka do caryzmu. Moskale zaś za prawdziwego carskiego poddanego uważają tylko tego, który jest prawosławnym. Z pod oka oni zawsze patrzą na inne wyznania, które cara za głowę swego wyznania nie uznają. Więc podstępem, pokusą, gwałtem, związkami małżeńskimi, nagrodami, uwalnianiem zbrodniarzy od cielesnych kar kryminalnych, wciągają oni ludy podbite do prawosławia.

Na Kaukazie, nie licząc nawet ludzi z kraju zabranego, mieliśmy tysiące z Królestwa, którzy będąc unitami zapisani zostali na listę prawosławnych i zmuszeni do obrządków tego wyznania. Zesłani alumni z seminarjum unickiego z Chełmna, Szymański i Kalinowski nie chcąc należeć do prawosławia, odrazu wymogli, że ich umieszczono na listę katolików. Aby nie wywoływać starć religijnych wobec prowadzącej się wojny, rząd okazał dla nich dyplomatyczne uwzględnienie. Szczygielski otoczony był większemi pokusami. Gdy go przedstawiano do stopnia oficerskiego, ministerjum wojny niejedno-

krotnie czyniło mu przeszkody i stawiało mu za warunek awansu: przyjęcie prawosławia. Szczygielski propozycję tą stanowczo odrzucił, wolał zostać szeregowym, niż należeć do urzędowej wiary. W końcu jednak i on został uwzględniony, a w stanie służby kazano mu zmienić wyznanie unickie na katolickie.

Widocznem się okazywało, że rząd moskiewski nie chciał w granicach carstwa ani cienia unji pozostawić i wolał kilku wytrwałych unitów porobić katolikami, niż pozostawić ich przy swem wyznaniu.

Jednak nie znaczyło to, żeby car był tolerującym katolicyzm na Kaukazie. Owszem wyznanie to opierające się o papieża, wszędzie było mu solą w oku. Nie mógł on znieść żadnej władzy, któraby jakiegokolwiek rodzaju miała wpływ w jego posiadłościach. Nie cierpiał on papieża, jak nie znosił i sultana, głowy sunitów mużulmańskich. On naprzód powyrzucał z Kaukazu wszystkich obcych misjonarzy, pozostawiając nawracanie religijne jenerałom, popom i kozakom.

Stawiając księży polskich jako kapelanów brygadnych, car ścieśniał ich swobodę i działalność. Kazał on przybijać na drzwiach kaplic i kościołów polskich pisma słowiańskie kirylicą drukowane, a według których miano się modlić za dom panujący; ale to do skutku przyjść nie mogło. Z jego polecenia przysłano reskrypt zabraniający księżom mówić kazania po moskiewsku (!?), co wcale nie było potrzebne. Dziwny ten rozkaz, według słów reskryptu, był spowodowany popędem niektórych prawosławnych w Petersburgu, do uczęszczania na kazania moskiewskie, do jednego z tamtejszych kościołów katolickich.

Znaliśmy w Kusarach żołnierza Michajłowa, który dzieckiem wywieziony z kraju, wychowany został w prawosławiu. Nic po polsku nie umiał i tylko pamiętał, że był z województwa kaliskiego i że jego ojciec był Michał.

Znaliśmy w Iszkartach podobnej kategorii młodego oficera Ippolitowa. Był on synem nauczyciela Bielawskiego, z Warszawy, uczęszczał do gimnazjum na Lesznie i porwany był z ulicy. Wywieziony następnie do szkoły kantonistów w Kazaniu, zniewolony razem z kilkunastu chłopcami podobnej kategorii do prawosławia, musiał zmienić i nazwisko swoje z Bielawskiego na Ippolitowa, z tej jedynie zasady, że ojciec jego nosił imię Hipolit. Odbierał on listy od ojca pod właściwym nazwiskiem, bo nie miał odwagi uwiadomić go o dopelnionych na nim gwałtach.

Baczono tu, aby oni lub inni prawosławni nie uczęszczali do kościołów i gdy jeden pisarz pocztowy, były unita z Podola, chodził na nabożeństwa katolickie w Temir-Chan-Szurze, pop miejscowy oskarżył go o to i wyjednał na niego ostre piśmienne zagrożenie.

Jednak łudzące pozory tolerancji religijnej Moskali, trafiały się czasem. Ksiądz Aleksander Grodzki przedstawił raport żądający upoważnienia go do ochrzczenia branki czeczeńskiej dziewczicy Chanum, która okazała życzenie przyjęcia katolickiego wyznania. Synod prawosławny przez władze cywilne kazał zapytać Chanum, czyby się ona nie zgodziła na przyjęcie panującego wyznania. Gdy odmowna odpowiedź jej nadeszła do Petersburga, ministerjum nareszcie po dwu latach pisaniny po różnych dykasterjach, nadeszło żądane upoważnienie do przyjęcia jej do katolicyzmu. Znudzona wszakże temi korowodami mahometanka, wyrzekła się wtedy chrześcijaństwa.

Z pewnym żydem, z Warszawy, w pułku dagestańskim podobnie postępowano, ale ostatecznie został katolikiem. Najwięcej miał on do przebycia z swoim dowódcą pułku, którego w końcu rozgniewał swoim rozumowaniem.

Jakbym ja wyglądał, rzekł, gdybym do War-

szawy powrócił. Nie będąc ani żydem, ani katolikiem, niktby się tam do mnie przyznać nie chciał!...

Przestaje na tych kilku przytoczeniach.

Wszyscy katolicy na Kaukazie, którzy składali się przeważnie z dwóch tylko narodowości, ormiańskiej i polskiej i jeszcze z małej liczby Chaldejczyków, u stóp góry Ararat zamieszkałych, należeli według podziału z 1848 r. do dyecezyj teraspolskiej, a później do nowo utworzonej dyecezyj saratowskiej, którą zarządzał biskup Ferdynand-Helan Kahn. Wszystkich kościołów liczyło się 47, oprócz kaplic. Podziały na dwa dekanaty, kaukazki i zakaukazki, nie stosowały się wcale do terytorjów, lecz do narodowości, chociaż przy paru kościołach obsadzeni byli razem księża polscy i ormiańscy.

Księża polscy na wezwanie rządowe wysyłani tu bywali jako kapelani brygad wojskowych, z klasztorów litewskich i rusińskich. Pełnili oni przy kościołach obowiązki proboszczów i pobierali pensje odpowiednie gaży kapitańskiej.

Dziekanem i proboszczem w Tyflisie, mianowanym później wizytatorem stolicy apostolskiej był ks. Maksymilian Orłowski. Starszym kapelanem przy wojsku i proboszczem w Białym-Kluczu, był ksiądz Franciszek Starewicz; kapelanem i proboszczem w Gori Józef Skaczkowski; we Władykaukazie Iwo Zawadzki; w Piatyhorsku Ferdynand Sienkiewicz; w Stawropolu Hipolit Stokliński; w Temir-Chan-Szurze Teofil Pruszkowski; w Kusarach Aleksander Grodzki; w Mozdoku i Groźnej Hygin Antonowicz; w Bomborach Wincenty Dudorowicz; w Noworossyjsku Zeno Kalinowski; w Carskich Kołodcach Wiktor Żyżniewski. Mężczyzn katolików Polaków prawie wyłącznie służących w wojsku było w 1848 r. około 26.000, kobiet zaś do 2000.

Po ostrych, prawie corocznie powtarzających się postanowieniach, które ścieśniały swobodę nawet wy-

znania religijnego Polaków, gdy car Mikołaj nie dowiedział się o żadnej kompromitującej ich sprawie, na przedstawienie kn. Woroncowa, w 1850 r. to jest 25-letnią rocznicę wstąpienia swego na tron, poczynił ulgi zesłanym na Kaukaz. Wielu z nich awansował na podoficerów, a będących już podoficerami dozwolił przedstawiać na oficerów, na zasadzie praw szlachectwa, albo za odznaczenie się w boju. Awansowani następnie na oficerów, mieli używać wszelkich praw oficerskich z tem wszakże ograniczeniem, że krzyża św. Jerzego za 25-letnią i orderu św. Włodzimierza za 35-letnią nieskazitelną służbę, nie mogli potem otrzymywać, i że każdy z nich obowiązany był przesłużyć 10 lat w oficerskim stopniu na Kaukazie. Urlopy dla nich miały się dozwalać na wszystkie strony, z wyjątkiem Petersburga, Moskwy, Zabranego kraju i Królestwa.

Te ograniczenia powiększały się i ścieśnieniami dawniejszych rozporządzeń. Zaprawdę byli to oficerowie, jacy tylko mogli istnieć w armji carskiej. O nich na równi z szeregowymi zesłanymi, szły miesięczne i tercjalne raporta z komór i z portów, że przez nie w danym czasie nie przejeżdżali. Z pułków i z baterji przedstawiano jednocześnie wiadomości o ich zachowaniu się politycznem i t. d. Im nakoniec jako dozorowanym nie oddawano także listów wprost z poczty, ale z pod cenzury dowódców. Dopominanie się u wyższych jenerałów, na półrocznych przeglądach, o usunięcie tej kontroli, spóźniającej o parę tygodny niekiedy odbiór listów, spełży na niczem. Ci jenerałowie, na drodze urzędowej nawet traktować o tym przedmiocie nie chcieli, czy też nie odważali się.

Podjeździwość ciągle trwała i zawsze czegoś się obawiano. Chodziły okólniki o jakimś Polaku, który pod imieniem księcia Albańskiego, i o jakiejś Polce, która pod nazwą hr. Potockiej, mieli przebywać granicę tu-

recką, udając się na Kaukaz w celu zwichnięcia wierności wojsk dla cara. Podejrzliwość ta kompromitowała nieraz samych Moskali, ale pomimo tego zawsze i wszędzie szukali tajemnych sprzężyn polskich.

W Derbencie, na początku 1851 r. zjawił się przejeżdżający, a udający się do Persji Francuz. Nie znając języka moskiewskiego, a tembardziej lezgińskiego lub turkomańskiego, w skutek rekomendacyjnego listu zatrzymał się on u ogrodnika Niemca. Wedle ordynku zarządzonego po miastach i po fortach kaukaskich, za przyjezdnym wszedł zaraz do domu dozorca policji po odbiór paszportu, dla przedstawienia go komendantowi miasta. Komendant przejrząwszy paszport, uznał za rzecz potrzebną jeszcze posłać wyższego policjanta, dla sprawdzenia tożsamości osoby. Zdarzyło się właśnie, że dwaj z naszych zesłanych odwiedziwszy ogrodnika i zastawszy tam owego Francuza, zawiązali z nim krótką znajomość, obiecując obszerniejszą pogawędkę do dnia następnego. Przy wyjściu zobaczył ich agent, a potem wchodząc do mieszkania ogrodnika spostrzegł Francuza spiesznie przechodzącego do innego pokoju. Zdając więc raport o tem komendantowi, uczynił uwagę czy ów podróżny mieniący się Francuzem nie jest czasem polskim emisariuszem? Komendant pobiegł do gubernatora Minkwitza, z wyrażeniem także swego podejrzenia. Gubernator kazał obywatela ówczesnej rzeczypospolitej francuzkiej aresztować, zabrać mu i przedstawić sobie wszystkie jego papiery, a na Polaków mieć szczególną bacność. Papiery i listy rekomendacyjne do poselstwa francuzkiego i moskiewskiego w Teheranie, dostatecznie go legitymowały. Usne narzeczcie badania, po trzech dniach kozy, i egzamin językowy prowadzony przez samą gubernatorową, kilka lat w młodym wieku przebywającą we Francji, przekonały miejscowe władze, że był to czystej krwi Bretończyk, udający się do Persji w celach przemysłowych. Uwol-

niono go więc i według moskiewskiego obyczaju bardzo grzecznie i cywilizacyjnie przeproszono.

Podejrzliwość ta moskiewska wzmocniła się bardzo, od chwili rozpoczęcia wojny wschodniej w 1853 roku. Wojna ta odrazu streściła cały przebieg nienawistnych objawów Moskali do Polaków, odrazu te dwie narodowości, okolicznościami politycznymi w jednym obozie skupione, naprzeciw siebie postawiła. Obustronny instynkt przeczuwał wielką chwilę dziejową, w której miały się zaważyć losy ich narodowości. Nieufność z obu stron zrywała nawet wszelką zażyłość prywatną. Nie mogły jej podtrzymać zmoskaleni Polacy, którzy wyczekiwali na Turków i odosabniali się od swoich. Pogardzani przez ogół rodaków, uznawani oni bywali i przez Moskali za ludzi bez żadnej powagi. Stosunki utrzymywały się jedynie węzłami rygoru wojskowego.

Wiara opanowała obustronne umysły. Polacy wierzyli w potęgę sił cywilizacji zachodniej, w dzielność żołnierza francuzkiego, marynarza angielskiego i w wyższość naukową ich wodzów. Sądziли oni, że wkroczeniem cząstkowych sił do ziem polskich, poprą oni wielkie powstanie, które było do przewidzenia. Moskale znowu wierzyli w nieomylność cara, w nieochybność jego obliczenia się, nareszcie w siłę półtora miljonowej armji swojej. Wykrzykiwali oni: „niech nietylko Francja i Anglja pomaga Turkom, niech im pomaga i cała Europa, a nawet wszechświat (wsia wsielennaja), nic to nie pomoże, Rossja górą być musi.“

W chwili tej zesłani polscy spostrzegli, że liberali moskiewscy poczęli ich odstępować, nie wyjmując tych nawet, co faktami przedtem dowiedli, że starali się o ulgę ich losu.

Zrobiliśmy to spostrzeżenie Wasilemu Hołowińskiemu, zeslanemu ze sprawy petersburskiej z 1849 r. Wskazy-

waliśmy mu zmienność opinji jego współrodaków w chwili, gdy teorię wypadnie w czyn wprowadzić.

— My nie zmieniamy opinji, rzekł Hołowinskoj, my patrijotycznie czynimy występując przeciw zachodowi, który chce popierać Turków prześladujących chrześcijan.

— Ale czyż ty nie widzisz dobrze, że carowi nie chodzi ani o chrześcijan, ani o klucze kościoła jerozolimskiego; czyż nie widzisz, że carowi chodzi jedynie o zabór ziemi, którą tak będzie krzywdzić jak Polskę chrześcijańską, może najwięcej chrześcijańską w świecie?

— Dziwię się znowu, rzekł Hołowinskoj, że wy nie rozumiecie, że w sprawie wschodniej ma interes nietylko car, ale cała Rossja, że nasza misja cywilizacyjna przenie nas w te strony, że każdy Ruskij tak samo jak i car jest nią interesowany.

— Mówiłeś niedawno, był głos z naszej strony, że Rossja ma interes zająć prowincję amurską, aby mieć port dogodny na Spokojnym Oceanie, że jej misją jest zająć Azję środkową, a Indję oswobodzić od jarzma angielskiego; jakaż znów misja pcha was do Carogrodu, chyba że taka sama misja zdobyczy?

— Nie, lecz jedynie aby los inny zapewnić chrześcijanom, odpowiedział Hołowinskoj.

— Lecz oni mają los lepszy od losu Polski i od losu Gruzji nawet, która jest pod carską władzą.

— Co do Polski, rzekł Hołowinskoj, powtórzę wam com mówił, że gdyby się zrzekła swej odrębności, gdyby zgodziła się na federację z nami, cała Rossja by ją poparła. Przyjdzie nawet ta chwila, że gdy Rossja będzie wolną, gdy pozbędzie się cara, da wam wolność od siebie, ale jako federacyjnej części. Jednak wtedy Litwa i Ruś jako prowincje dawno rossyjskie, do rossyjskiej całości należeć muszą.

— Więc wy w tej chwili macie misją oswobodzić chrześcijan z pod jarzma tureckiego i wcielić ich do Rossji.

— Nie, wcale nie, nie wcielić a przyłączyć, to jest różnica.

— Słuchaj Hołowinskoj, byłeś skazany na karę śmierci za myśl oswobodzenia włościan, ale widzimy że obecnie jesteś wielkim zwolennikiem cara.

— Jak to zwolennikiem cara! Nie jestem i nie byłem zwolennikiem caryzmu, ale zwolennikiem cara Mikołaja jestem, byłem i będę. Bo czyż Mikołaj nie dąży do zniesienia przewagi dworzaństwa, czy on nie myśli o oswobodzeniu chłopów? Z pewnością jest on pierwszym demokratą w Rossji, i gdyby mi było pozwolono w czasie badania stanąć przed nim i gdybym mu wypowiedział myśli moje i gdyby poczuł on tętno krwi mojej, z pewnością jak ojciec syna przycisnąłby mnie on do swojej piersi.

— Zaprawdę z tego co mówisz, wtrącił jeden z nas, widać że car omylił się skazując was na śmierć. Nie wiedział on zapewno żeście takimi jego wierno-poddanymi. Może poznał się następnie, gdy was ulaskawił...

— Swoboda chłopów przedewszystkiem... rzekł Hołowinskoj, rozumiecie, a dalej rzeczy pójdą...

— Jaka swoboda? przerwaliśmy, wyrwanie chłopca z pod bojara, a poddanie go pod cara, to według ciebie jest swobodą? Zobaczysz i bojary i chłopci będą razem carskimi muzykami.

— Potrzeba równości...

— Dosyć, dosyć, rzekliśmy. Wstyd nam za was postępowych. Okłamaliście, obalamuciliście świat swoją sprawą. Przywdzialiście owczą skórę na siebie. Dosyć...

O kilku kolegach Hołowińskiego, jacy pokutowali na Kaukazie, zapewne za to, że chcieli się podzielić z carem jego ideą i władzą, nie ma co i mówić. Byli

to ludzie tak samo czysto po moskiewsku myślący, a mniej od niego wykształceni i wyrobieni.

Pozostał jeszcze jeden Mikołaj Korowajew, który zdegradowany i skazany był na Sybir za zamiar wypuszczenia z więzienia Konarskiego. Odznaczał się on przyjaźnią do Polaków i wyłącznemi prawie z nimi stosunkami. Nauczył się on dobrze po polsku, czytywał i przepisywał nasze dzieła zabronione, udzielał je Polakom do czytania i zawsze był przez nich lubiany. Więc trzeba było porozumieć się jeszcze z Korowajewem, aby mieć chociaż jedną duszę moskiewską w spółce ze sobą.

Ostrożne go wymiarkowanie przekonało nas niestety, że i Korowajew co do polityki w Azji i w Turcji był jednego pojęcia z Moskalami, z Hołowinskim i z carem.

Ze zdziwieniem wszelako spostrzegliśmy, że zdanie jego i co do Polski było takie same jak Hołowińskiego, jakby je z ust tamtego wyjmował. Cóż więc myśleć wypadało o uwalnianiu przez niego Konarskiego? Było to wielkiem dla nas zagadnieniem. Zapytaliśmy go pewnego razu, aby nam opowiedział historję tej sprawy.

Z toku tego opowiadania dowiedzieliśmy się, że gdy postępowanie z więźniami komisji śledczej, a osobliwie kniazia Trubeckiego, było takiej natury, że wywoływało powszechne oburzenie, więc on należał do koła kilkunastu oficerów, których patriotycznym zadaniem było, w czasie wart kolejnych, nieść ulgę uwięzionym, ułatwiać im korespondencję pomiędzy sobą i z miastem, aby przez to zmniejszać owo oburzenie; aby okazać Polakom, że chociaż koła rządowe ich przesładują, że jednak są Moskale, którzy pragną utrzymać z nimi harmonję.

— Dalej, opowiadał Korowajew, byłem proszony przez hrabinę O., której mąż był uwięziony, abym go wypuścił. Dla nadania zaś temu osłony politycznej, żądała abym wypuścił i Konarskiego. Zgodziłem się na to.

— Jakież pobudki posuwały cię do takiego kroku? zapytaliśmy.

— Miłość, odpowiedział. Kochałem hrabinę i ona właśnie za dowód mej miłości żądała wypuszczenia dwóch więźniów. Mieliśmy wyjechać za granicę. Pewność podróży była zabezpieczoną. Mieliśmy we czworo uciekać. Wiecie jak się potem stało.

— Więc cię nie sądzono jako sprzyjającego sprawie polskiej, ale jako nadwierzającego porządek militarny.

— Tak jest, rzekł Korowajew. Sąd dobrze wiedział, że czyniąc ulgę więźniom, ja i moi koledzy mieliśmy tylko przeciwdziałać nieprzychylnemu wpływowi, jaki wywierał książ Trubeckoj na Polaków. Kochając Rosję, chciałem aby szła jednego kniazia nie osłabiał węzłów, które jako tako wiązały Polskę z Rosją.

Po takim wyraźnym wypowiedaniu się Korowajewa, utraciliśmy w nim ostatniego przyjaciela Moskala. Pozostaliśmy sami.

Pozostaliśmy z przekonaniem, że najprzyjaźniejsze nasze stosunki z najliberalniejszymi Moskalami pękają, gdy chodzi o niepodległość naszą. Kto powiadał, że znał Moskali przychylnych dla polskiej sprawy, z pewnością się mylił. Nie zrozumiał on tych liberałów, którzy nieraz swoim powierzchownym współdziałaniem, łudzą nas, wyyskują i mącą naszą sprawę. Kierunek ich działalności pozornie sprzeczny z caratem, jest z nim jednakowy w dążności do panowania, chociaż w innej formie, nad Polską, nad Słowiańszczyzną, nad Azją i nad całym światem. Rząd carski, który potrafi się w potrzebie godzić ze wszystkimi rządami i ludami, postępowcami i reakcyjnymi, kupczącymi i filozofującymi, posługuje się tymi liberałami najotwarciej, najzręczniejsz i najniebezpieczniejsz dla ludzkości.

Jedna liberałka, pani Czekinowa, w kole innych

niewiast, najszczerzej wyraziła pewnemu zesłanemu, to ogólne w owym czasie dla nas usposobienie.

— Jednej rzeczy żałujemy w panu — rzekła.

— Jakiej na przykład?

— Zgadnij pan.

— Może że nie tańczę?

— O weale nie. Tylko tego, żeś pan Polak — rzekła.

— Więc chcecie żałować, że jestem z pięknego i zdolnego plemienia Słowian?

— Cóż z tego, żeś pan Słowianin — rzekła inna. Wolałabym żebyś pan był Anglik, Niemiec, Francuz, Żyd czy Cygan, by nie Polak.

— To są uprzedzenia wasze, rzekł rodak, boście dostatecznie nie poznali Polaków.

— Każdy z was moi panowie, zakończyła pierwsza, każdy z was jest pojedynczo miły i przyjemny, ale zbiorowo... bać się was tylko potrzeba. Wy nie macie szczerości dla Ruskich... Wy nam na drodze zawsze stawacie...

Przykre choć naturalne stanowisko Polaków, w jakie ich stawiała wojna wschodnia, powiększało się jeszcze ciemnotą wojska. Nikt nie zaprzeczy, że Moskale mają zdolnych urzędników i oficerów, ale ich liczba niezmiernie jest ograniczona. Ogół zaś ich, jak przytaczaliśmy dowody, tak jest bezwiednym o stosunkach społecznych i politycznych, że istotnie z litością nieraz trzeba było patrzeć na tych cywilizatorów wschodu.

Oto znowu porucznik Iwanow, kwatermistrz pułkowy, wdaje się z jednym z zesłanych w rozmowę poufną i zapytuje go:

— Czy też pan, gdyby tu przyszli Turcy, przeszedłbyś na ich stronę?

— Rozumie się, że przeszedłbym, z uśmiechem odpowiedział zesłany, niby też żartobliwie.

— Pan żartujesz, ale gdyby przyszli Polacy albo Francuzi, tobyś pan niezawodnie przeszedł?

— Zapewnie, że powinienbym przejść, bo oni mi bliżsi od Rossjan.

— O, pan ciągle niby to żartujesz, ale ja wiem, że wszyscy Polacy przeszliby i tylko czekają na sposobną porę. Ale dajmy pokój temu. Ja tylko się dziwię, że Francuzi i Anglicy pomagają Turkom i wtrącają się do rzeczy za którą bardzo odpowiadają, bo co to jest występować dzisiaj przeciw Rossji, której nie podola nietylko cała Europa, ale i świat cały!

— Ja sędzę, rzekł zesłany, że to będzie zależeć jak od siły fizycznej tak i od moralnej stron walczących. Jeżeli Turcja wypowiedziała wojnę, pewno się czuła na siłach lub ufała pomocy państw zachodnich. Te ostatnie występując do walki, pewno także czują swoją moc.

— Powiedz mi pan czy Francuzi mają artylerję, zapytał Iwanow.

— Jakto? ja pana nie rozumiem — powiedział zesłany.

— Pytam się pana, czy Francuzi mają armaty, powtórzył Iwanow.

— Ja doprawdy pana nie rozumiem...

— Cóż tu jest nie do zrozumienia — dodał Iwanow, przecież Szamil ma armaty, mogą je mieć i Francuzi.

Dotąd mówił nasz zesłany z tym człowiekiem, jako z oficerem wyborowym, który ukończył kilkoletni kurs nauk w korpusie kadeckim i sądził że on żartuje. Gdy się jednak przekonał, że to co mówi, mówi z całą szczerością, aby nie podpadać pod odpowiedzialność za rozpuszczanie szkodliwych wiadomości, zbył go tylko temi słowami:

— Tak, Francuzi mają armaty.

— A z kąd je mają i ile? znowu zapytał Iwanow. Może je uprowadzili z Rossji w 1812 roku?

— Mają armaty z różnych odlewalni i więcej mają niż Szamil, zakończył nasz zesłany.

Cóż tu potem dziwnego, że tacy oficerowie słuchali generałów i powtarzali, że flota czarnomorska wpłynąwszy na Dunaj, rozbiła armję Omer-Baszy i posiłkową francuzką!?!... Dlaczegoż nie mieli opowiadać, że Ameryka przesłała carowi w podarunku 30 okrętów szrubowych, które przewieziono przez Syberję na saniach, pod eskortą dwunastu statków!?! Dlaczegoż nie mogli się cieszyć szczerze, że część Krymu oberwała się w morze, i że związkowa armja zatopiła się!?!...

Nie przytaczam kłamanych w gazetach opisów bitew, ani kłamanych wiadomości o bohaterskich odznaczeniach się wielu żołnierzy, bo wiem, że wszędzie niestety kłamią. Ale uczynię tę psychologiczną wzmiankę, iż dowódcy pisząc z nakazu te anegdoty, sami im potem wierzyli i powtarzali je w kołach za istotną prawdę. Gdy jednak te bajki wystarczały tylko do pewnego czasu, gdy wojsko dowiadywało się o strasznych klęskach ponoszonych od sprzymierzonych, wtedy ratując dumę narodową, przerzucono się do nowego rodzaju kłamstw.

Opowiadano z kolei, że Polacy sprowadzili wszystkich nieprzyjaciół; że armja Gorczakowa dla tego musiała się wracać z nad Dunaju, iż oficer jeneralnego sztabu Tarnowski, Polak, przesłał plany Omerowi-Baszy; że nad rz. Białą w Krymie, zdradził jeneral Sierzputowski, Polak; że emisariusze polscy podburzali plemiona czerkieskie, rozrzucając medale z popiersiem Napoleona i ks. Czartoryskiego, i t. d...

Naraz wszystko zamilkło!... Umarł car Mikołaj. Oniemieli, potracili głowy Moskale!... Śród licznych klęsk, zdało się im, że nadszedł czas ich upadku. Sztaby i szeregi zwątpiły w siebie. — Trzeba było patrzeć na to co się działo!... Z początku nie wierzyli papierowi z okropnem dla nich doniesieniem; nie chcieli nawet przy-

puszczać możności śmierci istnego cara, w chwili tak ważnej...

Gdy jeden feldfobel apszerońskiego pułku, przy raportowaniu wieczornem odezwał się do kapitana, że cicho mówią iż car umarł, kapitan skoczył do niego, uderzył go kulakiem w zęby i krzyknął:

— Milcz suczy synu, jeszcze o tem rozkazu nie wydano.

Uwierzywszy patrzali nam Moskale w oczy i zgađywali myśli nasze i znajdowali je smutnemi. Rzeczywiście większość zesłanych była zmartwiona śmiercią cara Mikołaja. W chwili tak ważnej, wielu Polaków pragnęło zdrowia i życia tego tyrana, bo wielu było przekonanych, że miłość jego własna narazi kraj cały na największe straty, a nie podda się poniżającemu go traktatowi. Wiele było przekonanych, że wystawiając ciągle nowe siły i stawiając niezłamany upór, Mikołaj zmusi sprzymierzonych do wkroczenia na ziemie polskie, a przez to ułatwi narodowe tam powstanie.

Nie darmo Moskale niezmiernie cenili Mikołaja, był on bowiem ideałem cara, był wyrazem całej Moskwy. Całą srogość, wszystką dzikość, wszystek pozór cywilizacji, streścił on w sobie. Nikomu nie pozwolił dzielić z sobą władzy. On oskarżał, sądził, karał i poblażał sam jeden. Złych i dobrych potępiał, jeśli objawili sprzeczne z nim zdanie. Była to wcielona w jednej istocie Moskwa: groźnie patrzył na omdlały świat, deptał nogami, co mógł deptać; całym życiem krzywdził Polskę i swoją śmiercią srodze jej zaszkodził.

Sztabowi i artylerzyjscy oficerowie, już nam serdeczną rękę wyciągali, już godzić się z nami zaczęli. Na ulicy starsi stopniami kłaniali się nam pierwsi i odwiedzać nas poczęli. Bo i jakże być inaczej miało, gdy im się zdało, że zesłani uczcili smutkiem śmierć ich idealnego cara!?

— Rzeczywiście, mówili do siebie, wielkość pociąga ku sobie. Nieboszczyk car był wielki panujący, gdy i Polacy noszą po nim szczerą w sercu swem żalobę. Nie spodziewaliśmy się tego, trzeba to wynagrodzić i zbliżyć się do nich.

Wystąpili też zaraz z wielką otwartością.

— Jesteście, rzekli, ludźmi sprawiedliwymi, oddacie co się komu należy. Smutek wasz ze śmierci cara Mikołaja, przejął nas do żywego. Z tego faktu poznajemy, że jednakże myśli i uczucia nas przejmują.

— Rzeczywiście, odpowiedzieliśmy, smutno nam, że car Mikołaj umarł.

— A co z nami teraz będzie? rzekli sztabowcy.

— Skończy się niedługo wojna, odpowiedzieliśmy.

— Skończy się... ale jak się skończy. Wiecie dobrze czem jest Aleksander. Nie obiecuje on nam żadnej energii. Gdyby to jeszcze Konstanty Nikołajewicz!... Jenerałowie nasi wszyscy duraki!... Boimy się wielkich katastrof dla Rossji.

— Zobaczycie, że będzie pokój niedługo, rzekliśmy.

— Otwarcie wam powiadamy, że w przerażeniu jesteśmy, rzekli sztabowcy. Niechby jeszcze sprzymierzeni, co Boże uchowaj, wzięli Sewastopol, może być wielkie nieszczęście dla Rossji.

— Pod Sewastopolem, zakończyliśmy, wysiła się sprzymierzeni, a car Aleksander łatwiejszy też będzie do układów niż car Mikołaj.

Ale to łączenie się było tylko chwilowym błyskiem zgody.

W kilka tygodni po śmierci Mikołaja, kilkunastu ludzi zbrojnych zatrzymano nad rz. Samur. Byli to Szekińcy, którzy objechawszy konno góry szekińskie, usiłowali dostać się do środkowego Dagestanu. W jakich celach? zostało to tajemnicą. Zapewno w celach partyzantki. Gdy wieść się o nich rozeszła, szemrano, że byli

oni emisariuszami polskimi w konfederatkach, przykryci kolczugami i zbrojni od stóp do głów. Ale gdy śledztwo okazało, że całe to grono składało się z samych Sze-kińców, powszechna opinja moskiewska mieć chciała, że między nimi było dwóch przywodzących Polaków.

W Temir-Chan-Szurze, sztab wojska dagestańskiego dopuścił się gwałtownego aresztowania oficera, zesłanego J. S., który przybył za urlopem, wydanym mu na dwa tygodnie przez dowódcę pułku samurskiego Kesslera. Zastępujący dowodzącego wojskiem, jen. Maniukin za podniętą naczelnika sztabu Miszczenki, zawołał go do siebie i zapytał:

— Po coś tu pan przyjechał.

— Przyjechałem odwiedzić znajomych, rzekł J. S.

— Wiem, rzekł Maniukin, co znaczą wasze odwiedziny. Aresztuję pana do dalszej decyzji. Zostaw pan szaszkę i idź na odwach.

— Ja mam, jenerale, należyty urlop, powiedział J. S.

— Pułkownik Kessler nie miał prawa wydawać go wam, zakończył Maniukin.

Nazajutrz komendant fortecy z placadjudantem, dopilnowali wyjazdu J. S. pod eskortą kozaków, nie dawszy mu czasu ani na posiłek, ani na pożegnanie się z rodakami.

Zapewno musiały być nowe obostrzające rozkazy, co do stosunków zesłanych Polaków, które trzymano w wielkiej tajemnicy. Zapewno nie oddawano ich do biór właściwych z powodu że nimi zarządzali i Polacy, a których po trzeci pono już raz, po przybyciu na namiestnictwo jen. Morawjewa-Karskiego, wielu usuwano bezzwłocznie. Nietaktowne wszelako i hałaśliwe postąpienie Maniukina z J. S., ośmieliło tam wielu oficerów do coraz otwartszego występowania przeciw Polakom. Strata jeszcze Sewastopola rozpałała nienawiść tych oficerów do tego stopnia, że poczeli oni w domach, na uli-

cach i na placach głośno rozprawiać: „że póty nie dobrego nie będzie, póki się szubienic nie wystawi i nie wywiesza się zesłanych przynajmniej Polaków.“

Oskarżano zaraz tamtejszych Polaków, że założyli stowarzyszenie pod nazwą kahału, do którego wyborowi tylko członkowie należeli. Nie było to jednak żadne stowarzyszenie, ale chwilowa koleżeńską rozrywka, która powstawszy z nadawanego nam przez Moskali miana żydowskiej jedności, wyrobiła improwizowane koło na podobieństwo rzeczypospolitej babińskiej. Koło przyjmowało do obywatelstwa osoby wyłącznie prawe i godne i ponadawało im urzęda i tytuły, które były krytyką jakiego czynu, albo przyzwyczajenia. Ten albowiem, który obiecał kupić szafę dla biblioteki, a na przyrzeczony termin jej nie dostawił, został stolarzem Srulem. Ten który miał zwyczaj odwiedzania kolegów zrana, tylko w dwa dni tygodniowe nazwany został cyrulikiem Janklem. Tym sposobem wyrosli w kahałe patryarcha, rabin, podrabin, szkolnik, furman, arendarz, pachciarz i t. p. Cztery kobiety Ester, Sora, Siora, Ryfka, przedstawiały pleć niewieścią.

Najciekawszą stroną tego kahału, była sympatja dla niego przywędrowanych dla handlu żydów. Na dowód tej życzliwości, w czasie świąt żydowskich, przysyłali oni członkom kahału mace, kugle, a nawet ryby i o powodzenie pytali.

Dla oburzenia ogólnego puszczono pogłoskę, że Polacy szampanem spijali zdrowie wojsk sprzymierzonych zdobywających Sewastopol i zdrowie Napoleona III. Zaczęto sprawdzać fakt. Dopytywano się kupców, czy u którego z nich nie skupowano owego szampana, a mia-nowicie czy nie odsyłano go do domu Leopolda Kociejowskiego. Na szczęście, że zesłani szampana nie pijali. Pomimo tego rozdrażnienie stosunków do tego stopnia

rosło, że Moskale otwarcie już dopuszczać się poczęli obelg i urągania.

Osobiście drażniony takim wypadkiem kapitan inżynierów Folkenhagen, Wołyniak, który jako ochotnik zostawał w wojsku, udał się do ka. Orbeljana przedstawiając mu całą rzecz.

— Uprzedzam Waszą K. Mość, dodał, że jeśli groźby na nas nie ustaną, my pomyślimy o obronie własnej.

— Co to jest, co pan gadasz? zawołał Orbeljan.

— Zmuszony jestem powiedzieć, rzekł Folkenhagen, że w oczach W. K. Mość krew się łać będzie, bo za daleko posuwają się pogroźki. Nie wszyscy i nie zawsze mogą być cierpliwi.

Wystąpienia Folkenhagena wielkie wrażenie zrobiło na Orbeljanie, który jako dowódzca sił miał odpowiedzialność za utrzymanie karności wojskowej, a jako Gruzin nie pragnął pewno krzywdy Polaków. Z pospiechem więc wdał się w sprawę. Zgromił ober-audytora sztabowego, zgromił popa pułku apszerońskiego jako hersztów niepokoju i zagroził im sądem wojennym; plac-adjutanta zaś Leblego, szczerego ochotnika do wieszania pomimo wstawiań się komendanta twierdzy, zrzucił z urzędu. Zapowiedział nawet komendantowi, że i on będzie usunięty od obowiązku, jeśli jeszcze jakiegokolwiek groźby przeciw Polakom się okażą.

Umilkło więc wszystko, a spokoju i pewności życia zesłanych Polaków, przestrzegać miał odtąd, komendant podpułkownik Wasilew, właśnie jeden z najotwartzszych naszych wrogów. Umilkła groza powierzchownie, ale zbierali się oficerowie u Leblego, uważanego już za ofiarę patriotyczną i tam cichaczem na nowo i silniej występowali przeciw Polakom.

Wkrótce Leble naznaczony był na adjutanta pułkowego, w miejsce zesłanego Andrzeja Szymańskiego.

Niebezpieczeństwo na jakie wystawiani bywaliśmy, zniknęło czasami; ale każda klęska moskiewska na jaw znowu je stawiała. Dzielna obrona Karsu, zajęcie przez Omera-Baszę Mingrelji i Imeretji, dało powód do nowego tajnego okólnika, aby wszędzie wojsko kaukaskie było gotowe do wymarszu, i aby za danem rozporządzeniem wszystkie moskiewki były naprzód odprawione do stron rodzinnych. Było to powtórne przygotowanie do odwrotu z Kaukazu, a przynajmniej do cofnięcia się w kilka punktów nadmorskich.

Przewidywaliśmy że stanowcze hasło odwrotu, stanie się hasłem mordy Polaków. Kostromskie wypadki z 1847 r. powtórzyłyby się na ziemi kaukaskiej! Wielu przewidywało własne nieszczęścia, ale pragnęło postępu sprzymierzonych.

Wtem nastąpiło zawieszenie broni. Nastąpił potem i przewidywany przez nas pokój, ale nigdy nie przypuszczana, aby mógł być zawarty w tak poniżających Zachód warunkach.

Nie radzi byli wcale z nowych układów Moskale, ale pocieszali się oni prędkim pokrzepieniem sił swoich. Polacy zaś mocno się zasmucili. Musieli oni na nowo swoje starania i ofiary zaliczyć do tej siejby krwi i potu, z której owoc dopiero w przyszłości zbierać się będzie — ale w tej przyszłości, która wytryskiem życia wybije.

Bo czy ten wytrysk żywota objawił się dotąd, między tutejszymi Polakami? ocenimy sumiennie. Spojrzmy przedewszystkiem na zesłanych, którzy tu samą swą obecnością wyobrażali protestację idei narodowej przeciw caryzmowi, którzy stanowili jądro gromady polskiej i skupiali w sobie i obok siebie najwięcej żywiołów narodowych.

Czem ich życie tu się zarysowało?

Oto oni przedewszystkiem pielęgnowali mowę ojczystą, z którą się zapoznawali i obcy. Oni przechowywali uro-

czystości narodowe, które nieraz i kaukazki krajowiec obecnością swoją uczcił. Oni przeciwdziałali koszarowej propagandzie, w skutek której niejedyn przelewca krwi nie brał już na cel dobijającego się wolności Górala. Oni hodowali naukę i starali się ją jak najbardziej rozszerzać. Oni między obcymi czując się przedstawicielami cierpiącego ludu, pilnowali osobiście godności własnej.

Nie jeden z nich będąc awansowany na oficera odzywał się:

— Zdaje mi się jakoby część mej siły duchowej i część godności sponiewierał, gdy mi szlify przypięto. Srom mnie obejmuje, gdy żołdat moskiewski czapkę przedemną zdejmuję. Wydaje mi się teraz, jakoby wszedł w porozumienie z carem i jakoby mu zrobił ustępstwo z moich zasad.

Kilku z nich wyrobiło się na ludzi wielkiego charakteru i wyrosło na żywe posągi niezłomnej woli. Wychowawiec korpusu, oficer jeneralnego sztabu śp. Górecki, syn poety Antoniego, poznawszy takich ludzi, zawołał:

— Przez nich szanuję więcej pamięć ojca mego i więcej poznaję Ojczyznę moją.

Kobiety też, które za zesłanemi mężami tu przybyły, jaśniały jak gwiazdy poświęcenia. O ile one były chlubą wygnańczej gromady, o tyle też były ozdobą płci niewieściej. Podniesione w godności osobistej i promieniejące czystością życia, stały się one przez poświęcenie przedmiotem powszechnego uwielbienia. Kobiety innych narodowości, Gruzinki, Ormianki, Persjanki, Moskiewki nawet, starały się o ich znajomości, a te które ją uzyskały, wysoce ceniły ten stosunek. Życie naszych kobiet podnosiło imię Polski w tych stronach.

Takie moralne stanowisko zesłanych, nie mogło pozostać w cieniu. Odbijało się ono pełnym blaskiem i poza

Kaukazem. Wygnaniec A. A. N. z głębi moskiewskiej ziemi, pisał w 1852 r. do przebywających w Kusarach:

„ rozumiem was. Mniejzają więc o to, że się nie znamy. Nie koniecznie bowiem trzeba zjeść z sobą beczkę soli aby się zwać przyjaciółmi. Ja nawet myślę, że niekoniecznie trzeba się widzieć, aby się znać, kochać i rozumieć. Gdy kiedyś za lat wiele, jeśli suchoty człeka na pastwę robactwu wkrótce nie dadzą, jeśli kiedy powiadam, za lat wiele, robiąc w myślach przegląd przeszłości — nasuną się dni ubiegłej młodości, — jeśli zechce się wyliczać przyjaciół i tychże dzielić na gatunki, lepszych, dobrych, najlepszych; doprawdy zawsze was do swych przyjaciół liczyć będę, bo właśnie z wami umiałbym żyć i znośniej pędzić tęskne dni w obczyźnie. Znam was tak, jak was może nie znają ci z którymi zjedliście ową beczkę soli, — rozumiem wasze serca, dusze, umiem się wtajemniczyć w wasze marzenia, nadzieje, pragnienia i w to wszystko, za czem wasza myśl goni. Wszystko to podzielam i dla tego nazywam was swymi przyjaciółmi. Niech te kilka słów zastąpią pierwszy ukłon przy zabieraniu znajomości zwykle czyniony. Jeśli kiedy losy nas zbliżą, podanie ręki wzmocni i utrwali te piórem zawarte związki.

„Nie myślę was przeproszać za narzucanie tych wierszy kilku, bo już dawno wyparłem się czczych formuł światowości; dziś idę za popędem serca. Was spotkałem na ciernistej ścieżce i miło mi was powitać jakby jakich starych znajomych, a nie dla tego żeście Polacy i ja Polak, — przyznam się nawet, że bardzo często pogardzam Polakiem, ach! bo mała liczba Polaków między Polakami. — Wasza sfera lepiej widzę konserwuje ssane w Polsce mleko, tutejsze klima bardzo prędko osusza to wszystko, co w duszy Polaka być powinno. Ale to temat na który możnaby ryżę papieru zasiał mojem

pismem, zwłaszcza w dzisiejszem mego pióra usposobieniu!

Tyle zasłużonych pochwał. Lecz z przytoczonego chronologicznie obrazu faktów, każdy głębszy umysł rozpozna, każde serce żywsze uczuje, że pomimo pięknych konturów stoicyzmu, pomimo tęczyowych farb namaszczenia, że brak temu obrazowi czegoś, że mu właśnie braknie wypełnienia tej całości, którą mogła dać reszta poświęcenia. Jednak prawie żaden z zesłanych, czy z rekrutowanej inteligencji nie powiedział sobie:

— Okreśła za mną spalone, powrót mój niepodobny, tu więc tylko mogę służyć Ojczyźnie.

Jeżeli zaś sobie powiedział, to tylko party srogoscia i dokuczliwością wroga, jak to miało miejsce z wiarusami z 1831 roku i jak mogło być w 1856 roku.

To też stanawszy raz na zachowawczej drodze, i zapomniaszy iż napisano jest, że tylko gwałtownicy posiadają królestwo Boże, nie mógł ogół dojść do wyższego celu. Zamacony duch stawiał go, choć liczebnie, na placu boju przeciw tym, w obronie których raczej powinien był zginąć.

Polacy przed 1830 r. rzadko stykając się z Kaukazykami, mogli się tłumaczyć, że walki tych Górali podobne będąc do bójek granicznych nie określały jeszcze zapasów ludowych; ale po 1830 r., a osobliwie już za imanstwa Szamilowego, nie łączyć się z nimi, ale pozostawać w szeregach najazdu, chociaż bez myśli zabijania dobijających się wolności ludzi, było więcej niż błędem, to było zaprzeczaniem na zewnątrz tej idei, którą przedstawiali.

Były niezawodnie osobistości, którym natchnienie wskazywało drogę właściwą, ale nie poparte przez ogół, zmarnowały ten donośny objaw głosu Bożego.

Gdy oto jeden z zesłanych chciał przejść w góry

w 1846 r., towarzysze jego których patriotyzm on cenil, przedstawili mu bezpłodność jego dążności.

— Cóż z tego, że tam pójdziesz, mówili, będziesz tam niezrozumiany i bez pożytku dla nich, a zginiesz dla swej ojczyzny na zawsze. W razie podboju gór wystawisz się na nowe katowania Moskali, którzy cię już wtedy nigdy nie uwolnią. Pozostając zaś tu, będziesz miał możebność powrotu i złożenia nabytem doświadczeniem wojennem usług krajowi.

Gdy te i inne rozumowania nie przekonywały go, wtedy najbliższy przyjaciel łamał jego zamiary osobistemi prośbami. W końcu rzekł:

— Zrobiłem co mogłem, reszta nie do mnie należy. Powiem ci nawet, że jeżeli czujesz w sobie genjusz, jeżeli czujesz, że w sztuce wojskowej wyrównasz Napoleonowi, nie tylko że cię nie zatrzymuję, ale błogosławię cię nawet na nową drogę.

Na wymówione imię Napoleona złamał się młodzieniec, złożył hołd jego genjuszowi, namyślał się długie dni... i został z przyjacielem, rozgrzeszony.

W tymże czasie, w innej okolicy, drugi nie wdający się w rozumowania młodzieniec, dostał się odważnie w góry. Był tam rok, drugi i trzeci, ale wrócił rozczarowany... powiedział, że w górach nie ma nic do roboty, dla Polaków.

Mowa ta pochodząca niby z doświadczenia, uspakajała sumienia wszystkich, była niby stwierdzeniem poprzedniego doświadczenia, nabytego już przez wiarusów z 1831 roku.

Sąd ten wszakże był mylny. Wiarusy bowiem uciekając nie z obozów granicznych, ale z koszar, nie znając prostej drogi do miurydów, bładzili po aulach podległych Moskwie i chwytni byli przez jej miejscowe policje. Znowu też jeden młodzieniaszek polski, bez nauki

teoretycznej i doświadczenia wojskowego i bez żadnego specjalnego fachu, nie mógł istotnie zaimponować Góralom, — chociaż złożył im to co miał, złożył osobiste męstwo i zaniósł im zawsze ideę polską, która się wyraziła w posłaniu Sałtyńczyków do namiestnika Woronowa w 1847 roku..

Gdyby zaś nie jedna, nie dwie jednostki, — choć i te nie przeminęłyby marnie, — ale kilkunastu tylko zesłanych, a między nimi i fachowi ludzie, jakich nie brak było, ukazali się w górach, sprawiliby tam bez zaprzeczenia przekonanie o ich wyższości naukowej, i bez genjuszu napoleońskiego potrafiliby byli przeprowadzić nie jedno urządzenie, a nawet uformować zawiązek legjonu, z części znajdujących się tam dezertersów i niewolników.

Gdy muzyka grająca krakowiaki w górach, robiła silne wrażenie na Polakach, z pewnością na wiadomość o przejściu zesłanych, na widok jeszcze chorągwi polskiej i czerwonych czapek, gromadami przechodzili i w krótkim czasie złożyliby byli chociaż kilka bataljonów regularnego wojska, o posiadanie którego Szamil się troszczył, ale z miejscowych żywiolów wyrobić go nie był w stanie. Że zaś Szamil temby się nie sprzeciwiał, że nie trącałby wtedy nawet niczyjego sumienia religijnego, dowodzi wspomniana opieka, jaką miał nad żydami i nad rozkolenikami moskiewskimi.

Krok taki zasilalby Szamila a osłabiałby Moskwę, bo ci nawet Polacy, którzyby nie poczuli się do dezercji, odsuwaliby się od Moskali, nie strzelaliby do swoich braci i tym sposobem nie jedną bitwę przychyliby na stronę Gorali. Moskale zmuszeni by byli w końcu wyrzec się wysyłania ludu naszego na Kaukaz, a przynajmniej dać ulgę tym, którzyby zostawali pod ich rozkazami, np. skracając im czas służby i t. p.

Prawdą jest, że legjon w górach uważaćby należało za stracony, ale czy tak czy owak Polacy musieli ginąć na Kaukazie. A czyżby nie godniej było, gdyby oni polegali za sprawę niepodległości a nie za najazd, któremu setki tysięcy poświęcili.

Tak jest setki tysięcy! Statystycznie obrachowano, że po 1830 r. w pierwsze piętnaście lat, korpus tamtejszy zmieniał się co pięć lat, czyli że przecięciowo co rok piąta część korpusu ginęła w bojach lub od epidemji, i że stosunek ten od 1845 r. zmniejszył się o połowę, czyli że co rok ginęła tylko dziesiąta część wojska. Ponieważ armja kaukazka przecięciowo składała się w pierwszym perjodzie ze 100, a w drugim z 200 tysięcy regularnego tylko wojska, wypadnie więc, że ginęło rocznie po 20 tysięcy, co potwierdza i statystyka Leroy-Beaulien.

Uważmy dalej, że najazd dostawiał na Kaukaz tylko czwartą część prawdziwych Moskali, że jedną połowę tej armji dopełniał on ludem z gubernji małoruskich, jako to z połtawskiej, jekaterynosławskiej, charkowskiej i woroneżskiej i nieco z prowincji nadbałtyckich, i że drugą całą połowę wojska zapełniał ludem różnego wyznania z ziem byłej rzeczypospolitej naszej, — co porównawczo obrachowane było przezemnie na formularzach kilku pułków, — wypadnie, że Polaków razem z Litwinami i Rusinami od 1831 roku zginęło około 300.000. Jeżeli zaś do tej przerażającej cyfry dodamy jeszcze tych, którzy od 1773 do 1831 roku poginęli w górach i na ościennych pobojuwiakach perskich i tureckich i którzy padli ofiarą grasujących wtedy epidemij, a doliczymy się ogromnej liczby 500.000!..

Zapewne że ogół polski czuł te straty, boć one były bardzo dotykalne, ale nie wyrozumował on dość jasno i kłęski duchowej, pochodzącej z tego biernego zachowania się swego.

Ten sam ogół nie przyczyniwszy się niczem także do sprawy wschodniej, — jako zawsze liczący na kogoś, a nie na siebie, — oczekiwał jednak od niej wybawienia. Liczenie Czerkiesów i Szamila na sprzymierzonych, chociaż ogromny udział w wojnie mieli, przyniosło im raczej szkodę niż pożytek. Nasi nieczynni prawie, chcieli niehistorycznego cudu!... Zawiedzeni, smucili się jak się rzekło, a w części łamali się na ducha.

Nadesłane niebawem urlopy i uwolnienia dla garstki Polaków, sprawiały znowu jakąś powszechną otuchę. Przysłane zaś bilety, pierwszy raz z tłumaczeniem polskiem, dla żołnierzy z Królestwa, podniosły na nowo pogłoskę o formowaniu oddzielnej armji polskiej, którą rząd moskiewski po utracie Sewastopola puścił na Kaukazie, dla wstrzymania Polaków od dezercji do zbliżających się Turków.

Manifest koronacyjny ogłosił później amnestję, której zesłani z niecierpliwością oczekiwali. Ponieważ manifest ten był napisany tak, że go rozmaicie można było tłumaczyć, więc zostający w wojsku, a będący już oficerami, woleli za zwykłą opłatę od 25 do 100 rubli wyrabiać sobie świadectwa poszkodowanego zdrowia i na tej zasadzie prosić o uwolnienie. Ci tylko, którzy nie mogli być pod tą katerją, musieli się podawać pod punkta manifestu.

Mieli oni nadzwyczaj wiele kłopotu z przeprowadzaniem miejscowych formalności i z przeprowadzeniem zastosowania do nich owych punktów. Potem musieli odtrącać pokusy posad dochodnych, jakie im poczęto dawać, a nawet przy boku namiestnika. Dopiero po wytrwałem dopominaniu się, na przedstawienie bliższych władz, dano wielu uwolnienie. Ci, którzy w wojsku nie dosłużyli się stopni oficerskich, pozostali jeszcze w małej liczbie.

Kto był kilkanaście lat w dalekiej niewoli, ten tylko może odczuć ową radość jaką sprawiała na zesłanych wiadomość o uwolnieniu. Czuli oni wtedy radość, która była nagrodą, w każdym razie, trudnego ich żywota; czuli oni szczęście, które mogło dać tylko sumienie czyste z wypełnienia swoich obowiązków. Wielu bowiem według ich przekonania politycznego, najświęciej je wypełniło, nie złamawszy się przeciwnymi okolicznościami i nie dawszy się skusić wrogowi. Mieli oni prawo do chwilowego wytchnienia na ojczyściej ziemi, wśród rodaków, których na obczyźnie podwójną siłą uczucia pokochali.

Ale to błogie usposobienie nie mogło trwać długo. Zakłócały je nawijające się smutne myśli. Trudność szczeremu Polakowi rozstać się wesoło z Kaukazem!...

Car bowiem uwalniając więźniów stanu, wymyślił oto zaraz, pod formą translokacji, nowe deportacje, wysyłając na ich miejsce odrazu 63 oficerów Polaków z samej artylerji...

Węgier Bangya, wylądowawszy oto na brzeg Czarnego morza, z hułcem posiłkowym, przeważnie złożonym z Polaków, przez swe podejrzające zachowanie się, wystawiał go na nieufność Czerkiesów!...

Odrywało się oto nareszcie serce od setki tysięcy żyjących jeszcze rodaków, a którym przeznaczenie wskazało — prawie wszystkim — zostać do śmierci, bez ujżenia Polski, a choćby tylko matki lub dziecka własnego, kto je miał!...

Lecz dobrze, że te przykre myśli, w tej chwili im się nawijały. Bo nie jeden z nich jadąc do domu, gdyby nie widział za sobą krwią przesiąkniętego Kaukazu, gdyby nie widział rozsianych tam po górach i wąwozach bielących się kości i tych mogił, które jeszcze wyrastać

miały i gdyby nie spostrzegł przed sobą bolesnych kolców niewoli, mógłby upaść pod szczęściem!.. Ujrzawszy Dniepr niebo i ziemię ojczystą, a na niej lud swojski — odzywający się do niego świeżym dźwiękiem mowy rodzinnej — mógłby on z całego szczęścia oszaleć, albowy mu serce pękło!.....

K O N I E C .

SPIS RZECZY:

	Strona
Wstęp	5
Część I. Płaszczyna kaukazka	17
Część II. Płaszczyna kumyjska	58
Część III. Pomorze Dagestańskie	93
Część IV. Chaństwo Kubińskie	137
Część V. Miurydyzm na Kaukazie	189
Część VI. Dagestan Środkowy i Obraz walk	241
Część VII. Szyrwan	311
Część VIII. Gruzja z Osetją	357
Część IX. Ziemie Czerkiesów	405
Część X. Szamil	455
Część XI. Polacy na Kaukazie	503



CE HISTORYCZNEJ

wychodzą

OWSZECHNE SZLOSSERA

asów do dni dzisiejszych, w 22 tomach, w formacie
asym, tom objętości około 40 arkuszy druku.

to jak wiadomo popularny wykład dziejów powszechnych, odzna-
się gruntownością i bezstronnym poglądem, które autora postawiły
in wyniosłem stanowisku, że dzieło jego uważane jest za najlepszy
ręcznik do poznania dziejów powszechnych. Przekład polski jest, o ile
oyć może przekład tak wielkiego dzieła, bardzo dokładnym i piękną
poliszczyną dokonanym. Przekładu dokonali znani w kraju pisarze: pp. Wł.
Górski, Józef Trzciak, Bronisław Komorowski, prof. Waligórski, Bolesław
i Wincenta Limanowscy, Aureli Urbański, Władysław Kosłowski i prof.
Czesław Pisiński pod redakcją Br. Komorowskiego.

Już wyszło tomów 19, pod prasą tom 20. i 21. Druk ukończony;
zostanie na początku roku 1878.

Cena każdego tomu 5 złr., 10 marek, 15 franków.

Można jeszcze aż do ukończenia druku, zapisując się na całe dzieło,
otrzymać takowe w czasie prenumeracyjnej o połowę taniej, a mianowicie
opłacając przy odbiorze I. tomu z przedpłatą za ostatni 5 złr., 10 marek,
15 franków — przy każdym następnym tomie po 2 złr. 50 ct., 5 marek,
7 fr. 50 c. — Nowo przystępujący prenumeratorem winni wszelkie przy-
najmniej po 2 tomy na miesiąc odbierać.

**Cały dochód z tego wydawnictwa przeznaczony
jest na oświatę ludu.**

Lista wszystkich prenumeratorów będzie do dzieła dołączoną z wy-
reżeniem wiele kto tomów odebrał.

W dalszym ciągu BIBLIOTEKI HISTORYCZNEJ wyjdą:

T. T. Jęła (Zygmunta Miłkowskiego)

Dzieje ludów słowiańskich

wyłącznie dla *Biblioteki historycznej* przez jednego z najznakomitszych współ-
czesnych pisarzy opracowane.

Stali prenumeratorem *Biblioteki historycznej* otrzymają to dzieło po
równie niskiej cenie.

OSKARA PESCHLA

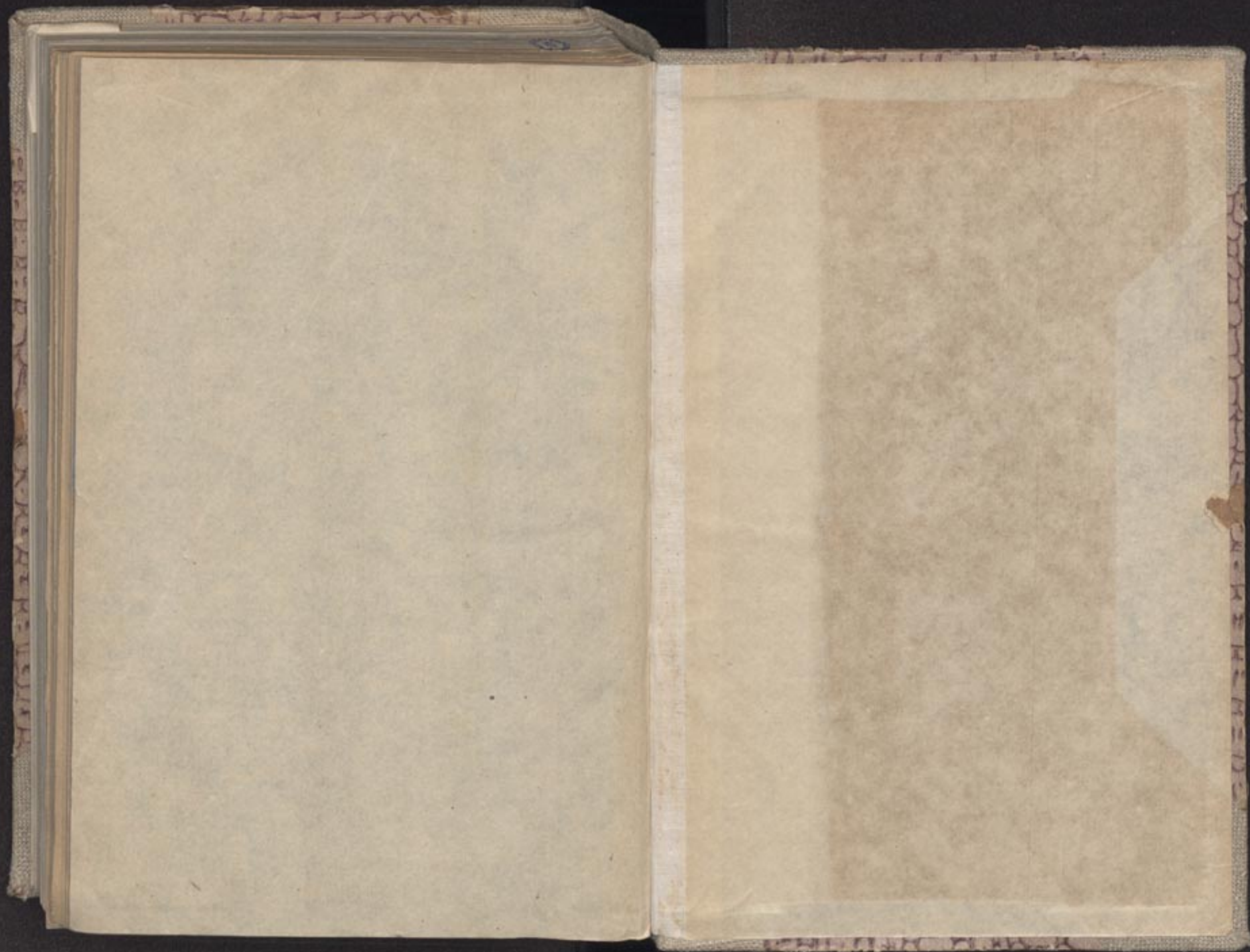
Historja wielkich odkryć geograficznych.

BIBLIOTEKE HISTORYCZNA można prenumerować
w Księgarni Polskiej we Lwowie (której nakładem wychodzi), jak najmniej-
we wszystkich innych księgarniach i agencjach krajowych i zagranicznych.

Księgarnia Polska

Lwów, 12 ul. Kopernika 12.

D. J.



BIBLIOTEKA
NARODOWA



244762
